

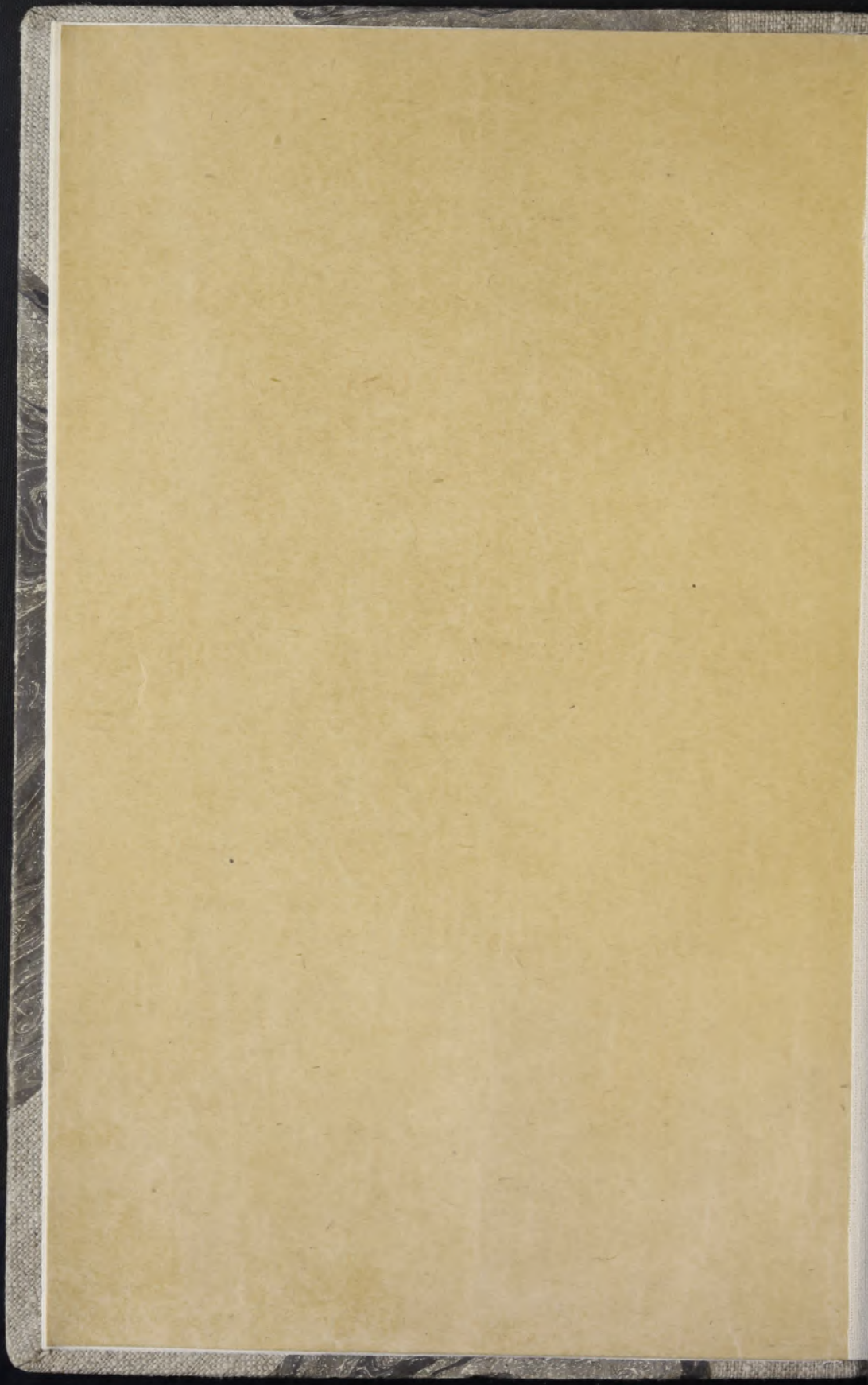
II 1.406.564

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI.

PORUCZNIK REGIER

POWIEŚĆ.

NAKŁADEM REDAKCJI „ZWIASTUNA EWANGELICZNEGO”
WARSZAWA
1927.



#242.

PORUCZNIK REGIER

THE END OF THE WORLD

H. 242.

PAWEŁ HULKA - LASKOWSKI.

PORUCZNIK REGIER

POWIEŚĆ.

NAKŁADEM REDAKCJI „ZWIASTUNA EWANGELICZNEGO“
WARSZAWA
1927.



II 1406.564



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020487933

Sp. Akc. Wyd.-Druk. „Praca”, Fr. Bogucki, Kredytowa 2-4.

1985 K 1152/56

I.

Zdrowie wracało porucznikowi Regierowi dość szybko i pewnego dnia marcowego lekarz powiedział, że najdalej za dwa tygodnie będzie mógł opuścić szpital, a za jakie cztery tygodnie powrócić na front.

Regier przyjął tę wiadomość obojętnie, a nawet apatycznie, jakby go to nic nie obchodziło, że mu wraca zdrowie po ciężkim tyfusie. Siły wracały istotnie, ale jednocześnie czuł w sobie jakiś bezwład wewnętrzny i zupełną niemoc do otrząśnięcia się z przygnębienia i z uczucia obojętności dla wszystkiego i wszystkich. Po długotrwałej gorączce przychodziły stany wielkiego osłabienia i nieznośne bóle głowy, a nadewszystko nieopisany, niepojęty i bezprzyczynowy smutek.

Nie miał ochoty ani do czytania ani do zajęcia się czemkolwiek i całymi dniami leżał w mrocznym pokoiku szpitalnym, przepowiadając sobie jakby dla wyrafinowanej samoudręki wszystko, co w życiu jego było osobiście smutnym i bolesnym. Myśl uporczywie powracała do czasów, gdy skończył był studja uniwersyteckie i przygotowywał się do samodzielnej pracy profesorskiej. Przed oczyma przesuwwały mu się jasne i pogodne godziny marzeń o szczęściu, przesłaniane okrutną świadomością, że się z tem śnionem swoim szczęściem minął.

Gdy bezsilny i wyczerpany tulił głowę do poduszki i przywoływał sen, aby nie pamiętać i nie dręczyć się, pamięć z inkwizytorskim uporem przypominała mu wszyst-

ko w najdrobniejszych szczegółach. Wyczerpanie po chorobie czyniło go igraszką tych przypomnień, od których nie zdołał odgrodzić się żadnym wysiłkiem woli.

Czasem o zmierzchu, gdy szmer oddalonego miasta zdawał się przycichać, a gęstnące cienie płoszyły z pokoju resztki blasków dziennych, przymykał oczy i próbował wmawiać w siebie, że wszystko jeszcze będzie dobrze, byle tylko ostatecznie wyzdrowieć i opuścić ten szpital, w którym zagnieździły się upiory jego duszy. Ale wtedy zdarzało się, że niewidzialna dłoń jego niedoli bezszelestnie uchylała drzwi pokoju i na progu staowało widmo straconego szczęścia. Spoglądały nań nieme oczy smutkiem samooskarżenia, oczy piękne i niemiłosierne, a niekiedy widmo otwierało usta, aby oskarżać się głośno i prosić o przebaczenie.

— Jestem przeklęta — mówiła zjawa — oszukałam ciebie i siebie, kłamałam Bogu, który nieci w sercu dar miłości... Żyję świadomością, że już nigdy i nigdy, przez wieczność całą, nie poznam szczęścia, które miało być udziałem lat, co minęły i nie wróca... Oszukałam młodość swoją... Bałam się nędzy i dla uniknięcia jej zapłaciłam szczęściem bez nazwy...

Bał się otworzyć oczy i spojrzeć ku drzwiom. Powtarzał sobie tylko, że to są jego własne myśli, że obrazy rodzą się w jego duszy i że ta, o której mu mówią, zawsze myślała i czuła inaczej i myśli napewno jeszcze dzisiaj nie tak, jak on. Ale uparte uczucie brało ją w obronę przed nią samą i kłóciło się z dumą swoją i z krzywdą doświadczoną o ten ideał, który żył w głębiach tajemnych jego istoty.

Gdy wchodziła siostra miłosierdzia i zapalała światło, widmo znikalo i porucznik z całą jasnością zdawał sobie sprawę, że zawiedzione uczucie wyzyskuje jego bezsilność i przypomina mu się tak natrętnie. Po zmierzeniu temperatury i kilku stereotypowych pytaniach siostra wychodziła z pokoju, a wtedy Regier przy blasku ocienionej lampki elektrycznej rozumował i czuł inaczej, niż w mroku, aczkolwiek i przy świetle wszystko działo się tak, jakby na złość, dla spłoszenia nawet myśli o radości i pogodzie.

Przypominała się ciasna izba więzienna, najwyżej na sześć osób, w której tłoczyło się czternastu aresztantów politycznych, nie mających czem oddychać i jedzonych po nocach przez pluskwy. Jedyłą przyjemnością było wystawanie pod ścianą na kupie sienników i wyglądanie poprzez żelazne „firanki” na świat. Było to oczywiście zakazane i trzeba było mieć się na baczności, bo niespodziewanie zachrząścił klucz w zamku, na progu stawał dozorca z czerwonym nosem i władcym głosem wołał:

— Rużickij, Papielarsz, Riegier, Jużwiak!... Sobirajs w achranu, da paskariej jasnowelmożnyje!...

I wtedy Popielarz z Pruszkowa, Różycki z Kutna, Jużwiak z Płocka i on, rzucali na siebie ubranie, wychodzili na dziedziniec więzienny i siadali do aresztanckiego omnibusu, aby pod eskortą żandarmów przejechać się po całej Warszawie i nieraz przez cały dzień o głodzie daremnie czekać na badanie.

Przypominały mu się miesiące tego obrzydliwego życia więziennego, gdy było się zależnym od kaprysu pierwszego lepszego soldata i gdy każdy dozorca wyciągał łapę, aby łupić biednych więźniów i wymuszać na nich oddawanie ostatnich groszy za łaskę oszczędzania im szykan i udręk niepotrzebnych. Wreszcie zapadł wyrok, na mocy którego niebłagonadiożnyj Stanisław Regier wysłany został na czas bliżej niokreślony do gubernialnego miasta Kazania, aby się szczegółowiej zapoznał z błogosławieństwami kultury istinno ruskiej. Tak skończyły się narazie dla niego, jak i dla wielu innych nadzieje rozbudzone wydarzeniami roku wolnościowego, 1905. I znowuż zmiana: po półrocznem przemieszkowaniu w Kazaniu pozwolono mu w drodze łaski wyjechać z Kazania za granicę, również na czas nieokreślony.

Wszystko było takie smutne, złe, beznadziejne i takie długie cienie rzuciło na całe życie! Z nieubłagną złośliwością przypominają się po kolei wszystkie szczegóły tamtych minionych czasów teraz, gdy jest chory i słaby i gdy bronic się tym myślom natrętnym i wspomnieniom nie może.

A jednak, jak dobrze było ongi na świecie! Wszystkie mroki i wszystkie zło przesłaniała jasna postać jedynej w życiu miłości, najwyższego śnionego szczęścia, przemienionego w niedolę, dla której nie było nazwy. Niby szelest wiatru przewiewającego kwitnący sad, wionęła nań jedna z tych wielu chwil, gdy ją wołał jej imieniem: Helena...

Szła za nim ta jego miłość do więzienia w Warszawie, szła do Kazania, obiecując wiernie czekać... Gdy wolno mu było przeprowadzić się do Krakowa, napisała do niego, że przyjedzie za nim, jeśli to będzie możliwe. Były to cudowne, niezapomniane czasy wiary w szlachetność i siłę duszy ludzkiej. Dla cudu szczęścia, który kroczył za nim wtedy wszędzie, nie znajdował wyrazu i często z tkliwością przypominał sobie słowa swego siwowłosego pasterza, który go konfirmował a przy sposobności pięknie mówił o miłości, która jest długo cierpliwa, wszystkiego się spodziewa, wszystkiemu wierzy, nie szuka swoich rzeczy... Taką była jego miłość ... Wszystkiemu wierzyła, nie szukała swoich rzeczy... Jak to się stało, jak stać się mogło, że ta miłość jego została oszukana przez istotę, która mu była najlepszą i najbliższą z ludzi?

Zmęczona, niecierpliwa myśl nie czekała wszakże na odpowiedź na to pytanie i pędziła dalej, chociaż wola pragnęła ją zatrzymać u tego bólu, który był niegdyś radością i szczęściem. Oto przypominają się mu ulice Krakowa w wiosennem słońcu i w zmierzchu jesiennym, widzi znowu wnętrza kościołów niby zaciszne muzea, w których tak miło bywało posiedzieć w południowe godziny letniej spiekoty! Witraże przesiewają przez modre i czerwone szkła złote promienie słońca, ołtarze gubią się w sinawej mgłę, z ulic dolatuje stłumione echo miejskiego ruchu... Potem Praga Czeska, Hradczyny z białymi murami zamków nad Wełtawą, zacisze uliczek Starego Miasta i jedyna na świecie sielankowość Małej Strony za Wełtawą... Jeszcze później Heidelberg zaśnieiony wśród gór Odenwaldu, wartki Nekar śpieszący ku Renowi, taras zamkowy, owiany duchem Goethego... Wreszcie Paryż, ogromny, wystawiony na wszystkie kosmiczne przewiewy myśli ludzkiej, ze wszystkich

stron szybującej ku niemu... Długi błogosławiony odpoczynek w zacisznym domu polskiego kalwińskiego pastora w Montpellier, skąpanem w południowym słońcu i znowu Paryż... A wszędzie i zawsze wyteżona bezustanna praca, gromadzenie wiedzy, zrazu dla osobistego zadowolenia i przyjemności, a potem z nałogu, który staje się przymusem i koniecznością nieodpartą.

Potem wojna! I te zbudzone nią nadzieje, że przecie raz nareszcie Polsce zwrócone zostaną to, co jej zabrano, a co jej się od sprawiedliwości dziejowej należy. Razem z młodzieżą polską zaciąga się Regier do oddziału ochotniczego i przez cztery lata ciężkiej służby zarabia na stopień porucznika. Jest dumny i szczęśliwy, gdy wkońcu staje się oficerem armji polskiej i z oddziałem swoim idzie na wschodni front Rzeczypospolitej. Inne życie, inne warunki, często wielkie zmęczenie i pragnienie pokoju i spokoju...

Wreszcie tyfus... Jakaś przerażająca próżnia w istnieniu, pełna koszmrow i męki, z której przebudził się w Warszawie, w tej samej Warszawie, którą opuszczał przed laty jako więzień moskiewski, wywożony do Kazania. Zdaje sobie sprawę, jak ciężko był chory, gdy go tu przywieziono. Teraz oto wraca życie, ale wraca bez dawnej ochoty do pracy, bez nadziei, bez oczekiwania czegokolwiek... Wszystko zamknęło się w czterech ciasnych ścianach pokoju szpitalnego i z za tych ścian nie widać nikogo i nic, co nęciłoby obietnicą szczęścia...

*

*

*

Po pierwszych dniach słonecznych wiosny, przyszły dni dżdżyste, ponure i chłodne, jakby nagle powrócił listopad ze swojemi szarugami i chłodami. Regier napisał był do siostry, że niebawem będzie miał dłuższy urlop i że po tylu latach niewidzenia pragnie go spędzić u niej w Kaliskiem, w domu pozostałym po rodzicach. Zbudziła się w nim niespodziana tkliwość dla rodzinnego miasteczka prowincjonalnego o wyboistych brukach i popękanych chod-

nikach. Wydawało mu się, że nigdzie na świecie nie było przecie tak dobrze, jak w tej mieścinie prowincjonalnej, nikomu nieznannej. O chorobie swojej nie pisał siostrze nic, aby ją niepotrzebnie nie niepokoić, tembardziej, że wszystko najgorsze już minęło.

Miało się ku wieczorowi, do pokoju wpęła ponury mrok i niósł z sobą osepiałe przygnębienie. Reğerowi nie chciało się zapalać światła, więc ustalonym w ciągu tygodni zwyczajem leżał z przymkniętymi oczyma i czekał na przyjsie siostry z termometrem i zwykłemi pytaniami. Wyobrażnia przypominała mu znowu wydarzenia najsmutniejsze, jak gdyby w życiu nie było nic, z czego możnaby się cieszyć. Z żalem głębokim a nawet z przerażeniem uświadamiał sobie, że przed czternastu laty opuścił dom rodzinny i że te lata młodości i radości życia już nigdy nie wrócą, że na wieki zostanie tajemnicą ta treść ich, która mogłaby wypełnić je wielkiem szczęściem.

Drzwi pokoju uchylily się znacznie wcześniej niż zwykle, weszła siostra miłosierdzia, która opiekowała się nim przez cały czas choroby. Otworzył oczy i czekał jej słów, wyjaśniających tak wczesne przybycie.

— Jakaś pani pragnie się z panem zobaczyć, panie poruczniku — rzekła podając bilet. Doktor pozwala panu przyjmować gości.

Śród kolorowych płatków i płomyków, które nagle zawirowały dokoła jego głowy, przeczytał:

— Z Niemirów Helena Turska.

Zebrał się w sobie, aby opanować napad wielkiej słabości i po chwili rzekł głosem stanowczym:

— Jestem bardzo słaby... Przykro mi bardzo... Właściwie - podniósł nieco głos, jakby perswadował coś samemu sobie — niech siostra powie... tej pani, że nikogo nie przyjmuję.

Pielęgniarka wyszła, skinąwszy obojętnie głową, a Reğer jeszcze raz ją uważnie odczytywał bilet. Tak, nie uległo wątpliwości, Helena, pani Helena z Niemirów Turska, chciała go odwiedzić. W głowie powstał zamęt, serce ścisnęło się boleśnie, że pewno w tej chwili odchodzi, odpę-

dzona od drzwi jego słowem. Może właśnie w tej chwili wychodzi z bramy i ogląda się na szpital wojskowy, pragnąc odgadnąć, za którym też oknem przebywa on... Zrobiło mu się jej żal. Przypomnił sobie, co mu pisała siostra o jej nieszczęśliwym pożyciu małżeńskim, o brutalności i skąpstwie jej bogatego męża. Chciał wstać i wybiedz na ulicę, lub choćby tylko wyrzeć oknem i dostrzedz ją, zobaczyć czy jeszcze zawsze jest taka ładna, jaka była wtedy, gdy widział ją poraz ostatni przed wyjazdem z kraju.

Był ogromnie słaby, na czoło wystąpił mu pot. Nie, nie poruszy się za nic w świecie, nie może wstać i nie chce! Niech się dzieje co chce! Niech sobie idzie, skąd przyszła i niech przepadnie! Nie jest przecie tym, który pokrzywdzony, odpowiada uprzejmością na każde zawołanie. Skądże znowu! Tak, niech sobie ta pani idzie gdzie ją oczy zaprowadzą!

Wmawiał w siebie tę zaciekłość i obojętność, ale zarazem wiedział dziwnie jasno i wyraziście, że jest zgola inaczej, że ją przywołuje wszystkimi władzami duszy i powtarza sobie, że nie może, nie powinna odejść, że ma tu przyjść wbrew jego woli i stać u drzwi, gdy za krzywdę swoją nie odezwie się do niej, nie spojrzy na nią.

Drzwi otworzyły się znowu. Drgnął i nie odważył się otworzyć oczu.

— Ta pani pyta — ozwał się głos siostry — czy jutro albo pojutrze, albo kiedykolwiek, nie będzie pan porucznik czuł się lepiej, aby mógł zobaczyć się z nią. Ma jakąś ważną sprawę.

Milczał, czekając, że siostra powie jeszcze coś. W tem, co usłyszał, wyczuł błaganie tamtej, zdawało mu się, że widzi jej oczy załzawione i słyszy głos. Nie odpowiadał siostrze. Z chaosu myśli i uczuć wynurzała się jasno tylko ta pewność, że gdy wymówi pewne słówko, krótki jeden dźwięk, to całe lata męki i cierpień cofną się wstecz i Helena przyjdzie, by ukłęknać przy jego łóżku i płakać. Rozkoszował się myślą o możliwości pojednania i szczęścia przez długą chwilę.

— Co mam odpowiedzieć tej pani? — pytała siostra głosem doskonale obojętnym i zimnym.

Spojrzał na nią nienawistnie, że o sprawach dla niego tak wielkich mówi tak obojętnie i wściekły rzucił jej krótkie i twarde słowo, jakby ją tem słowem chciał wyrzucić za drzwi:

— Nie!

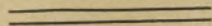
— Powiem jej — zgodziła się siostra takim tonem, jakby zaczynała śpiewać prastarą kolendę, i wyszła z pokoju.

Regier zerwał się z łóżka, żeby za nią wybiedz, schwycić ją za kark i rzucić o ziemię, potem pójść do tamtej i wygnać ją na cztery wiatry. Ale nie ruszył się z miejsca. Chwilę stał niezdecydowany, a potem jak złodziej zakradł się ku oknu i z za firanki patrzył. Nie czekał długo. Z bocznego skrzydła szpitala wypłynęła postać nie widziana lat czternaście, ale poznana odrazu.

Helena szła szybkim krokiem ku ulicy, jakby w takt przyspieszonych bolesnych uderzeń jego serca. Na końcu dziedzińca szpitalnego obejrzała się szybko, ukradkiem przed samą sobą. Tem jednym krótkim spojrzeniem chyżo ogarnęła wszystkie okna. Regierowi wydało się, że musnęły go błękitne załzawione oczy, spoglądające jak żadne inne na tym świecie, i że z pod tamtych powiek rzuciły się gorące łzy w jego oczy.

Był jeszcze bardzo słaby i bał się, że nie starczy mu sił, aby opanować szloch, który dobywał mu się z piersi. Ogarnął go niewypowiedziany smutek, gdy zniknęła za furką szpitalną. Wydało mu się, że wtedy, przed czternaśtu laty, odeszła od niego tylko na krótki czas i miała kiedyś wrócić, a teraz odeszła na zawsze, wygnana przez niego, choć ją tak kochał i choć wiedział dobrze, że prowadzi ją ku niemu to dawne niepokonane uczucie. Zrozumiał siłę praw nieubłaganych, rządzących wolą ludzką wbrew uczuciom i pragnieniom, ale poddawał się temu rozumieniu z uporem tęsknoty, które nie daje się niczem przekonać i nie pozwala sobie wytłumaczyć.

Zapatrzony w tajemnicę własnej duszy, stał przy oknie, przez które sączył się do pokoju gęsty mrok dżdżystego wieczoru marcowego. Starał się coś pojąć, co było i pozostawało niepojętem, Dopiero wieczorne odwiedziny siostry miłosierdzia zbudziły go z zadumy i skierowały jego myśli w inną stronę.



II.

Zbliżał się wieczór sobotni i pani Anna Wolska, siostra porucznika Regiera, siedząc przy biurku w swej pracowni, kończyła pracę codzienną. Sobota była dla niej dniem osobliwie ciężkim. Zamykanie rachunków tygodniowych i wypłata robotników zabierały wiele godzin czasu; dopiero więc pod wieczór mogła pani Anna wziąć się do załatwiania korespondencji handlowej.

Była przemęczona i wyczerpana nerwowo. Mała jej fabryka narzędzi rolniczych, założona i dobrze rozwinięta przez nieboszczyka męża, odzyskiwała szybko klientów przedwojennych, ale straty spowodowane rekwizycjami i długą stagnacją wojenną nie pozwalały pani Annie na przyjęcie urzędnika, który prowadziłby rachunki i korespondencję. Wszystko musiała robić sama, choć niejedno przychodziło jej z wielkim trudem, bo dopiero teraz pod naciskiem konieczności zapoznawała się z szeregiem spraw związanych z administracją fabryki. Nauczyła się jednak bardzo wiele i pracowała dość sprawnie.

Brała list za listem, przebiegała oczami jego treść, robiła uwagi na marginesach i notatki w księdze zamówień. Zmierzchało się. Pani Anna sięgnęła ku lampce elektrycznej, stojącej na biurku i spojrzała przez okno na ulicę. Na skraju nieba, widniejącym między ostatnimi domami długiej, szerokiej ulicy małomiasteczkowej, zabudowanej ogrodami, jarzyła się cudownym blaskiem gwiazda wieczorna.

Zapatrzyła się w tę gwiazdę z bezwiednym uśmiechem powitania, odczuwając głębokiem drgnieniem radości tajemny, niepojęty dla rozumu związek miłości między duszą człowieka, mieszkańca ziemi, a gwiazdą, która oddalona o miliony mil, płonie radością i weselem w sercu i w oku. Jest zawsze tem, czem była przed wiekami dla wszystkich żeglarzy i wędrowców: drogowskazem nadzieją i obietnicą czegoś niewiadomego i dalekiego, a przecie bliższego i zrozumiałego.

Kilka dni dżdżystych i chmurnych poprzedziło ten dzień sobotni. Pani Anna teraz dopiero spostrzegła, że niebo się wyjaśniło i że wraca upragniona pogoda. Uśmiechała się do jakichś swoich uczuć, które nie zdążyły stać się myślami, i do tej gwiazdy jasnej, ale zaraz nawiedziły ją smutne wspomnienia. Ujrzała jasno pierwsze dni wojny z ich ogromnem podnieceniem i tę chwilę, w której żegnała męża, odjeżdżającego do wojska. Jako oficer rezerwy został wezwany do swego pułku jeszcze w dniach poprzedzających wypowiedzenie wojny. Był wesoły i pogodny, mówił, że wojna musi się skończyć za kilka miesięcy i że potem dobrze będzie na świecie. Po kilku tygodniach dowiedziała się, że zginął w Prusach Wschodnich. Długo łudziła się, że może dostał się do niewoli, ale wreszcie trzeba było pogodzić się ze smutną rzeczywistością. W oczach poczuła żar łez i gdy przez te łzy spojrzała na gwiazdę wieczorną, blask jej dygotał w przesłoniętej źrenicy jak wielkie dalekie słońce.

Uciekając myślami od rzeczy smutnych, przypominała sobie brata, który pisał do niej niedawno, obiecując przyjechać i spędzić u niej długi urlop. Ucieszyła się serdecznie tem wspomnieniem obietnicy. Będzie mogła porozmawiać z bliskim i drogim człowiekiem o tem wszystkim, co od lat kilkunastu było treścią jej życia, osobliwie zaś o czasach ostatnich, czasach osamotnienia i trosk. Miała osiemnastoletnią córkę, Ludkę, i młodszego od niej o półtora roku Władka, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, aby tym wesołym, pogodnym dzieciakom miała mówić o swoich smutkach i niepokojach. Zawsze miała dla

nich wesołe słowo i uśmiech, sobie samej zachowując smutek wspomnień i niepokój o jutro.

Radość z zapowiedzianego przyjazdu brata potęgowały różne pomysły i nadzieje. Wiedziała, że oddawał się studjom specjalnym i że miał zawsze zamiar zostać profesorem, ale zarazem wiedziała wiele innych rzeczy. Podczas wojny kapitał brata odziedziczony po ojcach, stopniał do bardzo nieznacznej sumy i trzeba było myśleć o powetowaniu strat. Pani Anna знаła zawód miłośny brata, wiedziała, że głównie dla tego powodu nie wracał do kraju i czasem ze szczerą dla niego miłości budził się w niej gniew. Latami całymi wyczekiwała od niego wiadomości, że się zakochał, że się żeni, czyli że zapomniał na dobre o tamtej, o pani Helenie. Nieraz nawet zapytała go o to wprost, ale brat tak uparcie omijał te jej pytania, że z jego milczenia wywnioskowała o stanie tej smutnej sprawy.

W tej chwili myślała z goryczą, że choć przyjedzie, niewielka będzie z niego pociecha, bo na każdym kroku spotykać będzie wspomnienia swojej dawnej miłości a w dodatku niepodobieństwem będzie uniknięcia spotkania z panią Heleną. Tyle energii duszy i umysłu pójdzie na marne, na udękę i ból, zamiast na szczęście i radość. Szukała jakiegoś wyjścia dla tego niemądrego brata, ale nie znajdowała nic.

Pani Anna wstała od biurka i podeszła do okna. Gwiazda wieczorna zaszła za strzechę dalekiego domu. Nie chciało się jej zapalać światła i pracować dalej. Czekala powrotu dzieci: Ludka była na lekcji muzyki u panny Joergens, a Włodek poszedł na boisko sportowe. Bardziej niż zwykle odczuwała swoje osamotnienie, rozumiejąc, że dzieci prędzej, czy później pójdą własnymi drogami i że zatrzymać ich nie ma prawa. W całym miasteczku nie miała nikogo bliskiego: bardzo liczni dawni przyjaciele rozproszyli się po świecie, a krewni mieszkali w Cieszyńskiem, skąd pochodziła. Z dawnego dość dużego zboru ewangelickiego pozostało zaledwie kilkadziesiąt ro-

dzin, mało jej znanych, i stary pastor Wigura, w ciągłych rozjazdach po okolicznej djasporze ewangelickiej.

Od niejakiego czasu nawiedzały ją myśli niepokojące o dzieci. Zadawała sobie pytanie coby się z nimi stało, gdyby jej nie starczyło sił do pracy. Te ponure myśli trapiły ją osobliwie wtedy, gdy była bardzo zmęczona pracą, albo gdy nieoczekiwane trudności pozbawiały ją spokoju. Lekarz, którego się radziła, zapewnił ją, że jest zupełnie zdrowa, tylko trochę przemęczona nerwowo, i że po odpowiednim odpoczynku spokój wróci napewno. Myśląc o bracie, obiecywała sobie, że odpocznie i odzyska spokój. Niecierpliwiło ją też, że nie otrzymuje wiadomości, kiedy ostatecznie przyjedzie.

Z tych jej rozmyślań wyrwały ją nagle dźwięki fortepianu burzliwą radością życia i weselem wymykającym się troskom powszednim. Kilka pasaży zagranych z wielką wprawą i wdziękiem, rozedrgało powietrze niby szybko pomykające wśród mroków błędne ogniki i rozprysło się w ciszy.

Poznała od pierwszego uderzenia grę panny Anieli Joergens, nauczycielki Ludwiki i zdziwiła się, że nie do słyszała ich kroków, gdy przychodziły do domu. Panna Joergens jako ewangeliczka została na początku wojny razem z rodzicami wysiedlona do Rosji, powróciła stamtąd dopiero niedawno i dawała w miasteczku lekcje muzyki i śpiewu, a jednocześnie starała się o znalezienie pracy w Warszawie. Ludka przyjaźniła się ze swoją nauczycielką serdecznie, chociaż panna Aniela była od niej starsza o lat siedem.

Fortepian rozśpiewał się opowieścią o jakimś nieopowiedzianem pięknie, pełnem blasków i barw. Pani Anna poddawała się rytmowi melodji, wbrew wszystkiemu całym sercem przyświadczać wierze w piękno i pogodę życia. Gdy muzyka zamilkła, a na piętrze słychać było szelest kroków, pani Anna, sądząc, że pianistka wybiera się do domu, ruszyła ku drzwiom, aby pójść na piętro i zatrzymać ją na kolacji, ale w tej chwili ozwała się przegrywka i wśladał za nią miękki melodyjny głos panny Joergens

śpiewał melancholje znużenia i pragnienie spoczynku. Pełna wielkiej powagi i namaszczenia melodja Karłowicza zespała się ze słowami Tetmajera:

„Na spokojnem sennem morzu
Chciałbym teraz leżeć w łodzi,
Gdzie już żagli niema białych
I szum statków nie dochodzi...”

Pani Anna stanęła na środku pokoju i w skupieniu słuchała pieśni, która niby magiczne zaklęcie czyniła dookoła niej coraz większą pustkę, oddalając wszystkie troski i niepokoje. Mówiła jej ta pieśń, że przyjedzie brat dawno niewidziany, przywiezie z sobą spokój, zostanie u niej długo, długo, i będzie ją bronił przed zwątpieniem. Nagle ołśniła ją myśl niespodziewana, prosta a wyzwalająca zarazem.

— Ależ tak, tak! — przyświadczała samej sobie. — Gdyby teraz Stach przyjechał i usłyszał cudowny śpiew tej ładnej i mądrej kobiety, to musiałby nareszcie oderwać myśli od tamtej... Może znalazłby szczęście i spokój, które mu się należą... Może zostałby blisko niej, pracowałby z nią, wspierając ją i radząc w chwilach złych.

Pobiegła na piętro i nieoczekiwanym dla samej siebie nadmiarem uczucia rzuciła się śpiewaczce na szyję.

— Jakież to było cudne! — zawołała ze szczerym zachwytem,

— Ba, cudne! — zachnęła się Ludka odymając usta— kiedy za dwa tygodnie chce wyjechać do Wraszawy. Ja pojedę z nią... Muszę przecie zacząć nareszcie swoje studia, żebym się czego nauczyła!

Wiadomość o bliskim wyjeździe panny Joergens zaskoczyła panią Annę i rozwiewała jej nadzieje co do brata. Jeszcze bardziej dotknęła ją chęć wyjazdu Ludki. Myśl, która przed chwilą napępiała ją taką nadzieją i radością, myśl o bracie i tej miłej śpiewaczce, rozwiewała się jak mgła, a z za niej spojrziała jej w oczy rzeczywistość zimna i niemilosierna. Ludka wyrwała się do Warszawy, nie

przeczuwając nawet jak bardzo jej matka czuła się osamotnioną w ciężkiej walce o chleb na dziś i na jutro.

Spojrzała na młode kobiety, zamrugła szybko powiekami, żeby nie pozwolić trysnąć łzom i uśmiechając się, pytała:

— Naprawdę? Tak szybko chce nas pani porzucić?

— Ale skądże! — protestowała panna Aniela. — Jeszcze niema nic pewnego. Obiecano mi pracę prawie na pewno, ale ostatecznej odpowiedzi jeszcze nie mam. Może będę musiała zostać tu jeszcze dość długo...

Odpowiedź ta ucieszyła panią Annę jak obietnica czegoś niezwykle radosnego. Byłaby najchętniej uściskała pannę Joergens, ale do pokoju wpadł Władek, wysoki krzepki chłopak, ciągnąc za sobą profesora Stępnia. Po przywitaniach Władek zaczął zaraz jakiś bardzo fachowy wykład sportowy, powołując się na świadectwo pana profesora, który uśmiechał się zakłopotany i wszystkiemu przyświadczał. Wywody swoje ilustrował Władek gestami młodego niedźwiedzia i przerwał je sobie zgoła nieoczekiwanem pytaniem:

— Kolacja jest już?

Pani Anna zdołała przekonać pannę Joergens i profesora Stępnia, że powinni koniecznie zostać na kolacji i uradowana obecnością miłych gości, ucałowała Władka i wyszła zobaczyć, czy kucharka kończy kolację.

* * *

Pani Anna była gościom serdecznie rada i cieszyła się, że pozostali na kolacji. Zapominała przy nich o swoich troskach i zaczynała wierzyć, że i jej będzie niebawem lepiej na świecie, niż było podczas wojny.

Profesor Stępień, nauczyciel historii jedyne go w mieście gimnazjum, był rówieśnikiem Regiera, kolegą uniwersyteckim i serdecznym przyjacielem. Z usposobienia był wesołym optymistycznym sceptykiem i z pobłażliwym uśmiechem spoglądał zawsze na wszystko, co zapalało i entuzjazmowało innych. Ponieważ miał prawie zawsze własne zdanie o rzeczach, przeto przez kolegów przezwany został Votum separatum. Czas zmienił go pod niejed-

nym względem, ale przezwisko mu zostało. Wygłaszał nie-raz zasadę, że dla tłumu trzeba mieć horacjuszowską po-gardę i ustępować mu zawsze.

— Mądrość świat prowadzi — mawiał przy sposob-ności, — ale panuje nad nim głupota, która jest zawsze w większości.

Gdy koledzy wciągali go do pracy oświatowej wśród ludu, uśmiechał się sceptycznie nad ich usiłowaniami i przestrzegał ich przygodnie:

— Nie wytępiajcie ciemnoty do reszty, bo ciemnota tworzy zwarte stado, a mądrym jest każdy osobno. Ma-drale to anarchiści.

Koledzy śmieli się z jego ostrzeżeń, a i on sam śmiał się razem z nimi, a śmiał się z takim wyrazem twarzy, jak-by gorzko płakał, bo nie rozchyłał ust, starając się prze-słonić brak zębów w górnej szczęce. Za namową przyja-ciół, kazał sobie zrobić sztuczną szczękę, ale nie podoba-ła się mu, więc ją zamknął w szufladzie biurka i uśmie-chał się nadal swoim uśmiechem, podobnym do gorzkie-go płaczu.

Był przystojnym i lubił ładnie się ubierać, ale żona i kłopoty wojenne odzwyczały go od tego dawnego nałogu. Bardzo wczesnie zrezygnował z ambitnych planów naukowej pracy w Warszawie, osiadł w małym miasteczku i nauczał historii w gimnazjum. Panią Annę odwiedzał często, osobiwie od czasu, gdy dowiedział się o bliskim przyjeździe jej brata. Razem z nią oddawał się miłej nadziei, że może uda się zatrzymać Regiera w miasteczku.

Dzisiaj był Stępień ubrany starannie, niż zwykle, podkreślał wąsa, którego nie ofiarował modzie, uśmiechał się rozpaczliwie, niż kiedykolwiek, pił herbatę i opowia-dał jakieś nieprawdopodobne wydarzenia, pobudzając wszystkich do śmiechu.

Gdy po kolacji starym zwyczajem zagadano o dokto-rze Regierze, Stępień zaczął dzielić się z panią Anną swe-mi wątpliwościami, czy jej bratu podobać się będzie w małym miasteczku po tylu latach włóczęgi.

— Czternaście lat zagranicy i osobiwie Paryża. Ba-

gatela! — kręcił głową. — Przecież taki nie będzie umiał chodzić po naszych czcigodnych brukach!

Ale nie powiedział tego, aby zasępić siebie, lub kogokolwiek. Roześmianemi oczami spojrzął po wszystkich, wyobraził sobie Regiera potykającego się po wyboistym bruku i szukał sposobności, aby się pośmiać z miłymi bliźnimi, albowiem był człowiekiem dobrym.

— Pan sobie nawet nie wyobraża — mówiła pani Anna, promieniejąc z radości, że ma miłych gości na kolacji — jak bardzo pragnęłabym, aby brat został między nami. Możeby mi co poradził. Ja się w tej fabryce już wiele nauczyłam, ale najlepiej czuję się jednak przy właściwych zajęciach kobiecych, w atmosferze konfitur. Taki już nałóg...

— I ja wolę pani konfitury, niż narzędzia rolnicze — roześmiał się Stepień. — Czemu pani nie przyjmie jakiego fachowca, żeby się użerał z klientami i robotnikami?

— Może kiedyś będą pieniądze i na dyrektora dla tej fabryczki — westchnęła w odpowiedzi — ale narazie muszę zapracować na niego i dla niego sama...

Władek tłumaczył panie Joergens jakieś bardzo zawiłe zagadnienie sportowe i pokazywał jej siłę mięśni ramiennych, zapewniając ją, że będzie miała takie same, jeśli się zabierze do ćwiczeń gimnastycznych.

Ludka się nudziła. Czekala, że zaczną rozmawiać o czym wesołem, a gdy rozmowa powracała stale do nieznanego wujka, zachnęła się:

— Albo niech Anielka gra, a my słuchajmy, albo chodźmy od razu do kabaretu! Nie uznaję takiego spędzania sobotnich wieczorów.

— Jakto? — ucieszyła się panna Jeorgens — macie tu kabaret?

— I jaki jeszcze! Pierwsza klasa. Z samej Warszawy — pouczał ją Władek.

— Gdzież to znowu? Przecie tu nawet lokalu odpowiedniego niema.

— W cukierni Ogrembusa.

— Ty się, Władziu, nie popisuj takimi specjalnymi wiadomościami wobec swego profesora — patetyzował Stępień, usiłując zachować powagę — jeszcze ci dwóje wlepię ze sprawowania.

Pani Anna spoglądała niespokojnie to na Ludkę, to na Władka. Słyszała, że w miasteczku bawi od jakiegoś czasu kabaret, ale nie chciało się jej wierzyć, że Wladek zna go inaczej, jak ze słyszenia. Co do Ludki, to była przekonana, że nie byłaby ona poszła tam sama. Sama wychowaną w atmosferze niezachwianych zasad, wpajała je swoim dzieciom przy każdej nadarzonej sposobności. Gdy czasem Ludka, pragnąc się pobawić, pytała matkę o pozwolenie, ta jej odpowiadała:

— Decyduj sama, moje dziecko. Każdy ma prawo do rozrywki i zabawy. Nie można chodzić tylko tam, gdzie nie mogłabyś zaprowadzić Chrystusa.

Nie mogła sobie wyobrazić, że dzieci miałyby nie przyswoić sobie tej zasady tak samo, jak przyswoiła ją sobie ona.

— Idziemy do kabaretu, pani Anno! — entuzjazmował się Stępień, zacierając ręce i mrugając zachęcająco.

— Życzę wesołej zabawy — odparła pani Anna — ale sama nie pójdę. Kiedyś kazałam się przez ciekawość zaprowadzić do kabaretu w Warszawie i przez cały wieczór czułam się ogromnie upokorzona kabaretowymi sposobami wywoływania wesołości.

— To jest gruba przesada — oponował Stępień. — Poco od razu uczucie upokorzenia? Człowiek chce się pobawić i idzie tam, gdzie się weselą.

— Zapewne — zgodziła się pani Anna, — człowiek idzie tam, gdzie się weselą, tylko że istnieją różne przyuczyny wesołości. Byłam zawsze i jestem szczerą przyjaciółką wesołości i często biorę Dickensa albo Marka Twaina, żeby się szczerze pośmiać, ale gdy mnie chcą rozśmieszyć rzeczami trywialnymi, to doznaję uczucia niesmaku.

— To już gusta protestanckiej ascezy — rozłożył Stępień ręce na znak swojej wielkiej bezradności.

— Protestantkiej ascezy? — zapytała panna Joergens. — Nie słyszałam o takiej ascezie.

— Właśnie protestanckiej — powtórzył Stępien. — Jest to najgorszy gatunek umartwienia, odwrócenie się od życia, zamknięcie oczu przed słońcem i radością, kaganie się bezustanne.

— Asceza — przerwała mu pani Anna — to włosienica, biczowanie się, post, odmawianie sobie snu, a więc święty Antoni, Szymon Słupnik, Pachomjusz...

— To jeszcze nie najgorsze — zapalał się profesor, — to są jednostki, wyjaskrawienia i wyolbrzymienia zasady, ale protestantyzm jest mojem zdaniem jedną wielką i powszechną ascezą.

— Pan sobie z nas żartuje — próbowała Ludka przerwać nieciekawą dla niej dyskusję.

— Nie żartuję — zapewnił ją Stępień. — Niech pani porówna katolicką radość życia gdziekolwiek i kiedykolwiek z protestancką powagą. Katolicki Paryż i protestancki Londyn, osobiwie w niedzielę, gdy Anglicy z taką straszliwą dosłownością obchodzą święto nakazanego odpoczynku. W Rzymie, w Paryżu, nawet w Wiedniu jest weselej podczas Zaduszek, czy wielkiego tygodnia, niż w krajach protestanckich w Boże Narodzenie. W łacińskich krajach ludzie śpiewają, tańczą, bawią się. Nawet podczas obchodów religijnych myślą o radościach wspaniałych procesji i barwnych sztandarów, przepychowych ceremonjach, muzyce i śpiewie. Ich literatura, ich sztuka, pieśni, muzyka, baśni, to jedna wielka opowieść o radości życia. Skroś drogi życia ludów romańskich wlecze się pocieszna postać Don Kichota w Manczy z nygusem Sanczo Pansą, a u protestanckich Germanów brodaty stary Faust grzebie się w zagadnieniach, nierozwiązanych i nierozwiązalnych.

— Ależ to katolicyzm jest religją ascezy — dziwiła się panna Aniela.

— No tak, ostatecznie — zgodził się Stępień, — ale jakiej? Łagodny post, jako przygotowanie się do uczyty, wyrzeczenie się godziny rozmyślań dla miesiąca uciechy.

Nawet klasztor katolicki, jako przybytek ascezy, staje się miejscem rozkoszy umysłowych i artystycznych. Jednostka w katolicyzmie nie jest pozostawiona samej sobie. Przewidziane są wszystkie możliwe grzechy i zadośćuczynienia... Jeśli jednostka nie może sama wzbudzić w sobie uczuć pożądanych, to nabożeństwo ze swoim wspaniałym ceremoniałem, śpiewem i muzyką wzbudzi je w niej napewno. Anachoreta w katolicyzmie jest samotnikiem za miastem, w lesie, na pustyni i każdej chwili może powrócić między ludzi, w protestantyzmie człowiek musi stać się pustelnikiem kosmicznym, zmierzyć się okiem w oko z bezmiarem...

Zamyślił się i zamilkł. Pani Anna słuchała go z wypiekami na policzkach i czekała w napięciu dalszych jego wywodów.

— Słowo asceza — ozwał się nieoczekiwanie Władek — pochodzi od greckiego *askeo*. Oznacza ono ćwiczenie, przygotowywanie się do zapasów. Takimi ascetami byli atleci greccy, a i dzisiejsi sportowcy to najwięksi asceci. Asceza jest zdrowa...

Wszyscy parsknęli śmiechem wobec powagi z jaką wielki sportowiec wygłaszał swoje zdanie, a Stępień podszedł do niego i pocałował go w głowę.

— Powiem łacinnikowi, żeby ci poprawił stopień z łaciny — rzekł, śmiejąc się z zamkniętemu usty.

— Nie da się nic zrobić — odparł Władek.

— Bo co?

— Bo mam dwie piątki.

— No to jak dostaniesz dwójkę, to się powołaj na mnie, jako byłem świadkiem twojej wielkiej wiedzy.

Pani Anna śmiała się razem z wszystkimi, ale znać było po niej, że waży jakieś myśli i zastanawia się nad słowami Stępnia.

— Pan nie ma racji — rzekła po chwili. — W kościele ewangelickim człowiek nie jest taki osamotniony, jak się panu zdaje. Niema wprawdzie kapłanów, ale wszyscy jesteśmy sobie braćmi i siostrami bliskimi i gotowymi pomagać jedni drugim moralnie i materialnie. W nabożeń-

stwach zaś naszych niema wprawdzie pompy, ale jest w nich tyle piękna wewnętrznego, że musiałby pan zmienić zdanie, gdyby je pan poznał...

Stępniewi już się dyskutować nie chciało, więc zgodził się łatwo:

— Ma pani słuszność. O wartości jakiejś sprawy decyduje stosunek do niej człowieka. Ja nie jestem bynajmniej bigotem i nawet te zdania, które tu wygłosiłem, mam nie z siebie, ale gdzieś je wyczytałem. Tylko, muszę się przyznać... jeśli mam być szczery...

— Niech pan będzie szczery — zachęciła go pani Anna.

— Otóż zdaje mi się, że religja ewangelicka jest dla jednostki ogromnie ciężka. W katolicyzmie między wierzniymi a Bogiem stoi kapłan i bierze na siebie część tego napięcia, jakie istnieje w szczerym stosunku religijnym między wszechmocą Boga a nicością człowieka. Z jednej strony bezmiar wszechświata — z drugiej człowiek. Dostrzeżenie swojej małości i osamotnienia musi budzić uczucie trwogi. Istnieje tu absolutna dysproporcja fizyczna, umysłowa, moralna między wszechistnieniem a atomem, jakim jest człowiek. Takie spostrzeżenie w religji, która nie zna kapłaństwa i sumienie wiernego pozostawia sam na sam z Bogiem, musi być podobne do wyroku potępienia. Tak mnie się przynajmniej wydaje...

— Tak jest, panie profesorze — przyświadczyła z radością porozumienia, — apostoł Paweł charakteryzuje stan poznania człowieka jako świadomość jego małości i potępienia. W protestantyzmie człowiek musi znaleźć się sam na sam z bezmiarem świata i sam znaleźć musi drogę do Boga. Kapłana niema, dokoła jest olbrzymi świat, pusty i zimny, a nad tym ogromem sprawiedliwość Boża i poczucie winy człowieczej. Jest to równoznaczne z potępieniem atomu przez kosmos...

Mówiła z rosnącym zapalem. Ludka spoglądała na matkę z zaniepokojeniem. Czyżby ta matka, która wychowywała ją w zasadach wiary ewangelickiej i uczyła ją ko-

chać tę wiarę, spostrzegła nagle, że w protestantyzmie jest pustka i chłód?

— Ale poznanie swej nicości jest dla człowieka warunkiem dalszego rozwoju — mówiła pani Anna. — Gdy to poznanie otoczy nas mrokiem, wówczas na jego tle wyrasta przed nami Krzyż Golgoty, znak odkupienia, i jeśli nie wiemy nic więcej, to jedno wiemy, że Bóg jest Ojcem naszym... To jest nieunikniona chwila przełomowa, chwila objawienia. Gdy ze swej góry Przemienienia powracamy między ludzi, niesiemy z sobą wielkie i święte przykazanie miłości. Z wyżyn straszego osamotnienia rzucamy się w bezkres miłości Bożej... Kapłan przeszkadzałby nam tylko.

Zamilkła na chwilę, a potem zapytała:

— Czy zna pan cudowny wiersz Rilkego „Jesień”? Jest tam taki cudny obraz:

„...Padamy wszyscy. Rekom sił nie stanie.

Wszędzie to samo, gdzie rzucić oczyma.

A jednak jest Ktoś, który to padanie

Z wielką miłością w rękach swoich trzyma”.

Wszyscy zamyślili się nad temi słowami, a panna Joergens wstała i wyszła cicho do drugiego pokoju, skąd po chwili rozległy się dźwięki namiętnej, wnikliwej Apasionaty Beethovena...

* * *

W tydzień po bytności pani Heleny Turskiej w Warszawie, Regier zażądał od lekarza wypisania go ze szpitala. Zbudziła się w nim dawna energia, zaczął interesować się życiem i światem i kazał sobie przynosić gazety. Doktor obiecał mu pozafatwiać szybko potrzebne formalności połączone z opuszczeniem szpitala, ale jednocześnie powiedział porucznikowi, że musi spędzić od czterech do sześciu tygodni w zupełnym spokoju, zanim będzie mógł myśleć o powrocie do pułku.

W tym czasie odwiedził go w szpitalu major Ostrozór, kolega z Paryża, obecnie zaś sztabowiec i dyplomata w jednej osobie. Regier chciał się już wzruszać nadzwyczajnym dowodem pamięci i przyjaźni, gdy raptem okazało

się, że nie trzeba się wcale wzruszać, bo przyjaźń majora okazała się bardzo interesowna. Przyjaciele dogadali się z sobą bardzo szybko, a ponieważ Regierowi szpital zmierzził się do cna, major wpakował zacnego porucznika do samochodu i zawiózł go do wygodnej i pięknej siedziby podmiejskiej, własności jakichś krewnych majora. Po szpitalnem osamotnieniu doktor Regier znalazł w willi podmiejskiej takie miłe towarzystwo i taką doskonałą opiekę, że zrazu zapomniał o zamiarze wyjazdu do siostry.

Major odwiedzał go dość często, zapytywał o zdrowie, rozmawiał z nim o różnych sprawach wielkiej polityki, na których doktor nawet nie próbował się znać, aż razu pewnego, w połowie kwietnia, gdy w ogródku kos wygwizdywał uparcie swoją króciutką melodię, stała się rzecz taka: przed willę zajechał znowuż znany automobil, a z niego wysiadł nietylko major Ostrozór, lecz jeszcze drugi wojskowy. Obaj panowie weszli do pokoju doktora, który dowiedział się, że przyjechał do niego pan pułkownik Zawojski ze Sztabu Generalnego w sprawie urzędowej.

Stwierdzono, że na wiosnę miło jest mieszkać w takiej oto willi za miastem, że pogoda się ustala, że na froncie sprawy stoją sobie niczego i w trakcie tych ważnych ustalań faktów niewątpliwych major klepnął przyjaciela po łopacie i zapytał:

— Wiesz ty co?

— Skądżebym ja znowu miał wiedzieć takie rzeczy?

— roześmiał się Regier.

— Jesteś zdrow?

— I mnie się tak widzi.

— Bajeczne! I tobie też... Otóż, jeśli jesteś zdrow, to trzeba zabierać się do roboty i nie wałkonić się dłużej.

— Do roboty... Do jakiej znowu roboty? Na front jeszcze nie pójde — zastrzegął się doktor.

— Nie, na front, naturalnie, nie pošemy pana jeszcze — wtrącił pułkownik Zawojski. — Razem z przyjacielem pańskim doszliśmy do wniosku, że bardzo dobrze zrobiłaby panu przejażdżka do Paryża. Mamy tam do załatwienia kilka bardzo ważnych spraw. Przyjaciół pański

powiedział mi o panu wszystko, co mi wiedzieć potrzeba. Zna pan miasto i ludzi, jest pan oficerem...

Regier nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie uśmiechało mu się bynajmniej, że będzie musiał odłożyć na czas niejaki wyjazd do siostry.

— Czy to długa misja? — zapytał.

— Dużo będzie zależało od pana — odpowiedział pułkownik. — Jeśli pan się dobrze spisze, to za dwa tygodnie może pan być z powrotem. Dodam nawet, że to jest konieczne, aby sprawy były do tego czasu załatwione.

Major Ostrozór spoglądał na przyjaciela, a ponieważ ten nie odpowiadał, zawołał:

— Więc sprawa jest załatwiona. Jutro przyślę po ciebie auto, przyjedziesz do Sztabu i tam się omówi resztę. Zrobi ci bardzo dobrze, gdy się przewietrzysz.

— Samochodem do Warszawy? — roześmiał się Regier.

— I to także, ale głównie chodzi o Paryż.

Regier próbował się tłumaczyć, że musi przecie wracać przede wszystkim do pułku, ale pułkownik zapewnił go, że jeśli się zgadza na wyjazd do Paryża, to jutro w Sztabie otrzyma urzędowy papier, że zostaje przeniesiony z linii do Sztabu.

O dezercję sprawy panu nie wytoczymy — roześmiał się pułkownik.

— Paszport będzie jutro gotowy — dodał major.

— Liczymy tedy na pana, panie poruczniku — rzekł pułkownik, żegnając się, a Regier odpowiedział na to jakąś formułką, w której była mowa o obowiązku i zaszczycie.

Dopiero, gdy pozostał sam, uświadomił sobie, że wdał się w kabałę, która oddala go conajmniej o trzy tygodnie od możliwości wyjazdu do siostry w Kaliskie. Był jeszcze słaby i szczególnie jego nerwy przypominały mu bardzo często, że przebył ciężką chorobę. Od chwili, gdy tak szorstko odmówił Helenie zobaczenia się z nim, nawiedzały go niepokojące myśli i obrazy. Widział ją w wyobraźni zrozpaczoną i zniechęconą do życia, a przede wszystkim

pragnącą ukarać go za jego nieugiętą postawę wobec niej. Myśli te niepokoiły go szczególnie w chwilach zmęczenia, gdy był wyczerpany i nie miał już siły zająć się czemkolwiek. Na trzeźwo powtarzał sobie, że to są przywidzenia i że nie należy się nimi przejmować, ale gdy przywidzenia przychodziły, to zawsze były jakąś rzeczywistością i groźbą czyhających na niego wydarzeń. Zdawało mu się, że naprawdę odetchnie dopiero u siostry, w tem małym miasteczku, w którym niepodobieństwem jest nie spotkać człowieka mieszkającego o kilka ulic dalej. Zobaczy ją tedy, przekona się, że się jej z jego winy nic nie stało i uspokoi się.

Był dość małoduszny, że nie przyznawał się samemu sobie, iż nie chodzi mu jedynie o uspokojenie swego sumienia. Cała ta sprawa wikała w sposób bardzo bolesny jego życie. Z jednej strony czuł doskonale, że Helena, jako człowiek, który mu nie dotrzymał wiary, powinna zniknąć z jego życia i że bezustanne powracanie do niej myślami i uczuciami oznacza poprostu fatalny brak siły charakteru, z drugiej strony Helena stała się dla niego jakimś mistycznym uosobieniem szczęścia i powracała do niego w postaci natrętnej myśli: Czy wiesz, jak wygląda szczęście?

Miewał dawniej chwili, w których mu się zdawało, że zapomniał o niej zupełnie i nazawsze, czasem nawet, gdy spotkał na ulicy piękną kobietę, wyobrażał sobie jakby to było, gdyby wracając do domu, wiedział, że czeka na niego żona. Nie ulegało wątpliwości, że Helena zaczynała popadać w zapomnienie. Lecz oto przyszła wojna ze swojemi wzruszeniami i zmęczeniem. Siedząc w rowie strzeleckim, myślał o swoich bliskich, mieszkających w Kaliszu i w okolicy. Wieść o zburzeniu Kalisza uderzyła w niego jak piorunem. Wyobraźnią pochwycił prosty fakt komunikatu wojennego i w chwilach wyczerpania po całonocnem czuwaniu w okopach, rozwijała go w obrazy jaskrawe i przerażające. Wtedy to Helena stawała się dla niego nanowo drogą, choć się w sobie do tego nie przyznawał. Czasem zasypiając na chwilkę przy parapecie strze-

leckim, śnił, że ją widzi idącą ku niemu w uśmiechach ze słowami pełnymi tkliwości. Wyciągał do niej ramiona, ale gdy się zbliżała coraz bardziej, przypominał sobie, że to jest kobieta, która oszukała jego miłość.

— Pani kłamała — mówił na powitanie swego widzenia i budził się.

Widzenie to powtarzało się bezustannie i na jawie, rozdwarzając mu duszę i pozbawiając ją siły. Teraz żałował, że tak łatwo uległ majorowi Ostrozorowi i że oto pojedzie do Paryża, zamiast jechać na wypoczynek. Nie było jednak rady. Usiadł, napisał do siostry, że przyjazd jego ulegnie niedługiej odwołce. Obiecywał sobie przyjechać do niej za dwa tygodnie. Słowa pułkownika, że szybkość załatwienia spraw zależy w znacznej mierze od niego samego, dodawały mu otuchy, że może zdoła wywiązać się z wszystkiego daleko szybciej, niż przypuszczał pułkownik Zawojski.

Nazajutrz obiecany samochód zawiózł go do Sztabu, gdzie otrzymał instrukcje szczegółowe i do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie miał krótką konferencję z wiceministrem i kiedy w trzy dni później siedział w gabinecie posła polskiego w Paryżu, aby załatwić wstępne formalności swej misji, dziwił się, że wszystko idzie tak szybko i był dobrej myśli

* * *

Po szybkim i niespodziewanie pomysłem załatwieniu spraw swej misji paryskiej, doktor Regier z rozkoszą myślał o tem, że pojedzie do Warszawy, zda sprawę w Sztabie i Ministerstwie, zażąda długiego urlopu i pojedzie na rzetelny wypoczynek w Kaliskie.

Ale w przeddzień wyjazdu otrzymał z Warszawy depeszę, że w drodze powrotnej ma się koniecznie zatrzymać w Pradze i spotkać z majorem Ostrozorem, jadącym do Wiednia i Rzymu w sprawach bardzo ważnych. W depeszy była mowa o tem, że dla powodzenia misji swojej major musi otrzymać szczegółowe sprawozdanie z misji Regiera. Nie było rady, trzeba było jechać do Pragi. Irytowała go myśl, że może wypadnie czekać w Pradze dłu-

żej, niż sobie mógł życzyć, i obawiał się, że Ostrozór będzie chciał zabrać go z sobą do Wiednia. Nie był pewien, czy zdoła mu się oprzeć i był zły na siebie.

Do Pragi przyjechał Regier w końcu kwietnia w jeden z takich pięknych poranków, gdy świat cały zdaje się być wyrazem radości i szczęścia. Na dworcu czekał na niego woźny poselstwa i zawiózł go do hotelu, gdzie był dla niego zamówiony pokój. Ponieważ doktor wyspał się w drodze, więc chociaż godzina była jeszcze wczesna, przebrał się i zeszedł do kawiarni na śniadanie. Z okien kawiarni widział, jak szeroki Plac Wacława ożywia się coraz bardziej. Tłumy ludzi zwartą falą płynęły w obu kierunkach, śmigwały samochody, podzwaniały tramwaje, a konie dorożkarskie wybijały kopytami miarowy spokojny takt uciezki wiosennej, zakwitającej miastu i światu. Od jasnego czystego nieba aż po bruk ulicy, w złocie promieni słonecznych zdawała się drgać jakaś nieopisana radość.

Wyszedł na ulicę i zamierzył w stronę Królewskich Winohradów, ale już za gmachem Muzeum zawrócił. Chociaż była dopiero dziesiąta a w poselstwie mógł się pokazać nie wcześniej jak około dwunastej, poszedł w stronę Staromiejskiego rynku, aby dowiedzieć się, czy nie nadeszła depesza od Ostrozora. Droga wydawała się mu bardzo długą, ale gdy stanął przed pałacem Kinskych, siedzibą poselstwa polskiego, było jeszcze tak dużo czasu, że postanowił pójść na długi spacer na Hradczany. Chwilę stał przed potężnym pomnikiem Husa, przeczytał sobie napis czołowy: „Pravda vítězí“ (Prawda zwycięża), popatrzył na historyczny Ratusz, który był świadkiem stracenia ewangelickich panów czeskich, pokonanych przez narzutliwego katolickiego Ferdynanda II, przypomniał sobie, że w pobliżu była księgarnia i starym nałogiem skupowca książek zamierzył ku jej oknu wystawowemu. Nie znalazł nic osobliwego i dla opanowania zniecierpliwienia ruszył zwawym krokiem ku kościołowi św. Szczepana i dalej ulicą tego samego imienia ku mostowi Svatopluka Cecha.

Za mostem powiało nań nieopisanym czarem natury

obchodzącej uroczyste święto wiosny w bezpośrednim sąsiedztwie wielkiego miasta. Jak przed laty, Regier rozkoszował się pięknem przyrody i bogactwem, piękna architektonicznego na wzgórzu Hradczańskim, spoglądał z tarasu zamkowego na miasto otulone błękitną mgielką, zaszedł na chwilę do wspaniałej katedry św. Wita, posiedział na ławeczce pod zielonemi drzewami szerokiej alei i z uczuciem wyczekiwania jakiejś wielkiej radości schodził po starych schodach zamkowych, gdy zegarek wskazywał pół do dwunastej.

Przed mostem wsiadł do tramwaju i za chwilę był na Staromiejskim Rynku przed pałacem Kinskych. Szybko wbiegł po schodach; nietyle mu chodziło o złożenie wizyty formalnej, ile o dowiedzenie się, czy Ostrozór przyjechał. Nie było Ostrozora ani depezy, ale w całym poselstwie panował niezwykle ruch. Poseł konferował właśnie z delegacją polskich robotników z Cieszyńskiego, zaś obaj sekretarze, kierownik kancelarji, a nawet stenotypistki stali przed dużą mapą Polski w pokoju drugiego sekretarza i z depeszami w rękę śledzili drogę zwycięskiego pochodu wojsk polskich. Wymieniano liczby wziętych jeńców, armat, karabinów maszynowych, cieszą się wrażeniem, jakie pochód ten wyrze w Europie.

Regierowi udzieliło się to ożywienie. Szybko zapoznał się z całym personelem poselstwa, posiedział z sekretarzami, wypalił dobrego papierosa, pogawędził o tem i owem, a ponieważ poseł jeszcze ciągle zajęty był konferencją z Cieszyniakami, obiecał przyjść później, i poszedł na obiad do restauracji swego hotelu. Kiedy około trzeciej opuszczał salę restauracji, woźny z poselstwa przyniósł mu depeszę, że Ostrozór przyjedzie jutro. Ucieszony tą wiadomością, poszedł do pokoju, wyjął z kuferka trochę pism i książek, nabytych na wyjeździe z Paryża i ułożywszy się wygodnie na kanapie, próbował czytać.

Ale czytanie mu nie szło. Przypomnił mu się pokój szpitalny i mnóstwo tych myśli, które go tam trapiły. Uciekając przed smutnemi obrazami, przywoływał pamięcią miłe zakątki rodzinnego miasteczka. Musiał się uśmie-

chać do swoich wspomnień. Krzywe słupki latarni, z których ciągle wykradano kopcające lampy naftowe, zielona trawka przed magistratem, wyrastająca uciesznie pomiędzy kamieniami bruku, żydowskie sklepiki z brudnymi szybami okien, z za których widać było w ciągu długich lat jedną zawsze przynętę: nieduży słoik napełniony do połowy cukierkami w bardzo jaskrawych kolorach. Wyobraźnia wybiegała daleko za miasto, usiłując zgadnąć, czy wiele się tam zmieniło. Ale uczucie oszukać się nie dało; zręcznie i chytrze oderwało się od tych obrazków mających przesłaniać inną rzeczywistość: tysiączne możliwości spotkań z Heleną, słowa obojętne i oczy przeczące słowom...

Przypomniała się rzeczywistość niemiła, że teraz, gdy skończy się wojna i gdy będzie mógł powrócić do swych studjów, czy do pracy w swoim zawodzie, będzie musiał przede wszystkim myśleć o zarobku, bo wojna pożarła to, co posiadał i co zabezpieczało mu chleb powszedni. Nawiedzało go jakieś dalekie niemiłe uczucie, że będzie musiał mieszkać nie tam, gdzieby chciał.

W te rozważanie Regiera wpadł nagle wesóły, swawolny jazgot marsza, granego z wielkim temperamentem. Zerwał się z kanapy i podbiegł ku oknu. Środkiem szerokiego placu kroczył oddział wojska z orkiestrą. W ukośnych blaskach słońca, trąby błyszczały jak złote. Łomot bębna i brzęk czynelów zbudził w jego sercu radosne wspomnienia dzieciństwa, gdy najwyższą uciechą byli wędrowni komedjanci. Szczególniej podobał mu się mały żołnierzyk, maszerujący obok kolegi z wielkim bębniem; żołnierzyk ten z wdziękiem baletnicy wybijał brzękliwie rytm marsza dwiema rozedrganymi miskami mosiężnymi, przesuając jedną po drugiej w ukos, ruchem zgrabnym, jakby od niechcenia i mimochodem posyłał rozedrganymi czynelami na wszystkie strony braterskie pocałunki.

Wyszedł na ulicę, i idąc za orkiestrą, zaszedł aż na Nabrzeże, wstąpił do kawiarni i przesiedział przy oknie aż do wieczora, a kiedy wzeszedł księżyc, zaciekawiło go, czy w ogrodzie Botanicznym śpiewają słowiki jak dawniej.

Poszedł tam i siedział długo, przyglądając się spacerującym parom. Na tle szumu miasta i Weltawy śpiew słowika zdawał się być głośnym okrzykiem radości. Kiedy późną godziną wracał do miasta przez most Palacký'ego, nie mógł oderwać oczu od białych murów klasztoru Emauskiego zalanych blaskami miesięcznymi.

Wróciwszy do hotelu, poszedł na herbatę do sali kawiarnianej i siedział tam do drugiej w nocy, pijąc herbatę i czytając dzienniki.

* * *

Zasnął dopiero o świcie, a przed zaśnięciem obiecywał sobie, że będzie spał do południa, ale około dziesiątej energiczne pukanie do drzwi jego pokoju pokrzyżowało te chwalebne zamiary. Był zły, że go budzą, lecz zaraz przypomniał sobie, że to niezawodnie przyjechał Ostrozór. Zerwał się i otworzył, wstydząc się, że spał tak długo. Ale Ostrozór nie pozostawił mu czasu do wstydzenia się i przystąpił od razu do rzeczy. Z odpowiedzi Regiera na swoje pytania był bardzo zadowolony, zajrzał do papierów, które porucznik wiozł do Warszawy zrobił sobie kilka notatek i winał przyjacielowi sukcesu.

— Ubierz się — wyjdziemy na miasto — rzekł, zamykając notatnik. Jest dzisiaj wielka „švanda“, jak mówią Czesi.

Regier ubierał się i mył z żołnierskim pośpiechem. Dopiero teraz zauważył jakiś niezwykły ruch na ulicy. Wyrzwał oknem i zdumiał się. Wielki Plac Waclawa od Muzeum aż do Przykopów zalany był niezliczonymi tłumami odświętnymi i rozradowanymi, a wśród tych tłumów jarzyły się w blaskach słonecznych stroje ludowe kobiet.

— Narodowe i państwowe święto pracy — mówił major. — Zobaczysz jak ładnie na całym mieście.

Gdy wyszli, ujrzeli niedaleko hotelu mówcę przemawiającego do tłumów z trybuny zaimprovizowanej na platformie samochodu ciężarowego. Mówił z takim zapalem, jakby wszystkim chciał wytłumaczyć radość wiosny i piękno życia. Takich trybun było kilka, a wszędzie nad głowami tłumów powiewały setki sztandarów robotniczych.

podczas gdy z balkonów zwisały długie wstęgi flag narodowych i obcych.

Przyjaciele zamierzali ku Staromiejskiemu Rynkowi, chcąc się dostać do poselstwa. Już koło starego Teatru niemieckiego słychać było orkiestrę wygrywającą wezwanie do radości ze „Sprzedanej narzeczonej”. Staromiejski Rynek wypełniony był tłumami po brzegi. Pomnik Husa otaczały setki sztandarów, a pod nimi, niby roje wielkich barwnych motyli płynęły w rytm wesołej muzyki gromady kobiet w strojach ludowych, wiewając swemi kwiciastemi chustami niby skrzydłami.

Z balkonu poselstwa widok był jeszcze piękniejszy. I tu panowała radość; opowiadano sobie o pochodzie wojsk polskich, o bliskim pokoju i wypowiadano różne przypuszczenia. Śród tłumów na Rynku nie brakło urzędników i funkcjonariuszy państwowych, a powszechną wesołość budziła grupa policjantów, która szła pod wielkim transparentem z trawestacją wezwania do proletarijuszki wszystkich krajów. Zamiast „Spojte se!” (Łączcie się!) — wypisali sobie policjanci: „Bojte se!” (Bójcie się!).

W pewnej chwili muzyka zacięła, tłum znieruchomiał a z balkonu starego historycznego Ratusza przemawiał minister obrony narodowej, Kłofacz, do „braci socjalistów” czeskich. Odpowiedziały mu wołania, oklaski i tusz wszystkich orkiestr. Potem przemawiali inni. I znowu oklaski, muzyka, głośne radosne okrzyki. Wreszcie uroczystość była skończona i grupa za grupą przy dźwięku orkiestr opuszczały Rynek.

— Jeśli wolno radzić panu — ozwał się poseł do Regiera — to zaleciłbym odjazd na jakie dwa dni odłożyć. Właśnie mówił mi nasz konsul, że z powodu wymiany koron na marki granica będzie zamknięta, a ruch kolejowy wstrzymany. Może pan na granicy utknąć, a to wątpliwa przyjemność.

Regier odpowiedział wymijająco, że da sobie radę i że nie obawia się nawet parogodzinnego czekania na pociąg. Ponieważ miał zabrać pocztę poselstwa do Warszawy, obiecał posłowi, że przyjdzie po nią po południu, a sam

poszedł z Ostrozorem na miasto, aby sobie zawczasu kupić bilet do granicy.

— Bardzo byśmy chcieli, abyś u nas pozostał na zawsze — rzekł major, gdy przyjaciele wyszli z agentury kolejowej, gdzie Regier kupił bilet do Bogumina, a Ostrozór do Wiednia. — Masz cenne dla nas wiadomości, znasz dobrze kilka języków obcych...

— ...więc siadaj i rób karierę — dokończył porucznik ze śmiechem.

— Nawet nie siadaj — mówił Ostrozór. — Nie bój się, że stałbyś się biurokratą przykutym do stołu i stolka.

— Co tu dużo gadać — odparł Regier, rad, że Ostrozór nie ciągnie go z sobą do Wiednia, jak się tego obawiał. — Wam potrzeba rutynowanych biurokratów, a nie filologów.

— Wybaczylibyśmy ci twoją filologję, a byłoby ci w Sztapie stanowczo lepiej, niż przy tej twojej filozofji.

— Mam dla niej prawną słabość i nie wiem, czy nie uciekłbym wam dość prędko.

— Zaryzykujemy. Narazie nie będziemy o tem mówili. Spróbujesz, zobaczysz że to nie jest takie złe, co ci proponuję, a tymczasem chodźmy coś zjeść. Wieczorem ruszam do Wiednia.

Przyjaciele wstąpili do wytwornej restauracji i Regier poraz pierwszy od bardzo długiego czasu napił się jakiegś mocnej lwowskiej wódki, od której pojaśniało mu w głowie i rozwiązał się język. Stał się dziwnie ustępliwym, obiecał Ostrozorowi, że będzie z nim wiernie trzymał i że po przyjeździe do Warszawy załatwi wszystko do najdrobniejszych szczegółów, co tylko sobie major życzy.

— Pal cię djabli, pofatyguję się dla Rzeczypospolitej, ale potem biorę urlop i znikam — mówił, odsuwając talerz po zupie.

— Długi ma być ten urlop? — pytał major.

— Hm.. każdy urlop jest jak kielbasa — śmiał się porucznik, — im dłuższy, tem lepszy. Proponuję sześć tygodni z ewentualnem przedłużeniem.

— Daję ci cztery tygodnie z ewentualnem skróceniem.

— Z ewentualnem skróceniem? — Regier stał się uważającym. — Bo co?

— Mówię z ewentualnem skróceniem, to znaczy, że może nie skrócę. Tylko tak, dla porządku. Dasz w Sztapie swój adres i zobowiążesz się, że na pierwsze wezwanie telegraficzne przyjedziesz.

Regier tak się cieszył, że pojedzie wreszcie do Warszawy a potem do siostry, że przyrzekł i to. Rozstali się, żyjąc sobie wzajemnie wszystkiego najlepszego.

Jeszcze chwilę chodził porucznik po mieście, kupił sobie na drogę butelkę dobrego czeskiego likieru i pudełko ciastek, poszedł do hotelu, aby się spakować i zapłacić rachunek, poczem wyprawił kufry na dworzec i pojechał już wieczorem do poselstwa dla zabrania poczty i listu kurjerskiego. Wypadło mu poczekać na dokończenie jakiegoś sprawozdania, które jeszcze nie było przepisane, a tymczasem miła panna Madzia, stenotypistka, pouczała go, że jeśli się nie jedzie sleepingiem, to koniecznie trzeba sobie kupić świec na drogę, bo pociągi nie są oświetlane. Posłał tedy woźnego po świece, pogawędził z sekretarzem i gdy wreszcie poczta była gotowa, pojechał prosto z poselstwa na dworzec kolejowy.

Księżyc oświecał pola, skroś które pędził pociąg i Regier długo wyglądał oknem, marząc o tem, że już w poniedziałek będzie mógł wyjechać w Warszawy. Nie chciało mu się spać i najchętniej byłby sobie zapalił świecę, ale jego towarzysz podróży, młody oficer legjonarz i zawołowana pani, usadowili się wygodnie do drzemki, więc nie chciał im przeszkadzać. Wkońcu znudzony i zmęczony wyglądaniem przez okno, wyciągnął się wygodnie i zasnął, budząc się tylko na stacjach. Dopiero wzeszło słońce rozbudziło go na dobre. Wyszedł na korytarz, poprawił ubranie, uczesał się i wrócił do przedziału. Jego towarzyszka także już nie spała, legjonarz wysiadł na jakiejś mniejszej stacji za Czeską Trzebową.

Do Bogumina podróż odbyła się według rozkładu jazdy i Regier zaczynał sobie pochwalać stanowczość z jaką oparł się radzie posła odłożenia podróży. Ale już w Boguminie spostrzegł, że jednak przestroga nie była bezzasadną. Podróżni mówili sobie, że pociągu do Polski niema, ale można się dostać do Cieszyna. Regier postanowił pojechać do Cieszyna, w nadziei, że tam będzie może pociąg do Oświęcimia a może nawet do Trzebini. Spotkał go przykry zawód. Do Cieszyna pociąg doszedł istotnie, ale nikt nie umiał powiedzieć, kiedy i w jaki sposób będzie można wyjechać z tego miłego miasta. Podróżni skupili się w małej salce dworca i wyglądali pociągu. Regier szukał jakichś władz, ale nie znalazł na dworcu ani śladu czegoś, co mogłoby je przypominać. Kręcił się tylko mały oddziałek żołnierzy włoskich, lecz żołnierze ci nie umieli odpowiedzieć na żadne pytanie co do pociągu. Gdy wszystkich ogarnęło zupełne zniechęcenie i rezygnacja, powstał raptem hałas że będzie pociąg do Bielska. Regier pojechał tedy do Bielska, po paru godzinach czekania dostał się do Oświęcimia, a wreszcie do Trzebini, ale tu sprawa przedstawiała się zgoła bezradośnie. Było już ciemno, porucznik myślał, że było by teraz dobrze usadowić się w przedziale i jechać sobie ku Warszawie podzemużając, ale komendant dworca powiedział mu, że niema najmniejszej nadziei, aby pociąg nadzedł przed jutrzejszym południem.

Oddał ręczny kuferek z pocztą pod opiekę komendanta, a sam szukał w bufecie jakiego pożywienia, ale szukał daremnie. Prócz lichego piwa i herbaty z sacharyną nie można było dostać niczego. Bolała go głowa i był przemęczony. Usiadł na wolnym skrawku ławki i próbował spać, ale ból głowy stawał się coraz nieznośniejszy i nie pozwalał nawet marzyć o zaśnięciu. W rozpacz przypomniał sobie o likierze, podszedł do komendanta, otworzył walizkę i napił się. Sprawilo mu to ulgę. Przycupnął w pokoju komendanta i spał z godzinę.

Gdy wyszedł na peron, czuł się daleko lepiej. Było około drugiej. Gromada chłopów i kobiet jadących na roboty rolne do Niemiec, przyglądała się zaćmieniu księżyca,

nie mogąc zrozumieć dlaczego księżycy ubywa tak na oczekaniu. Regier próbował im tłumaczyć i wdał się w pogawędkę z jakimś starszym chłopkiem, ale spostrzegł, że zaciśni ludzie spoglądają po sobie nieufnie i rozchodzą się. Urzędnik powiedział mu, że zostali ostrzeżeni przed agitatorami bolszewickimi i że każdy kto się do nich zbliża, uważany jest za takiego agitatora.

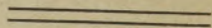
Na ławce przy wejściu do poczekalni podrzemywał aż do świtu, a gdy się rozwidniło, poszedł z ręcznikiem pod wodociąg, aby się umyć. Nigdzie w sąsiedztwie dworca nie można było dostać nic do zjedzenia, a nikt nie miał odwagi oddalić się na miasto w obawie, że tymczasem może nadejść i odejść upragniony pociąg.

W pewnej chwili zrobił się ruch na stacji. Ludzie powylegali i spoglądali na tor. Przyszedł długi pociąg od strony Oświęcimia z instruktorami i żołnierzami francuskimi. Byli wśród nich oficerowie wysokich stopni i Regier doznawał uczucia dumy, że oto na służbę Rzeczypospolitej jadą Francuzi, dla których każdy Polak żywił zawsze osobliwy sentyment, nie analizując jego pochodzenia i przyczyny. Ogromnie długi ten pociąg, złożony z wagonów towarowych i osobowych, zatrzymał się na stacji i oficerowie pozwolili żołnierzom opuścić wagony. Chłopi idący „na saksy”, szepotali sobie, że to Francuz przyjechał do Polski, żeby razem z polskiem wojskiem iść na Moskale. Na wszystkich twarzach, wymęczonych bezsennością i wyczekiwaniem, widać było żywą radość.

Po godzinie pociąg ruszył w stronę Warszawy, a niebawem nadchodzić zaczęły długie pociągi towarowe z jeńcami ukraińskimi, zwalnianymi na skutek interwencji Polski przez Austrię i przez wszystkie obozy, które po przewrocie znalazły się na terytorjach nowych państw. Regiera wzruszyła do głębi myśl, że oto Polska sama ledwo wyzwolona i jeszcze zmuszona walczyć o swoją wolność, już staje się obrończynią sąsiedniego narodu i wyciąga doń pomocną rękę. Pociągów było kilka, a wyczekiwano ich jeszcze więcej. Doktor Regier doznawał uczucia dumy, że sam jest żołnierzem tej Rzeczypospolitej, która podnosi

wysoko sztandar sprawiedliwości i prawa ludów „Za naszą wolność i waszą!”

Gdy po południu nadszedł wreszcie pociąg, odchodzący do Warszawy, wsiadał do przedziału z radosnem uczuciem zadośćuczynienia, że oto Polska, ojczyzna jego rozpoczyna nowy okres w dziejach Europy.



IV.

W Warszawie spotkał Regiera przykry zawód. Był on przekonany, że nazajutrz po przyjeździe i zdaniu sprawy ze swojej misji, będzie mógł nareszcie wyjechać w strony rodzinne, i po raz pierwszy od szeregu lat uczuł się człowiekiem zupełnie wolnym. Zdawało mu się, że do Sztabu Generalnego idzie tylko po to, aby powiedzieć komu należy, że oto zaczyna mu się długi i rzetelnie zasłużony urlop i że za kilka godzin wyjeżdża. Ale już przywitanie z pułkownikiem Zawojkim dało mu do myślenia, że tak łatwo z Warszawy się nie wydostanie.

— Jak to dobrze, panie poruczniku, że pan tak szybko wrócił! — wołał pułkownik, wyciągając do niego obie ręce.

Regier domyślił się, że ta wielka serdeczność w powitaniu nie wróży nic dobrego i wbrew swemu usposobieniu stał się odrazu urzędowo - rzeczowym i powściągliwym. W postawie służbistej dobywał z teki listy i dokumenty i przedkładał je zwierzchnikowi z krótkimi uwagami wyjaśniającymi.

— Dziękuję, dziękuję — powtarzał raz za razem pułkownik. — Wiem już to i owo, bo Ostrozór telegrafował.

— Obiecał mi także zatelegrafować do pana pułkownika, że mam dłuższy urlop — zaryzykował Regier.

— Naturalnie, naturalnie! — zgodził się pułkownik. — Należy się panu i może pan z niego zacząć korzystać natychmiast, tylko prosiłbym, nie rozkazuję, pan mnie rozumie, otóż prosiłbym pana o pomoc w ważnej sprawie.

Regier siedział wyprostowany i czekał.

— Musimy czuwać nad sprawą zagraniczną... Poza-
bierali mi zdolnych ludzi na front, a tymczasem to rzecz
bardzo ważna wiedzieć wszystko, co się o nas pisze... Będą
głosy i takie i takie. Pan zna włoski i francuski, niepraw-
daż? I czeski nawet. Mówił mi Ostrozór, że każdy z tych
języków zna pan expedite.

Regier czekał dalszego ciągu coraz bardziej sztywny
i służbisty. Był wyraźnie zły, podczas gdy pułkownik sta-
wał się coraz uprzejmiejszym.

— Angielski zna pan także?...

— Angielski mniej — zameldował Regier sucho.

— Ale gazetę pan przeczyta — pocieszał się puł-
kownik.

— Gazetę przeczytam...

— Doskonale się składa — zacierał pułkownik ręce.—
Mam tu trochę pism francuskich, angielskich, włoskich, nie-
mieckich, czeskich... Chodzi o to, żeby je przerzucić i wyno-
tować, co się w nich pisze o Polsce. Pan rozumie, panie po-
ruczniku, przerzucić...

— I wynotować — dodał Regier ironicznie.

— O, właśnie — odpowiedział pułkownik, udając, że
nie rozumie docinka i że jest rad, że tak szybko i dobrze
został zrozumiany.

— I nic ważnego nie opuścić... ironizował porucznik
dalej.

— Bardzo bym o to prosił.

— Czy dużo jest tej pracy? — pytał Regier.

— Dla kogo innego byłoby na dwa tygodnie, ale pan
się z tem załatwi przez dwa, trzy dni. Języki zna pan tak
świetnie...

Regier spojrział na ogromny stos pism, leżących na
stole przy biurku, zasiadł na krześle jaknajbardziej urzę-
dowo, z wyrazem beznadziejności na twarzy i w ruchach,
i zabrał się do pracy. Około południa był już porządnie
zmęczony wyszukiwaniem rzeczy ważnych dla pułkownika
i robieniem notat, gdy podoficer z przyległego pokoju przy-
niósł mu nowy stos gazet.

— To poczta dzisiejsza — pouczył go pułkownik.

— Regier udał, że nie słyszy, ale nie wytrzymał i po chwili zapytał:

— Czy poczta przychodzi codziennie?

— M — tak, panie poruczniku, naogół poczta jest już dość punktualna — odpowiedział pułkownik, jakby Regierowi ogromnie zależało na tej właśnie punktualności.

Po tej odpowiedzi Regier zaciął zęby i zabrał się do „przerzucania” gazet z taką furją, że aż pułkownik zaniepokoił się tym pośpiechem. Powtórzył tedy jeszcze raz, że pewne wiadomości mają dla Sztabu bardzo wielkie znaczenie, polecał je uprzejmie uwadze pana porucznika i wyszedł, uprzedzając, że po gotowe wypisy przyjdzie niejaka panna Marja i przepisze je na maszynie.

Regier skinął głową, przeklinając w duchu swoją znajomość języków obcych. Podniósł oczy z nad płacht papieru i spojrział przez okno na ogród Saski. Śród jasnej i świeżej zieleni spacerowały liczne pary, biegały dzieci. Na ławkach siedzieli ludzie solidni z gazetami. W sąsiednim pokoju słychać było urywany klekot maszyn do pisania, od czasu do czasu urozmaicany nadrabianym basem jakiegoś niedoszlęgo generała, wyrzucającego w powietrze wskazówki, zdania i uwagi. Klekot maszyn doprowadzał porucznika do wściekłości tym urywanym, niestałym rytmem i pauzami, podczas których maszyna zdawała się zastanawiać, coby tak napisać dalej. Zazdrościł ludziom, włóczącym się swobodnie po ogrodzie Saskim i obiecywał sobie, że się pułkownikowi wykpi od tej roboty choroba.

Okolo drugiej przyszła z sąsiedniego pokoju zapowiedziana panna Marja po notaty, aby je przepisać na maszynie. Była to młoda i ładna panienka, wymęczona siedzeniem w Sztabie Generalnym nad maszyną do pisania, i marząca, że przecież kiedyś będzie używała swobody jak inni ludzie.

Starym nałogiem Regier wstał przed kobietą i ukłonił się pannie Marji, co wybaczącym uśmiechem zostało skwitowane nowicjuszowi, nie wiedzącemu jeszcze, że w biurach niema ani czasu, ani ochoty na liczenie się z wyma-

ganiami dobrego tonu. Skinęła złotowłosą główką, mocno rozwichrzoną od pracy. Spojrzał na nią, gdy prosiła o wypisy z gazet i stwierdził w duchu, że jest bardzo ładna. Było mu jej żal, że musi siedzieć przy takiej nudnej i męczącej pracy.

— Czy pani przeczyta mój niewyraźny rękopis? — zapytał uprzejmie.

— O, proszę pana, u nas czyta się rękopisy jeszcze niewyraźniejsze — odpowiedziała z uśmiechem, nie śpiesząc się wcale z powrotem do swojej maszyny, jakby czekała jeszcze na jakie słowo porucznika. — Jeśli będę miała jakie wątpliwości, to pan pozwoli zapytać.

— Naturalnie! Jeśli pani będzie miała wątpliwości...

Dygnęła i wyszła z pokoju, a po chwili słychać było zaciekle klekot jej maszyny.

Praca była stanowczo nudna i męcząca. Wstał i wyprostował się. Przyszło mu na myśl zobaczyć, jak też panna Marja przepisuje jego wypisy i bez namysłu wszedł do pokoju sąsiedniego. Druga panienska była odwrócona do niego tyłem i palcem wskazującym tak energicznie tarła misterną fryzurę na ciemieniu, jakby sobie w tym miejscu pragnęła założyć łysinę. Kilku podoficerów i sierżantów, zgarbionych nad papierami, spoglądało przez okno na ogród pełen słońca, radości i swobody. Regier zamierzył prosto do panny Marji, stanął za nią i przyglądał się przez chwilę jej pracy.

— Przepraszam panią... — rzekł po chwili. — Czy pani wszystko przepisuje w taki sposób?

— Tak... — wzruszyła ramionami, jakby niezadowolona, że jej przerywają.

Poradził jej, żeby zostawiała szerszy margines i żeby na tym marginesie wypisywała tytuły, bo tak sprawozdanie jest bardzo nieprzejrzyste.

— Więc jak pan porucznik każe? — rzekła, odwracając się ku niemu. Szybko wyrzuciła rozpoczęty arkusz i założyła nową kartę papieru.

— Z lewej strony margines na trzy palce szerokości... O, tak. Na tym marginesie będą tytuły. Co pani teraz pi-

szę? A, „Journal de Débats“... O czem to będzie? Polska a Ukraina... Otóż ślicznie: wypisze pani na marginesie jako tytuł: Polska a Ukraina... Doskonale. A teraz „Journal de Débats“ dnia, miesiąca, numer... Dwukropek i cudzy-słów... O, tak właśnie.

Patrzył przez chwilę, jak z pod paluszków panny Marji wyrastały wiersze o tem, co mądrzy ludzie we Francji mieli do powiedzenia o Polsce i Ukrainie.

— Bajecznie! — zachwycił się. — Nawet sobie nie wyobrażałem, żeby ktoś potrafił tak szybko wypisywać takie mądre rzeczy. Teraz znowuż na marginesie: Sprawa Cieszyńska. „Temps“, dnia, miesiąca, numer... i tam dalej.

Powrócił do swojej pracy, ale już mu nie szła. Był przemęczony i chciało mu się jeść. Zapatrzył się znowu na ogród i zamyślił się o siostrze. Ależ naturalnie! Że też mógł być o tem nie pomyśleć. Trzeba zaraz napisać do siostry, że jeszcze parę dni musi posiedzieć w Warszawie. Szukał na biurku papieru i nawet nie zauważył, jak weszła panna Marja z jego notatkami. Czegoś nie mogła przeczytać, więc jej wytłumaczył, a potem zapytał:

— Do której tu się pracuje?

— Proszę pana — machnęła ręką — u nas pracuje się bardzo rozmaicie, a zawsze dłużej, niż po innych biurach. Dużo teraz jest pracy. Jeszcze szczęście, że niema pana majora Ostrozora. To taka straszna piła, że jeden strach.

— Piła? — zapytał Regier.

— Ale okropna — podkreśliła panna Marja z całym możliwym naciskiem, oddalając się do swojej pracy.

Regier popatrzył za nią, jakby chciał o coś zapytać, potem wstał, zebrał wszystkie wypisy, zaniósł je pannie Marji i powiedziawszy jej, że idzie na obiad, wyszedł z biura.

Nazajutrz major taki był zachwycony jego sprawozdaniem prasowem, że nie znajdował dość słów na podziękę za tę pracę. Podobał mu się osobliwie układ, pozwalający wylawiać sobie ze sprawozdania rzeczy ważniejsze i pomijać mniej ważne.

— Skoro już pan taki łaskawy, to może zechce pan pokazać mojemu sprawozdawcy naszej prasy prowincjonalnej, jak najlepiej robić te rzeczy. Inteligentny chłopak, ochotnik, z akademików, ale niesamodzielny. Będę panu ogromnie wdzięczny, panie poruczniku.

Regier poszedł tedy zarabiać na tę nową wdzięczność pana pułkownika. Zabrał się do roboty natychmiast i dla przykładu, z kolorowym ołówkiem w ręku wyławiał razem z ochotnikiem wiadomości interesujące dla Sztabu. Przebiegając oczyma mniejsze lub większe stronicy gazet i gazetek prowincjonalnych, podkreślając to i owo, począł ochotnika:

— Chodzi o nastrój ludności, usposobienie w miastach i miasteczkach... Wojna nakłada wielkie ciężary, wódz może nam coś powiedzieć o tych nastrojach, jest ważne. Niech pan przerzuci te gazetki, ja wezmę tamte, a potem się zamienimy i zobaczymy, jak dalece zgadzamy się w ocenie tego, co ważne.

Zostawił sprawozdawcę przy pracy, a sam powrócił do swego stolika i zaczął przeglądać pisma prowincjonalne. Nieraz musiał się uśmiechać, gdy mu się narzucało porównanie horyzontu politycznego „Corriere della Sera”, „Daily Mail'a”, „Tems'a”, z horyzoncikiem pocziwych „Ech”, „Głosów”, „Gońców” naszej prowincji, klóących się z sobą o pierwszeństwo w parafji i donoszących czytelnikom o przedstawieniach amatorskich i kamienicach w rynku, które wtedy a wtedy zmieniły swego właściciela, podczas gdy na dalekim świecie narody zmagają się z sobą o panowanie nad całym światem.

W pewnej chwili oko Regiera zostało przykute do papieru wyrazem, jakiego nie mógł się spodziewać w gazetce wychodzącej w Łomży, czy w Siedlcach. Śród innych słów, obojętnych i mało znaczących, rzuciły mu się w oczy słowa: Turski, a nieco dalej: Helenę... Zaczął czytać uważnie, ale słowa mieszały mu się w oczach, tak że dowiadywał się tylko bardzo niewyraźnie o jakimś tragicznym wypadku, którego ofiarą padł obywatel z Kaliskiego. Turski, który w Siedleckiem nabył majątek ziemski i miał

tam osiąść... Była mowa o przejeździe przez tor kolejowy, o lokomotywie, spłoszonych koniach, ciężkiej ranie woźnicy i wreszcie: Turski osierocił żonę Helenę. Nie było już wątpliwości. Spojrzał na datę: drugiego maja. Wyszedł do sprawozdawcy gazet prowincjonalnych i pytał, jakby chodziło o jakieś rzeczy ogromnie doniosłe:

— Czy nie ma pan jakich gazet z Kalisza?

Ochotnik zaczął szukać z wielkim pośpiechem, bo porucznik był wzburzony i blady. Młody sprawozdawca przeraził się, że może przeoczył coś bardzo ważnego, i kopał się w kupie papierów, jakby sam nie wiedział, czego szuka.

— Z którego, panie poruczniku?

— Z drugiego — odpowiedział głosem zachrypłym, — a zresztą wszystko jedno, niech mi pan da z pierwszych dni maja.

Student podał mu pisma, a Regier rzucił się na nie z taką niecierpliwością, jakby chodziło o wykrycie jakiejś sprawy o olbrzymim znaczeniu. Znalazł w końcu czego szukał, oddał pisma studentowi, zatrzymując tylko jeden numer i powrócił do swego stolika.

Helena była wdowa. Nowa wielka rzeczywistość uderzyła w niego z taką siłą, że pogrążyła go odrazu w odmęcie najsprzeczniejszych uczuć. Długo nie mógł ochłonąć z potężnego wrażenia i zdobyć się na jakąś jasną myśl o tem, co się stało. Dopiero panna Marja, przychodząca po wypisy, zbudziła go z niedopuszczalnej w Sztapie zadumy. Sięgnął ręką po pierwszą z brzoza gazetę i czytał wszystko po kolei, nie mogąc doczytać się, o co właściwie chodzi. Po głowie tłukła się tylko jedna myśl, Helena jest wdową. Konieczność szybkiego referowania prasy zmusiła go do otrząśnięcia się z wrażeń niespodziewanej wiadomości i nie zagłębiania się w niej. Streszczał uważnie jakiś napastliwy artykuł „Manchester Guardian”, potępiającego w ostrych słowach imperjalizm polski i rokującego Polsce zupełne osamotnienie polityczne i militarne w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, ale do słów angielskich

skiej gazety wtrącała mu się bezustannie wiadomość o wypadku na przejeździe kolejowym.

Tegoż samego dnia napisał do siostry, w nadziei, że od niej dowie się czegoś więcej. Tłumaczył się, że dotąd nie mógł przyjechać i dodawał, że przyjedzie niebawem, najdalej za dni kilka. Odpowiedź przyszła niespodziewanie prędko, pełna wyrzutów zniecierpliwionej siostry, nie mogącej doczekać się przyjazdu brata. Na ostatniej stronie listu donosiła mu o wypadku i jego skutkach. „Tej biednej Heleny bardzo mi teraz żal, chociaż mieliśmy oboje tak dużo powodów do gniewania się na nią. Wyszła za mąż pod naciskiem domowników, aby ratować oplakaną podobno sytuację materialną całej rodziny. Poświęciła się, jak to mówią. Nie przydało się to na nic, bo mąż był zawsze skąpy i traktował żonę bardzo źle. Gdy rozeszła się wiadomość, że masz powrócić do kraju na stałe, zaczął się starać o kupno majątku gdzieś daleko stąd, aby osiąść z żoną na wsi, zdala od ludzi. Zestarzał się i stawał się coraz zazdrośniejszym o Helenę. Ponieważ nie zostawił żadnego testamentu, a małżeństwo było bezdzietne, jego krewni rzucili się na znaczny spadek i prawdopodobnie wyprą ją ze wszystkiego. Bardzo mi jej żal, chociaż sama sobie winna”.

* * *

Dopiero w drugiej połowie maja wyrwał się Regier z Warszawy. Siostra przyjęła go z wielką radością i od pierwszej chwili zaczęła się krzątać, aby mu pobyt u siebie uczynić jak najmiłszym. Ludka i Włodek na wyścigi z matką wynajdywali coraz nowe przyjemności dla wujaszka. Przychodził Stepień i panna Joergens, powrócił też tymczasem kilku przyjaciół z Rosji i życie w małym miasteczku układało się dla Regiera tak mile, że z zalem myślał o swoim układzie z Ostrozorem, iż na każde wezwanie przybędzie do Warszawy. Ile razy ujrzał nadchodzącego listonosza, nawiedzała go obawa, że niosą mu depeszę wzywającą go do Sztabu. Postanowił w czasie najbliższym podać się do dymisji i na stałe osiąść w Zabłoniu przy siostrze.

Z siostrą ani razu nie mówił o Helenie, ale to, czego się dowiedział o niej z listu siostry, że mianowicie Helenie zagraża bieda skutkiem chciwości krewnych jej męża, usposobiło go dla niej więcej niż pojednawczo. Budziły się w nim pragnienia jakiejś fantastycznej bezinteresowności i ofiarności. Chciało mu się pokazać kochanej kobiecie jakimi były jego uczucia dla niej i dlatego nie mógł się doczekać jakichś dokładniejszych wieści o niej.

Do największych przyjemności dla Regiera należało włóczenie się po skraju miasteczka i spacerowanie wzdłuż gościńców rozbiegających się we wszystkie strony. Chodząc po brudnych uliczkach na peryferji, przypominał sobie to wszystko, co tu przeżył jako młody chłopiec razem z rówieśnikami. Z zadziwiającą wyrazistością wstawały przed nim dawne lata, rówieśnicy, rozproszeni teraz po całym świecie, zabawy z nimi, figle i psoty różne. Każda pora roku miała swoje osobliwe przyjemności i uciechy, ale niczego tak nie lubił, jak srebrne nici babiego lata, gdy byłoby jakby w głębokim zamyśleniu łąziło po ściernisku, a nad niem snuły się niebieskawe dymki ognisk pastuszych. Zapach tego dymku nad ścierniskami pozostał mu we wspomnieniu jako drobny, ale ogromnie miły szczegół z tego życia dawnego, które minęło nazawsze.

Nieraz wydostawszy się na szeroki zamiasteczkowy gościniec, szedł daleko, wspominając czasy, gdy jako student uniwersytetu, pełen śmiałych nadziei, dzielił się niemi z Heleną. Od chwili, gdy powrócił do rodzinnego Zabłonia, nie przestawał myśleć o spotkaniu z Heleną i starał się przedstawić sobie to spotkanie. Gdzieś w głębi świadomości tkwiło przekonanie, że zbliżenie się z nią jest niemożliwe, że sama próba musiałaby się skończyć tak samo, jak wtedy, gdy przyjechała do niego do szpitala. Dusza jego była rozdzielona na dwoje: jedna połowa wszystkimi siłami pragnęła otworzyć Helenie ramiona, przytulić ją do serca, zapomnieć o wszystkim i przebaczyć sobie i jej, druga natomiast odwracała się z pogardą od tych pragnień, zrodzonych ze słabości i domagała się z nieubłaganą stanowczością odwrócenia się od Heleny raz na zawsze.

Regier sam nie wiedział, jak mogłoby dojść do skutku spotkanie, nie umiał sobie wyobrazić wymiany kilku zdań z osobą, która ongi przesłaniała mu sobą cały świat i była dla niego uosobieniem dobra i piękna, a potem stała się przedmiotem niewymownego żalu, gniewu, a nawet pogardy. Czasem przychodziła świadomość czegoś nienaprawnego, czego żadna siła ludzka zmienić nie może. Wyobrażał sobie, że najlepiej byłoby, gdyby ich z sobą ktoś pojednał, zmuszając do podania sobie rąk. Zdawało mu się, że mogłaby to uczynić jego siostra, ale nigdy nie byłby z nią o tem rozmawiał. Były w tych myślach jakieś dyplomatyczne zastrzeżenia duszy, która rozumie, że powinna przebaczać, ale jeszcze wyraźniej czuje, że nie powinna wdawać się nigdy i w żadne kompromisy. Regier wyobrażał sobie, że byłoby szczęściem zostać przymuszonym do pojednania się z Heleną, bo sam nigdy i za nic w świecie nie byłby się zdobył na nic więcej, prócz przebaczenia Helenie. Ale i z tych dziwacznych, niemęskich marzeń budził go głos wewnętrzny, który mówił jasno i wyraźnie czy nawet brutalnie:

— Jakto? Więc pojednałbyś się z kimś, kto cię okłamał? Przecież to niemożliwe bez podania siebie w najgorszą pogardę wobec własnego sumienia i własnej godności. Musiałbyś sobie każdej chwili powtarzać, że odrzuciłeś godność swoją dla sprawy złej i nieładnej.

Położenie było istotnie fatalne. Regier cierpiał nad tem, że oto skutkiem wyzyskania bezradności, czy nieświadomości młodej dziewczyny oboje muszą pokutować i męczyć się za jakichś przewrotnych ludzi. Teraz, gdy wiedział że chciwość krewnych Turskiego pogrąża Helenę w biedzie i że pożycie jej było nieszczęśliwe, uczucie pojednawcze potężniało w nim coraz bardziej. Ale był już dość doświadczony, aby zdawał sobie sprawę, że nie wiedziałby zgola, jak ma się zachować względem niej, gdyby przypadek zetknął ich z sobą. Toteż z pragnieniem spotkania łączyła się w nim ciekawość sytuacji, jaka musiałaby się wytworzyć. Nieraz dziwiło go to, że spacerując po ulicach miasteczka nie spotkał jej jeszcze ani razu, chociaż spotkania takiego potrosze się obawiał.

Wszystkie te obawy i niepokoje rozwiały się pewnego dnia, gdy się dowiedział z rozmowy z siostrą, że pani Helena, zrażona postępowaniem krewnych swego męża, wyjechała z Zabłonia i niewiadmo, gdzie się znajduje. Aż się zdumiał, jak wiadomość ta wpłynęła na jego stosunek do rodzinnego miasteczka. Cały ów subtelny, a niewypowiedzianie słodki urok, który otaczał wszystko w całym miasteczku, czyniąc mu je miłszem nad wszystkie inne miasta całego świata, znikł nagle i rozwiął się, ustępując miejsca chładowi i obojętności. Ulice, domy, ogrody, wszystko, co niegdyś było mu takim bliskim i kochanem, stało się raptem obcem i wrogiem na samą myśl, że Helena wyjechała i że może nie powróci do tych miejsc, za którymi tęsknił tak długo dla niej jedynie, jak to sobie teraz uświadamiał.

Czuł się wewnętrznie upokorzonym, jak gdyby Helena dla niego właśnie była opuściła miasto, chcąc go ukarać za to, że jej nie przyjął wtedy, gdy przyjechała do niego do Warszawy. Przestał wychodzić na spacer i próbował pracować, ale wszystkie myśli krążyły bezustannie dokoła postaci Heleny, która teraz stawiała się dlań zagadkową i tajemniczą. Dlaczego opuściła miasto? Gdzie bawi? Co robi? Zbyt długo w uczuciach jego każdy zakątek miasta kojarzył się bezwiednie z postacią Heleny, aby obecnie umiał pogodzić się z myślą o jej nieobecności i powiedzieć sobie, że jej na żadnej z ulic nie spotka. Po kilku dniach ochłonął nieco, pogodził się i z tym nowym faktem wyszukał sobie jakąś pracę rozpoczętą jeszcze za czasów studenckich, gdy każdego szczegółu trzeba było doszukiwać się bardzo mozolnie, i teraz jako wytrawny erudyta postanowił pracę tę dokończyć dla zabicia czasu. Najchętniej byłby wyjechał, ale nie mógł tego uczynić przez wzgląd na siostrę, której osamotnieniu serdecznie współczuł. Z drugiej strony wydawało mu się, że Helena chociaż nieobecna, widziałaby jego ucieczkę z miasta, w którym jej szukał daremnie, i że byłoby to dla niej triumfem, którego jej nie życzył. Spodziewał się teraz, że może przyjdzie wezwanie od Ostrozora i da mu pożądaną pretekst do wyjazdu z Zabłonia. Ale wezwanie nie przychodziło jak na złość, chociaż

już pod koniec maja rozchodziły się wieści o ciężkim położeniu naszych wojsk. Nie brakło pesymistów, którzy twierdzili wręcz, że wojna wkracza w fazę decydującą i dla Polski wyjątkowo ciężką. Nie mając nic do roboty i pragnąc przypomnieć się Ostrozorowi, napisał do niego, zapytując, ile jest prawdy w niepokojących pogłoskach. Ostrozór odpowiedział mu już po kilku dniach z Warszawy, że ma nadzieję zobaczenia się z nim niedługo, a co do pogłosek, to wszelkie wieści należy uważać zawsze za nieprawdziwe, dopóki się nie sprawdzą. Regier rozumiał, że ta żartobliwość i wykrętnie wykoncypowana odpowiedź jest potwierdzeniem niepokojących wiadomości, bo w razie przeciwnym byłby energicznie zaprzeczył.

* * *

Pani Annie nie uszła zmiana w usposobieniu brata, ale nie wiedziała czemu ją przypisać. Nie przypuszczała nawet, że miłość dla Heleny jest jeszcze tak silna w sercu brata. Było jej dziwno i przykro, że tak mało interesował się piękną i utalentowaną panną Joergens, ale nie śmiała poruszać tych delikatnych spraw, obawiając się, aby czego nie popsuła. Znała dobrze wrażliwość swego brata i nie chciała mu sprawić przykrości.

Daleko szybciej odgadła tajemny związek między smutkiem Regiera a nieobecnością w mieście pani Heleny, Ludka, która, zdawało się, nie zwraca na nic uwagi i niczem się nie interesuje. Razu pewnego, gdy smutek wujka trwał już już nieco przydługo, wyciągnęła go na spacer daleko za miasto, aby mu pokazać zachód słońca na rozległej równinie. Przez kilkanaście dni jego pobytu u nich, zbliżyła się z nim bardzo serdecznie. Regier lubił z nią rozmawiać, bo była wyjątkowo roztropną i w jednej chwili odgadywała daleko więcej, niż niejeden nauczy się w ciągu całych lat.

Gdy znaleźli się za miastem, rozejrzała się dokoła jak spiskowiec chcący się przekonać, czy niema kogo w pobliżu, a potem ujęła wujka pod ramię, przytuliła się do niego, jakby chciała wzbudzić w nim jak najwięcej zaufania do siebie, spojrzała mu w oczy tem figlarnem spojrzeniem kobiet, które uprzedza, że nie potrzebuje się o nic pytać, bo

wszystko jest wiadome, i zapytała z bardzo ujmującym uśmiechem:

— Mój wujciu, czy ty bardzo jesteś zarozumiały?

— Niby dlaczego?—odpowiedział pytaniem. — Z jakiej racji miałbym być koniecznie zarozumiały?

— Bo starsi zawsze bywają zarozumiali, chociaż to jest niebardzo mądre.

— Nie, to nie jest bardzo mądre ze strony tych starszych ludzi, to jest nawet głupie — zgodził się Regier z wielką łatwością. — Ja zresztą jeszcze nie jestem taki bardzo starszy... Nawet nie wyobrażam sobie, moja miła Ludka, jaka to trudna rzecz porządnie się zestarzeć. Starzeję się już przeszło czterdzieści lat i ciągle jeszcze jestem taki młody i niemądry na moją udrekę.

Zawahała się przez chwilę, a potem folgując dobremu odruchowi serca, rzekła szybko i stanowczo, jakby z wyrzutem:

— Bo ta udreka zupełnie niepotrzebna.

— Jakaż to znowu specjalna udreka stała się niepotrzebną? — Regier spojrzał bardzo uważnie na siostrzenicę, nie wiedząc, jak ma rozumieć jej słowa

Ludka straciła na odwadze i milczała przez chwilę, ale potem zdecydowała się ostatecznie, ujęła wujka mocniej pod rękę, pociągnęła go za sobą polną drogą wśród kłyszających się łąków i nie patrząc na niego, mówiła:

— Kiedyśmy przygotowywały pokój dla ciebie, mamusia tak często mnie napominała, żebym nie przewracała papierów w szufladzie biurka, że aż się zaciekawiałam i zajrzałam. Był tam list do ciebie... Dawny, z przed lat... Wszystkiego się domyśliłam, bo ta pani Helena kilka razy przychodziła do nas, ale mamusia zacięła się na nią i nie chciała jej nigdy przyjąć...

Regier chciał zrazu zaprzeczyć, jakoby go ta rozmowa interesowała, ale Ludka, odgadując jego myśli mówiła szybko i zaciekawiała go coraz bardziej. W końcu tak był pochłonięty jej opowiadaniem, że wbrew nakazanemu sobie milczeniu wyrwało mu się z ust:

— Więc przychodziła...

— Kilka razy. Gdyśmy się czasem spotykały w towarzystwie, zawsze do mnie podchodziła, żeby porozmawiać. Ona jest taka miła i nieszczęśliwa... Nie wiedziałem wtedy, dlaczego zbliża się do mnie, bo byłabym jej powiedziała wszystko, co o tobie wiedziałam... I byłabym napisała do ciebie... Ta zaciętość mamusi nie ma najmniejszego sensu. Pani Helena tyle przecie wycierpiała, a teraz nie wiadomo gdzie jest i zapłakuje się pewno na śmierć.

Regier nie mógł dalej słuchać tych nieoczekiwanych rewelacji. Szczególniej myśl, że jego siostra przez przywiązanie do niego odpędzała Helenę od drzwi swego mieszkania, gdy niewiadomo przecie z czem ta kobieta do niej przychodziła, i że teraz siedzi gdzieś i zapłakuje się na śmierć, jak się wyraziła Ludka, schwyciła go za serce. Zdawał sobie sprawę z całej niewłaściwości prowadzenia takiej rozmowy z siostrzenicą, młodszą od siebie o dwadzieścia lat, a przecie o tyle od niego mądrzejszą.

— Dajmy spokój tym rzeczom, moja Ludko — rzekł, próbując się śmiać. — Wogóle nie wiem skąd ci się to wszystko wzięło. Masz trochę wybujałą wyobraźnię. Zdaje mi się, że to nawet nie wypada, żebyśmy z sobą w ten sposób rozmawiali.

Wyrwała rękę z pod jego ramienia i zachnęła się ostro:

— Bardzo przepraszam! Pytałam się przecie, czy wujek jest zarozumiały. Masz tobie! Obraziłam czcigodny wiek i urząd. Bardzo mi przykro, wujku — mówiła dalej głosem cichszym i łagodniejszym. — To wszystko przez egoizm. Ja chciałam się stać twoją powiernicą, żebyś ty był moim powiernikiem...

— Ja twoim powiernikiem? — zdziwił się Regier. — Jakież to znowu wielkie tajemnice, że ich nie możesz powierzyć matce albo pannie Joergens?

— Tak do mnie wujek mówi, jakbym była dziewczynka i nie mogła mieć swoich sekretów. Mamusi też się ciągle zdaje, że jestem jeszcze taka malutka, jak kiedyś tam. Z nikim nie można porozmawiać. I wujek taki sam, jak wszyscy!

Głos jej się załamał, urwał, zadygotał od tłumionej załości i Ludka rozplakała się raptownie, jak pokrzywdzone dziecko. Płakała z jakąś pasją, jakby na złość samej sobie i temu nieczułemu wujkowi i całemu światu. Płakała nie tylko za siebie, ale i za panią Helenę, której było jej ogromnie żal, i za wujka, który też nic lepszego nie ma do zrobienia, jak porządnie popłakać nad rzeczami smutnymi.

Regier był zupełnie bezradny wobec tego niespodziewanego wybuchu. Nie miał najmniejszego wyobrażenia o tem, jak się uspakaja płaczące panny i pocieszał się, że za chwilę samo przejdzie. Ale, niestety, nie przechodziło. Ludka chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz prócz szlochów nie wydobyła z siebie ani słowa, i rozplakała się jeszcze głośniej.

— Moja Ludko, dajże spokój z tym płaczem — próbował ją Regier uspokoić. — Żeby tak płakać! — No, Ludeczko, już będzie. — Trzeba się uspokoić. — Przecież to wstyd, żeby się tak zanosić!...

— Nie, to nie wstyd! — odcięła się ostro, odwracając się od niego i przestając płakać odrazu. — Wstyd jest jak ludzie nie płaczą, kiedy trzeba. Taka głupia jestem... Myślałam, że wujkowi dobrze poradzę, kiedy nikt o nim nie myśli i że wujek będzie moim przyjacielem. A tu masz! Ładny przyjaciel! Nie wypada! Nagada teraz matce i będę miała za swoje!

— Ależ tak, jestem twoim przyjacielem — zapewniał ją Regier, ściskając jej rękę. — Jak możesz przypuszczać, że powiem cośkolwiek matce!?

Nie słuchała go i mówiła jakby do samej siebie z uporem młodych dziewcząt, mających rację wbrew wszelkiej rzeczywistości:

— Wszyscy jednacy! Już jak starsi, to im się zdaje, że muszą mieć koniecznie rację! — Uspakajała się powoli i nawet pomyślała o swoim wyglądzie, bo sięgnęła do torebki po lusterko i jeła palcem przyglądać zwichrzone brwi. Zapłakane policzki przypudrowywała z taką wielką powagą, że Regiera ogarnęła wielka dla niej tkliwość. Do-

piero co taka bezbrzeżna rozpacz i beznadziejność, a za chwilę ta ogromna troska o ładny wygląd zewnętrzny. Wzruszyło go to na samą myśl, że tamta, „zapłakująca się na śmierć” też pewno musi pamiętać o tem, aby oczy i policzki nie były zaczerwienione.

Porwał siostrzenicę w ramiona i obróciwszy jej twarz ku zachodzącemu słońcu, które całe pole oblewało ciepłą czerwienią, uśmiechał się do niej najlepszem, najserdeczniejszym uczuciem, na jakie jego serce zdobyć się mogło. Rozumiał i oceniał szlachetny odruch dziewczyny i domyślał się zarazem, że chciała go zyskać dla jakiejś swojej tajemnicy. Oczywiście, że chcąc pozyskać jej zaufanie, musiał jej przedewszystkiem okazać własne. Czuł, że zrobić to powinien, ale jak?

Zawrócili ku cichemu Zabłoniu, nad którego niskimi strzechami wznosiły się dwie wysokie wieże katolickiego kościoła parafialnego, a znacznie dalej, na skraju miasta strzelała ku niebu smukła ostra wieżyca kościoła ewangelickiego, w którym Regier był ongi konfirmowany. Wieża ta skupiła dokoła siebie wszystkie złociste promienie zachodzącego słońca; rój kawek polatywał dokoła niej, jakby odprawiał jakiś ptasi rytuał na cześć purpurowo-złotej zorzy.

— Bardzo serdecznie ci dziękuję, moja miła Ludko — zaczął mówić do siostrzenicy głosem cichym, pochylając się ku niej. — Widzisz, do niektórych rzeczy bywa nam dość trudno przyznać się nawet wobec samych siebie. Ale ja cię rozumiem i nie wątpię, że kierowałaś się tylko przyjaźnią i życzliwością dla mnie... — Zawahał się, nie wiedząc, co jej powiedzieć jeszcze.

Słuchała, nie przerywając mu, tylko wzdychała głęboko, jak wzdychają dzieci po długim płaczu. Spojrzała na niego z ukosa i widząc, że mu o tych rzeczach mówić ciężko, rzekła serdecznie i uspakajająco:

— Niech wujcio nie mówi, ja i tak wszystko wiem.— Zdobyła się przytem na jakiś ton osobliwy, który Regierowi wydał się macierzyńskim. Wzruszyło go to bogactwo

intuicji i dobroci serca dziewczęcego tak bardzo, że podniósł jej rękę do ust i pocałował ją.

— Ładne rzeczy wyprawiasz, przykładowy wujaszku! — roześmiała się na cały głos. — Żeby to mamusia widziała to miałby wujcio po reputacji i ja też.

— Przepraszam cię, Ludko... — jękał się Regier zakłopotany. — Widzisz, ja...

— Niech wujek nie przeprasza, ja to rozumiem bardzo dobrze i nawet na to do pewnego stopnia zasłużyłam. Teraz widzę, że wujek nie jest taki zły, jak udaje, i powiem o swoim sekrecie.

— Skąd też ty tak dobrze wszystko wiesz, że nawet mówić sobie nie każesz? — dziwił się Regier.

— Czy to tak trudno? — roześmiała się. — Człowiek człowieka łatwiej odgadnie, niż zrozumie. Wyszperałam przypadkiem ten list pani Heleny do ciebie, przypomniałam sobie, że jej mamusia nie chciała przyjmować, że pani Helena przy każdej sposobności zbliżała się do mnie, jakby się chciała czegoś dowiedzieć, no jednym słowem, trudno było nie domyślić się wszystkiego.

— Żebym wiedział, gdzie mógłbym znaleźć jaki twój list, to także starałbym się domyślić wszystkiego. Jakież to jest ten twój sekret?

— Ja jeszcze takich listów nie mam, ale wiem, że będą napewno. Przykro mi bardzo, że nie mogę o tem wszystkim porozmawiać z mamusią. Jest taka surowa...

— Więc spróbuję się domyślić i bez listu. Czy on z Zabłonia? — pytał podkreślając słowo „on”.

— Z Zabłonia — odpowiedziała z największą prostotą i z wielką powagą. — Porucznik Iwecki.

— Powiedział ci co?

— Nie powiedział, ale ja wiem i bez tego... to się wie. Przychodził do nas często, szukał mego towarzystwa, ale mamusia była dla niego niebardzo uprzejma. Służy w Mińsku, czy gdzieś tam. Pisuje rzadko, bo nie chce sobie zrazić mamusi. Jest bardzo delikatny. Mnie mamusia powiada: majątku nie masz, trzeba dopiero porządnie pracować, on też dopiero porucznik no i w dodatku katolik. Daj spo-

kój i nie zawracaj sobie głowy... Łatwo to powiedzieć, kiedy głowa już zawrócona na amen.

— Tak bardzo?

— Jeszcze bardziej, niż się wujowi zdaje.

— O, to źle.

— Pewno, że źle, ale cóż na to zrobić? Ja się dość długo wahałam i myślałam sobie, że może mamusia ma rację, chociaż to przecie nic złego, że ktoś jest porucznikiem; za generała nie wyszłabym przecie, bo dziadek. A to że katolik... Przecież prawie wszyscy Polacy są katolikami, a są naszymi braćmi i my ich serdecznie kochamy i jest nam czasem żal, że też nie jesteśmy katolikami, że nimi być nie możemy...

— Nie mogłabyś być katoliczką? — pytał Regier z ciekawioną.

— Sądzę, że nie. Ja dużo czytałam i bardzo kocham swoje wyznanie dla jego samodzielności i niepodległości nikomu prócz Boga.

— No, a gdyby twój narzeczony...

— Po pierwsze nie żaden narzeczony — zawołała pośpiesznie — co też wujcio wygaduje! Ja mówię o swoim sekrecie, przypuszczeniach, a wujcio: narzeczony!

— Naturalnie, i ja tylko tak przypuszczam, ale biorę rzeczy trzeźwo i powiadam sobie, jakby to było, gdyby narzeczony domagał się zmiany wyznania.

— No to byśmy się rozstali bez żalu z mojej strony. Nacisk na sumienie to taka brutalność, po której można spodziewać się rzeczy najgorszych. Ale niech wujcio słucha dalej i nie przerywa. Więc ja się długo wahałam, czy sobie tego nie wyperswadować, ale kiedy znalazłam jej list do wujcia, kiedy zrozumiałam dlaczego to wuj się nie żeni, a potem te zapłakane oczy pani Heleny...

— Zapłakane oczy...?

— O, mnie tak łatwo nic nie ujdzie! Widziałam wszystko dobrze, zrozumiałam i przestraszyłam się, że miałabym jemu i sobie tak życie zmarnować...

Zamyśliła się, jakby ważyła jakąś myśl, a potem rzekła:

— Cieszyłam się, że wuj przyjedzie, że będzie taki mądry, i że mu wszystko powiem, żeby mi poradził. Jeśli powie, że trzeba sobie wszystko wyrzucić z głowy i jeśli mnie przekona, że inaczej postąpić nie można, to spróbuję posłuchać. Ale argumenty muszą być mądre.

— Moje dziecko — rzekł Regier z wielką tkliwością — nie mam żadnych argumentów, ani mądrych, ani niemądrych. Przestańmy o tych rzeczach mówić na dzisiaj i zacznijmy myśleć, co trzeba zrobić i jak trzeba zrobić, żeby było dobrze. Nieraz pocieszałem się przysłowiem, że wszystko dobre, co się dobrze kończy...

— ...i co ma dobry początek i ładny środek — dokończyła Ludka tonem mentorskim. — Na ładne zakończenie dwudziestoletniej udręki ja się nie piszę. Nie ma się prawa wypełnić sobie życie nieszczęściem. To zbrodnia.

— Jesteś taka wymagająca, bo nie znasz jeszcze życia.

— Wykręcanie się nieznajomością życia to herezja. Życie się zna, a jego nieznajomością wykręcają się ludzie słabi, niezdecydowani, nie wiedzący, co trzeba zrobić w danej chwili.

Regier patrzył z rosnącym zdumieniem na swoją ładną siostrzenicę i czuł się zawstydzonym, że nie zdobył się nigdy na taki radykalny środek do życia, z jakim spotkał się u niej. Chciał coś powiedzieć, o coś zapytać, ale wchodzili właśnie między pierwsze domy Zabłonia i Ludka z miną spiskowca położyła palec na ustach, a zarazem spojrzała na wujka tak groźnie, iż ten zrozumiał, że ma teraz milczeć jak grób i dochować sekretu bezwarunkowo.

— No, a co wujcio powie o Bourget'cie? — rzekła głośniejsz, niż było trzeba i spojrzała przytem na wujka spojrzeniem tak łobuzerskim, jakby go wtajemniczała we wszystkie możliwe wybiegi i chytryści wobec niepowołanych. — Niech wujcio wygłasza teraz mądre zdania o literaturze. Niech sobie niepowołani myślą, że nie mamy sobie nic do powiedzenia, prócz bajtlowania o literaturze. To dobre dla sztuby i sztubactwa. My sami literatura.

— Tak, moja Ludko miła, my sami jesteśmy literatura — zgodził się Regier i zaraz dodał: — Bourget? Mądrała, niewątpliwie, ale tak mi się widzi być nieszczerym i nieprawdziwym. Wypisuje rzeczy, o których zdaje się sądzić, że powinny być wypisane wbrew przekonaniom i skłonnościom.

— Akurat, jak wujcio — szepnęła i zaraz dodała głośniej. — A jeśli nie Bourget, to kto? Musi się wujcio zgodzić, że konwencjonalizm to rzecz święta i nietykalna. Gdyby na świecie byli sami rewelatorzy i prorocy, to nie byłoby żadnego komfortu. Rzeczy niezwykle męczą i wymuszają na nas więcej uwagi i myślenia, niż idzie na zdrowie. Najzdrowszemi są rzeczy powszednie, albo takie, które szybko powszednieją.

— Mówisz bardzo mądrze; mądrzej, niż ci się zdaje — zachwycił się Regier.

— Wpadł wujcio i to dość grubo, bo ja to pewno gdzieś czytałam, tylko już zapomniałam gdzie i tak mi się tylko przyplątało.

Regier żałował, że kończy się już ten miły spacer z niespodziewanie poznaną Ludką i że trzeba będzie w domu rozmawiać o rzeczach obojętnych.

— Jutro pójdziemy?

— Gdzież to znowu mamy koniecznie chodzić?

— Na spacer.

— Na taki jak dzisiaj?

— Choćby na taki jak dzisiaj...

— Jeśli wujciowi takie spacerunki są koniecznie do szczęścia potrzebne, to się poświęcę — śmiała się Ludka, pędząc bez osobliwej potrzeby przez ogród i dopadając domu, jakby go brała szturmem.

* * *

Nazajutrz rano Regier wyszedł do ogrodu w usposobieniu jakby odświętnem. W nocy budził się kilka razy pod wrażeniem jakiejś wielkiej radości, której przyczyny nie pamiętał i musiał jej dopiero dochodzić. Przypominał sobie wtedy rozmowę z Ludką o Helenie, przytakiwał swej

radości, jakby chciał powiedzieć, że jest ona zupełnie usprawiedliwiona i zasypiał nanowo z wielką ufnością do życia, które przynosi smutki, aby potem dać tem większe radości. Był już zmęczony walką i usposobiony bardzo pojednawczo. Pragnął pokoju i spokoju za wszelką cenę i wierzył, że ten pokój jest bliski. Na myśl o tem serce ogarniał jakiś bezwład rozkoszy nieznaney, a potem coś zaczynało rozpierać pierś uczuciem niecierpliwości, nie mogącej doczekać się chwili dawno obiecaney i wyczekiwanej.

Ranek był pogodny i cichy. Słońce przesiane przez liście kasztanów i orzechów włoskich, rzucało na ścieżki zielone cienie i jasne plamy, jakiś ptak anonimowy wyświstywał króciutkie melodje swojej natarczywej radości życia, dokoła polatywały motyle pełne niestatku i nie mogące ani chwili wysiedzieć na miejscu. Regier podszedł do ławki pod włoskim orzechem i otworzył tom Norwida, zabrany z biblioteki; książka otworzyła się tam, gdzie była widocznie najczęściej otwierana i oczy jego padły na wiersze pełne dla niego niewypowiedzianego wdzięku:

„Jak gdy kto w oczy ciśnie człowiekowi
Garścią fijołków i nic mu nie powie...”

Usiadł, odłożył książkę i przymknawszy oczy starał się odtworzyć sobie obraz i uczucie człowieka, któremu ciśnięto w oczy garścią fijołków i nic mu nie powiedziano. Skojarzyła się na ten obraz barwa i woń kwiatów i rosa błyszcząca na żdźbłach trawy i cienie o barwach nieuchwytnych i te wszystkie możliwości, jakie wynikają z takiego ciśnięcia w oczy garścią fijołków. Ale pamięć wdzięczyła się do niego przypominaniem wierszy dalszych:

„Jak gdy akacją zwolna zakołyszę,
By woń podobna jutrzennemu ranu,
Z kwiaty białemi na białe klawisze
Otworzonego padła fortepianu...”

Uśmiechał się do tego jutrzennego rana i do białych klawiszy fortepianu, otworzonego specjalnie na ten cel, aby białe kwiaty akacji mogły spaść spokojnie na biel klawiszów. Gdzieś kiedyś widział takie białe kwiaty aka-

cji, padające przez okno na fortepian... Ale gdzie? Może zresztą nie widział, tylko powinien był widzieć ten obraz cudowny, jakby pozazjawiskowy i pozaświatowy, bezcelowy zarazem i bezinteresownie piękny, jak sen o życiu.

Ważył w duszy dalsze słowa tego dziwnego utworu „A Doro ad Phrygium” i odtwarzał je sobie z wyrafinowaną starannością obrazków Dulaca, przedstawiających zdarzenia z „Tysiaca i jednej nocy”, ale do zamyśleń jego wtrącał się bezustannie obraz Heleny, tak żywo przypominanej i wypomnianej mu przez Ludkę. Otworzył oczy i spojrzął ku domowi, czy siostrzenica nie idzie ku niemu, aby z nim porozmawiać, i z uczuciem wielkiego niezadowolenia ujrzał pana Joergensa, prowadzonego ku niemu przez siostrę. Nie był usposobiony do przyjmowania kogośkolwiek i odruch niechęci zachnął się w nim mocno, ale nałóg grzeczności podniósł go z ławki, narzucił mu bezwiedny uśmiech uprzejmości, która powinna znaleźć się dla gościa, i poprowadził go krokiem umiarkowanie szybkim na jego spotkanie.

— Pan Joergens do ciebie, Stachu — rzekła siostra.

Panowie przywitani się, a pani Anna oddaliła się natychmiast, tłumacząc się pilną pracą.

— Ja pewno nie w porę... — rzekł pan Joergens widocznie zakłopotany.

— O, proszę — odpowiedział Regier z gestem zapraszającym, rozbrojony bezradnością i zakłopotaniem starszka, który istotnie przychodził nie w porę. Wskazał mu ławkę pod włoskim orzechem i zaprosił na nią.

— Nie będę pana długo nudził, panie poruczniku, a przychodzę tylko dlatego tak rano, że sprawa jest dość pilna.

Regier słuchał uważnie i zachęcał pana Joergensa uprzejmym uśmiechem i potakiwaniem, dając mu do zrozumienia, że co będzie w jego mocy...

— Powiem odrazu, że chodzi o odnowienie naszego życia zborowego, które przez wojnę zostało zupełnie rozbite. Musimy wybrać nowe kolegium kościelne i dlatego

przypuszczamy, że pan porucznik nie odmówi nam swojej współpracy.

— Współpracy... — wyrwało się Regierowi z ust, jak gdyby słowem tem chciał się przekonać, że dobrze słyszał. W pierwszej chwili sądził, że pan Joergens będzie żądał od niego jakiej składki i w duchu zgadzał się na bardzo wysoką, ale współpraca?... Nie wyobraża sobie w jaki sposób on, który od tylu lat stał zdala od życia religijnego wogóle, a od swego wyznania w szczególności, miałby teraz współpracować z tem wyznaniem i dla tego wyznania.

— Tak, współpracy — przyświadczył pan Joergens. — Gdyby pan się zgodził, to wystwilibyśmy pańską kandydaturę przy wyborach do kolegium.

— Zapewne, oczywiście... — mówił Regier — tylko, jeśli mam być szczery, to ja nawet niebardzo wiem, jakie-
mi byłyby moje obowiązki.

— Obowiązki byłyby może niewielkie, bo liczymy przedewszystkiem na poparcie moralne.

Regier rozumiał jeszcze mniej. Nie wiedział poprostu, na czem miałoby polegać poparcie moralne z jego strony. Patrzył na pana Joergensa, wyczekując dalszych wyjaśnień i wywodów.

— Proszę pana — zabrał się Joergens na dobre do wyluszczenia sprawy — wojna steroryzowała ewangelików polskich i...

— Steroryzowała? — pytał niedowierzająco Regier. — Przypuszczam, że steroryzowała wszystkich, którzy się z nią zetknęli.

— Zapewne, ale nas ewangelików polskich specjalnie. Władze rosyjskie na początku wojny utożsały nas z Niemcami. Co ewangelik to Niemiec, co katolik to Polak. Czyniły to zresztą nietylko władze rosyjskie. Słyszał pan zapewne, że ewangelicy z tej racji byli wysiedlani w głąb Rosji. Rozproszyły się nasze zbory i życie w nich zamarło.

— Czy pan to uważa za takie ważne? Mnie się zdaje, że religja w czasach naszych nie odgrywa takiej roli w życiu społeczeństw, jaką odgrywała niegdyś i zdaje mi się

być szkoda, że wyznanie ewangelickie dzieli losy wszystkich innych wyznań. Osobliwie w Polsce katolickiej..

Pan Joergens słuchał spokojnie, jak gdyby był przygotowany na takie objeKCje. Gdy Regier zamilkł szukając dalszych argumentów, skorzystał z tej pauzy i nawiązując do rozpoczętego zdania, mówił dalej:

— Właśnie, osobliwie w Polsce katolickiej. Tutaj polskość i katolicyzm to dla wielu jedno i to samo. Na szczęście nie dla wszystkich. Oczywiście, obraziłbym pana, gdybym chciał dowodzić, że narodowość i religja to rzeczy zgoła różne, a często z sobą sprzeczne, czy raczej skłócone, jak jest w Polsce, że wymienię przykład pierwszy z brzeGa.

— No, w Polsce wyznanie katolickie z polskością skłócone nie jest — roześmia się Regier. — Przykład wybrał pan osobliwy.

— Może wyraziłem się niedość ściśle, ale zrozumie mnie pan, gdy przypomnę choćby postawę papieży wobec sprawy polskiej w chwili, gdy sprawa ta potrzebowała z ich strony serdecznego poparcia, a jako sprawa narodu katolickiego na poparcie także ze wszech miar zasługiwała. Grzegorz XVI potępił powstanie listopadowe, a cara moskiewskiego zalecił narodowi czcić jako władzę daną mu od Boga, Leon XIII był w badzo dobrych stosunkach z cesarzem niemieckim i królem pruskim, pod którego panowaniem katolickie dzieci polskie byy katowane za Ojczyznę polską. Papież nie upomniał się za nimi... Podczas wojny Kurja rzymska śmiała się z naszych polityków, mówiących o niepodległości... To przykłady pierwsze z brzeGa, możnaby je rozmnożyć.

— Jakiż stąd wniosek? — pytał Regier.

— Choćby ten, że katolicyzm względem polskości nie jest tem, za co bywa tak powszechnie uważany.

— Spostrzeżenie nie jest nowe, ale byłoby coś warte dopiero wówczas, gdybyśmy mieli dla narodu coś lepszego od katolicyzmu, coś co odpowiadałoby lepiej całej strukturze psychicznej ludu polskiego. Katolicyzm to dyscyplina, szeregowiec nie umie myśleć i nie musi myśleć, gdy myśla za niego generałowie...

Joergens zamilkł i posmutniał, że jest źle zrozumiany i że będzie musiał tłumaczyć rzeczy jasne.

— Proszę pana, przede wszystkim zastrzedz się muszę, że nie chodzi mi o żadną propagandę. Jestem dość rozsądny, aby zdawać sobie sprawę z tego, że najlepszą, a właściwie jedyną propagandą wskazaną, jest przykład, życie... Nie chcemy tedy propagować ewangelicyzmu słowami, bo w atmosferze powszechnego indyferentyzmu, to byłoby bezsensowne, ale... — podkreślił mocno słowo ostatnie — nietylko, że nie uważamy się za zbędnych w Polsce, lecz przeciwnie, za bardzo potrzebnych.

— Jako ewangelicy? — nacierał Regier. — Zaciekawia mnie pan.

— Pan jest polonista i nie powiem panu nic nowego, gdy zwrócę uwagę pańską na tę dyskusję, jaka w narodzie naszym toczy się od stuleci, a zapoczątkowana została jeszcze przed Ostrorogiem. Jest to dyskusja na temat usamodzielnienia życia religijnego w narodzie. Ostroróg, Modrzewski, Towiański, Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, ba, nawet katolicki Krasiński, brali udział w tej wielowiekowej, nierozstrzygniętej dotąd dyskusji. O pisarzach współczesnych mówić nie będę, bo wszyscy ich znamy i wiemy, że niema poprostu wielkiego imienia w narodzie, aby nie było ściśle zespolone ze sprawą wolności sumienia.

— A sens tej dyskusji, jak to pan nazywa? — pytał Regier.

— Jest to budzenie życia religijnego, od którego dla nas Polaków zawisło wszystko. Polsce brak tej wielkiej idei, która tworzy narody i państwa i która jest najistotniejszym rdzeniem historii każdego narodu.

Regier uśmiechał się sceptycznie. Zdawało mu się, że starszek traktuje jednakże sprawy niektóre bardzo a bardzo jednostronnie.

— Czy naprawdę idee rodzą się wyłącznie z życia religijnego? — powątpiewał. — Przecie wielkie idee były nieraz zaprzeczeniem wszelkiej religii.

— Toteż może należałoby powiedzieć, że nie chodzi o przesądzanie takiego czy innego stosunku człowieka do

religji, lecz poprostu zajęcie względem niej postawy rzetelnej i uczciwej, byle wyrwać się z martwoty indyferentyzmu, obojętności i bierności.

— Ale cóż my poradzimy na ten indyferentyzm, który jest obecnie powszechnym na całym świecie?

— Zapewne, że usunąć go nie zdołamy — odpowiedział Joergens, śledząc oczami lot jaskółek — ale tu jest jeszcze jedna sprawa, mianowicie, że przy całym tym indyferentyzmie klerykalizm robi swoje. Pan wie, że w dziele Modrzewskiego o naprawie Rzeczypospolitej rozdział o Kościele, najważniejszy, został przez tłumacza opuszczony, oczywiście, ze względów oportunistycznych, cały szereg pism największych Polaków jest na indeksie rzymskim i dla szczerego katolika cała dziedzina kultury narodowej, objęta pojęciem wolności sumienia i badania, musi leżeć ugięta, bo panuje u nas przecie ciągle jeszcze ten duch, który nie pozwolił pochować zwłok wielkiego Polaka, Słowackiego, na Wawelu za jego krytyczny stosunek nie względem dogmatu, lecz względem polityki Kurji. Towiański, który jest reformatorem moralności życia religijnego, jak każdy inny reformator, domagający się, aby rzeczywistość odpowiadała ideałowi chrześcijańskiemu, uznany został za mistyka, chociaż myśl jego jest taka jasna. Znakomity historyk literatury polskiej, Tarnowski, zgodził się, że krytyka Mickiewicza, wymierzona przeciw urzędowemu Kościołowi była uzasadniona i że tkwiła w rzeczy najsmutniejszej ze wszystkich, jaką jest „sprzeczność pomiędzy czynem lub słowem władz kościelnych a sumieniem uczciwego człowieka”, a jednak, pomimo, że Mickiewicz stanął po stronie tego sumienia, polski historyk literatury wytłumaczył to sobie obłędem genialnego poety. Już Goszczyński spostrzegł i napiętnował tę przewagę, jaką ma zawsze i wszędzie katolicyzm nad polskością. Kunktatorski Skrzynecki więcej myślał o zadowoleniu swego spowiednika, niż o losie Polski...

Regier uważał bardzo pilnie na każde słowo gościa, ale choć podziwiał jego wzrastający zapał, nie rozumiał

wciąż jeszcze do czego on zmierza i zapal jego zupełnie mu się nie udzielał.

— Jakie wnioski wysnuwa pan z tych wszystkich założeń? — zapytał wreszcie.

— Czy pan naprawdę nie odczuwa, jakie to ważne — dziwił się Joergens — że nie mając nad sobą żadnej władzy zagranicznej, nie uznając żadnych indeksów książek zakazanych, nie potępimy tem samem ani Słowackiego za jego męski odruch względem polityki papieskiej, nie przypiszemy z Tarnowskim Prelekcji Paryskich Mickiewicza obłudowi genjalnego wieszczka, nie będziemy ze Skrzyneckim wybierali między zadowoleniem spowiednika a pomysłnością Ojczyzny. Czy to jeszcze mało — coraz bardziej zapalał się Joergens — że możemy studjować równie dobrze Trentowskiego jak Cieszkowskiego Ojczyzna nasz, możemy zachwycać się Kordjanem Słowackiego i buntowniczymi wierszami Konopnickiej „Do Ojców Zmartwychwstańców“ i nikomu na całym świecie nie potrzebujemy się z tego spowiadać, bo sumienie nasze pozwala nam służyć ludzkości przez Ojczyznę i z nią się zupełnie utożsamiać, nie oglądając się na kogokolwiek, czy mu się to podoba, czy nie?... Czy to jest mało?

Regier rozumiał, a raczej odczuwał, że pan Joergens ma rację, ale przyzwyczajony do skrętnego gromadzenia przesłanek dla wysnucia z nich wniosków bezwzględnie pewnych, nie czuł się jeszcze przekonany.

— Naturalnie, że nie wątpię — podjął Joergens swoje wywody tonem spokojniejszym, jakby dla załagodzenia wrażenia swego ostrego tonu — iż wszystkie dzieła wielkich Polaków, będących dzisiaj na indeksie, zajmą najpocześniejsze miejsce w panteonie kultury naszej, ale czuwać nad nimi musi przynajmniej garść ludzi, aby nie popadły w zapomnienie.

— To jest przesada — rzekł Regier.

— A Szymon Budny? — odparł z miejsca Joergens.

— Na tysiąc oświeconych Polaków znajdzie pan trzech, którzy o nim słyszeli, a jeśli chodzi o takich, którzy wiedzą, kim był, to w całym narodzie poza specjalistami znaj-

dzie się ich kilkunastu, a przecie to był genialny badacz i myśliciel, który wyprzedził o całe stulecia dzisiejszą krytykę tekstów Pisma św. Jest zapomniany. Takich jest niezawodnie więcej, a mogą się pomnożyć.

— Nie przypuszczam, aby było aż tak źle. Dzisiaj ogół nie liczy się z żadnymi indeksami — mówił Regier.

— Ale jutro może liczyć się będzie. Uważam, że wielki pisarz spełnia swoje zadanie w narodzie tylko wtedy, gdy jest znany nie tylko specjalistom i gdy myślami swymi wpływa na cały naród.

— Czy sądzi pan, że garść Polaków wyznania ewangelickiego może narodowi oktrojować niejako to, co naród odrzucił jako nieprawowierne? — pytał Regier.

— Nawet o to nie chodzi. Podnosimy poprostu to, co katolicyzm z kultury narodowej odrzuca, a co my uważamy za wysoce cenne. Przyjdzie czas, że klejnotami temi podzielimy się z całym narodem. Otóż, powracając do mojej misji, powiem, że kolegum kościelne każdego zboru ewangelickiego jest od tego, aby czuwała nad cennymi zdobyczami ducha, jakimi bezsprzecznie są wolność sumienia i wolność badania. Zasada ewangelicyzmu jest wielką zasadą, która zdobyła dla siebie już cały świat, ale zasada ta ma swoje źródło w sumieniu i mogłaby zginąć, gdyby nie była pilnie strzeżona i bezustannie utwierdzana przez życie.

— Sądzi pan zatem, że ewangelicyzm jest ojcem demokracji i wolności sumienia oraz wolności badania?

— To przecie nie ulega najmniejszej wątpliwości i całe dzieje reformacji uzasadniają nam to — odparł Joergens. — Niech pan porówna nasz wiek złoty z wiekiem księdza Baki i księdza Chmielowskiego, a otrzyma pan przykład, co to jest wolność sumienia, a co to jest niewola ducha.

— Zgoda, ale strzeżenie tych dóbr nie jest wyłącznym przywilejem ewangelicyzmu, bo każda konstytucja dzisiejsza gwarantuje je obywatelom.

— Zapewne, ale niech tylko znikną z sumień, to znikną i z konstytucji. Dzieje świata rozgrywają się na świe-

cie, ale ich źródłem są sumienia i umysły. Jeśli religja stanie się dla wszystkich jałową teorią, przyjmowaną łaskawie do czyjejs tam obojętnej wiadomości, albo jeszcze lepiej do wzgardliwego lekceważenia, to świat zmienić się musi do gruntu. Oczywiście nie na lepsze.

— Przyznam się panu, że ten bieg myśli jest mi już nieco obcym — mówił Regier. Przeżyłem wiele wątpliwości religijnych i moralnych, a dzisiaj uważam, że religja nie jest jedynym źródłem moralności. Przeciwnie, widziałem na własne oczy, że pewne formy religji skłaniają natury poziome i płytkie do lekceważenia tego, co nazywamy grzechem. U nas zaś, gdzie religja katolicka stała się synonimem polskości dla bardzo wielu, spoistość narodowa czyni pożądanem, aby cały naród wyznawał możliwie jedną religję.

Pan Joergens rezygnował. Rozmowa z porucznikiem zaczynała go męczyć. W jego oczach widać było wyraźne rozczarowanie, chociaż z ust nie znikał uśmiech. Już tylko przez grzeczność odpowiedział na wywód Regiera.

— I ja cenię jedność, szczególnie w naszych warunkach, ale nie uważam, że dla jedności w indyferentyzmie i gnuśności myśli i serc warto poświęcić tak cenną zdobycz ducha, jak wolność sumienia i badania. Gdyby kresy wschodnie albo zachodnie przyjęły kulturę polską i zespoliły się nią całkowicie, to nie uważałbym tego za nieszczęście, gdyby pozostały przy swoich dotychczasowych wyznaniach religijnych. Ekskluzywizm wyznaniowy w Polsce odpycha równie potężnie, jak potężnie pociąga kultura narodowa polska. Człowiek dla umiłowanej sprawy odda wszystko, ale wierzenia swoje zachowa sobie nawet wobec przemocy, ba, szczególnie wobec niej, i pozbędzie się ich tylko z życiem.

Regier słuchał dowodzeń Joergensa i milczał. Nad głową, w koronie włoskiego orzecha poświstywał jakiś wesoły ptaszek rozradowany życiem i wiosną, w porannem słońcu pachniały kwiaty, a cisza uspasabiała do zadumy.

— Niech mi pan wierzy — zaczął Joergens nanowo po chwili milczenia — że jedność narodową cenię tak bar-

dzo, iż dawno byłbym przyjął katolicyzm, gdybym był mógł. Ale — zrobił pauzę, jakby nabierał oddechu — Polsce oddam wszystko aż do życia włącznie, za to wszakże, że mi ta Polska pozostawi najzupełniejszą wolność wiery lub niewiery i to nie tylko na papierze, ale w życiu, w całej tej powszedniej rzeczywistości. Kto katolicyzm uważa za postać prawdy odpowiadającą jego sumieniu, ten powinien go przyjąć. Ja nie mogę. Zasada ewangelickiej niepodległości ducha jest dla mnie wszystkim.

— Jestem bardzo zawstydzony, że nie mogę dotrzymać panu placu w tej dziedzinie myśli, bo sprawy, które pan porusza, są mi prawie zupełnie obce — tłumaczył się Regier. — Ale będę o tem wszystkim myślał i jeśli dojdę do takich wniosków, jak pańskie, to zastosuję się do nich zupełnie szczerze.

Pan Joergens wstał i wyciągając do Regiera rękę na pożegnanie, rzekł do niego z uprzejmym uśmiechem:

— Przepraszam za mitręgę. Nie wskórałem wprawdzie, ale też nie byłem tu nadarmo. Jeśli pan zechce rozmyślać o tych sprawach, to będzie bardzo dobrze. Jasność i wyrazistość we wszystkim jest rzeczą nad inne cenniejszą.

Regier nie zatrzymywał gościa, nie mając mu nic do powiedzenia, ale obiecał sobie, że wszystko gruntownie rozważy i sam uda się do niego, aby powiedzieć do jakich doszedł wniosków.

Po odejściu Joergensa został w ogrodzie z dziwnym uczuciem, że ten nieuchwytny, kwietystyczny nastrój, jakim tchnęła na niego poezja i jego własne usposobienie do poddania się słodkiemu lenistwu ciała i myśli, rozwiane zostało przez wymaganie życia, które przyszło do tego ogrodu, aby zażądać od niego wyznania wiary.

* * *

Przez kilka dni składało się tak, że Regier nie miał możności porozmawiania z Ludką, chociaż bardzo tego pragnął. Przesiadywała u niej panna Joergens, a gdy wieczorem odchodziła do domu, to najczęściej przychodził

Stępień na pogawędki, przyczem rozpoczynał takie zasadnicze dyskusje, że o spacerze z Ludką nie można było marzyć. Irytowało go to tembardziej, iż z całego zachowania się siostrzenicy, z minek, pomrugiwań, uśmiechów, musiał się domyślać, że miała mu niezawodnie dużo ciekawego do powiedzenia.

Czasem dla rozrywki wychodził na spacer z Władkiem i słuchał jego bardzo wytrawnych rozpraw o sporcie, ale przy tej sposobności porównywał go z Ludką i współczuł mu, że nie ma on tej intuicji, jaka była udziałem jego siostry. Regier zamało interesował się kobietami, aby здаwać sobie sprawę z różnic, jakie istnieją między psychologią męską a kobiecą; wydawało mu się tedy, że różnice dostrzeżone między rodzeństwem są czysto indywidualne i przypadkowe. Było mu Władka żal z tej racji, bo wiedział, że uczy się on bardzo dobrze i że gdyby posiadał czujną inteligencję Ludki, to mógłby zejść bardzo daleko. Pewnego razu po śniadaniu, gdy został z siostrą sam w pokoju stołowym, zaczął o tem mówić.

— Czy nie zauważyłaś, Aniu, jaka wielka różnica istnieje między Władkiem a Ludką, co do bystrości umysłu? Władek będzie miał na maturze stopnie daleko lepsze od Ludki, a jednak Ludka góruje nad nim ogromnie.

Pani Anna uśmiechnęła się na tę uwagę brata i odpowiedziała:

— Nie Ludka jest uprzywilejowana, ale Władek. Taką już jest niesprawiedliwość natury, że mężczyzna jest i mocniejszy i uczeńszy i mądrzejszy od kobiety. Ludka jest już u szczytu swego rozwoju; co jej przybędzie, to już tylko doświadczenie, natomiast Władek ma do niego jeszcze daleko. Kobieta nie buduje pracowitych wniosków, ale odgaduje, mężczyzna natomiast gromadzi przesłanki i wysnuwa z nich następnie bardzo solidne wnioski. Władek zaczyna myśleć samodzielnie około trzydziestego roku życia, aie już dzisiaj góruje nad siostrą powagą swego stosunku do wielkich zagadnień życia.

— Czyżby tak było istotnie? — powątpiewał Regier. — Wprawdzie można się o tem doczytać w każdym podręczni-

ku psychologii, ale nie przypuszczam, aby różnice mogły być takie grube.

— A jednak tak jest — przyświadczyła pani Anna.— Pamiętam coś niecoś z życia własnego i patrzę uważnie na swoje dzieci, i nietylko na nie. Naprzykład Władek przynosi sobie do domu różne książki i zaczytuje się w nich, podczas gdy u Ludki nigdy takiej ciekawości nie widziałam. Interesowały ją raczej cliwe powieści.

— Jakież to książki czytuje Władek? Romanse? — zaciekał się Regier.

— Nie, książki naukowe, ale bardzo różne. Wyobraź sobie, że kiedyś zastałam go nad „Życiem Jezusa“, Renana. Przeraziłam się, oczywiście, bo słyszałam wiele złego o tej książce. Ale on powiedział mi przy tej sposobności bardzo mądre słowo. Że musi sobie w życie wynieść wiarę tak mocną jak skała i dlatego musi posłuchać koniecznie, co mają do powiedzenia przeciwko niej uczciwi przeciwnicy. Powiedział mi też, że każdy normalny człowiek wierzyć pragnie i musi, i dlatego nawet u przeciwnika szuka tego, co tę wiarę pogłębić może.

— Władek? Ten sportowiec? — dziwił się Regier.

— Tak, Władek — powtórzyła z dumą. — Powiedział mi zupełnie spokojnie, że jeśli wiara jest taka słabiutka, iż nie wytrzyma przeczytania książki Renana, to nie trzeba jej żałować, bo jej niezawodnie wcale nie było. Ale najbardziej podobało mi się, gdy zadarł głowę do góry i powiedział: Zresztą, jestem ewangelikiem i mam prawo sumieniem kierowanym dobrą wolą i rozumem danym nam przez Boga wszystkiego doświadczać i trzymać się tego, co jest dobre. Powołał się przytem na rozdział i werset odpowiedniego listu apostoła Pawła, z czego widziałam, że czytuje nietylko Renana.

Regier nie mógł wyjść z podziwu, że ten Władek, którego uważał za takiego ograniczonego sportowca, w tak męski i mężny sposób wywalczał sobie wiarę religijną. I on przecie czytywał niegdyś Pismo święte, ale zapomniał o niem zupełnie i dzisiaj nie umiałbym się powołać na apostoła Pawła, jak to uczynił jego siostrzeniec dla uzasadnie-

nia swego postępowania. Postanowił w duchu, że zabierze się natychmiast do czytania ewangelji i listów apostołskich.

— To są bardzo mądre słowa, jak na takiego chłopca — rzekł z uznaniem. — Jestem głęboko przekonany, że jeśli wierzył szczerze, to Renan nie mógł mu wiary odebrać albo zachwiać.

— I rzeczywiście, nie odebrał. Przyniósł mi tego Renana i powiada: Niech to mamusia przeczyta, to bardzo ładna opowieść. Spojrzałam na niego ogromnie zdumiona, a on mi powiada: Wiara, kochana mamusiu, to nie jest kupno domu: kupilem, przepisałi u rejenta i mam. To jest bezustanna walka o posiadanie. Dzisiaj trzeba ją sobie obronić wobec nieprzyjaciela, który w nic nie wierzy i ze wszystkiego drwi, jutro uderzy w tę wiarę katastrofa kopalniana, w której zginie kilkudziesięciu najpracowitszych ludzi i osieroci mnóstwo drobnych dzieci i żon, pojutrze wypadnie zmagać się o nią z jakimś materjalistą i ateistą, przed którym uciec nie pozwala moja дума chrześcijańska. Unikanie walki to słabość. Dopóki człowiek nie będzie wszechmocny i wszechwiedzący, to wiara będzie mu potrzebna, jak powietrze do oddychania i będzie do niej musiał wracać, ilekroć wydawać mu się będzie, że już może ją rzucić.

— Patrzajcież, to ten Władek takie prowadzi z tobą rozmowy! — dziwił się Regier coraz bardziej.

— Ogromne mam do niego zaufanie — mówiła dalej pani Anna. — Kiedyś otworzyłam jego notatnik i na pierwszej stronie u góry wyczytałam jakąś sentencję łacińską, a pod nią źródło: Proverbia Salomonis, 1, 10. Domyśliłam się, że to Przypowiadci Salomonowe i zajrzałam do Biblii. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się ucieszyłam, gdy zobaczyłam te słowa: „Synu mój, gdyby cię namawiali grzesznicy, nie przyzwalaj”. Zrozumiałam nawet te delikatne względy, dla których napisał to sobie po łacinie.

Oboje milczeli przez chwilę, aż wreszcie pani Anna zapytała:

— Jak ci się podobał pan Joergens?

Regier zrozumiał, oczywiście, że siostrze nie chodzi o jego zdanie o człowieku, ale o to, czy się z sobą porozu-

mieli, czy nie. Było mu przykro, iż nie miał dla siostry takiej odpowiedzi, jakiej od niego niezawodnie oczekiwała. Znał tego Joergensa od lat bardzo wielu i miał dla niego taki sam szacunek, jak jego siostra. Wiadomo o nim było, że jeszcze w wieku bardzo młodym stracił korzystne miejsce w wielkiej firmie dla swojej postawy zdecydowanie ewangelickiej, że właśnie wtedy założył w Zabłoniu farbiarnię, która nie mając konkurencji w całej okolicy, rozwinęła się wspaniale i dawała mu znaczne dochody. Jako ewangelik został oczywiście wysłany do Rosji, a gdy powrócił, znalazł dorobek całego życia w zupełnej ruinie. Trzeba było zacząć od nowa, co było tem trudniejszym, że nie posiadał kapitałów rozporządzalnych. Pieniądze miał polokowane tak, że musiał czekać na ich oddanie do jakichś bliżej nieokreślonych dobrych czasów, a nawet liczyć się z tem, że ich nigdy nie otrzyma.

— Odbieśliśmy tak niepotrzebnie od tematu, że nawet nie poruszyliśmy tej sprawy, dla której pan Joergens przyszedł do mnie — odrzekł Regier wymijająco.

— Ale wiesz, że chciano cię wybrać do kolegium kościelnego?

— Domyśliłem się tego raczej...

— Odrzuciłeś? — rzuciła pani Anna pytanie i czekała na odpowiedź z zapartym oddechem.

— Nie miałem sposobności do odmowy. Filizofowaliśmy na temat stosunku religji do narodowości. Joergens dał mi wiele do myślenia. Najchętniej poszedłbym do niego, żeby zgłosić swoją kandydaturę, tylko doprawdy nie wiem, czy mam prawo.

— Do czego?

— Do przyjęcia takiego urzędu. Ja mam tyle wątpliwości i zastrzeżeń...

— Przypuszczam — mówiła pani Anna — że te wątpliwości powstały w tobie bardzo niedawno, bo w przeciwnym razie byłbyś się ich już pozbył. Cieszę się, iż masz wątpliwości, a nie jesteś obojętnym dla spraw tak ważnych, jak religja. W rozmowach z Władkiem zrozumiałam, jak ważną rzeczą są wątpliwości. Człowiek obojętny nie wątpi, a

wątpiący, to jest ten, który chce wierzyć. Zresztą, jak powiada pan Joergens, wiara rodzi się dopiero w czynnym życiu, gdy staje się potrzebna. Co człowiekowi potrzebnem nie jest, to nie posiada dla niego żadnej wartości.

— Jakto? zdziwił się Regier. — Cieszysz się, że mam wątpliwości? Zawsze słyszałem, że są one czemś grzesznem, złem, niedowiarstwem, godnem potępienia...

— Zapewne, że błogosławiony jest człowiek, który nie zna wątpliwości, ale kto je poznaje i pokonywa, ten jest bogatszy o całe doświadczenie przebytej walki i tem mocniejszy staje do każdej walki następnej — zawołała pani Anna z taką pewnością siebie, iż widać było, że słowa wypowiedziane nie są improwizacją, ale owocem głębokich przemyśleń. Ponieważ Regier milczał, więc mówiła dalej o Władku:

— My kobiety przyswajamy sobie najczęściej przekonania i zdania tych, których kochamy. Ja jestem pod wpływem Władka, który, jak widzisz, jest bardzo mądrym chłopakiem. Zawsze marzyłam o tem, że weźmie się on do życia praktycznego, że zostanie, dajmy na to, inżynierem, i że będę mogła przekazać mu fabryczkę, ale coraz częściej słyszę od niego, że będzie studjował teologję. Oczywiście, że chociaż jest to dla mnie pewną niespodzianką, nie odwodzę go od tego zamiaru...

— Więc Władek chciałby zostać pastorem? Taki sportowiec i siłacz...

— Wydaje się nam to dziwne, ale tylko dlatego, że nie wiadomo dlaczego przyzwyczailiśmy się wyobrażać sobie duchownego na obraz i podobieństwo średniowiecznego ascety jako chude i słabe chuchro bez mięśni i siły. Zresztą mniejsza o to! Cóż to ja chciałam powiedzieć?... Aha! Otóż mój Władek powiedział mi kiedyś, że dla moralnego indyferenta wolność sumienia jest tak obojętną, jak dla Papuasa wolność badania... Mówię ci to, ale już nawet nie przypominę, dlaczego ci to koniecznie chciałam powiedzieć. Tak dużo mam na głowie...

— Powiedziałaś mi to, kochana siostruniu, pewno dlatego, żeby mi pokazać, że ewangelicyzm ma swoje wielkie wartości — rzekł Regier z wielką powagą. — Cóż ja ci od-

powiem? Masz rację zupełną. Moja wielka wina, że żyłem długo zdala od zagadnień i spraw religijnych w środowisku, dla którego religija była czemś konwencjonalnem, co równie dobrze mogło być, albo i nie być. Teraz, gdy znalazł się śród ludzi, dla których ona jest czemś żywym i bezpośrednim, jestem mocno zdezorientowany. Ale jestem przekonany, że się niebawem odszukam.

Pani Anna uścisnęła brata i pocałowała go serdecznie.

Nigdy nie wątpiłam, że jesteś przystępny dla prawdy i prawdziwości. Nie boję się o ciebie, jak nie boję się o Władka. Ale muszę już iść, bo w fabryce na mnie czekają. A ty, kochany Stachu, pomyśl dobrze o wszystkim i jeśli to będzie możliwem dla ciebie, to pozwól wybrać się do kolegjum kościelnego. Czy wiesz o co im chodzi?

Co za „im“?

— Joergensowi, pastorowi i innym niedobitkom naszego zboru. Chodzi im o to, abyś samą obecnością swoją w kolegjum zachęcał innych do śmiałego przyznawania się do ewangelji. Rosjanie utożsamiali nas ewangelików z Niemcami, zła wola czyni to jeszcze dzisiaj. Ty, jako oficer polski, który patriotyzmu swego dowiódł, możesz pociągnąć tych, którzy stoją zdala i cierpią skutkiem tego utożsamienia. Widzisz, że masz sposobność do wykazania odwagi cywilnej, która bywa trudniejsza od wojskowej. Jesteś jako cywil odważny, czy nie?

Regier śmiał się serdecznie z tego skutecznego werbunku siostry. Czuł się pokonanym zupełnie. Jakieś wspomnienia z dawnych lat wionęły nań całą mocą i rzuciły mu żar do oczu. Broniąc się przed wzruszeniem, śmiał się tem głośniej.

— Jestem rozbrojony, kochana Aniu. Masz rację najzupełniejszą, ale nie powinno ci ująć na sucho, że dopuściłaś się rozbrojenia porucznika Sztabu Generalnego. To kryminał, jak mówią w wyżej wspomnianym Sztabie.

Śmieli się oboje szczęśliwi i radzi, że zrozumieli się ostatecznie. Pani Anna poszła do pracy, a Regier wyszedł do ogrodu z zamiarem znalezienia Ludki, żeby z nią porozmawiać i dowiedzieć się czegoś o jej intrygach. Nie zna-

laż jej, a od służącej dowiedział się, że poszła do panny Joergens. Zawrócił tedy do pokoju, wziął Nowy Testament i postanowił odszukać miejsce, w którym apostoł Paweł zaleca wiernym, aby wszystkiego doświadczyli. Przerzucił kartki Listu do Rzymian i zaczął szukać w I Liście do Koryntjan w przekonaniu, że słowa szukane same rzucą mu się w oczy. Ale w oczy rzuciły mu się słowa inne. Na pierwszej stronie Listu do Koryntjan wyczytał: „Albowiem mowa o krzyżu tym, którzy giną, jest głupstwem, ale nam, którzy bywamy zbawieni, jest mocą Bożą...”

Przestał szukać słowa tamtego i zamyślił się nad tem słowem Pawłowem, napotkanem tak nieoczekiwanie, że mowa o krzyżu jest głupstwem dla tych, którzy giną. Myśl jego utknęła na tych słowach i powtarzała je sobie raz za razem: „Tym, którzy giną; tym, którzy giną...” Zapatrzył się przez otwarte okno na motyle polatujące w słońcu, zamknął Nowy Testament, i powoli, nie śpiesząc się, wyszedł z domu. Czuł potrzebę swobody i ruchu, aby wolnem powietrzem i w blaskach słońca zastanowić się głębiej, co by to słowo apostoła znaczyć miało.

* * *

Dni płynęły spokojnie i monotownie. Wieści, jakich Regier spodziewał się od Ludki o Helenie, ciągle jeszcze kazały na siebie czekać. Nie chciał sam pytać, a nikt mu o niej nic nie mówił, tak że ostatecznie nie wiedział czy już do Zabłonia wróciła, czy może powrót zapowiedziała. Ludka po wylewie uczuć owego wieczora stała się powściągliwą w słowach, jak gdyby nie miała nic ciekawego do powiedzenia ani o sobie, ani o Helenie, bo mówiła o wszystkim innem, tylko nie o tem, o czem tak bardzo byłby chciał słyszeć

Niemal codzień przychodził na gawędkę Stępień, panna Joergens grywała i śpiewała wieczorami w salonie odwiedzanym przez małe kółko przyjaciół, Wladek mówił o nowych rekordach sportowych albo zamykał się w pokoju nad nową książką. Niepostrzeżenie dla wszystkich upłynęła pierwsza połowa czerwca. Po dniach słonecznych i jasnych, przyszły dni pochmurne a wreszcie zaczęły się deszcze. Pa-

dały te deszcze w cudownem wycieniowaniu, od ledwo dostrzegalnego mżenia aż po szumiące krótkie ulewy, po których raptem rozdzierały się chmury i na mokry świat padały złote promienie słoneczne, czyniąc z kałuż na ulicy płynne złoto, a z każdej kropli na liściu tęczący djament.

Regier przesiadywał teraz całemi dniami w altanie, a gdy przychodziła pani Anna z dziećmi albo Stępień, to Regier każdemu z nich wykladał szczegółowo i z wielkim zapalem o niezrównanem pięknie deszczów świętojańskich, jakich, zdaniem jego, niema na całym świecie.

— Słuchajcie tylko — mówił w istnem natchnieniu, — takiej symfonji nie zagra wam żadna orkiestra. Macie tu wszystkie możliwe odcienie od fortissima aż po pianissima ledwo wyczuwalne i takie mnóstwo przemian w rytmie, że poprostu wierzyć się nie chce, żeby przyroda była aż taka muzykalna. Padają sobie krople i kropelki na liście różnego kształtu i różnej grubości z większą lub mniejszą siłą, szybciej lub wolniej, a rezultat jest taki, że...

— ...siedzi wujcio, jak Żyd w kuczce i odprawia te swoje deszcze świętojańskie i jeszcze jest kontent — dokończyła Ludka. — Ja tam wolę porządną orkiestrę wojskową, gdy idzie sobie środkiem ulicy z takim ogromnym bębniem i pobrzękuje do tego mosiężnymi miskami, które błyszczą jak złoto. Albo jeszcze lepiej niech będą ułańscy trębacze na koniach, wtedy uciecha jest daleko rzetelniejsza, niż takie cywilne deszcze świętojańskie.

Regier próbował perswazji, bo naprawdę był nieszcześliwy, że taka ładna i mądra Ludka nie chce przystać na jego ulubione deszcze świętojańskie, ale dziewczyna była uparta i wytrwała.

— Nie uznaję żadnej orkiestry naturalnej, musi być uczciwa dęta albo rżnięta z basetlami i bębnami, jak się należy.

— No i wojskowa naturalnie — uzupełniał wujek, mrużąc oko.

— Niech wujcio da spokój złośliwościom, bo jak ja zaczną być złośliwa, to się wujcio niepotrzebnie zrazi do płci pięknej.

— Czy naprawdę jesteś taka zła, jak się malujesz?
— Przepraszam, ale jeśli jestem zła, to bez malowania! — odcięła się ostro.

— Bo widziałem cię już złą z malowaniem.

— O, pfe, wujku — oburzała się z wielką indygnacją — nie myślałam, że mi wujek przypomni tamten wieczór w taki sposób. Rozplakałam się przecie przez takiego brutalnego wujka i musiałam sobie trochę przypudrować twarz, ale się przecie nigdy nie maluję!

Regier musiał się śmiać z tej dyskusji malowniczej i dokuczał siostrzenicy dalej:

— Jeśli tak, to tem bardziej podziwiam twój dar przewidywania. Zabierając puder do torebki, przewidziałaś, że będziesz płakała i że wyjątkowo będzie ci potrzebny.

Ludka pokazała wujkowi język i pobiegła ku domowi, chociaż deszcz padał rześisty. Ale gdy przebiegła w deszczu połowę drogi, zawróciła na miejscu, powróciła do wujka i mówiła zadyszana:

— Wzruszam się sama sobą, że jestem taka dobra dla tego niegodziwego wujka. Nie wie to wujek, co trzeba dzisiaj zrobić? Niech się w te pędy zabiera i idzie zaraz z powinszowaniem!

— Do kogóż to znowu?

— Jakto do kogo? Przecież dzisiaj świętego Antoniego! Profesor Stępień ma imieniny i wszyscy mu już pewno winszowali. Ładnie wujcio pamięta o swoich przyjaciółach!

— O, moje dziecko, jeśli tak, to trzeba śpieszyć. Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Skąd mogłam przypuszczać, że wujcio nie będzie pamiętał o imieninach profesora, który przecie codzień przychodzi!

Regier poszedł tedy do Stępnia z powinszowaniem. Zastał tam kilka osób rozprawiających o wydarzeniach. Zwrócili się wszyscy do niego jako do sztabowca z najróżniejszymi pytaniami, na które nie umiał jednak odpowiedzieć, bo sam nic nie wiedział, co irytowało go bardzo. Na szczęście brano jego szczere przyznanie się do nie-

świadomości za dyplomatyczną powściągliwość i podziwiano nawet sztukę panowania nad, taką przecie ludzką, skłonnością do imponowania bliźnim częścią swojej wszechwiedzy. Był przekonany, że jeśli nawet na froncie nie dzieje się tak, jakby sobie tego życzyć należało, to w każdym razie pesymizm należy uważać za równie skłonny do przesady, jak optymizm. Powiedział na ten temat kilka komunałów i pouczał tych, co mówili o przerwaniach frontu, że nie orientują się zupełnie w charakterze naszej wojny, która przy olbrzymiej długości frontu i braku odpowiednio licznych wojsk z jednej i drugiej strony nie może być pozycyjną.

Był zły na Ostrozora, że dzięki jego milkiwości nie wiedział nic więcej ponad to. Chociaż niejako z obowiązku i z dumy żołnierskiej nie poddawał się niepokoju i nie dzielił się nim z innymi, to jednak nie był wolnym od niego. Pożegnał się ze Stępnem i jego gośćmi i szedł do domu z zamiarem napisania do Ostrozora i zażądania jakich takich informacji. Deszcz przestał padać, ale szare chmury wisiały nisko i rzucały takie ponure cienie, jakie włóczą się po świecie późną jesienią, kiedy trudno jest uwierzyć w możliwość powrotu wiosny. Chodniki i bruki ulic wyschły już po ostatnim deszczu, a ich milcząca, wymyta szarość miała wyraz jakiegoś struchlenia. Cała natura zdawała się poddawać niepokoju, który targał serca ludzkie. Na pustej ulicy świergotały wróble, z niedalekiego podwórza ozwało się wołanie handlarza szmat, stłumione jakieś i nieśmiałe.

Regier rozglądał się za chłopcem z gazetami i był zły, że żadnego nie widać. Wiedział wprawdzie, że z gazety dowie się niewiele, ale było mu potrzeba wiadomości jakiegokolwiek. Na placu koło kościoła ujrzał wreszcie obdartusa z pękiem gazet pod pachą; stał oparty o płot i pogwizdywał zcicha. Zawołał na niego i zapytał o najnowsze dienniki.

— Cóż to, nie biegacie już z gazetami, że szukać was trzeba? — rzędził, gdy chłopak podawał mu pisma.

— A bo proszę pana, jak niema wesołych wiadomości, to niejako wykrzykiwać — odpowiedział gazetciarz.

Oddalając się, rzucił Regier okiem na szpalty pisma, przyjął jakby mimochodem do wiadomości przesilenie gabinetowe, planowany czy postanowiony podział Cieszyńskiego, zamierzone spotkanie ministrów spraw zagranicznych, Patka i Benesza, głodowe rozruchy w Rosji, i rzucił się na komunikat z placu bojów, ciężkich, złych, toczonych jakby w mroku, gdy nic wyraźnie dostrzec nie można. Wojska polskie cofały się stale i nie widać było nic takiego, co mogłoby pocieszać i dodawać otuchy. Złożył gazetę i wetknął ją ze złością do kieszeni. Udzieliła mu się posepność dnia i jęły mu się przypominać jakieś dawne przeżycia pełne smutku. Brak wiadomości o Helenie, wyczekiwanym przez kilka tygodni, milczeniu Ostrozora, trwożliwe wieści z frontu, przysuwającego się coraz bardziej, wszystko to usposabiało go jak najgorzej. Był zły, nie wiedząc nawet na kogo i za co.

Po powrocie do domu napisał do Ostrozora długi list, ale czytając go przed zaadresowaniem, zirytował się jego nerwową treścią i formą rozwlekłą; podarł go rzucił do kosza i cisnął pióro na biurko, jakby ono było winno całej jego niedoli. Najlepiej będzie, gdy się wybierze do Warszawy i dowie się o różnych ważnych sprawach na miejscu. Może ostatecznie pojechać każdej chwili, ma tego Zabłonia dość. Resztę dnia przewalał po ogrodzie próbując czytać, a gdy się ściemniło, usłyszał grę panny Joergens i cicho, aby nikomu nie przeszkadzać, zakradł się do salonu i usiadł przy drzwiach nie witając się z nikim. Panna Aniela grała jakąś kompozycję o smutnym i powtarzającym się motywie, jak gdyby w samotnym domu płakała opuszczona kobieta, cicho, bezradnie, beznadziejnie. Zdawało mu się, że widzi samotny dom przy ustronnej drodze, gdzie nikt nie chodzi, a w tym domu płaczącą kobietę, wypominającą życiu wszystkie obietnice szczęścia i wszystkie bolesne zawody. Wysilał pamięć, gdzie to on widział taki ponury samotny dom przy omijanej ulicy, ale nie mógł sobie tego przypomnieć. Natomiast przypomniał mu się

jeden z najsmutniejszych jego dni w warszawskim szpitalu. Bez szelestu, jak złodziej, wykradł się z salonu i długo chodził po mrocznych ulicach, wśród ciemności rozprasza-nych tylko miejscami przez kopzące latarnie naftowe. Pa-rę razy bezwiednie zaszedł przed dom, w którym dawniej mieszkała Helena.

„...a teraz niewiadomo gdzie jest i zapłakuje się pewno na śmierć” — przypomniały mu się słowa Lukdi. Ogarniał go wielki bezradny żal marnowanego życia, z którego nikt nie ma pożytku, a które dla niego nie jest radością i szczę-ściem. Z przenikliwą jasnością rozumiał teraz, że ani stu-dja naukowe, ani służba w wojsku nie są tem, co mogłoby gnione i pożądane do niedawna, wydało mu się rzeczą mu dać szczęście. Nawet spotkanie z Heleną, takie upra-bliżą, która musi przynieść rozczarowanie bardzo rychło. Ironiczna pamięć przyniosła mu z jakiejś zapomnianej dali własnego życia słowa mędrca żydowskiego: „Wszelki za-mysł na czas i przyczyny, aleć wielka bieda trzyma się człowieka...”

Rozumiał, że życie przynosi mu chwile stagnacji du-chowej, które trzeba będzie jakoś przeczekać. Pomyślał o Władku i jego walce o wiarę. Jutro zabierze się sam do roztrząsania tych wielkich spraw, które dotychczas lekce-ważył, i nie ustanie, dopóki w duszy nie będzie spokojnie i jasno.

* * *

Pod koniec czerwca było Regierowi w Zabłoniu tak ciasno i duszno, że pakował kuferek i postanawiał wyje-chać natychmiast. Wieści z frontu przychodziły coraz mroczniejsze. O Helenie nie dowiedział się nic i zaczynał rezygnować. Po deszczach nastaly dni parne i męczące. Bezczynność stawała się Regierowi nieznośną, a do pracy niepodobna było zabrać się przy ogólnym nastroju przy-gnębienia i niepokoju. Całe otoczenie było zamilkłe, albo dzieliło się z sobą wieściami tak nieprawdopodobnie smut-nemi, iż zdawało się, że ludzie potracili zupełnie głowy i

poddali się fatalistycznej bierności, drżąc zarazem przed jej skutkami. Było nieznośnie ciężko.

Regier wyobrażał sobie jaka to gorączkowa praca musi teraz wrzeć w Sztapie Generalnym i wydawało mu się, że byłoby szczęściem i odpoczynkiem rzucenie się na głowę w odmęt tej pracy. Byłby już wyjechał do Warszawy, ale otrzymał od Ostrozora depeszę, aby czekał dalszych rozkazów w Zabłoniu i był gotowy do wyjazdu każdej chwili. Spakował się tedy i czekał, pragnąc wyjechać jak najprędzej, bo nie mógł patrzeć, jak siostra jego poplakiwała wobec konieczności rozstania się z bratem i wobec zapowiedzi Władka, że zaciągnie się do wojska na ochotnika. Uspakajał ją jak mógł, ale i sam byłby potrzebował kogoś, ktoby go był trochę uspokoił. Mogła to uczynić przedewszystkiem Ludka, ale była taka milkliwa, iż widać było, że targa ją wielki niepokój. Czytywała bardzo uważnie gazety i doskonale orjentowała się w sytuacji. Regier widział dlaczego tak bardzo interesuje się sprawami wojny. Współczuł jej serdecznie, tem bardziej, że niepokoju jej nie mógł, niestety, rozproszyć.

— Czy ty wierzysz, wujciu, żeby bolszewicy zamęczali naszych oficerów, wziętych do niewoli? — zapytała raz u pewnego, podnosząc oczy z nad gazety.

Chciał jej już odpowiedzieć, że dużo słyszał o takich niepotrzebnych okrucieństwach, ale zrozumiałwszy intencję pytania, roześmiał się głośno, aby zlekceważeniem pytania rozproszyć obawy siostrzenicy.

— Ach, ty niemądral! Przecież i my mamy jeńców bolszewickich, a na wojnie stosuje się po lichwiarsku prawo wzajemności. Za jednego odpowiada pięciu albo dziesięciu! — wołał tonem najgłębszego przekonania, aby ją uspokoić o losy porucznika Iweckiego.

— Więc wujcio nie wierzy? — patrzyła mu w oczy tak uważnie, że musiał się zebrać w sobie, aby odpowiedzieć z całym spokojem:

— Nie wierzę i nie wiem o niczem podobnem. Przecież takie rzeczy nie mogą pozostać ukrytemi, a prawo

wzajemności jest na wojnie okrutne. Zresztą byłoby przecie w gazetach.

— Widzisz, wujciu, ja mam trochę sceptycyzmu względem tych sprawozdań gazeciarskich i czytam je sobie krytycznie. Do wieści niepomysłnych trzeba zawsze dodać drugie tyle.

— No, a pomyślnie? — badał Regier.

— To zależy — odpowiedziała bez namysłu, jakby mówiła o rzeczy przemyślanej gruntownie. — Do jednych trzeba dodać wielkie mnóstwo czynników moralnych, które ogromnie podnoszą nieraz niewielki sukces i czynią go wielkiem zwycięstwem, inne trzeba sobie zrektyfikować stratami poniesionymi. To są rzeczy względne-relatywizm. Niejedna klęska jest może nieuniknionym etapem do zwycięstwa, a niejedno zwycięstwo jest torowaniem drogi do klęski.

Regier słuchał tych wywodów młodej dziewczyny z zachwytem i żalem. Czy to wojna uczyniła, że dzieci stały się tak tragicznie rozsądnymi?

— Jesteś ogromnie mądra niewiasta, moja Ludko — rzekł, aby coś powiedzieć. — Nie byłbym nigdy przypuszczał, że umiesz tak logicznie myśleć.

— Niech wujek nie wysławia myślenia jako cnoty — uśmiechnęła się Ludka melancholijnie. — Człowiek nie jest stworzony do myślenia, co widać już choćby z tego, że najlepiej czuje się wtedy, gdy nie myśli. Ach, ja tak lubiłam bezmyślność i ciepłą pogodę i wakacje i nowy kapelusz... Myślenie to kara za grzech pierwotny...

Nie dał jej dokończyć zdania, ale porwał ją w objęcia i zaczął się unosić nad jej niezwykłym rozumem.

— Nie wyobrażasz sobie, Ludko, jak ciężko będzie mi stąd wyjechać i zostawić was tu w takiej niejasnej sytuacji. Szkoda, że nie poznaliśmy się bliżej już dawniej. Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie wygłaszasz oryginalne zdania.

— Każdy człowiek, gdy walczy o swoje szczęście, jest oryginalny, podobnie jak człowiek broniący się przed utonięciem. W walce o szczęście jeden tłucze pięściami,

drugi wykręca się myślami, ale i jedna i druga walka jest na człowieka wymuszona przez nieszczęście. Człowiek jest pacyfista, a jeśli nawet musi koniecznie walczyć, to woli zabijać, niż być zabitym.

— Jakie to jest smutne, że zamiast cieszyć się życiem, filozofujemy na takie niewesołe tematy! — westchnął Regier.

— Rzeczywiście — przyświadczyła. — Ludzie szczęśliwi nie tworzą systematów filozoficznych. Gdyby tak wujcio pogadał z profesorem Stępnem, jak jest zły i nie ma pieniędzy, a żona wyprawia mu sceny z tej racji, toby dopiero zobaczył jak on umie filozofować. Co zdanie to aforyzm! Ja się od niego dużo nauczyłam.

— Jakto? Uczył cię filozofować?

— Specjalnie nie, ale jak miałam jakie trudne zadanie, a nawinał się akurat, to się do niego wdzięczyłam i przy tej sposobności tak się filozofowało, że aż mamusia uszy zatykała.

— A Władek? — pytał Regier.

— Władek jest zarozumiały mruk i młokos. Ma swoje własne myśli i zdaje mu się, że wszystkie rozumy pojadał. Jak kto wygłosi jakie mądre zdanie, to on zaraz powiada zjadliwie, że tego samego zdania jest Szekspir albo la Rochefoucauld, albo Leopardi.

Regier śmiał się, że Ludka uważała swego brata za młokosa, chociaż sama była od niego starsza zaledwie o niecałe dwa lata, ale chociaż śmiał się z jej wywodów, nie mógł oprzeć się żalowi, że taka młoda i ładna dziewczyna, jakby stworzona dla radości i szczęścia, zetknęła się już z tyloma ciężkimi troskami i to nietylko własnymi. Wiedział, że zabiega ona o zbliżenie go z Heleną, ale ponieważ nic mu nie mówiła, domyślał się, że musiała napotkać jakieś niepokonalne trudności. Pragnął powiedzieć jej coś miłego i serdecznego, coby ją ucieszyło i rozproszyło zarazem jej niepokoje.

— Wiesz, Ludka — rzekł po namyśle tonem umiarkowanie kordjalnym — za dwa trzy dni pojedę do Warszawy, czy gdzie mnie wezmą. Wtedy będę ci posyłał takie

solidne sprawozdania, że będziesz mogła pozbyć się swego krytycyzmu.

— Ciekawam, skąd je wujek weźmie.

— Jakto skąd? — oburzył się. — Sztab Generalny, źródło wszelkiej mądrości!

— Alboż tam wiedzą o każdym?

— O każdziuteńkim! — skłamał z premedytacją. — Jakże mu na imię?

— Stefan — odpowiedziała szeptem, oglądając się, czy kto nie słyszał. — Czy trzeba podać pułk i kompanję?

— Nie trzeba. To tam dobre dla cywilów, my, brać żołnierska, znamy się po cholewach. — Wyjął notatnik i zapisywał sobie imię i nazwisko tego porucznika, dla którego Ludka tak starannie odczytywała wszystkie sprawozdania wojenne.

— Kiedy ja taka jestem nieszczęśliwa — wybuchnęła nagle — że nie mogę odwdzińczyć się wujkowi tem samem. Aż mi się płakać chce. Naintrygowałam się tyle i wszystko na nic. Teraz wujek pojedzie, a ja nic nie wiem.

— Co się odlewczę, to nie ucieczę — odpowiedział wesoło. — Poślesz mi do Warszawy, czy gdzie akurat będę. Przyślę ci adres.

— Zgoda! — skinęła głową i podała mu rękę, żeby na nią liczył jak na Zawiszę.

Chciał jej jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili przyszedł Stępień z jakimiś alarmującymi wieściami i wyciągnął Regiera na miatso.

* * *

Drugiego lipca zrana do Zabłonia przyjechał jakiś starszy pan i zwrócił na siebie uwagę całego miasteczka swoim wyglądem i zachowaniem. Dopytywał się o profesora Stępnia. Opowiadała o nim panna Joergens, że to obywatel ziemski z Wołynia, Rakowski czy Ratomski, krewny żony profesora. Był okropnie zbiedzony i wzburzony i opowiadał rzeczy przerażające. Uciekali w popłochu i po drodze jakieś nieprawdopodobne przygody rozdzieliły go z żoną, córką i zięciem. Nie wie, co się z nimi dzieje. Opuścił

dom bez wszystkiego, ratując się przed zbuntowanymi chłopami i krasnoarmiejcami.

Razem z tym obywatelem do cichego Zabłonia przyszła panika. Ludzie przystawali z sobą na ulicach i opowiadali sobie jakieś rzeczy tem straszniejsze, że zupełnie niesprawdzalne. Najfantastyczniejsze wieści brano za prawdziwe i nikt nie miał odwagi podawać ich w wątpliwość.

Jakby na potwierdzenie tych wszystkich wiadomości, około południa przyjechało do Zabłonia kilku oficerów i kilkunastu podoficerów dla zajęcia co większych budynków i kwater w mieszkaniach prywatnych dla wojska. Od jednego z nich, który przyszedł do jego siostry szukać kwatery, Regier dowiedział się rzeczy przygnębiających. Poszedł do Stępnia, aby z nim porozmawiać, ale go nie zastał w domu. W drodze powrotnej zaszedł na dworzec kolejowy i kupił sobie wszystkie dzienniki, jakie można było dostać. Dowiedział się z nich niewiele i ciągle towarzyszyło mu to niemiłe uczucie, że walki na wschodzie toczą się w jakimś nieprzeniknionym mroku.

Gdy zmęczony i przygnębiony wrócił około czwartej do domu, Ludka pobiegła za nim do pokoju i przyniosła mu list od Heleny. Był pisany do Ludki a z jego treści Regier łatwo domyślił się całej kabały swej siostrzenicy. Potrafiła dowiedzieć się o adresie Heleny i pisywała sobie z nią, ale na jej wyraźne życzenie musiała milczeć o wszystkim przed wujkiem. To zastrzeżenie udało się jej wreszcie pokonać. Helena pisała do Ludki, że koleje mają zostać zajęte wyłącznie dla wojska i że wobec tego nie wiadomo, kiedy i w jaki sposób mogłaby się dostać do Zabłonia. Zresztą miejscowość, w której mieszkała dla załatwienia wielu spraw zmarłego męża, zaczynała być niespokojną i ludzie, mogący przenieść się gdzieindziej, uciekali gromadnie. Z listu wynikało, że przyjedzie do Zabłonia nazajutrz o siódmej wieczorem, jeśli dotychczas w ruchu pociągów nie zajdą jakie zmiany.

Regier nie pytał Ludkę o nic. Wobec faktu, że Helena wracała do Zabłonia było mu wszystko obojętne. Nie kłopotał się już o to, w jaki sposób spotka się z nią, co jej po-

wie, co powie ona jemu. Chwila była tak wyjątkowa, że w powszechnem podnieceniu nie było ani czasu, ani możliwości zastanawiania się nad sprawami drugorzędnymi. Był dziwnie spokojny i aż się zastanawiał nad tem, że wiadomość wyczekiwana z wielką niecierpliwością i drżeniem serca przyjął z takim spokojem. Nie mógł, oczywiście, myśleć wyłącznie o Helenie, bo mnożyło się wiele trosk niespodziewanych. Siostra jego była przygnębiona wiadomością, że wielki transport narzędzi rolniczych z jej fabryki, wysłany przed paru tygodniami do Białegostoku, dotychczas nie doszedł do rąk adresata i nie wiadomo, czy zostanie odszukany. Była to dla niej strata dotkliwa, bo potrzebowała dużo pieniędzy. Regier podzielił się z nią rozporządzalną gotówką, obiecał pomódz wydatniej, ale to nie poprawiło usposobienia ani jej, ani jemu.

Wieczorem, gdy znalazł się w swoim pokoju, rzuciły się nań myśli i uczucia dnia jutrzejszego, tego spotkania z Heleną, na które czekał tak długo i które zawsze wydawało mu się początkiem szczęścia. Ale do myśli o Helenie bezustannie mieszały się myśli inne, niepokojące, budzące ból, upokorzenie, wściekłość. W duchu widział całe kresy wschodnie objęte brudnym, kopącym płomieniem wojny, podobnej do najazdu tatarskiego za dawnych wieków. Skotłowana fala barbarzyńskiego wschodu waliła się coraz dalej ku zachodowi i niepodobna było przewidzieć, gdzie się zatrzyma. Próbował czytać jakąś interesującą książkę, ale musiał poszczególne zdania odczytywać po pięć razy, aby zrozumieć o co chodzi. Zgasił światło i chciał spać. Z za firanek wpłynęła do pokoju smuga białego światła księżycowego i niosła z sobą wspomnienia czegoś, co bywało kolejno radością, zachwytem, smutkiem, rozpaczą, żalem i co miało stać się źródłem radości i szczęścia, ale w tej chwili tak bardzo podobnem było do rezygnacji. Wstał i zasłonił szczelnie okno, aby mu księżyc nie przeszkadzał spać; był przemęczony i potrzebował koniecznie snu. Zasnął wszakże dopiero późno po północy i spał krótko. Śniło mu się, że przez gęsty nieustępliwy i zły tłum przedziera się ku Helenie, wyciągającej do niego ręce, ale tłum był nieubłagany

i z wielkim uporem szedł gdzieś, porywając go z sobą i ciągnąc coraz dalej od niej, spoglądając za nim oczami zalanemi łzami. Słyszał tupot tego tłumu, miarowy, ciężki, niepokonalny, coraz głośniejszy i jakby groźny.

Obudził się i słyszał ten tupot za oknem. Zerwał się i wyrzwał na ulicę. W matowym blasku księżyca ujrzał ze dwie setki ludzi, idących czwórkami środkiem ulicy. Każdy dźwigał jakiś tobolek, niektórzy palili, inni posilali się chlebem, kupionym widać w drodze. Głuchy łomot stóp tych ludzi budził śpiącą ulicę małego miasta. Otwierały się okna po obu jej stronach, a z nich ostrożnie wychylały się twarze z wyrazem trwogi w oczach. Co się stało? — pytały te zaspane oczy. Nie trzeba było czekać odpowiedzi! każdy domyślił się odrazu, że przybyli zapowiedziani ochotnicy. Niebawem oddział tych ludzi zniknął na skrajce ulicy, ale w ciszy nocnej trwało jeszcze alarmujące echo kroków, zmierzających ku niewiadomemu celowi.

Regier długo stał przy oknie i patrzył na ulicę, jakby czekał jeszcze na coś. Nie rozmyślał, nie zdawał sobie z niczego sprawy, tylko przypatrywał się własnemu niepokojowi, który dobywał się z głębin tajemnych duszy i budził niezadowolenie, że nie można było strząsnąć go z siebie żadnym wysiłkiem. Z tego zapamiętania zbudziło go ciche, nieśmiałe pukanie do drzwi. Rzucił na siebie płaszcz i poszedł otworzyć.

— Mój Boże, co to będzie! — posłyszał szept siostry.

Przybrał odrazu minę i postawę zupełnie spokojną. Powiedział siostrze tonem możliwie obojętnym, że to przecie zwykła rzecz. Jest wojna, trzeba ćwiczyć żołnierzy, a tego dokonać można tylko zdala od frontu, gdzie jest zupełny spokój. Ćwiczą żołnierzy także i po innych miastach i gdy wszystkie te nowe siły ruszą pewnego dnia na front, to wszystko zmieni się odrazu. Nie mieliśmy dość wojska, bo go mieć nie mogliśmy i trzeba uzupełniać braki.

— Idź spać, Aniu, i bądź dobrej myśli — poradził jej serdecznie. — Dobranoc.

Wyszła posłuszna z pokoju, ale Regier słyszał jesz-

cze długo echo tego zatrwożonego wzdychania: „Co to będzie? Mój Boże!”

Niepokój wzmagał się i w nim. Czuł, że uspokoi się dopiero przy pracy w Sztapie, albo jeszcze lepiej na froncie. Resztę nocy spędził na podrzemywaniu przerywanem refleksjami. Około piątej rano, nie mogąc już wytrzymać w łóżku, wstał i przepakował swoje kuferki, odrzucając wszystko zbędne. Był zdecydowany prosić o przeniesienie go na linię. Po szóstej, cichutko, aby nikogo nie zbudzić, wyszedł z pokoju, chcąc w ogrodzie użyć świeżego powietrza. Ku niemałemu swemu zdziwieniu spostrzegł, że wszyscy domownicy byli już ubrani, jakby na coś czekali. Szepotali z sobą, nie chcąc snąć obudzić jego.

— Czemu wstaliście tak wcześniej? — próbował zrzędzić.

— A czemu wujek nie śpi! — odpowiedział Władek, śmiejąc się wesoło, chociaż śmiech jego brzmiał nieszczerze.

— Ja jestem od lat przyzwyczajony do wczesnego wstawania — odpowiedział Regier trochę zły. — Jestem żołnierzem.

— I my, widzi wujek, zaczynamy nimi być powolutku.

Rozmowa urwała się i wszyscy byli zakłopotani sobą. Nikt nie chciał się przyznać do trawiącego wszystkich niepokoju, ale niewiadomo było, co sobie powiedzieć.

— Chodźcie na śniadanie — rzekła wreszcie pani Anna.

— O szóstej! — oburzył się Regier, spoglądając na zegarek.

— Właśnie jest już koło pół do siódmej — skorygował go Władek. — Ranne wstawanie bardzo się zaleca...

— ...obok ćwiczeń lekkoatletycznych — dokończyła za niego Ludka.

— Ty masz, Ludeczko, ciężkoatletycznie wyćwiczony języczek i buzię — odciął się Władek jak najuprzejmiej.

— Dalibyście spokój takim pustym rozmowom i nie zagadywalibyście innych myśli — napominała ich pani Anna. — Tyle jest do omówienia...

— My, droga mamusiu, nic nie zagadujemy, tylko je-

steśmy, niestety, tacy lekkomyślni i w tej lekkomyślności pragniemy wytrwać tak długo, jak tylko się da — tłumaczyła się Ludka, całując matkę po rękach.

— Nie boimy się czarnego luda — dodał Władek.

Regier podszedł do okna i mędlował:

— Patrzcie, jaki ruch na ulicach. Całe Zabłonie cierpi na bezsenność.

Rzeczywiście, na ulicach był ruch. Kręcili się żołnierze, którzy przyszedli do miasta nad ranem, ochotnicy biegali po sklepach, szukając pieczywa, wędlin, papierosów i tego wszystkiego, co dusza żołnierska umie cenić daleko lepiej od wszelkiego cywila.

— Jak to dobrze! — unosił się Władek.

— Cóż jest takiego dobrego — pytała matka.

— Że całe miasteczko zwarjowało solidarnie! Skoro jest taka jedność, to już możemy być spokojni.

Po śniadaniu pani Anna poszła do fabryki, a Regier z Ludką i Władkiem poszli na miasto, żeby popatrzeć na wojnę z bliska. Na dużym dziedzińcu szkoły dymiły się kuchnie polowe, gotujące jakieś zupy pachnące na całą okolicę, przy pompie myli się żołnierze, zbliżając się do niej po kolei i popychając się, żeby przecie trochę prędzej, jakiś wesoły kapral ustawiał w szeregi bardzo różnie ubranych ochotników i wbijał ich w pychę, że chociaż jeszcze są w cywilu, przecie już, chwała Bogu, cywilami nie są, z czego powinni być dumni i nie stać byle jak, jak sobie staje pierwszy lepszy niedołęga państwowy, którego doktory wysłały pierze skubać w poblizze mamusinej sukienki.

— Jak powiem: bacność! — to trzeba łeb podrzucić do góry z takim rozmachem, jakby chodziło o złamanie czcigodnego karku — pouczał swoich słuchaczy. — A jak skomenderuję: spocznij! — spocznij tak, żeby wszystkie gnaciki zachrobotwały. Komendy trzeba słuchać i uchem i brzuchem i każdą częścią duszy. Zrozumiano? A więc: Bacność! — wyrzucił z siebie komendę, niby przenikliwy dźwięk trąbki.

Szereg wyprostował się i zastygł w bezruchu. Kapral popatrzył uważnie czegośby się czepić i rychło znalazł ofiarę.

— Ee, panie inżynier! — zwrócił się do młodzieńca w miękkim kapeluszu — u nas się żadnych osobnych zaproszeń nie będzie rozsyłało. Jak mówię: baczość! — to za jednym zamachem do wszystkich jaśnie wielmożnych ochotników, żeby było krócej. Niechno pan radca oczkami nie mruga, bo na to jest czas, jak się powie: Spoczniej!

Było tu wesoło i Ludka śmiała się tak serdecznie, jak nie śmiała się już dawno. Kaprał rzucał urywane słowa bez drgnienia powieki i w sposób malowniczy wykladał swoim słuchaczom, co to jest szereg, krok, postawa i t. d., a wszystko ilustrował własnymi ruchami, które dawał ochotnikom za przykład.

— Kaprał jest władza najpierwsza, a który żołnierz tego nie zrozumie, tego i paka rozumu nie nauczy. Niema na całym świecie takiego generała albo i marszałka, któryby nie był kapralem — mówił, odcinając słowa, jak telegraf. Nawet Napoleon, jak już był cesarzem i nie mieli dla niego tytułu wyższego, to mu dali tytuł małego Kaprała.

— Ależ na wojnie jest wesoło! — wołała zachwycona Ludka.

Władek był tego samego zdania i jeszcze raz zapowiedział, że bezwarunkowo wstąpi do wojska na ochotnika. Ludka żałowała, że ona tego zrobić nie może.

— Rzeczywiście, — zgodził się Regier — podczas wojny wesoło jest tylko w wojsku. I jest tam daleko spokojniej, niż gdziekolwiek indziej.

Władek pobiegł do jednego z kolegów, a Regier z Ludką wracali do domu. Siostrzenica przypominała wujkowi, że o siódmej trzeba iść na stację, aby się przywitać z panią Heleną. Regier wyraził wątpliwości, czy to będzie dobrze, ale rezolutna Ludka nie chciała słyszeć o żadnych obiekcjach.

— Najlepiej bez długich zachodów! — dowodziła energicznie. — Będzie wujcio na stacji razem ze mną, jakby nigdy nic, spotka panią Helenę, ukłoni się jej ładnie, a jeśli się już nie znacie, to was z sobą zapoznam i wszystko będzie jak najlepiej.

— Bo ja wiem... — wahał się Regier.

— Ale ja wiem — ostro odparła Ludka. — Proszę nie hamletyzować, bo brzydko.

Wrócili do domu w usposobieniu bardzo dobrem i Ludka zaczęła namawiać matkę, aby natychmiast poszła zobaczyć, jak wesoła jest wojna zbliżająca się. Wszystkim poprawił się humor już samym widokiem, że robi się coś dla odwrócenia nieszczęścia. Przedewszystkiem uspasabiał dobrze widok żołnierzy beztróskich, roześmianych, swawolnych.

* *

Była może godzina czwarta po południu. Po niespanej nocy Regier zasnął na otomanie w swoim pokoju i spał tak smacznie, że nie przebudził go nawet ostry warkot samochodu, który zatrzymał się przed domem. Przyszła go obudzić wystraszona siostra. Nie mógł zrozumieć czego od niego chce i wyrwał się z senności wówczas, gdy usłyszał imię Ostrozora.

— Gdzie jest? — zapytał, zrywając się na równe nogi.

— Na dole w pokoju.

Zbiegł szybko na dół i przywitawszy się z przyjacielem. Ostrozór spokojny i wytworny, jak zawsze, w niewielu słowach powiedział mu, że przyjechał po niego i że wyruszają, jak tylko szofer doprowadzi samochód do porządku.

Regier pomyślał, że przecie dzisiaj przyjedzie Helena i że o siódmej miał iść z Ludką na jej spotkanie, ale naturalnie, nie było rady. Serce ścisnęło mu się boleśnie na samą myśl, że między nim a tą kochaną kobietą znów staje jakieś nieubłagane fatum, ale czuł się przeciw niemu bezsilny.

— Czy nie byłoby lepiej, popasać parę godzin w Zabloniu? — zaryzykował pytanie pozornie zupełnie obojętnie. — W nocy jechałoby się daleko przyjemniej. Teraz jest nieznośny upał.

— Wykluczone! — Ostrozór zrobił ruch ręką, jakby przecinał wszelką na ten temat dyskusję. — Gdyby nie konieczność jakiejś naprawy w samochodzie, tobyśmy już byli w drodze, bo czeka na ciebie pułkownik.

— Na mnie? — zdziwił się Regier.

— Tak. Mamy duże trudności z neutralnymi. Musimy wiele perswadować i wyjaśniać. — Ostrozór w niewielu słowach, jak to było jego zwyczajem, opowiedział Regierowi o wielkich trudnościach połączonych z transportami amunicji, których nie przepuszczają przez granicę neutralni.

— Nie puszczają — powtórzył Regier, nie rozumiejąc.

— Jest to zupełnie zrozumiałe. Wrażenie naszych chwilowych niepowodzeń zostaje odpowiednio przesadzone i powstaje obawa przed niedalekimi konsekwencjami, nie mówiąc już o sentymencie nieżyczliwości — mówił Ostrozór. — Spycha się całą sprawę na robotników, bo to jest dyplomatycznie wygodne, chociaż wiadomo, że jest to tylko wykręt.

— Czy jest tak źle? — zapytał Regier.

— Odpowiem ci za jakie trzy cztery tygodnie — odpowiedział major — a teraz zabieramy się do roboty i będziemy postępować tak, jakby było bardzo źle i zrobimy wszystko, aby znowu było dobrze.

Regier przypomniał sobie list wczorajszy i przyjazd Heleny. Przeprosił przyjaciela i wyszedł do pokoju Ludki. Czekala na niego i powiedziała mu, że go wytłumaczy.

— Niech wujek będzie zupełnie spokojny i nie zapomina o nas. Wszystko napiszę zaraz jutro — zapewniła go.

Samochód był niebawem gotowy do drogi, pani Anna kazała podać podwieczorek, do którego zasiadła cała rodzina. Dzięki Ostrozorowi rozmowa była bardzo ożywiona i wesoła, ale trwała krótko. W pewnej chwili major spojrział na zegarek, wstał i pożegnał się z panią Anną, Ludką i Władkiem tak swobodnie i spokojnie, jakby mówił „do widzenia” przed krótką wycieczką. Wyszedł do samochodu pozostawiając Regiera samego z rodziną. Pani Anna uśmiechała się tłumiąc łzy i Regier dla dodania jej otuchy, rzekł jakby mimochodem:

— Moja Aniu, przygotuj mi w swoim domu ze dwa pokoje. Jak tylko będę mógł podać się do dymisji, wrócę do Zabłonia i osiadę tu na stałe.

Ułatwiło jej to ogromnie pożegnanie się z bratem.

Od tej chwili zaczął się dla Regiera miesiąc życia, spędzonego w wagonie, samochodzie, aeroplanie. Obowiązki rosły w miarę, jak front coraz bardziej zbliżał się ku Warszawie. Z pułkownikiem Zawojkim albo z majorem, ale najczęściej sam, jeździł i latał do Wiednia, Pragi, Gdańska. Gdy pewnego dnia pod koniec lipca znalazł się w Warszawie, zaszył się w pokoiku obok kancelarii sztabowej i na łóżku polowym spał przez kilkanaście godzin. Ostrozór nie mógł się go dobudzić, gdy trzeba było wyciągnąć go dla załatwienia jakichś bardzo ważnych spraw w Cieszynie. Regier usiadł osowiały, a gdy wreszcie ocknął się na tyle, że zrozumiał, czego od niego chcą, zaczął kłaść, jak jeszcze nigdy w życiu i poszedł się przebierać i myć. Po dwóch godzinach obaj przyjaciele jechali samochodem ku dworcowi kolejowemu.

— Przecież nawet miejsca w pociągu nie znajdziemy — rzędził zaspany Regier, ziewając na pół ulicy.

— Pojedziemy niejako poza konkursem — przyświadczył Ostrozór. — Ludzie podczas tej wojny jeździli nawet na dachach wagonów.

Jechali tedy poza konkursem i poza wszelkim komfortem, z częstym przesiadaniem i taką jakąś klasą, która była conajmniej siódmą.

— Osiadam na stałe w Cieszynie — mówił Regier, siedząc na swoim kuferku w zabitej podróżnymi sionce wagonu.

— Ładne miasto — zgodził się Ostrozór. — Od kiedy?

— Zaraz. Już mam, uważasz, dosyć tego wojażowania w kuczki. Przecież nawet na wojnie musi być higiena.

— Masz zupełną rację — przyświadczył major — jak tylko zawrzemy pokój, to zabierzemy się do życia higienicznego.

— Czekać nie będę — mruzczał Regier. — Osiadę sobie w Cieszynie i wracaj sobie do Warszawy sam. Przecież to jest nadużycie.

Ale Regier nie osiadł w Cieszynie. Jednego z pierw-

szych dni sierpnia, ubrany staranniej, niż zwykle, jechał z Ostrozorem do pałacu Rady Ministrów. Po ulicach snuło się mnóstwo wojska i panowało jakieś gorączkowe ożywienie. Karetki Czerwonego Krzyża krzyżowały się z samochodami ciężarowymi i oddziałami artylerji, piechota ciężkim, miarowym krokiem szła ku Zjazdowi. Było okropnie gorąco i wietrzyk wiejący od wschodu stawał się istnem dobrodziejstwem w tej spiekocie, ale razem z tym dobroczynnym wietrzykiem dolatywał z daleka głuchy, przeciągły grzmot dział.

W pałacu Rady Ministrów wypadło czekać. Zaprowadzono ich do ładnego salonu, gdzie czekało już kilku cywilnych i wojskowych. Jakiś starszy sympatyczny pan z delegacji węgierskiej, mówił do siedzącego obok niego pułkownika, że gdyby tylko puścili Czesi przez granicę, to z Węgier przyszłaby zaraz bardzo wydatna pomoc. Mówił, że całe pociągi czekają z cennym ładunkiem, byle tylko przedostać się przez granicę.

— Jest tu, uważasz, delegacja węgierska — szepnęła Ostrozór Regierowri, — chcą nam Węgry pomagać, ale neutralna granica ich do nas nie puszcza.

Regier patrzył z wyrazem wielkiego szacunku i z uczuciem wdzięczności na tego szpakowatego Węgra, który razem z innymi przybył do Warszawy, aby powiedzieć Polakom, że tradycyjna przyjaźń węgierska dla Polski nie wygasła i że gotowi są stanąć przy bratnim narodzie w chwilach dla niego złych i ciężkich. Regier wiedział lepiej od kogokolwiek, że wszyscy odwrócili się od Polski prócz dalekiej Francji, której sympatje były może większe, niż zdolność pomagania z takiej odległości i w takich warunkach, jakie się wytworzyły. Byli też bliżsi Węgrzy, ale granica czyniła ich dalekimi. Wiedział Regier, że politycy wielkich mocarstw i państw najmniejszych z uczuciem ubolewania albo nawet zadowolenia czynili krzyż nad Polską, w głębokim przekonaniu, że żadne wysiłki ocalić jej nie zdołają i że trzeba stwarzać nową barjerę ochrony Europy, barjerę, zaczynającą się u zachodnich granic Polski. W sercu Regiera potężniało uczucie nie-

nawiści dla tych wszystkich, którzy w swojej neutralności i w swoim ucuciu bezpieczeństwa odwracali się od Polski z gestem faryzejskim. Wszystkimi mocami duszy pragnął, aby ta ich ostrożność i mądrość, ta dufna mądrość przewidywania, ukarana została wielkim, nieoczekiwanym zwycięstwem Polski. Niepowodzenia Polski i bolesne upokorzenia po niedawnych świetnych zwycięstwach odczuwał tem żywiej, że był przemęczony i nerwy miał postrzępione długą bezsennością. Przed paru dniami przeczytał w kilku pismach zagranicznych artykuły, w których mądrale polityczni wypowiadali się, że Polska zostaje ukarana za swój imperjalizm.

Przypomniał sobie, że w kieszeni ma listy od siostry i Ludki. Dla odwrócenia myśli od rzeczy smutnych, zabrał się do czytania listów. Ludka donosiła mu, że w Zabłoniu jest szpital dla wojska i że obie z panią Heleną pracują w nim do upadłego. Donosiła mu, że Władek w kilka dni po jego wyjeździe zaciągnął się do wojska na ochotnika i niebawem wyruszy w pole. „Biedna mamusia jest teraz w domu całemi dniami sama i ma dużo kłopotów ale pociesza się, że jak Wujcio wróci do Zabłonia, to wszystko zmieni się na lepsze. Pani Helena jest bardzo miła, jak zawsze, i chętnie słucha, gdy jej mówię o Tobie. Prosiła mnie, abym Ci przesłała serdeczne pozdrowienie, więc Ci je przesyłam obok swojego i obok pozdrowień od panny Joergens a przedewszystkiem Mamusi. Wiem, że nie masz dużo czasu i nie czekam od Ciebie odpowiedzi, ale do Mamusi napisz choć kilka słów, a pani Helenie przy sposobności prześlij wyraźne i imienne pozdrowienie...”

Złożył list Ludki i sięgnął po drugi, od siostry. Ten był smutniejszy. Żalila się siostra, że przy wszystkich swoich troskach, które wzmogły się ogromnie, została zupełnie sama, że niepokoi się o Władka, że razem z wszystkimi trwoży się na samą myśl, co będzie dalej. Schował list do kieszeni i postanowił napisać do siostry natychmiast po konferencji. W duchu układał sobie słowa listu do siostry i myślał jakiego to było szczęście, gdyby mógł

jej donieść o wielkiem zwycięstwie i bliskim końcu wojny. Pragnienie takiego zwycięstwa opanowało go tak potężnie, że zwracając się do Ostrozora, szepnął mu na ucho tak ostro, jakby mu komunikował postanowienie nieodwołalne:

— Ty, Ostrozór, czyś ty już pomyślał o tem, że my musimy zwyciężyć?

Major spojrział uważnie na jego błyszczące oczy i blade policzki.

— Naturalnie — przyświadczył z całą stanowczością, — a potem sześć niedziel spać i spać.

W tej chwili podszedł do nich młody uprzejmy urzędnik i powiedział im, że będą musieli pofatygować się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie bawi właśnie pan wice-premjer, z którym mieli konferować. Wstali i wyszli z gmachu Rady Ministrów, gdzie pozostała delegacja węgierska i ów miły starszy pan, opowiadający o tem wszystkim, co możnaby zrobić, gdyby nie granica.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych było właśnie po konferencji i Regier widział kilku posłów zagranicznych oraz nuncjusza papieskiego, przechodzących przez salon, w którym oczekiwali na przyjęcie. Nuncjusz z ujmującym uśmiechem potakiwał jakimś wywodom posła rumuńskiego. a poseł włoski jakoś bardzo zdecydowanie nie zgadzał się z posłem angielskim. Poseł francuski był zamyślony i w milczeniu słuchał słów towarzyszącego mu urzędnika.

Regier spojrział na majora, jakby czekał od niego jakiego wyjaśnienia, ale ten przewiewał sobie powietrze czapką i rzekł jakby od niechcenia:

— Gorąco w Warszawie.

Po kilku dniach ciężkiej denerwującej pracy wśród pogłosek najbardziej bezsensownych, mających jednak wszystkie pozory smutnej rzeczywistości, Regier zameldował się do raportu i prosił o przeniesienie go na linię. Czynił to z pobudek egoistycznych: był przemęczony do ostateczności i żywił przekonanie, że odpocząć można tylko na froncie.

Zamiast przeniesienia na front, otrzymał rozkaz natchmiastowego wyjazdu do Krakowa, gdzie otrzymała dalsze rozkazy.

Wyjechał wczesnym rankiem, znalazłszy miejsce w pociągu wojskowym, idącym w tamtą stronę. Pociąg włókł się bardzo powoli a w Nowordomsku utknął na dobre. Popsuła się przeciążona lokomotywa i trzeba było czekać na nową. Regier poszedł do restauracji, aby się pożywić. Kiedy po obiedzie wstawał od stołu wśród podróżnych zapanował jakiś niezwykły ruch: rozeszła się pogłoska, że bolszewicy zdobyli Pragę i lada chwila wkroczą do Warszawy. Jakaś młoda kobieta w żalonie spojrzała na niego oczyma pytającymi, jakby czekała za-przeczenia tej potwornej wieści.

— Nieprawda! — odpowiedział tym oczom pytającym, ale głos jego brzmiał niedość stanowczo.

W Krakowie kazano mu czekać, a nazajutrz wezwany został przez Ostrozora do Bogumina, gdzie była do załatwienia jakaś bardzo ważna sprawa w połączeniu z nadmiarem neutralności. Gdy wyszedł na ulicę, aby udać się na dworzec, po ulicach biegali we wszystkich kierunkach chłopcy z gazetami i wrzeszczeli na całe gardło i na przeróżne tony:

— Wielki pogrom bolszewików pod Warszawą. Ucieczka na całym froncie! Tysiące jeńców! Dziesiątki armat! Wielki pogrom..!

Gazety zostały w lot rozkupione. Ci, którzy nie zdążyli kupić dziennika, przystawali obok szczęśliwych posiadaczy radosnych wieści i ściskając im ręce mówili i do nich i do siebie o cudzie, który się właśnie stał nad Wisłą.

Jakiś stary rzemieślnik w wvszarzanym szarym surducie, przechodząc obok Regiera, zatrzymał się, lypnął znacząco oczami i potrząsając gazetą mówił urywanym od radości głosem jakby do starego znajomego:

— Ej dali im też nasi, bo dali, Matko Boska! Warszawy im się chciało pieskim synom! A w zęby nie łaska? Prawda, panie?

— A dali im, jak się patrzy — odpowiedział Regier takim tonem, jakby wiedział daleko więcej i jeszcze lepszego, niż było w gazetach. Istotnie, chociaż gazety kupić nie zdołał, wiedział aż nadto dobrze, co oznaczają wiadomości, podawane przez pisma. Jeśli Naczelne Dowództwo, w warunkach znanych Regierowi tak dobrze, donosi o zwycięstwie, to można było dopowiedzieć sobie, że zwycięstwo to było bardzo wielkie i oznaczało bliski pokój.

Na samą myśl o pokoju i spokoju ogarniała go szaleńcza radość. Przypomniał sobie, że ma w kieszeni listy od siostry i Ludki, na które ciągle jeszcze nie mógł odpowiedzieć. Nie śpiesząc się, jakby nie było już wielkiej potrzeby, zaszedł do pierwszego urzędu telegraficznego i zadeszował do siostry, w serdecznych słowach dzieląc się z nią radością z wielkiego zwycięstwa i obiecując niebawem przyjechać.

Kiedy wyszedł z biura telegrafu, przypomniał sobie, że trzeba napisać także do Ludki, ale był taki zmęczony i tak dalece nie wiedział, kiedy będzie mógł zasiąść do pisania listu, że zawrócił do telegrafu i wbrew refleksjom, jakie mu się nasuwały, napisał krótką depezę do Ludki, załączając serdeczne pozdrowienie dla pani Heleny.

Ogarniało go uczucie spokoju i ufności.

KONIEC I-ej CZĘŚCI.

CZEŚĆ DRUGA.

Pod koniec zimy, na jednym z koncertów panny Joergens, które cieszyły się dużym powodzeniem, spotkał Re-gier kolegę uniwersyteckiego Rutkowicza. Przed laty pracował razem z nim w organizacjach narodowych, a po roku „wolnościowym“ dzielił z nim więzienie rosyjskie i wygnanie. Rutkowicz studjował prawo, zdobył duże wiadomości w swojej dziedzinie, dał się poznać jako wybitny cywilista i świetny obrońca, a gdy po skończonej wojnie zaczęło się organizowanie władz i urzędów państwowych, został powołany na wysokie i odpowiedzialne stanowisko administracyjne.

Jeszcze jako student odgrywał w kołach kolegów dużą rolę, ceniono go bowiem powszechnie dla jego wielkiej pracowitości i inteligencji. Lepiej od swoich rówieśników rozumiał znaczenie idei dla życia narodowego i nie przestawał krzewić swego zapatrywania na tę sprawę. Na zebraniach koleżeńskich i towarzyskich, na konspiracyjnych kursach dla robotników-analfabetów wszędzie, gdzie nadarzała się jaka taka sposobność, powtarzał swoje ceterum censeo, że narodowi, który chce żyć samodzielnie, albo odzyskać utraconą niepodległość, potrzebna jest przede-wszystkiem idea, która wyzwalałaby tak wielkie siły, jak wielkie są przeszkody czy trudności, które trzeba pokonać. Idea musi budzić wolę do wielkich wysiłków i musi jednoczyć. Wielkie idee narodowe bywają najczęściej kierowniczymi i jednoczącymi jednocześnie, ale zdarzają się

sytuacje wyjątkowe, gdy naród rozdzielony i podlegający różnym wpływom, dopiero szuka idei kierowniczej, której znalezienie nie jest bynajmniej łatwe, a musi posiadać ideę jednoczącą.

Taką właśnie ideę jednoczącą widział Rutkowiec w katolicyzmie. Zastrzegał się, że nie jest klerykałem wstecznikiem, nazywał siebie katolikiem politycznym i przy każdej sposobności z żarem niestrudzonego apostoła wykladał swoje argumenty.

— Lud nasz jest ciemny i o polskości nie wie nic, ale wie o katolicyzmie — mawiał. — Tym katolicyzmem możemy go do czasu wyosobić tam, gdzie się styka z rosyjskim prawosławiem i niemieckim protestantyzmem. Fanatyzm jest oczywiście zły, ale w naszym wypadku ma swoje niewątpliwie dobre strony.

Gdy zwracano mu uwagę na możliwe następstwa fanatyzmu religijnego, który może zabić wszelkie skutki usiłowań oświatowych w masach chłopskich, a nawet zażądać w nich ideę polskość, godził się z temi zastrzeżeniami, ale rozkładał bezradnie ręce, na znak, że nie widzi lepszego i skuteczniejszego sposobu zabezpieczenia ludu przed grożącym mu wynarodowieniem. Pracował tedy dla swojego przekonania, zdobywał zwolenników wśród wolnomyslicieli innowierców, a do najbardziej przekonanych jego zwolenników należał Regier.

Jeśli nie przyjął katolicyzmu, jak to uczynili niektórzy inni koledzy ewangelicy i żydzi, to bynajmniej nie z osobliwego przywiązania do ewangelicyzmu, który wydawał mu się czemś obcym w polskość, pochłoniętej całkowicie przez katolicyzm. W atmosferze utożsamienia katolicyzmu z polskością zubożył w każdym razie tak dalece dla ewangelicyzmu, iż godził się na program politycznego katolicyzmu Rutkowicza. Będąc z pochodzenia ewangelikiem a z przekonania monistą materialistycznym, był Regier politycznym katolikiem i jak wszyscy neofici gorliwie uprawiał politykę nabożeństw żałobnych w rocznice narodową pocieszając się twierdzeniem Rutkowicza, że sprawy irracjonalne nie znoszą ujęcia logicznego, i że uczucia

narodowe w naszym wypadku stają się religijnymi, a religijne narodowymi.

Jako katolik polityczny dostał się Regier do więzienia rosyjskiego, poszedł na wygnanie do Kazania i wyjechał za granicę. We Francji, gdzie w roku 1908 patrzył z bliska na klerykalną walkę z ustawą o oddzieleniu państwa od kościoła, sprawa katolicyzmu politycznego straciła dla niego na ostrości. Nie zdobył się na takie **sacrifizio del' intelletto**, aby był umiał zamknąć oczy na fakt, że kościół, jeśli istotnie jest taką siłą moralną, za jaką bywa podawany, powinien sam uniezależnić się od państwa i żyć samodzielnie. Przypomniawszy sobie zdanie Mickiewicza z Prelekcji Paryskich, że Chrystus nie zakładał przeciwie żadnej nowej biurokracji instytucjonalizmu kościelnego, ale domagał się odrodzenia dusz i sumień, a apostołów nie wysyłał na zdobycie i pozyskanie administracji państwowej, ale kazał im głosić bliskość królestwa Bożego, zdobywać dla niego sumienia i odradzać je potęgą wielkiej idei.

W miarę jak zapoznawał się coraz gruntowniej z literaturą ojczystą, z pismami Ostroroga, Modrzewskiego, Reja, z reformacją polską, z wielkimi myślami Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, Trentowskiego, Cieszkowskiego i innych, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Rutkowicz nie miał racji, że polskość i katolicyzm to bynajmniej nie jedno i to samo. Ba, godził się z Goszczyńskim, że niepodobna być zarazem dobrym Polakiem i dobrym katolikiem, bo dobry katolik wyrzeka się bardzo łatwo polskości na rzecz katolicyzmu. Napisał o tych swoich spostrzeżeniach do Rutkowicza, który zgodził się z jego argumentami, ale jednocześnie pozostał nadal przy swoim politycznym katolicyzmie. Wreszcie stracił Regier z oczu te i tym podobne zagadnienia, bo został pochłonięty wielu innymi.

Teraz, po latach i po przeżyciach wielkiej wojny, spotkanie z Rutkowiczem przypomniawszy mu przedewszystkiem katolicyzm polityczny. Nietylko że nie był on już a-

ktualny, ale jak samo życie pouczyło tych, którzy pouczyć się dają, sprawa eksluzywizmu narodowego nie dawała się ani racjonalnie, ani irracjonalnie pogodzić z uniwersalizmem i kosmopolityzmem kościoła rzymskiego. W pierwszych ciężkich latach niepodległości ciemni chłopci i robotnicy, wychowani wyłącznie przez religję „narodową”, wypowiadali się niejednokrotnie o tem, jak to dawniej lepiej bywało, a nie umiając objać umysłem skutków katastrofy wojennej, skłonni byli do przypisywania wielu niedoli temu, że „nastała Polska”. Na stanowisku bezwzględnie niepodległościowem i polskiem stali „międzynarodowi” socjaliści, „nienarodowi” radykałowie polityczni i jak ich tam prawowierność nazywała i wyzywała. To były fakty, oczywiście przejściowe, ale i w swojej przejściowości tak wymowne, że niepodobna było zamykać na nie oczy.

Po koncercie panny Joergens, która uraczyła słuchaczy wielką sztuką swej kapliczki artystycznej, zarezerwowanej dla muzyki ośmnastego stulecia, osobliwie zaś dla Rameau i Scarlattiego, Rutkowicz zapragnął nagadać się z Regierem i zaprosił go na kolację do pierwszej z brzoża restauracji.

— A jak tam twój katolicyzm polityczny? — zapytał Regier, gdy przyjaciele w wielkim, jak zwykle w takich razach, pośpiechu, wyczerpali sprawę setki pierwszych pytań i odpowiedzi.

Rutkowicz machnął ręką z rezygnacją i dopiero po chwili odparł:

— Myliłem się, oczywiście, lecz nauczyłem się czegoś. Przekonanie było szczere, cel uczciwy. Musiałem dużo myśleć o katolicyzmie, już nie tylko politycznym, ale o katolicyzmie wogóle, i doszedłem do wniosku, że za każdą ideą stoją ludzie...

— Niema idei poza ludźmi — wtrącił Regier. — Żywa idea, to żywy człowiek.

— Zapewne, ale gdy ten żywy człowiek podzieli ideę w ten sposób, że teoria sobie a życie sobie, i gdy w dodatku z idei służenia uczyni ktoś narzędzie panowania, to

wtedy czas najwyższy, aby pogląd na pewne sprawy poddany został gruntownej rewizji. Czy pamiętasz jeszcze jak cię namawiałem, abys przyjął katolicyzm?

Regier pamiętał, ale nie domyślał się, dlaczego kolega przypomina mu o tem.

— Naturalnie, że pamiętam. Bo co?

— Otóż wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że ja przyjmę kiedyś wyznanie ewangelickie.

— Ty? — zdziwił się Regier. — Rozwodziłeś się?

Nie rozwodziłem się, ale przeszedłem na ewangelicyzm z całą rodziną i to z tych samych powodów, dla których w swoim czasie głosiłem katolicyzm polityczny. Ta jedność narodowa, jaką się otrzymuje kosztem katolicyzmu jest zbyt kosztowna. Żaden monarcha nie miał w Polsce nigdy takiej władzy i takiego posłuchu, jak papież. Możliwość się z tem ostatecznie pogodzić, gdyby naród coś na tem zyskiwał...

— Dawniej umiałeś bardzo wymownie dowodzić, jak wiele naród na tem zyskuje — wtrącił Regier.

— U nas żadna sugestia nie działa tak potężnie, jak sugestia katolicka, i wobec żadnej nie jesteśmy tacy bezkrytyczni, jak wobec niej — odpowiedział Rutkowicz. — Pomyśl tylko — mówił dalej ze śmiechem, — że my uważamy siebie za naród bardzo pobożny i religijny! Powtarzałem to za innymi i byłem przekonany, że stwierdzam fakt oczywisty, nie potrzebujący żadnego uzasadnienia. Ale potem przyszła refleksja. Poznałem wielkich myślicieli katolickich: francuskich, włoskich, niemieckich i nauczyłem się od nich bardzo wiele, a przedewszystkiem dowiedziałem się, że nasza okrzyczana pobożność czy religijność nie ma zupełnie przedstawicieli. Mamy wielkich poetów, wielkich malarzy, muzyków, uczonych, ale nie mamy wielkich świętych...

— Przepraszam! — zawałał Regier. — Mamy takie mnóstwo świętych, że całe jedno stulecie nazywa się wiekiem świętych Pańskich.

— Ale jakich świętych? Ascetów, którzy się biczowali po klasztorach bez żadnego dla kogokolwiek pożytku,

fundatorów wielkich kościołów i klasztorów, na których pracował chłop polski, żyjący ongi jak zwierzę, w nędzy i brudzie, albo mamy najgorszych ze wszystkich świętych. Świętych politycznych, za których kanonizację Polska płaciła swoim intelektem i swoją niepodległością! Z jednego z nich pokpiwał sobie już Diderot, że miał zostawić pieniądze i list: w liście prosił, aby pieniądze przez niego pozostawione, użyte zostały na kosztą beatyfikacji, gdy zacznie czynić cuda. Miał też pozostawić dowody, które stwierdzały jego cnoty. Pokaż mi jednego Franciszka z Assyżu, Tomasza z Kempis, czy choćby nawet Ignacego z Lojoli. Gdzie wśród naszych świętych niewiast jest jedna święta podobna choćby z daleka do świętej Teresy a Jesu? Sama święta bierność, albo święta agresywność polityczna. Nie mamy wśród naszych świętych Koperników wyznania, lecz njuwyżej naśladowców, komentatorów...

Regier słuchał tych wywodów z zainteresowaniem i nie mógł im odmówić słuszności, ale zarazem doznawał uczucia niezadowolenia. Cenił sobie wiarę w człowieka a i za rys bardzo cenny uważał stałość przekonań. Toteż wahał się długo, nim zdobył się na skromną uwagę:

— Przerzucasz się z jednej krańcowości w drugą, drogi przyjacielu. Jeszcze może nieraz wypadnie ci zmienić zdanie.

— Więc cóż z tego, że może zmienię zdanie? — wybuchnął Rutkowicz, poirytowany brakiem zrozumienia ze strony przyjaciela. — Rzecz prosta, że jakieś doznania i poznania mogą mi dać zgoła inny obraz świata, niż mam dzisiaj. Nie wykluczam nawet myśli, że wobec ewangelicyzmu zajmę stanowisko krytyczne, do czego zresztą sam ewangelicyzm upoważnia i zachęca, bo wskazuje poza siebie i ponad siebie ku Bogu... Ale cóż z tego wynika? Czyż wobec możliwości zmiany w poglądach, nie należy mieć żadnych poglądów wogóle i czekać z wyrażeniem przekonań aż do śmierci, jak Tertuljan czekał z chrztem? Jako człowiek poznaję po ludzku i po ludzku ustosunkowuję się do swego poznania.

Regier musiał przyznać mu rację, ale miał swoje za-

strzeżenie natury oportunistycznej. Środowisko ma także swoje prawa i jednostka musi tak samo respektować wymagania środowiska, jak wymaga od niego, aby ono respektowało jej właściwości. Rutkowicz nie godził się na to, dowodząc, że ojczyzna to wolność, a przede wszystkim wolność sumienia. Jak niegdyś pragnął pozyskać Regiera dla swego katolicyzmu politycznego, tak obecnie szukał argumentów dla przekonania tego oportunistycznego ewangelika, tak bardzo podkreślającego prawa środowiska, o moralnych obowiązkach jednostki względem własnego sumienia. Przyjaciele rozmawiali z sobą jeszcze bardzo długo i obiecali sobie spotykać się z sobą częściej. Obietnicy tej nie dotrzymani, gdyż obaj pochłonięci pracą i obowiązkami poza nią, zapomnieli o sobie poprostu. Dopiero w pierwszych dniach lutego Regier otrzymał od Rutkowicza list, w którym ten zapraszał go na jakieś zebranie polskich ewangelików warszawskich. Rutkowicz pisał, że po niego przyjdzie i wprowadzi go między współwyznawców, ludzi, jak się wyraził, godnych poznania.

Pewnego wieczoru, w kilka dni po otrzymaniu listu, Regier przerzucał swoje książki, nie mogąc się zdecydować na wybór lektury, gdy do mieszkania jego wpadł Rutkowicz, przynaglając go do pośpiechu:

— Żwawo, kolego — wołał, podsuwając mu zegarek pod sam nos, — zebranie zapowiedziane na ósmą, a już pół do dziewiątej. Zanim zajedziemy...

— Zebranie? — ociągał się Regier, który zdążył zapomnieć o liście Rutkowicza i najchętniej byłby został w domu. — Siadaj, przyjacielu — podsuwał mu krzesło.

Ale Rutkowicz ani myślał ustępować i zabrał się tak energicznie do kolegi, że po kilku minutach siedzieli w drodze i jechali gdzie należy.

— Zebranie miało się odbyć w sali zborowej, ale odbędzie się narazie w mieszkaniu Białoty. Potem zobaczymy.

— Białoty — powtórzył Regier od niechcenia.

— Zamożny Cieszyniak, który z ogromną energią organizuje tu pewną dziedzinę przemysłu. Ciekawy człowiek. Mówi bardzo niewiele, ale działa cudownie. Gdy coś pro-

jektuje, to tak jakby sprawa była w połowie załatwiona. Zobaczysz...

Dorożka stanęła niemal na samym końcu Mokotowskiej i po chwili obaj panowie wchodzili do mieszkania Białoty. Spóźnili się trochę, bo gdy gospodarz, który sam przyjmował gości, przeprowadził ich przez kilka pokoi ku obszernemu salonowi, usłyszeli przemówienie pana z bródką, który powoli, ale z wielkim naciskiem wywodził:

— Polskość to wszystkie możliwości ducha. W niej musi się zmieścić cała ludzkość. Ograniczać polskość do pewnego wzynania religijnego, to znaczy zacieśniać ją i pomniejszać. Rozumiemy dobrze, że Polska jako kraj w ogromnej większości katolicki, będzie wybierała na prezydenta katolika i nic w tem nie będzie osobliwego, ale żalną i szkodliwą niekonsekwencją jest, gdy jednocześnie przyjmuje się zasadę wolności sumienia i wyłączności wyznaniowej...

Regier usiadł tuż przy wejściu do salonu, aby nie przeskadzać słuchającym i rozejrzał się dokoła. W obszernym apartamencie pana Białoty, urządzonym w dobrym guście zamożnego mieszczaństwa, zebrało się trzydziestu - czterdziestu ludzi różnego wieku i jak widać było na pierwsze spojrzenie, należących do różnych sfer. Obok zażywnych przemysłowców siedzieli dystyngowani urzędnicy zajmujący widać wyższe stopnie w hierarchji społecznej, duchowni, profesorowie...

— Gdyby poza katolicyzmem nie było polskości, jak twierdzą niektórzy, to moglibyśmy się tem nie przejmować — ciągnął mówca dalej — ale setki tysięcy ewangelików Polaków zarówno w granicach państwa, jak i poza jego granicami, są wymownem zaprzeczeniem tej nieuzasadnionej tezy. Polska to nie instytucja, ale idea: od tej idei odłączają się jedni, przyłączają się do niej inni. Znamy zaciekle przeciwników polskości o nazwiskach polskich i znamy setki tysięcy ludzi o nazwiskach niepolskich, a jednak całym sercem oddanych Polsce. I tak samo mamy w Polsce katolików należących do obcych narodowości i mamy niekatolików narodowości polskiej. Nawet w czasach naj-

większego ucisku narodowego, gdy najeźdźcy faworyzowali obcych na niekorzyść rdzennej ludności polskiej, kultura polska święciła wielkie zwycięstwa, zdobywając dla idei polskiej żywioły niepolskie, a bardzo często niekatolickie. Cóż mamy stąd wysnuć za wnioski? Oto jeśli poza katolicyzmem niema polskości, to tem samem należałoby zrezygnować z tych wszystkich Polaków, którzy nie wyznają religji katolickiej, i z tych, którzy się z tą kiedykolwiek rozejdą; zarazem należałoby powiedzieć wyraźnie, że Bawarczyk czy Austryjak jest Polakowi - Katolikowi bliższy, niż ewangelik narodowości polskiej. Pojęcie Polaka - katolika jest pojęciem pomniejszającym, zacieśniającem i ograniczającym ekspansję idei polskiej. Wierzę niezłomnie, że polskość zdobędzie na kresach wschodnich wielu ludzi wyznających prawosławie, że na zachodzie przyłgnie do kultury polskiej dużo ewangelików, ale ani jedni ani drudzy nie będą wyzywali się swego wyznania, bo tego od nich polskość wymagać nie będzie. Pozyska ich ta wielka idea, która niesie dary ducha i serca w królewskiej szacie mowy Mickiewicza i Słowackiego, w melodjach Chopina, w myślach i czynach Kościuszków i Trauguttów, w usiłowaniach Stasziców, w bohaterstwie nieśmiertelnych wodzów. Lecz oto gdy umysł porwany wywodami Modrzewskiego zapali się dla Polski, gdy z serca buchnie płomień miłości dla tego, co wypowiadał największy wieszcz narodu, gdy sumienie nakaże stanąć po stronie tych, którzy w walkach o wolność własnego narodu pisali najszczytniejsze hasła na swoich sztandarach, wówczas przyjdzie nie Polak, ale człowiek rzymski i powie: Jeśliś nie katolik, toś nie Polak. Umysł krytyczny odpowie, że nie Rzym przyjmuje dusze do tego wielkiego i świętego przymierza, które nazywa się Polską, i nie Rzym wyłącza z tego przymierza, ale — niestety — umysłów krytycznych jest mało, a każdy z nas wie bardzo dobrze, że ulegając sugestji, długo uważał katolicyzm za istotę polskości...

Mówca wygłaszał swoje zdania spokojne, jak ktoś przemawiający bardzo często albo nawet stale. Regier wycał odrazu, że mówi on o sprawach, nad którymi musiał

zastanawiać się często i gruntownie. Wywody jego trafiały mu do przekonania i dlatego godził się z wnioskami, które mówca wysnuł ze swoich założeń:

— Uważam, że nie w interesie polskości leży ograniczenie praw ludności polskiej wyznania niekatolickiego. Gdyby uchwała sejmu, że prezydentem Rzeczypospolitej może być tylko Polak i katolik, w trzecim czytaniu zmieniona nie została, to wrogowie Polski z triumfem wskazywaliby na to, że narzucony Polsce artykuł o ochronie mniejszości narodowych i wyznaniowych, był usprawiedliwiony. Uważam, że człowiek, który dla takich czy innych powodów nie miałby prawa piastowania urzędu najwyższego, nie powinienby być uważany za godnego do sprawowania jakiegokolwiek urzędu wogóle. Powtrzymam zatem, że nie w interesie ewangelicyzmu, ale w interesie Polski i polskości musimy zaprotestować przeciwko ograniczaniu w prawach obywateli Rzeczypospolitej i to ograniczaniu z powodu wyznawanej przez nich religii.

Zebrani przyjęli przemówienie żywym zgodnym oklaskiem. Mówca skłonił się i usiadł. Rutkowski szepnął Regierowi, że jest to profesor Marini, potomek Waldensów, wykładający filozofję i psychologję religii. Ale zanim zdołał powiedzieć mu coś więcej, przewodniczący zebrania pan Gruner, oznajmił, że udziela głosu mecenasowi Jansonowi. Regier spojrział przed siebie i obok przewodniczącego ujrzał wysokiego eleganckiego mężczyznę lat czterdziestu, wygolonego i uczesanego starannie, jakby przybywał prosto z Ameryki. Skłonił się zlekka przed zebranymi i mówił:

— W roku 1907 zdarzyło mi się być w Genewie, gdy ten Rzym kalwiński uchwalał oddzielenie kościoła od państwa, zrzekając się materialnej pomocy państwa udzielanej kościołowi. Po roku znalazłem się we Francji, gdzie wprowadzano w życie uchwalone oddzielenie państwa od kościoła. Dopiero we Francji zrozumiałem w pełni czyn kalwińskiej Genewy. Protestanci Genewczycy oświadczyli państwu, że zrzekają się jego pomocy materialnej i że sami pokrywać będą koszta połączone z ich życiem religijnem.

natomiast katolicy francuscy tak kurczowo trzymali się państwa i tak rozpaczliwie bronili się przed zupełnym usamodzielnieniem duchowym i moralnym, że niepodobna było nie zastanowić się nad różnicami między protestantyzmem a katolicyzmem. Protestantyzm jest wolny, istnieje poza państwem i rezygnuje chętnie z wszystkiego, co nazwałbym świętą ostentacją, katolicyzm uważa siebie za pana świata a wyzwalanie się narodów z pod swojej supremacji politycznej, nawet przy jednoczesnym uznawaniu supremacji czysto religijnej, uważa za bunt. Z jednej strony mamy wielką ideę służenia światu, z drugiej strony ukazuje się idea panowania nad światem. Dla świętości i prawdziwości religji jest zupełnie obojętnym, czy ją wyznaje głowa państwa, tak jak ateizm królów nie decydował o ateizmie ich poddanych. Religja jest czemś nieskończenie wyższem, niż instytucjonalizm, który ma na swoje usługi aparat administracji państwowej. Moglibyśmy zadowolić się stwierdzeniem takiego stanu rzeczy i wobec niego zgłosić swoje *desintéressement*, ale — mówca podkreślił mocno to słowo — musimy powiedzieć sobie jasno, czy jako ewangelicy Polacy jesteśmy zainteresowani w szczęściu i pomyślności Polski, czy nie. Jeśli tak, to w jej interesie musimy domagać się równouprawnienia zupełnego, choćby ono w pewnych dziedzinach życia państwowego miało pozostać tylko teoretycznym. Obojętność wobec spraw tak żywotnych, jak sprawa równouprawnienia religijnego, byłaby w naszym wypadku obojętnością względem Polski. Każdy z nas marzył wolną Polskę jako ideał wolnego państwa i wolnego społeczeństwa: brońmy tego ideału wobec ciemnoty, która gotuje ścieżki panowaniu kłamstwa i ołbudy. Albo naprawdę będziemy mieli wolność sumienia albo będzie ona tylko na papierze, a życie dusić się będzie w kłamstwie.

Mecenac Janson usiadł, podziękowawszy ukłonem za buźliwe oklaski.

Obok przewodniczącego stał człowiek trzydziestokilkoletni, elegancko ubrany, z wąsikami przystrzyżonymi i wygolonym według ostatniej mody, i szeptał mu coś do

ucha. Pan Gruner również szeptem robił mu jakieś przedstawienia, ale elegancki pan w sposób wytworny obstawał przy swoim, tak iż ostatecznie przewodniczący oświadczył:

— Pan Rade ma głos.

Regier spojrzał uważniej na pana Radego i spostrzegł na jego ustach coś jakby uśmiech ironicznej wyższości. Stał z tym uśmiechem obok przewodniczącego, spokojnie czekając, aż zgromadzeni uciszą się należycie dla przyjęcia jego słów, a potem zdaniem krótkimi, akcentując obojętność i beznamietność w stosunku do tematu, wywodził:

— Zdaje mi się, że nikt z pośród szanownych panów nie powie nic takiego, co różniłoby się od zdań wygłoszonych przez szanownych przedmówców. Wszyscy jesteśmy jednego zdania, że jako Polacy ewangelicy powinniśmy mieć te same prawa, jak obywatele wyznania katolickiego. Ja powiedziałbym, że prezydent jakiegokolwiek republiki powinien mieć także zagwarantowane prawo wolności sumienia. Może się wszak zdarzyć, bo nic nie jest wykluczone — pan Rade uśmiechał się coraz ironiczniej — że na stanowisku prezydenta znajdzie się człowiek genialny, szlachetny, mądry, no jednym słowem uosobienie wszelkich talentów i cnót. Będzie bardzo obowiązkowy i powinnośc nakaże mu przyjąć stanowisko prezydenta, lecz oto po dwóch latach sprawowania urzędu, zbudzi się w nim zainteresowanie sprawami religijnymi, a nieco później dojdzie do przekonania, że powinien przyjąć wyznanie ewangelickie. Obowiązek względem państwa i narodu będzie mu kazał pozostać na stanowisku i trzymać się przepisaney wiary, obowiązek względem Boga i sumienie będzie żądał czego innego. Domagajmy się tedy wolności sumienia dla każdego prezydenta i dla każdego obywatela wogóle. Mamy po temu zupełne prawo, a mamy tem większe, że ekskluzywizm religijny jest zawsze szkodliwy i zawsze w nim ktoś kogoś ogranicza. Domagajmy się tedy słuszności; ale jak to zrobić? Klerykalizmu nie pokonamy, bo on ma potężnego sprzymierzeńca w obojętności religijnej ogółu. Co więcej, domagając się swego prawa, zbudzimy w

pewnych bezkrytycznych umysłach wrażenie, że dotykamy świętości narodowej. Czy więc nie lepiej byłoby zrezygnować ze swego prawa i pozostawić sprawę własnemu biegowi? Klerykalizm sam zademonstruje absurdalność swoich pretensji i sam wykaże swoją wartość. Ponieważ zaś każda walka z nim potęguje fanatyzm, przeto przeciwnicy wzmagają jego siły. Zresztą, przy spokojnem traktowaniu tej sprawy dochodzi się do wniosku, że nie posiada ona większego znaczenia. Tylko prawnicy mogą sobie wyobrażać, że życie kieruje się ustawami, podczas gdy ono tworzy ustawy i obala je. Może który z wielkich specjalistów umiałby nam powiedzieć, że w starożytnym Rzymie jakie bractwo kapłańskie stawiało żądanie, aby na króla, na pierwszego konsula, czy imperatora wybierany był tylko Rzymianin wyznający kult przodków w pewnej określonej postaci. Mogłoby to być dzisiaj bardzo ciekawem dla badacza obyczajów, ale dla życia byłaby ta sprawa przedawniona tak samo, jak przedawnionem jest imperium Rzymskie. Trzeba czynić i tworzyć, bo każdy najmniejszy czyn jest więcej wart od najlepszej platońskiej i... platońskiej ustawy. Proponuję bojkot jednej rzeczywistości i stwarzanie rzeczywistości innej, lepszej.

Pan Rade skłonił się i usiadł. Zapanowała konsternacja. Jeden spoglądał na drugiego, nie wiedząc co myśleć o słowach człowieka, który znany był ze swego ekscentrycznego sposobu myślenia. Regier doznawał wrażenia, że pan Rade drwił sobie nietylko z zebranych, ale i z wszelkich klerykalizmów, piszących ustawy; godził się z jego stanowiskiem i uważał je za najwłaściwsze. Czem — to się tu właściwie przejmować? Że jacyś ograniczeni klerykałowie ignorują istotę rzeczy tak wielkiej, jak religja, że kładą nacisk na marne pozory i świętą ostentację? Życie twórcze musi zbudować i utrwalić takie warunki, jakie są dla niego najodpowiedniejsze i konieczne, jeśli nie chce się załamać samo w sobie; dzisiejszość idąca w jutro, nie może zbyt daleko cofać się wstecz, a jeśli to uczyni wbrew logice wymagań życiowych, to wynik będzie opłakany, a życie samo stworzy korektywy. Regier myślał tak, jakby

sam przemawiał, i zapalał się do swoich myśli. Życie nie uczy się w szkole, ale przy pracy, przy wysiłkach i dążeniach, a gdzie napotyka przeszkody, tam je obala i idzie dalej, albo też rozbija się samo o przeszkody, a wtedy okazuje swoją małą wartość. Oto ewangelicy zaprotestują przeciwko niewątpliwie ciasnej i niemądrej redakcji pewnego artykułu ustawy. Oburzenie przeciwko nim wszystkim prymitywów politycznych będzie nieproporcjonalnie wielkie, a żywioły postępowe i trzymające się zdala od życia praktycznego, wzruszą ramionami. Czy warto wdać się w dyskusję z takimi organizacjami umysłowymi?

W odpowiedzi na to zadane sobie pytanie usłyszał głos skupiony, poważny, jakby przemawiał nie człowiek, ale życie samo. Podniósł oczy ku mówiącemu i ujrzał pana Białotę, jak z oczyma zwróconymi dowewnątrz szuka wyrazów dla swoich myśli i wypowiada je powoli, z namaszczeniem.

— Rozumiem te uczucia, jakie podyktowały szanownemu przedmówcy jego ironiczne, a nawet złośliwe słowa. Przemówiło niemi rozczarowanie, którego doznał każdy z nas już tyle razy. Wierzyliśmy głęboko, że razem z Polską zwyciężyć musi nie tylko formalna sprawiedliwość, ale sama istota prawdy i piękna moralnego. Polska była dla każdego z nas cudowną formą, w którą każdy wkładał wszystko, co miał w duszy najpiękniejszego. Polska były to strofy Słowackiego, melodia Chopina, to była czysta samotna dusza Kościuszki, to były błyskawice i gromy rzucone przez Mickiewicza na głowy współczesnych, swoich i obcych, małych i wielkich... Nie umiem powiedzieć wszystkiego, ale Polska nasza nie była na ziemi, lecz istniała ponad ziemią i była nadziemsko piękna. Dzisiejsza Polska istnieje na ziemi i ma swoje ziemskie wady, jak wszystkie kraje na całym świecie, ale tych wad nikt nie widzi w takim wyjaskrawieniu, jak ci synowie jej, którzy ją najbardziej kochają i którzy w marzeniach swoich stroili ją w najpiękniejsze szaty ducha. Kontrast jest tak wielki, że trzeba zastanowienia, aby się od rzeczywistości nie odwrócić i nie czekać Polski marzonej. Rozumiem uczucia

pana Radego, ale zarazem rozumiem, że to co było naszym marzeniem, musi się wcielić w życie wysiłkiem naszej całej zbiorowości. Proponowana bezinteresowność byłaby wyrazem obojętności, a na to bym nigdy zgodzić się nie mógł. Czasy nasze nie są tak patetyczne jak czasy Rejtana i sprawa, o którą nam chodzi, nie jest taka wielka, ale uważam, że w interesie naszej Ojczyzny trzeba zwrócić komu należy uwagę, iż pewne słowa ustawy konstytucyjnej mogą być przez wrogów narodu naszego użyte przeciwko nam, a krajowi w niczem się nie przysłuży. Jest więc obowiązkiem naszym względem Polski zaprotestować przeciwko uszczuplaniu jej granic duchowych, przeciw zwięzaniu rozpięcia skrzydeł Orła Białego i dopasowywania ich jedynie do siedzib zamieszkałych przez katolików. Protest nasz musi być wyrazem troski nie tylko o prawa obywateli ewangelików, ale przede wszystkim o prawa Rzeczypospolitej, która nie może i nie powinna rozluźniać swego stosunku do setek tysięcy wiernych i oddanych jej synów wyznania ewangelickiego. Protest nasz musi być nacechowany spokojem i być wyrazem miłości dla naszych braci katolików, nigdy zaś wyrazem uczuć, które nie mogłyby się pomieścić w pojęciu najserdeczniejszego braterstwa.

Regier spoglądał na mówiącego z rosnącym zainteresowaniem. Od Rutkowicza słyszał, że Białota jest przemysłowcem, a przemysłowców nie podejrzewał o subtelność myślenia i odczuwania, a przede wszystkim nie przypuszczał, aby znali literaturę i sztukę do tego stopnia, iżby się przy sposobności na nie powoływać mogli. Jeszcze i to zaciekawiało go w Białocie, że był to Ślązak, a przecie Ślązacy, pochłonięci walką o byt z potężnym germanizmem, mieli chyba najmniej ze wszystkich Polaków sposobności do zapoznawania się ze skarbami kultury narodowej.

— Zdaje mi się — kończył Białota — że wypowiem uczucia i pragnienia naszych braci ewangelickich, Polaków cieszyńskich, gdy pozwolę sobie polecić szanownym gościom i współwyznawcom, aby wybrali taką formę protestu, która służąc Polsce, w niczem nie mogłaby dotknąć uczuć braterstwa.

Słowa Białoty zostały pokryte burzliwym poklaskiem i zaraz też zabrano się do omawiania formy protestu. Wszyscy zgadzali się na zwołanie wielkiego wiecu ewangelików i odwołania się na nim do najpiękniejszych i najszlachetniejszych tradycji polskich. Wszyscy obecni zobowiązali się przybyć na wiec i przyczynić się, aby był jak najliczniejszy. Regier zapoznał się z kilku wybitnymi działaczami ewangelickimi i serdecznie dziękował Rutkowiczowi, że zabrał go z sobą na to zebranie, o którym byłby pewno wcale nie wiedział, a które było dla niego ogromnie pouczającym.

— Szczęśliwa jestem niemożliwie — pisała Ludka do Regiera, odpowiadając mu na jego list. — Miasteczko jest bardzo podobne do naszego, tylko, że będzie ze dwa razy większe. Gdy się wyjdzie na jaką ustronnejszą uliczkę, to ma się wrażenie, że się jest bardzo blisko naszego domu w Zabłoniu. Takie same są tu wyboiste bruki i chodniki i tak samo dużo na nich błota podczas szarug. Przez całe przedpołudnie Stefan jest na służbie, a wtedy gospodaruję w naszym małym mieszkanku i razem ze swoją Andzię gotuję obiad. Popołudniu siedzimy ze Stefanem nad jaką ładną książką albo poprostu nad swoim szczęściem i dziwujemy się, że ludziom może być na świecie tak dobrze, jak jest nam. Jedyne zło, które nas trapi, to konieczność składania nudnych wizyt i przyjmowania gości w ciasnym mieszkanku. Jaka szkoda, że w tych czasach nie można wyjechać gdzieś doleko, gdzie jest zacisznie i gdzie jest trochę słońca....

Regier podniósł oczy z nad listu i mimowoli spojrział na ogród Saski, a raczej na zakątek tego ogrodu, widziany z nad jego biurka. Bezlistne drzewa stały smutne na deszczu i zdawały się czekać zmiłowania w jakiejś bezdomnej rezygnacji. Niebo było szare i obojętne, jakby się wypierało tego, że kiedykolwiek było jasnym i błękitnym i że płynęło po niem słońce, promienne i ciepłe. Istotnie dobrze byłoby pojechać daleko nad morze i cieszyć się sło-

niecznymi blaskami i ciszą. Przypomniat sobie jakieś dni zimowe spędzane w Rivierze nad Gardą, gdy na okolnych szczytach górskich szalały zamieci śnieżne, doskonale widzialne przez lornetkę, podczas gdy w zacisznej dolinie było ciepło i słoneczno, a gdy się szło nad wodospad Ponale, to małe Włoszeta biegły za cudzoziemcem z kwiatkami.

„Czasem, gdy deszcz pada, a jestem w domu sama, to wyglądam oknem na puściuteńką ulicę i byłabym smutna, gdyby nie pewność, że niedługo wydostaniemy się z tego małego miasta i zamieszkamy w Warszawie. Słyszę często, że Stefan jest bardzo zdolnym oficerem i że rychło patrzeć zostanie przeniesiony do Warszawy. Koledzy mu zazdroszczą tego wyróżnienia, a ich żony bywają czasem nawet złośliwe. Ale niech tam! Jeszcze parę tygodni i będziemy w Warszawie. Naturalnie, że niema karesu bez interesu i taka jestem niegodziwa, iż list ten piszę głównie dlatego, aby Cię zainteresować sprawą znalezienia dla nas mieszkania...”

Regier uśmiechnął się niemal złośliwie. Mieszkanie w Warszawie!... Oczywiście, nie będzie można napisać Ludce, jak trudno o porządne mieszkanie i jak drogo trzeba za nie płacić, gdy się je kupuje; nie uwierzy i nie zrozumie. Było mu jej żal, ale nie miał rady. Przed kilku tygodniami miał sam dość ładne mieszkanie z dwóch dużych pokoi, kuchni i łazienki, ale oddał je koledze żonatemu, który został mu przydzielony jako pomocnik (a mieszkał z żoną i córeczką w jednym pokoju). Regier był wtedy przekonany, że lada dzień będzie mógł wyjechać z Warszawy na stałe do Zabłonia i dlatego z lekkim sercem pozbył się mieszkania, które mógłby był teraz oddać Ludce. Stało się; przybywała mu nowa troska do wielu trosk dawnych i trzeba było zacząć myśleć o mieszkaniu dla Ludki.

„Ogromnie się cieszę — czytał dalej, — że mamusia przekonała się do pani Heleny i że niedługo chyba ta kochana kobieta będzie moją wujenką, czy jak tam, i zamieszkacie przy mamusi w Zabłoniu. Wujcio się tak nawo-

jażował po świecie, że wyobrażam sobie, jak dobrze będzie mu w naszym domu. Tylko nie odkładać tak tej sprawy! Uważam, że szkoda każdego dnia. Gdyby wujcio wiedział, jaki to cudowny wynalazek małżeństwo, toby wszystko cisnął..."

Złożył list i wstał od biurka, jakby trzeba było coś zrobić odrazu i stanowczo. Było mu ciasno w tem biurze i ogarniała go złość, że jeszcze w niem siedzi. Już w sierpniu roku ubiegłego, na pierwszą wieść o zwycięstwie wojsk polskich budziła się w nim radość, że oto skończyła się tułaczka i że będzie mógł pomyśleć o sobie. Najchętniej byłby natychmiast wystąpił z wojska, aby powrócić do Zabłonia, poślubić Helenę i zamieszkać razem z nią w domu siostry, aby jej pomagać w ciężkiej pracy, ale Ostrozór nawet słyszeć nie chciał o uwolnieniu go ze służby.

— Jakto — udawał wtedy oburzenie, aby Regiera tem łatwiej przekonać, — czy nie rozumiesz, że przychodzi okres trudny i żmudny rokowań pokojowych, podczas których my przedewszystkiem będziemy potrzebni naszym delegatom pokojowym? Trzeba będzie bardzo skrzętnie zbierać różne potrzebne materiały, a tego przecie w pewnej dziedzinie nikt za nas zrobić nie może.

Regier nie przeczył. Rozumiał, że Ostrozór miał rację i godził się na pozostanie w wojsku na czas rokowań pokojowych.

— Jak długo będą prowadzone rokowania pokojowe? — zapytał.

— Naturalnie, że rokowania pokojowe nie trwają nigdy tak długo, jak wojna — pocieszał go major wykrętną odpowiedzią.

Regier powiedział sobie, że do kilkunastu lat tułaczki i wojny można ostatecznie dodać jeszcze kilka tygodni czy nawet miesięcy rokowań pokojowych i pracował dalej. I znowuż przyszły dni, w których trzeba było odszukiwać się różnych szczegółów i szczegółików, układać sprawozdania, jeździć do Gdańska, latać do Rygi z mniej lub więcej ważnemi dokumentami i przesiadywać nocami w biurze.

aby z piramidy popisanych papierów wyluskać jakiś falcik
błahy sam w sobie, ale ważny i doniosły, jako szczególnie
pewnej całości.

Przypomniawszy sobie miesiące ubiegłego roku pełne cięż-
kiej pracy, zmierzył tygodnie roku bieżącego i czuł się bez-
radny wobec jakiegoś fatum, które nie pozwalało mu być
panem własnej woli. Stał przed mapą Europy, zawie-
szoną na bocznej ścianie biura i przyglądał się jej uważnie,
jakby szukał na niej odpowiedzi na pytania, które go nur-
towały. Ponieważ mapa milczała, więc zwrócił się do ko-
legi, porucznika Semkowicza, tego właśnie, któremu od-
stał był swoje mieszkanie:

— Jak wam się zdaje, kiedy nareszcie zostanie pod-
pisany pokój? — W jego głosie drgało zniecierpliwienie.

— Może za miesiąc — odpowiedział Semkowicz —
może za trzy. To wszystko jedno.

— Co znowu! Wszystko jedno! — oburzył się Re-
gier. — Przecież można ostatecznie mieć także pewne spra-
wy osobiste, które łączą się w taki czy inny sposób z trak-
tatem pokojowym!

Ale Semkowicz nie dał się wytrącić z równowagi.

— Traktat pokojowy trzeba podporządkować tym
sprawom osobistym, albo sprawy osobiste traktatowi. Sub
specie aeternitatis to także wszystko jedno.

— Jestem zmordowany tą całą wojną...

— To mało.

— I chcę się ożenić — dokończył Regier.

— Jak się jest zmordowanym wojną — mówił Sem-
kowicz, nie podnosząc oczu z nad gazety — to trzeba uni-
kać żeniaczki, bo to miejscami gorsze od wojny.

Regier machnął ręką i usiadł do roboty, czując się
nieszczęśliwym, że czyni nie to, co chce, ale to, co chcą
inni. Wspomniał lata studjów, podczas których nie trosz-
czył się o potrzeby powszednie, gdyż miał istnienie zape-
wnione i teraz zdawało mu się, że to bez troskie życie uczy-
niło z niego człowieka bezwolnego, nie umiejącego oprzeć
się cudzej woli.

Minęło kilka tygodni na wyczekiwaniu pokoju i szukaniu mieszkania dla Ludki i Regier odetchnął spokojniej dopiero wówczas, gdy dowiedział się od pułkownika Zawojskiego, że w dniach najbliższych pokój będzie prawdopodobnie podpisany. Ale starym swoim zwyczajem powiedział mu przy tej sposobności, że na wszelki przypadek trzeba wygrzebać szereg pewnych zapisanych i dowiedzionych faktów, potrzebnych do obalenia twierdzeń przeciwnika. Regier wyszukał odpowiednie fascykuly własnych sprawozdań prasowych, wycinków z pism, stenogramów przemówień sejmowych, odpisów not i z systematyczną, zgorzkniałą już cierpliwością zabrał się do roboty, której mogło być na tydzień, ale która musiała być wykończona za dwa dni, jeśli miała przydać się na co. Przy tej żmudnej robocie pocieszał się myślą, że święta Wielkiejnocy spędzi w Zabłoniu z siostrą i Heleną.

Pewnego dnia, gdy grzebał się w wycinkach pism rosyjskich, do biura wszedł Ostrozór z czapką fantazyjnie przesuniętą na bakier i witając się z Regierem, rzucił mu kilka gazet na stół.

— Konstytucja uchwalona — rzekł wstrzemięźliwie żeby broń Boże nikt nie mógł go podejrzewać o jakąś z tego tytułu radość.

— Ergo bibamus — mruknął Regier, sięgając po gazetę.

— Naturalnie, że bibamus — przyświadczył Ostrozór. — Jeszcze dzisiaj urznię się i obrażę swoją godność ludzką nadmiarem satysfakcji i alkoholu. Pójdiesz z nami?

— Jeśli skończę tę oto robótkę, to może pójde — odpowiedział Regier.

Ostrozór podszedł do niego, spojrzął na robotę i machnął ręką.

— Daj spokój, Stasiu — mówił tonem beznadziejności zupełnej — przepadła twoja praca, zmarnował się szlachetny trud. W tej chwili pokój może już podpisany, a jeśli jeszcze nie, to delegaci napewno już maczają pióra w tym właśnie chwalebny z zamiarze, aby pokój podpisać.

Regier aż zaklął z uciechy, bo wiedział, że Ostrozór na wiatr nie mówi. Jeśli powiada, że pokój już jest podpisany, to niezawodnie tak jest, albo stanie się tak w dniach najbliższych. Nauczył się od Ostrozora nie okazywać swoich uczuć i zachowywać się tak, jakby mu wszystko na świecie było doskonale obojętnem. Wybuchowi radości nadał znaczenie przeciwne, i zrzędził, rzucając pióro na stół:

— Tyle roboty!...

— Ja cię rozumiem — zgodził się z nim Ostrozór — że to cię może irytować, iż nie poczekali z zawarciem pokoju na ten ładny referacik, ale przyda ci się do następnego pokoju, więc się nie martw.

— Następny pokój będziesz sobie zawierał sam, bo ja jestem już prawie cywil.

Ostrozór popatrzył na niego uważnie, jakby się chciał przekonać, czy to żart, czy też przyjaciel zdobywa się nieoczekiwanie na taką wielką stanowczość i rzekł spokojnie:

— Gdybyś nawet wbrew rozsądkowi porzucił służbę, to będziesz oficerem rezerwy. Prawda? A my cię sobie poprowadzimy w ewidencji jako takiego, który coś niecoś potrafi i w razie czego zawołamy bardzo grzecznie. Więc widzisz, że i przyszły pokój nie obejdzie się bez ciebie. Nie trzeba być zanadto skromnym.

— Wychodzisz z fasonu i mówisz więcej, niż przystało na dyplomatę — upomniał go Regier.

— Kto się z cywilami wdaje, ten łatwo wychodzi z fasonu — ubolewał Ostrozór, zapalając papierosa i recytując te słowa, jakby je wygłaszał do zapalanej zapalki. Usadowił się przy biurku i zabrał się do jakiejś pracy.

Regier rozłożył gazetę i czytał wstęp do uchwalonej właśnie konstytucji: „W imię Boga wszechmocnego! My, Naród Polski, dziękując Opatrzności...” Bardzo mu się podobał ten wstęp uroczysty, przypominający jakąś ogromną świętą przysięgę, składaną przez cały naród za siebie i za przyszłość swoją. Zamyślił się nad tym wstępem konstytucji i przypominał sobie prozaiczne, zgoła nieuroczyste wstępy do konstytucji innych, osobliwie do konsty-

tucji czeskiej, uchwalonej przed dwoma laty i przez niego trybem bardzo przyśpieszonym tłumaczonej. Przyszło mu na myśl, że tamto jest zimna, rzeczowa ustawa, podczas gdy konstytucja polska stanowi gorącą przysięgę narodu wyzwolonego cudem z niewoli, w której ginęły pokolenia, skazane na cierpienie w milczeniu i bez widoków wyzwolenia.

„W imię Boga wszechmogącego... W imię Boga...” — powtarzał sobie i czuł się osobiście wyróżnionym przez dzieje swego narodu, że jest mu danem żyć w chwili, w której naród daje wyraz, iż jest panem swego losu i swej woli.

Nazajutrz telegraf rozniósł po świecie wieść, że pokój został w Rydze podpisany. Regier tak się ucieszył tą wiadomością, że nagadawszy się dosyta z Semkowiczem, wszedł do pokoju maszynistki, panny Marji, przepisującej początek jego referatu i wezwał ją tonem stanowczym, aby dała spokój przepisywaniom i poszła na spacer.

— Co się stało? — zatrwożyła się panna Marja.

— Pokój podpisany — rzucił w nią tym ciężkim pociskiem.

Ale panna Marja nie wzruszyła się. Przestała wprawdzie pisać i wyjęła z pod wałka napisany początek, ale Regier nie doczekał się oczekiwanego wybuchu radości.

— Żeby to mój urlop był podpisany..! — westchnęła

— Niech pani uważa go za podpisany — gorączkował się Regier w wielkim napływie życzliwości dla panny Marji i dla całej reszty świata.

— Bo proszę pana ja w zeszłym roku urlopu nie miałam i tego roku należy mi się dwa razy dłuższy.

— Będzie pani miała dwa razy dłuższy.

— I płatny?

— Obowiązkowo! — Regier byłby przyrzekł wszystkim wszystko. Był święcie przekonany, że ani pułkownik Zawojski, ani major Ostrozór nie mogą być innego zdania.

Nie zawiódł się co do panny Marji, bo na jego energiczne przedstawienie Ostrozór nie tylko zgodził się udzielić jej płatnego urlopu, ale pozostawił jej prawo wyboru czasu, kiedy będzie chciała z niego korzystać. Natomiast

nie otrzymał Regier oczekiwanego zwolnienia ze służby. Ostrozór prosił go o cierpliwość, motywując zwłokę jakimiś niedość jasnymi względami..

Nastrój w Warszawie nie przestawał być radosnym: po uchwaleniu konstytucji przyszło podpisanie pokoju, potem imieniny Naczelnika Państwa, wreszcie niedziela plebiscytu na Górnym Śląsku. Ta Palmowa niedziela pozostała Regierowi nazawsze w pamięci. Chodził po ulicach, żegnając się z Warszawą, którą, jak mniemał, miał niedługo opuścić nazawsze, a przynajmniej na długo. Włóczył się po Alejach Ujazdowskich i Nowym Świecie, a od Alei Jeruzolimskich ruszył ku Wiśle. Koniecznie chciał popatrzeć na nią, zanim wyjedzie do Zabłonia. Dzień był słoneczny, ale wiał suchy i zły wiatr, podnosząc co chwila tumany kurzu. Regier szedł powoli i czytał po kolei wszystkie pisma kupowane po drodze, szukając w nich coraz nowych argumentów, że plebiscyt na Górnym Śląsku koniecznie wypaść musi pomyślnie dla Polski.

— Mamy konstytucję, zawarliśmy korzystny pokój z Rosją—myślał Regier—dlaczego Ślązacy mieliby się wahać? Gdzież może być Polakowi lepiej, niż w Polsce?

Nawiedziło go takie samo uczucie dumy i zadowolenia, jak w roku zeszłym w pierwszych dniach maja, gdy w Trzebini czekał na pociąg i widział instruktorów francuskich jadących do Polski, i długie pociągi z Ukraińcami, wracającym z niewoli, aby połączyć się z Polską i stanąć przy jej boku do walki o wolność.

Od Wisły powiał chłodny wiatr, słońce jakby przygaślo na chwilę, a w duszy Regiera zbudził się niepokój, czy radość dzisiejsza nie zostanie przesłonięta takimi sameymi zgrzyotami, jakie przyszły po zeszłorocznych niezapomnianych dniach majowych.

Jedną z wielkich trosk Regiera była stara jego krewniaczka, ciocia Tercia, jak ją wszyscy nazywali. Od wielu lat mieszkała razem z córką i zięciem we wsi Pasiecznej,

niedaleko Dobrzynia. Gospodarowali tam na jakichś studzisztych morgach i dzięki wielkiej pracowitości całej rodziny powodziło im się wcale nieźle. Gdy wybuchła wojna i gdy sąsiedzi uciekali przed Niemcami do Warszawy, namówiła zięcia i córkę, aby i oni razem z dziećmi wyjechali do Warszawy, na „te parę tygodni wojny“, a sama uparła się pozostać w Pasiecznej, aby wszystkiego dopilnować.

Staruszka przetrwała jako tako ciężkie i złe czasy okupacji, nie przeczuwając nawet, że dzieci jej i wnuki jako ewangelicy uznani zostali przez Rosjan za Niemców i wysłani w głąb Rosji. Dowiedziała się o tem dopiero po wygnaniu okupantów; pisali jej o rodzinie Wernerów znajomi, którzy wrócili niedawno z Rosji. Według tej wiadomości Wernerowie mieszkali zrazu w Pszkowie, a potem musieli przenieść się do Petersburga, skąd wywędrowali na daleki wschód, w nadziei że daleką drogą okrężną dostaną się do domu.

Z dnia na dzień czekała od nich wiadomości, że już są w drodze i że niebawem przyjadą. Przygotowywała na ich przyjęcie, niedalekie, jak sądziła. Tymczasem dzień mijał za dniem, a Wernerowie nietylko, że nie wracali, ale nie dawali o sobie znaku życia. Nadszedł wreszcie rok 1920 z najeźdźcą bolszewickim, dworek w Pasiecznej został obrabowany i spalony, a ciocia Tercia musiała szukać dachu nad głową w Warszawie. Na szczęście znalazła mieszkanie w małym domku przy ulicy Topolowej w pobliżu lotniska, i tam czekała wiosny, aby odbudować zburzony dworek w Pasiecznej i przenieść się do niego.

Staruszka czuła się w Warszawie bardzo źle, słabła coraz bardziej i musiała często polegiwać. Jedyne jej pragnieniem było, aby mogła jak najprędzej wrócić do swojej kochanej Pasiecznej. Regier znał ją jeszcze ze swoich czasów gimnazjalnych, gdy nie raz spędzał u niej na wsi wakacje, i kochał ją bardzo. Odwiedzał ją często pocieszał jak umiał, że znowu będzie dobrze, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z trudności, których ciocia nie znała, a których po wojnie było bardzo wiele.

Otrzymałszy urlop na święta Wielkanocne, Regier poszedł do niej, jak zwykle. Zastał ją w łóżku, słabszą, niż zwykle. Przypuszczając, że ciotka jest bardzo chora, Regier postanowił nie zostawiać jej samej, i nie wyjeżdżać z Warszawy. Napisał więc do siostry, że z powodu choroby ciotki Terci przyjechać nie może i zaprosił siostrę na święta do Warszawy.

Namawiał ciotkę, aby się poradziła lekarza i obiecał jej przyprowadzić starego znajomego doktora, ale ciotka nawet słyszeć o tem nie chciała.

— Doktor nic mi nie pomoże — machnęła ręką. — Jak tylko wrócę do Pasiecznej, to będę zupełnie zdrowa. Nie mogę wytrzymać w tem wielkiem mieście.

Radził jej tedy, aby wyjechała tymczasem na wieś, choćby do znajomych, ale i to jej nie przekonało.

— Żebym ja, stara wieśniaczka, miała wyjeżdżać na letnie mieszkanie na cudzą wieś! — śmiała się z jego projektu. — Ja sama najlepiej wiem, jak na wsi gość krępuje, gdy jest dużo pracy, a on potrzebuje opieki. Zresztą mnie chodzi tylko o Pasiieczną; tam jest tyle do roboty, tyle trzeba uporządkować..! Coby to było, gdyby teraz wrócili Wernerowie z Rosji..!

Regier był bezsilny wobec tej nowej trudności, ale pomimo uporu starej ciotki, trzeba było koniecznie poradzić jej jakoś. O siostrze i Helenie należało na jakiś czas zapomnieć. Nie do starej ciotki miał o to żal, że na święta nie może pojechać do Zabłonia, ale do tego losu, który bezustannie rzucał mu kamienie pod nogi. Pomyślał chwilę, zebrał się w sobie, jakby się przygotowywał do ciężkiej roboty i robienia generalnego porządku, przysunął krzesło do łóżka staruszki, pochylił się nad nią i zapytał:

— A jak też daleko posunęły się roboty w Pasiecznej?

Zamiast odpowiedzi, ciotka sięgnęła pod poduszkę, wydobyła stamtąd kilka listów i podała je Regierowi. Były to listy starego rządcy, pana Chodaczka, którego Regier znał bardzo dobrze i o którym wiedział, że dominującą cechą jego charakteru była jakaś solidna, konserwatywna nieruchawość.

Wziął listy z rąk ciotki i zaczął je odczytywać. Imć pan Chodaczek w pierwszych słowach każdego ze swoich listów donosił regularnie, że jest zdrow z łaski Pana Boga, czego i pani dziedziczce dobrodziejce życzy, a potem rozwoził się obszernie, jako „ceglę trza było zwozić z wielkimi kłopotami, bo konie pozabierały bolszewiki, a chłopcy nie mają, a tu na wiosnę wszystkim potrzebne. I belki to samo i deski z tartaka. A cieśle wszystkie harde i mularze też, że to roboty teraz mają dość. Co jeden majster, to chce więcej; jeden powiada tak, drugi tak...” W innym liście była mowa o tem, że się już zgodzili z niejakim Grabiną, majsterkiem dobrym i poczciwym, który zaraz wziął się do roboty w sześciu mularzy i pomocników, ale mularze raptem przestali robić, bo im zamała zapłata. Grabina mówi, że trza zgodę inną zrobić wedle nowego kursu, ale ja nie wiem, czy się pani dziedziczka zgodzi i da tyle, ile żądają...”

Nie czytał dalej. Widział, że ciocia Tercia niewiele mu powie. Zaczny Chodaczek odbudowywałby dworek w Pasiecznej ze trzy lata. Do rzeczy należało zabrać się żwawo i energicznie.

— Ten Chodaczek to człowiek bardzo poczciwy i zacny — wówił Regier, — ale i niedołęga niezgorszy. On tego dworka nie odbuduje. Tu trzeba człowieka, który zna się na rzeczy. Poszukam w Warszawie takiego majstra, co się zajmie budowaniem i za dwa miesiące będzie po krzyku.

Ciocia Tercia złożyła ręce, jakby błagała o darowanie jej życia.

— Zmiłuj się, Stasiu, co ty mówisz! Majstra z Warszawy do Pasiecznej! A czy ty wiesz, ile trzeba płacić jednemu cieśli, albo mularzowi z Dobrzyńia? A tu jeszcze majster z Warszawy. Wernerowie poszliby chyba z torbami.

Regier oczywiście nie wiedział, ile się płaci jednemu cieśli z Dobrzyńia i nie miał pojęcia, jakimi środkami rozporządza ciocia Tercia. Gdyby sam posiadał jakie takie pieniądze, to możnaby zacząć ciotkę wyprowadzić w pole, a zatem załatwić sprawę z Wernerami po ich powrocie.

Ale pieniędzy nie miał. Straty poniesione przez siostrę w postaci zaginionych transportów narzędzi rolniczych, konieczność dania Ludce jakiego takiego wyposażenia, gdy po Nowym Roku wychodzi za mąż za majora Iweckiego, studja Władka, wszystko to powodowało wydatki, na które poszła cała reszta rozporządzalnej gotówki Regiera. Miał nadzieję, że fabryka narzędzi rolniczych ruszy po wojnie tem zwawiej i że siostra będzie mogła zwrócić mu wkrótce wszystkie pożyczki, ale na to trzeba było czekać, a widoki były coraz niewyraźniejsze.

Wracał od ciotki przygnębiony i smutny. Wszystkie jego plany i zamiary jakaś niewidzialna ręka odsuwała w nieokreśloną przyszłość. Nie widział narazie nawet możliwości opuszczenia służby wojskowej i przeniesienia się do Zabłonia, bo poprostu nie miał na utrzymanie. Liczył, że wezwana do Warszawy siostra znajdzie jaką radę, albo przywiezie pożądaną dobrą wiadomość. Stawało się jasnym, że jeżeli nie zajdą jakie zasadnicze zmiany na lepsze, to trzeba będzie budować możliwość istnienia od podwalin.

O otrzymaniu profesury na uniwersytecie, która dawałoby dostateczne środki utrzymania, nie można było marzyć. Najwięcej szans miała sprawa znalezienia miejsca nauczyciela w gimnazjum, ale w takim razie musiałby odłożyć na czas nieokreślony myśl połączenia się z Heleną. Zamieszkanie w Warszawie z żoną uniemożliwił sobie gruntownie aktem swej wspaniałomyślności wobec kolegi, któremu odstąpił mieszkanie, będąc przekonany, że niebawem będzie mógł opuścić służbę wojskową i Warszawę. Zajął pokój po koledze w mieszkaniu niejakiej pani Zarębiny z Litwy i zrazu stał się przedmiotem nienawiści ze strony tej pani, która nabyła mieszkanie za swoje pieniądze i chciała je mieć dla siebie. Dla ugłaskania jej, Regier próbował jej tłumaczyć, że na czysto zyskała, bo wyprowadziła się rodzina, a teraz będzie mieszkał w jej pokoju on sam i to jeszcze niebardzo długo, najwyżej dwa trzy tygodnie.

— Wszyscy mówią, że dwa trzy tygodnie, a potem siedzą rok i sześć niedziel — ofuknęła go niełaskawie.

— Mogę panią zapewnić, że roku i sześć niedziel u pani mieszkać nie będę — mówił Regier, hamując złość.

— Daj to Boże! — westnęła pobożnie szczerą niewiastą. — I niech pan nie myśli, że to takie ważne, że pan niby nie żonaty. Tego pana Semkowicza to przynajmniej pilnować nie musiałam, bo go sobie pilnowała żona.

Regierowi wydało się, że z za uchylonych drzwi słysząc tłumiony śmiech.

— Pilnować? — zdziwił się.

— A tak! — potwierdziła ostro. — Ja tu mam bratanicę, która jest w klasach i ma teraz zdawać na patent. Pan Semkowicz kładł jej w głowę różne nauki, ale niewiele tam pojęła, bo ma pstro w głowie. Gramatyki francuskiej ani w ząb.

— Ależ stryjenko..! — ozwał się głos dziewczęcy, wygięty przedłużonym akcentem gorzkiego wyrzutu. — Dlaczego mnie stryjenka tak uniemożliwia?!

Regier zwrócił się ku drzwiom i na progu sąsiedniego pokoju ujrzał panienkę więcej niż średniego wzrostu, o policzkach rumianych zdrowej wieśniaczki i ustach rozdrganych nałogowym śmiechem młodych dziewcząt, śmiejących się chętnie bez najmniejszej przyczyny. Dygnęła przed Regierem z przesadną grzecznością i zanim oburzona stryjenka zdołała dojść do słowa, wyrecytowała:

— Ja piszę zupełnie poprawnie wszelkie opracowania francuskie, tylko że nie potrafię wytłumaczyć profesorowi dlaczego piszę poprawnie.

Regier skłonił się pannie:

— Porucznik Regier.

— Zarębianka Magdalena, uczennica ósmej klasy — recytowała wesoła bratanica ponurej pani Zarębiny — Pochodzę z pod Mińska, a stryjenka z Litwy, dominium Ojkle, poczta Żarkiszki...

— Madziu! — zawołała stryjenka — w tej chwili wyjdź!

— Słucham, stryjenko — odpowiedziała panna Madzia, dygając przed Regierem i zwracając się ku drzwiom.

— Chwileczkę! — wtrącił Regier, zwracając się do panny Madzi. — Jeśli pani ma takie duże trudności z gramatyką francuską, to może mógłbym pani poradzić. Mieszkałem parę lat we Francji...

— O! jak to dobrze! — zawołała panna Madzia, składając ręce. — Pewno pan zna wszystkie sekrety subjonctive'u. No widzi stryjenka — triumfowała panienska, — że miałam rację. Mówiła stryjenka, że jak się śnią małe psiaki i ksiądz, to będą plotki, a ja mówiłam, że albo przyjdzie miły list, albo też będzie dobra legumina.

Regier śmiał się z tego wykładu snów, ale pani Zarebina przybrała minę jak najbardziej surową i oświadczyła tonem noty werbalnej:

— Nie życzę sobie żadnych uprzejmości względem bratanicy. Jeśli zajdzie potrzeba, to znajdę dla niej nauczyciela.

— Ja nie narzucam swojej pomocy wbrew woli pani— odpowiedział Regier wzruszając ramionami.

— To dobrze — pochwaliła to sobie surowa stryjenka. — Następnie prosiłabym, aby pan był łaskaw unikać rozmowy z moją bratanicą. Jestem za nią odpowiedzialna i nie mam ani czasu ani ochoty do pilnowania jej i pana.

Regier spojrział na pannę Madzię i w oczach jej rozśmianych przed chwilą, dostrzegł jakiś ostry i zły błysk. Poruszyła ustami jakby chciała coś powiedzieć, ale nie rzekła nic, tylko pożegnała Regiera niemym ukłonem i wyszła. Poszedł za jej przykładem, a gdy znalazł się w swoim pokoju, doznał bolesnego uczucia, jakiego nigdy dotąd nie doświadczał, że jest intruzem w cudzym domu i że, niestety, nie może rzucić tego niegościnnego domostwa i pójść sobie. Nie miał poprostu strzechy nad głową i nie wiedział, gdzie znalazłby mieszkanie odpowiedniejsze. Napastowała go myśl, że zrobił głupstwo oddając swoje mieszkanie koledze; zgrzeszył ciężko przeciwko świętemu egoizmowi i grzech ten mści się teraz nad nim. Tyle razy przecie słyszał, że każdy powinien starać się przedewszystkiem o siebie i dopiero taka pani z kresów cywilizacji musi go brutalnie pouczać, że zrobił głupstwo, zapominając

o sobie dla innych. Myśli te wyrastały jakby poza nim, wbrew jego woli i wbrew odrzucaniu ich od siebie jako nieswoich. Ale im bardziej się bronił, tem napastliwszemi stawały się i tem boleśnieszce towarzyszyło im uczucie wstydu, że jest małoduszny egoistą, który w nędznej małoduszności żałuje iż zrobił to, co zrobić był powinien. Czuł się bardzo nieszczęśliwym i uświadamiał sobie poraz pierwszy w życiu, że bieda rodzi konflikty, których człowiek zamożny, mający zabezpieczony dach nad głową i stały kawałek chleba, nigdy nie pozna.

Aby uciec przed temi smutnemi rozmyślaniami, sięgnął do kieszeni po list Heleny, napisany do niego przed paru tygodniami, ale ciągle dziwnie aktualny dla swojej wyjątkowej treści. Nosił go stale przy sobie i często czytywał. Usiadł przy małym biurku dębowem naprzeciwko dużej fotografii Heleny i po raz setny może odczytywał jej słowa:

„Muszę często myśleć o ludziach, którzy mijają się ze swoim szczęściem, nie wiedząc o tem wcale, aż kiedyś w chwili straszliwego jasnowiedzenia przyjdzie taki moment, w którym ogarnie ich rozpacz, że nie poznali i nie poznają tajemnicy swego istnienia. Była może taka jedna chwila, która mogła rozstrzygnąć o szczęściu nie tylko jednostki, ale nadać nowy kierunek całym dziejom świata. Może był taki człowiek, którego myśli potrzeba było tylko małego bodźca, jakie przynosi z sobą szczęście wielkie, jasne i prawdziwe, aby był odkrył w sobie nową wielką radosną nowinę dla świata... Coś mnie przymusza wyobrażać sobie tego człowieka idącego ulicą i wążącego w głowie wielkie myśli, a naprzeciwko niego idzie jego szczęście i uśmiecha się do niego. Są sobie coraz bliżsi, coraz bliżsi, za chwilę muszą się spotkać, zespolić z sobą na wieki i wytworzyć stanowczy zwrot w dziejach świata. Jeszcze jeden krok i stanie się. I krok ów rozlega się jakimś straszliwym echem wyczekiwania gdzieś w głębi mojej duszy, widzę tego człowieka, jak mija swoje szczęście i idzie dalej. Już nigdy więcej droga jego życia i droga szczęścia nie skrzyżują się i daremnie oczy jego wypatrywać będą

szczęście. Może kiedyś spotka pozór tego poszukiwanego szczęścia swojego i nawet będzie się niem zachwycał przez chwilę, ale potem przyjdzie poznanie, że nie jest tem, którego szukał..

Uczy mnie tak myśleć ten żal, który zrodził się w sercu już dawno i rośnie z każdym dniem, żal młodości naszej. Jakieś cudowne chwile odpłynęły na wieki i nigdy już nie odgadniemy, nie przeczujemy, czem one mogły być, co nam mogły dać. Oskarżałam się zrazu gorzko, potępiałam się i biczowałam niemiłosiernie za tę niewiarę swoją, ale po latach przyszło poznanie i spokój. Kiedyś w ładny wieczór majowy czytałeś mi Kasprowicza „Moją pieśń wieczorną“ i te pamiętne słowa: „On był i myśmy byli przed początkiem“.

Zostały mi te słowa w pamięci i twój do nich komentarz, że przed początkiem, byliśmy ja i ty, w mgławicy przedstworzenia, a byliśmy może przedzieleni bezmiarom całych światów, ale drogi nasze musiały się skrzyżować i stworzyć radość i musiały się rozbić, aby stworzyć smutek i żal. A teraz zbiegają się znowu, a w oczach naszych i sercach jest uczucie winy niepopelnionej, winy, która stać się musiała, i jest w sercach naszych uczucie wstydu za moje przeniwierstwo, które nie jest mojem. Idziemy ku sobie jak dwie tajemnice przyciągające się nieprzepartą siłą i odpychające się bólem i żalem rozczarowań i zawodów, ale niema na świecie takiej siły, która mogłaby nas, obdarzyć niepamięcią tego, co się stało i co się odstać nie może, nie może..!

Kiedyś myśląc o tobie, pomyślałam, że jesteś ewangelikiem a ja katoliczką i jęłam się zastanawiać do jakiego stopnia ten fakt zaważył na naszych losach. Zainteresowałam się twojem wyznaniem i przeczytałam książkę o protestantyzmie, o genezie reformacji Lutera, o jego stopniowym rozwoju, o Kalwinie... Potężnie uderzyła mnie myśl Kalwina o predestynacji. Wszystko, co wiedza współczesna zdobyła najcenniejszego, dałoby się przytoczyć na poparcie tej nauki. „On był i myśmy byli przed początkiem...“ Myśl straszna i przepaścista, jak wieczność, jak

otchłań czasów bez końca i miary, ale zarazem rozgrzeszenie wielkie i łaska niewypowiedziana. Wtedy duchowo przyłgnęłam do kalwinizmu i oddalwszy się od ciebie swoim przemieszczeniem, zdawało się, nazawsze, zbliżyłam się bez wiedzy twojej ku tobie, wiarą swoją.

Dzisiaj myślę bardzo często o tem, jak wygląda szczęście, myślę, czy znajdziesz jego cień w moich oczach, które patrzyły przez te lata na tyle rzeczy obcych i tyle straciły ze swego wiosennego błękitu! I myślę, czy znajdę w tobie to, z czem się rozstałam przed laty? Między nami jest wstyd przemieszczenia mojego, twój gniew i twój żal do mnie. Gdy mi spojrzysz w oczy, spuszczę je i będę szlochała niesłyszalnie nad swoją nędzą i nad nędzą świata. A gdy ja ci spojrzę w oczy, ty odwrócisz się odemnie, aby nie patrzeć na szczęście, które było złem i niedolą tak długo. Oboje będziemy myśleli: Więc to jest szczęście? I oboje będziemy wiedzieli z pewnością niezachwianą: Tak, to jest szczęście, szczęście bolesne i nieszczęśliwe od chwili swego powstania..."

Złożył list i spojrzął na fotografię. Dokoła ust Heleny zdawał się drgać łagodny niemy uśmiech rezygnacji, coś jak wspomnienie przeszłości przyrosłe do miejsca, do drzew i domów, a w dużych zdziwionych i zamyślonych oczach żarzyło się wiecznym płomieniem pytanie: Więc to jest szczęście? — I była w tych oczach najdroższych odpowiedź twarda, nieubłagana, potwierdzająca czyjś wyrok: Tak, to jest szczęście... bolesne i nieszczęśliwe od chwili swego powstania.

Śród trosk i zgryzot, które się mnożyły i stawały coraz dokuczliwszemi, niepostrzeżenie zmieniał się nastrój Regiera i jego stosunek do życia. Imiona, które do niedawna jeszcze były wyrazem i nazwą szczęścia, stały się synonimem trosk i niepokojów. Na wspomnienie Ludki nie przypominały mu się już jej roześmiane, wesole oczy ale konieczność szukania dla niej mieszkania w Warszawie, co bez znacznych pieniędzy było prawie niemożliwe. Wspomnie-

nie siostry kojarzyło się zawsze z jej ciężkimi kłopotami, którym nie mógł zaradzić, ciocia Tercia cierpiała z innych powodów, na które także nie było rady, ale najbardziej dręczyła go myśl o Helenie. W przekonaniu, że odpowiada to jego intencjom, zrzekła się nawet usprawiedliwionych pretensji do spadku po mężu i z domu męża wyszła jeszcze uboższa, niż do niego weszła. Oczywiście, ogromnie mu to ułatwiło pojednanie się z nią, tem bardziej, że Ludka wskazywała mu nieraz na konieczność serdecznego zaopiekowania się panią Heleną, ale teraz, gdy sytuacja jego stawała się taka ciężka, gdy niewielką pensją musiał się dzielić nieraz z siostrą, która nawet nie podejrzewała go o wszystkie trapiące go kłopoty, myśl o Helenie stawała się dla niego źródłem męki. Za nic w świecie nie byłby jej powiedział o wszystkich tych zgryzotach, których namnożyło się tyle ostatnimi czasy, ale rozumiał, że jego odkładanie powrotu do Zabłonia i ustalenia choćby przybliżonego dnia ślubu, musiało w niej budzić zaniepokojenie. Zaraz po skończeniu wojny miał wystąpić z wojska i mieli się pobrać. Z siostrą rozmawiał o tem jako o rzeczy postanowionej z wyraźną tendencją, aby to powtórzyła Helenie. I oto układało się tak niepomysłnie, że jeszcze dzisiaj nie widział możliwości ustalenia choćby miesiąca, w którym będzie mógł nareszcie wyjechać do Zabłonia. Od chwili zakończenia wojny rozejmem upływało już pół roku.

Myśl o niepowodzeniach życiowych towarzyszyła mu stale i nie opuszczała go ani na chwilę czy to przy pracy czy podczas chwil wypoczynku, gdyż ze względu na brak pieniędzy unikał spotkań z kolegami, spędzającymi wieczory w teatrach, restauracjach i kawiarniach albo spacerował po ustronnych drogach zamiejskich, albo siedział w swoim pokoju z książką i troskami swojemi. Jasność dnia była dla niego jakby stałym przypomnieniem, że niewolno mu się cieszyć życiem, że stało się ono dla niego mnóstwem wielkich trosk, błędnem kołem, z którego daremnie szuka wyjścia.

Miłość dla Heleny, coraz tkliwsza i głębsza, im mniej o niej rozmyślał, zakradała się do niego chyłkiem, niepo-

strzeżenie dla niego samego i niosła z sobą radość bez widocznego powodu. Zdarzało mu się nieraz, że gdy po całodziennej pracy zasypiał snem głębokim bez marzeń, budził się raptem, jakby jakaś niewidzialna dłoń trąciła jego ramię i wskazywała mu wielkie szczęście stojące tuż obok. Budził się w nastroju tak wielkiej radości, że zdumiony siadał na łóżku i szybko kontrolował wszystkie zdarzenia dni ostatnich, aby doszukać się przyczyny tej radości, która zbudziła go ze snu. Wtedy, po daremnym szukaniu, wyłaniała się z mroków nocy jasna postać Heleny, nawet nie jej postać, lecz jedno z jej spojrzeń, czy uśmiech, albo wreszcie słowo powiedziane kiedyś dawno, a zapamiętane jedynie jako dźwięk, jako ułamek szczęścia i radości, której była uosobieniem. Jaśniało mu to w duszy i napełniało całą jego istotę jakąś nową treścią życia, przemieniało go do gruntu, czyniło kims innym i objawiało mu tajemnicę życia jako radości nienazwanej...

— Ach, tak — przypominam sobie wtedy fakt prosty, że na świecie jest Helena, źródło szczęścia i radości, ale przywalone troskami i zgryzotami niby gruzem i rumowiskiem. I snuł swoje myśli o tem, co mu się przypomniało we śnie i co go przebudziło. Nie były to myśli, ale obrazy, które wyłaniały się jeden za drugim i przesuwaly się przed jego oczyma, jasne i subtelne, jak pastele przenizane promieniami słońca, czy cienie witrażów rzucone o zachodzie na posadzkę ustronnego włoskiego kościoła, gdzie nikt nie zachodzi i gdzie zdaje się uczestniczyć w nieprzerwanych nabożeństwach zwiewne cienie dawnych zakonników, rycerzy i dziewic świętych, zapatrzonych w wysnione cuda raju. Układał się ostrożnie, aby tych obrazów nie spłoszyć i patrzył na nie jakby ukradkiem przed samym sobą, aż wreszcie zasypiał. Nowy dzień przynosił nową świadomość troski jeszcze gorszą świadomość bezradności wobec nich.

Przez cały wielki tydzień ciocia Tercia leżała w łóżku i Regier odwiedzał ją niemal co dzień, zaniepokojony jej stanem. W sobotę po południu po otrzymaniu depeszy od siostry, poszedł jej powiedzieć, że Ania przyjedzie na

święta do Warszawy. Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał ciotkę ubraną i krzającą się tak żwawo, jak niegdyś w Pasiecznej. Otworzył szeroko oczy i już chciał uprzedzić, że ciocia niepotrzebnie wstała, że jest chłodno, że lepiej było poczekać do przyjazdu Ani — innych argumentów nie znajdował na prędcie — gdy ciocia uprzedziła jego słowa i zawołała wesoło:

— Przestraszyłeś się, że wyzdrowiałam, co? Święta idą, mój złoty, i jakoś nie wypada chorować. Tak mi się zdawało, że ktoś przyjedzie, ale nie wiedziałam kto. Więc Ania? Kiedy?

— Dzisiaj wieczorem.

— O, to trzeba się zakrzętać, żeby święta były jak się patrzy.

I ciocia Tercia przywołała natychmiast swoją starą pomocnicę Basię, która z Pasiecznej przysła z nią do Warszawy, i jeła ją wypytywać, co już jest, a czego jeszcze niema. Okazało się, że już prawie wszystko jest i nie jeden, ale kilku gości, może całkiem śmiało przyjechać bez obaw przed głodem i innymi prywacjami. Pomimo to, ciocia Tercia sama zabrała się do przygotowania świąt, i Regier czuł się tak dalece zbędnym, że pożegnał się niebawem obiecawszy ciotce przyjść wieczorem razem z siostrą, po którą wyjdzie na dworzec. Nie zatrzymywała go wcale.

Postanowił zająć do Sztabu nietyle dla pracy, ile dla spotkania którego z kolegów, aby pogawędzić, czy nawet pójść gdzieś razem. Był niezadowolony z siebie i z cioci Terci. Dla niej odmówił sobie wyjazdu do Zabłonia na święta, że była przecie taka chora, a teraz ciocia spletała mu takiego figła i wyzdrowiała. Gdyby nie był wezwał siostrę do Warszawy, to byłby jeszcze mógł wyjechać. Było mu dziwnie smutno, że nie zobaczy się z Heleną i że ona będzie wtem odludnem Zabłoniem sama.

Z myślą o niej, wstąpił po drodze do kilku sklepów po różne drobiazgi z zamiarem posłania ich Helenie przez siostrę. Naostatek wstąpił do kwiaciarni i musiał zanieść do domu kupione kwiaty. Otworzyła mu panna Madzia,

bo pani Zarębiny i służącej nie było w domu. Przywitała go burzliwym szeptem i gestami spiskowca, zniecierpliwionego czekaniem.

— Czekam na pana już ze dwie godziny, a pan się nie pokazuje!...

Spojrzał na nią zdziwiony i wzruszył ramionami.

— Skądże miałem wiedzieć, że pani na mnie czeka?

— Przecież pisałam do pana o wszystkim.

Regier nie rozumiał. Żadnego listu nie otrzymał, wogóle nic nie rozumie. Rozglądał się niespokojnie dokoła, czy nie pokaże się surowa stryjenka. Uspokoila go, że stryjenki niema w domu, ale sama niepokoila się, że Regier nie otrzymał jej listu.

— Pisałam panu rzeczy okropne — mówiła szeptem, — bo pan mnie musi koniecznie poratować. Nie mam nikogo.

— Czy pani chodzi o pomoc w języku francuskim? — pytał Regier.

— Nietylko. Chodzi o rzeczy daleko ważniejsze. Po ojcu zostały dla mnie jakieś znaczne pieniądze. Wiem o tem od swojej babki, ale nie mam na nie żadnego dowodu a moja stryjenka razem z opiekunem...

— Przepraszam panią — przerwał jej Regier, — ja właściwie nic a nic nie rozumiem. Dlaczego pani mówi o tem wszystkim? Przecież pani wcale mnie nie zna.

— Ach mój Boże! — załamala ręce panna Madzia. — Ja panu wszystko napisałam, a pan listu nie dostał. Co się z nim stało?

— Jak pani ten list wysłała?

— Poczta do Sztabu.

— Aha, to może on tam sobie leży, bo ja dzisiaj jeszcze w biurze nie byłem. Więc o co to właściwie chodzi? A przede wszystkim skąd pani wiedziała jak pisać do mnie do Sztabu?

— Widzi pan to cała sprawa — mówiła śpiesznie panna Madzia, nasłuchując, czy aby nie usłyszy kroków na schodach. — Słyszałam co o panu mówił do stryjenki ten Rosjanin, czy Grek, który bywa u nas bardzo często...

Regier zaczął się interesować.

— Któż to taki? I skąd on mnie zna?

— Taki pan Maligan czy Moligan. Słyszałam przypadkiem, że pan ma przewozić jakieś pieniądze do Gdańska... To są moje pieniądze po rodzicach.

— Ja? Pieniądze do Gdańska. Pani się myli — zastrzegł się Regier.

— Stryjenka powiedziała temu panu, że pan jest taki poczciwy, że napewno nie odmówi, no a pan Maligan powiedział, że dowie się o panu czegoś więcej.

Regier zaczął się niecierpliwić. Myśl jego pracowała z wielkim wysiłkiem, aby rozwikłać jako tako zagadkę, którą zadawała mu ta obca dziewczyna. Czuł, że okazuje mu wielkie zaufanie, wtajemniczając go w swoje sprawy, ale zarazem budziła się w nim jakaś niechęć do niej za to, że powtarza dosłownie rozmowę ludzi, którzy uważają go widać za jakiegoś poczciwego głupca, którego można użyć do przewożenia pieniędzy.

— Nie, proszę pani — zachnął się ostro — ja nie jestem taki poczciwy, jak się pani stryjence wydaje i pieniędzy żadnych przewozić nie będę. Może to pani powiedzieć szanownej stryjence i temu panu..!

Skłonił się i wszedł do swego pokoju, uważając sprawę z panną Madzią za załatwioną. Ale panna Madzia wpadła za nim i składając ręce, prosiła go, aby raczył wysłuchać ją i poradzić jej. Regier słuchał tedy i dowiadywał się szczegółów zgoła ciekawych. Był upatrzony na wywiezienie pieniędzy panny Madzi do Gdańska, chociaż nawet nie domyślał się, w jaki sposób ma to uczynić i kiedy. Panna Madzia miała myśl ogromnie prostą i nie wątpiła, że pan porucznik podzieli jej pogląd na całą sprawę. Gdy mu zaproponują wywiezienie pieniędzy, to pozornie się na to zgodzi, a potem odda je Madzi, bo one są jej własnością jako spadek po ojcu.

— Tylko na Boga pana proszę, aby pan nic nie mówił nikomu, bo mnie pan zgubi! — błagała panna Madzia. — Zaraz przyjdzie stryjenska, ale ja panu wszystko szczegółowo napisałam, aby pan wiedział, że mówię prawdę.

Jeśli pan mnie nie poratuje...

Na schodach ozwały się kroki i za chwilę zabrzączał dzwonek. Wybiegła szybko z pokoju Regiera i pośpieszyła otwierać drzwi. Regier stał przez długą chwilę wzburzony tem wszystkim co słyszał. Wreszcie stuknął się w czoło i mruknął:

— Pocziwy! Czyż koniecznie trzeba chamów walić po łbach, aby nie wyglądać na pocziwca? Jeśli to komus do szczęścia potrzebne...

Przypomniał sobie, co mu panna Madzia mówiła o liście adresowanym do Sztabu i postanowił pójść zobaczyć, czy list dla niego nadszedł i co w nim jest. Wstawił kwiaty do karafki z wodą, poprawił włosy i wyszedł z pokoju. Przy drzwiach prowadzących na schody spotkał się niespodziewanie z panią Zarębiną, wychodzącą z przyległego pokoju.

— Pan w domu? — zapytała ogromnie zdziwiona.

— Jak pani widzi — odpowiedział oschle, mierząc ją ostrem spojrzeniem.

— Miał pan na święta wyjechać... — mówiła pani Zarębina bardzo uprzejmie.

— Nie wyjadę — odparł krótko.

Pani Zarębina zawahała się przez chwilę, a potem rzekła:

— Gdyby pan zechciał zajrzeć do mnie podczas świąt, byłoby mi bardzo przyjemnie.

— Miałem dotychczas sporo dowodów, że pani jest bardzo nieprzyjemnie, iż wogóle mieszkam tutaj — rzekł Regier.

— Nie trzeba się wszystkim tak przejmować — perswadowała pani Zarębina jakimś niezwykle łagodnym tonem.

— Spróbuję nie przejmować się. Pani ma rację.

Skłonił się lekko, jakby od niechcenia i wyszedł. W Sztabie znalazł istotnie list panny Madzi. Pisała mu, że ma do niego wielkie zaufanie i błagała o pomoc. Chodziło o spadek po rodzicach, na który nie posiadała dowodu piśmennego. Donosiła mu, że pod opiekę stryjenki dostała się

przypadkowo jako piętnastoletnia dziewczyna, że stryjenka przybrała na opiekuna niesympatycznego jegomościa, którego ona się boi. Przytaczała podsłuchaną przypadkowo rozmowę, według której Regier był upatrzony na przewiezienie pieniędzy za granicę. Panna Madzia zaklinała go, aby nikomu o niczem nie mówił, bo tylko podstępem zdoła otrzymać swój spadek.

Był ogromnie wzburzony. Jacys ludzie, których nie znał wcale, uważali, że będzie można użyć go do zbrodniczej kontrabandy. Czuł się dotkniętym w swojej miłości własnej i wyrzucał sobie nadmierną uległość i uprzejmość, dzięki której w oczach jakiegoś marnego człowieka uchodził za naiwnego pocziwca. Przyszło mu na myśl, że Ostrozór traktuje go tak samo, wyzyskując jego brak stanowczości. Postanowił z tem skończyć i nie ulegać odtąd niczyjej obcej woli, choćby mu ją usiłowano narzucić pod osłoną najładniejszych frazesów i apelu do uczuć patriotycznych. Ma się przecie własne zdanie do ciężkiego licha i ma się jakie takie własne cele! Był w tej chwili uosobieniem energii i stanowczości, ale tylko przez złość za tę imputowaną mu pocziwość czy mazgajstwo.

Wyszedł na ulicę i po długim spacerze uspokoił się wreszcie tak dalece, że poszedł do restauracji na obiad, przeczytał tam kilka dzienników od deski do deski, i czekał zmierzchu, aby pójść na dworzec po siostrę.

Wlókł się wolno i ociężale, jak jego myśli, które ciągle wracały do słów słyszanych od panny Madzi. Budziła się w nim ochota podjęcia walki z jakimiś niegodziwcami, którzy uważali go za pocziwca.

Na dworzec przyszedł zawczasie. Do przyścia pociągu było przeszło pół godziny; wyszedł na peron i zaczął się przyglądać przyjeżdżającym i odjeżdżającym. Przypomniało mu się dwunastogodzinne czekanie na stacji w Trzebini roku minionego i wszystko co wówczas przeżywał. Usiadł na ławce pod oknem biura telegrafu i przyglądał się obrazom, które wynurzały się z głębin duszy, jaśniały przez chwilę, potem mierzchły i znikwały, aby zrobić miejsce innym.

Z zadumy wyrwał go głuchy łomot i ostry gwizdek nadbiegającego pociągu. Wstał i ruszył na jego spotkanie. Za chwilę z pociągu wyroił się ogromny tłum ludzi i w tłumie tym po pewnym szukaniu odnalazł siostrę. Otworzył ramiona i uściskał ją mocno, serdecznie.

— Witam cię, Aniu!

Nie domówił jeszcze tych słów, gdy tuż za siostrą spostrzegł stojącą Helenę, zakłopotaną, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Niespodziewany jej widok buchnął na niego taką falą radości, iż rzucony nią ku Helenie, dziwił się, gdy w tłumie otaczającym ich ze wszystkich stron, uczuł jak ramię jej otaczając jego szyję, odpowiada delikatnie na jego mocny uścisk. W tej chwili, krótkiej jak błyskawica, stało się tak wiele, że wobec niej lata wzajemnych żalów zmalowały, skurczyły się i rozwiały jak mgła. Jakiś cudowny przymus, wobec którego czuli się zawstydzeni i bezradni, zbliżył ich usta ku sobie w chyżym, mimowiednym pocałunku. Stało się to tak niespodziewanie wśród rojnego tłumu obcych ludzi, że gdy ruszyli ku wyjściu z dworca, nie śmieli na siebie spojrzeć, aby przekonać się, czy to prawda. Czuli ponad wszelką wątpliwość, że w tej chwili rozwiały się długie żale wzajemne i że po wszystkich pozostała tylko wielka, niezmożona miłość.

* * *

Ciotka Teresa nie posiadała się z radości, że z Anią przyjechała do niej Helena. Sama zakrzętnęła się, żeby „dziewczęta” znalazły po podróży należyty wypoczynek i poradziła Regierowi, aby poszedł do domu. Była dopiero jedenasta i porucznik ociągał się, ale ciocia była stanowcza.

— Jutro rano jedziemy razem do kościoła, a ty Stasiu, postarasz się o konie, bo dla mnie to droga za daleka.

Regier poszedł tedy do domu, po drodze zamówił konie na rano i idąc Aleją Ujazdowską, cieszył się, że za kilka godzin ujrzy Helenę, taką inną, niż dotychczas. Nie mógł zrozumieć jak to się stało, że jedna krótka chwila wśród zgiefkliwego tłumu zmieniła wszystko tak gruntownie. Na

ulicy było cicho i pusto, od Wisły wiało chłodem, nad strzechami i drzewami jaśniało niebo od księżyca, którego nie było widać. Zbliżała się północ, Regier wsłuchiwał się w szepty zasypiającego miasta i z radością myślał jaka cudowna będzie wiosna w Zabłoniu.

W domu panowała głęboka cisza, więc na palcach wszedł do swego pokoju i zaraz położył się do snu. Spał długo i dobrze i obudził się dopiero, gdy czas było pojechać do ciotki Teresy. Nie poznał jej; po chorobie nie było ani śladu, ubrana w jedwabną popielatą suknię, krzątała się dokoła swoich gości. Regier przysiadł się do Heleny i zaczął jakąś rozmowę, aby mógł spojrzeć jej w oczy i przekonać się, czy wczorajsze zdarzenie nie jest tylko przywidzeniem, ale ciocia Tercia nie zostawiła mu na to zbyt wiele czasu. Spojrzała na zegar i rzekła:

— No, moje dzieci, jedziemy w imię Boże.

Regierowi w tej chwili dopiero przypomniało się, że Helena jest katoliczką.

— A co zrobi Helena? — zaambarasował się.

Ciocia Tercia i pani Anna spojrzały na Helenę, jakby oczekiwały jej odpowiedzi na tę słuszną uwagę.

— Tyle razy zabierałam cię w Zabłoniu na mszę, że odwdzięczając mi się, możesz mnie zabrać dzisiaj na swoje nabożeństwo — odpowiedziała z wielką swobodą.

— Nie chciałbym za nic w świecie, abys myślała, że... — tłumaczył się Regier.

— Napewno, nie będę myślała nic podobnego — odpowiedziała.

Ciocia Tercia dała znak, że dyskusja skończona i że czas w drogę.

Regier doznał uczucia bolesnego zawstydzenia, gdy wchodził do kościoła, w którym tak dawno już nie był. Nabożeństwo rozpoczęło się niebawem i pochłonęło go swoją treścią całkowicie. Budziły się w nim wspomnienia i uczucia wczesnej młodości, gdy głęboko odczuwał wyjątkowe piękno skromnych nabożeństw ewangelickich w Zabłoniu i w Pasiecznej. Zdawało mu się, że jakimś niepojętym cudem czas zatrzymał się i z zawrotną szybkością za-

czął się cofać wstecz, w czasy dzieciństwa, gdy siedząc w kościele wsłuchiwał się w uroczyste dźwięki dzwonów. Zapomniał zupełnie o wszystkim, co przeżył w ciągu trzydziestu minionych lat. Ogarniało go głębokie wzruszenie, gdy w pewnej chwili niby echo z dalekiej przeszłości ozwały się wśród głębokiej ciszy kościelnej słowa cudownej opowieści o niepokoju niewiast, które „Pierwszego dnia po sabacie bardzo rano przyszyły do grobu, niosąc rzeczy wonne, które były nagotowały i niektóre inne z niemi...” Martwiły się były, kto im odwali ciężki kamień od grobu, a oto znalazły grób otwarty.

Przenikało go święte wzruszenie wobec nieporadności stylu tej opowieści. W nastroju modlitewnym wyczuwał sercem pierwotne piękno niewyszukanych słów: „które były nagotowały i niektóre inne z niemi”, jakby się zachwycał pięknem słowa wielkiego artysty, mówiącego o rzeczach wiekiustych. Mimowoli przypomniało mu się inne słowo podobne, zwiastujące wielką radość, o której mówi uczucie dźwiękami, które wzajemnie się prześcigają, ale sercom wszystkich czasów pozostaną nazawsze zrozumiałymi i drogimi: „Iż się wam dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowem...” Ileż to razy przestyliżował sobie te słowa, tworząc zdania poprawne i jasne, a przecie zawsze musiał sobie powiedzieć, że żaden inny układ słów nie odda tego uroku, jaki zawarty jest w tej nieporadności tłumacza, przenoszącego słowo za słowem świętej wieści, „która będzie wszystkim ludowi”. Przypomniał sobie na tem nabożeństwie swoje czasy uniwersyteckie, gdy nad umysłami młodzieży panował Haeckel swoim monistycznym materjalizmem i dusza jego śmiała się z tej dawnej naiwności młodzieńczej, która mniemała wszystko wiedzieć i rozumieć lepiej od kogokolwiek. Teraz modlił się w głębokim skupieniu za ciotkę Teresę, za siostrę, za Helenę, za szczęście Ludki i za Władka, i za wszystkich znanych i nieznanym, za wszystko, co było i co będzie... Gdy pod koniec nabożeństwa duchowny z przed ołtarza wzniołszy ręce, mówił uroczyście i powoli: „Niechaj was błogosławi Pan i niech was strzeże... — ser-

ce zabiło mu żywiej, jakby żarem uczucia odpowiadało na święte słowa i jakby się otwierało błogosławieństwu najwyższemu: „Niech wam będzie miłościw... i niech da wam pokój!...”

Przez cały dzień był pod wrażeniem słów ewangelji, kazania, śpiewów i osobliwie błogosławieństwa. Serce napełniało mu nieznane dotąd uczucie życzliwości dla wszystkich, i niczego tak nie pragnął, jak tego, aby mógł zgotować siostrze i Helenie życie pełne radości, pogody i szczęścia. Myślał też o cioci Terci i o tem jej żarliwym pragnieniu przeprowadzenia się do Pasicznej. Ponieważ siostra musiała już w poniedziałek po południu koniecznie wyjechać do Zabłonia, namówił Helenę, aby pojechała do Pasicznej i sama zobaczyła, czego tam potrzeba.

Otwierały się przed nim jakieś nowe perspektywy radosnego życia, a gdy odprowadzał siostrę na dworzec i znalazł się z nią na chwilę przed odejściem pociągu w przedziale wagonu, przypomniał sobie nagle starego pana Joergensa i powodując się wielką dla niego życzliwością, rzekł do siostry:

— Pozdrów, Aniu, jak najserdeczniej pana Joergensa, i powiedz mu, że jak tylko przyjadę do Zabłonia, to chętnie wezmę udział w tej pracy, dla której w roku ubiegłym chciałem cię pozyskać. Zrozumiałem tymczasem niejedno...

Pożegnał siostrę i wrócił do ciotki Teresy, która omawiała z Heleną wszystko, co trzeba będzie zrobić w Pasicznej. Helena przejęła się swoją rolą i postanowiła na jutro rano pojechać do posiadłości cioci Terci. Regier chciał spędzić z nią cały wieczór i zaprosił ją na spacer. Podał jej ramię, rozradowany, że prowadzi kochaną kobietę temi samymi drogami, które tyle razy chodził sam, pełen trosk i zgrzyzot. Ruszył żwawo ku miastu z nieokreślonym pragnieniem sprawienia Helenie jakiej wielkiej przyjemności. Ogarnęła go radość, jakiej nie doznał od bardzo dawna. Zdawało mu się, że samo szczęście podało mu rękę i idzie obok niego.

— Nie uniknęliśmy siebie pomimo wszystko — szepnęła jej do ucha tuląc mocno jej ramię do piersi.

— Tyle lat, mój Boże!... — westchnęła.

— Ale teraz już wszystkie nasze! Wszystkie! Nie uznaję dalszych dziejów świata bez naszego udziału — śmiał się.

— Aż dziejów świata! — odeśmiała się szczęśliwa.

— Twoja własna teorja, Helu. Pamiętasz, jak pisałaś, że nie możesz pozbyć się myśli natrętnej, iż szczęście jednego człowieka zmienić może dzieje całego świata? Nauczyłem się tego na pamięć i widziałem razem z tobą tego człowieka idącego jakąś ulicą w jakimś mieście i spotykającego swoje szczęście. To szczęście budzi w nim jakąś ogromną myśl, która inaczej zrodzić się nie mogła, a ta myśl wstrzymuje świat w jego pędzie ku bylejakości i nadaje mu nowy kierunek. To jest mądre.

— Nawet jeszcze nie miałam sposobności przekonać się, czy jesteś bardzo złośliwy — rzekła, spoglądając na niego z boku.

— Otóż, dowiedz się, że, niestety, złośliwy nie jestem, ale stanę się takim, bo już się przekonałem, że z mazgajami los nie gada. Zaczynam naprawdę brać udział w dziejach świata. Ten człowiek z twojego miłego listu spotkał się ze swoim szczęściem i idzie z niem w tej chwili ku miastu, żeby się rzucić w wir uciech.

— Gdzież to mnie prowadzisz? — zaciekała się, gdy przechodzili przez Plac Zbawiciela w kierunku Alei Ujazdowskiej.

— Przyznać się?

— Koniecznie!

— Ja nie wiem, gdzie cię prowadzę. Czasem sama droga bywa celem. Nie wiem skąd mi się wzięło wspomnienie z jakiegoś opowiadania o Napoleonie. Było tam takie słowo, że gdzie cesarz, tam kwatera główna. Gdzie Hela, tam szczęście i można się dalej nie fatygować.

Przytuliła się do jego ramienia i starała się dotrzymać mu kroku. Ale w pewnej chwili, gdy znaleźli się u zbiegu Nowowiejskiej i Alei Ujazdowskiej, Regier zawahał się,

zwołnił kroku i szedł tak wolno, jakby raptem stracił był cel, do którego jeszcze przed chwilą tak żwawo dążył. Mogło to uchodzić za wolny spacer wśród miejskiego tłumu, za przypomnienie sobie paryskiego flanowania, ale Regier zamilkł i nie rozglądał się dokoła; Helena domyśliła się, że nad czemś myśli i nie chciała mu przeszkadzać, chociaż jednocześnie dręczyła się przypuszczeniem, że sama stała się może przedmiotem jakich ponurych jego myśli.

Od czasu, gdy wydał ostatnie swoje pieniądze i gdy z niewielkiej pensji trzeba było jeszcze pomagać siostrze, Regier zaczynał dostrzegać rzeczy, których dawniej zupełnie nie widział a zarazem rodziły się w nim myśli i uczucia, doniedawna zgoła mu obce. Chodząc dzień w dzień do biura Sztabu i wracając do domu, widywał o różnych porach dnia różnych ludzi na ulicach, w sklepach, w kawiarniach, restauracjach. Dopóki mieszkał za granicą i przeprowadzał się z miasta do miasta bez troski o chleb powszedni, oddany wyłącznie pracy naukowej, cały świat zdawał mu się być zaludniony profesorami i studentami, zajętymi ściśle określonymi sprawami. Reszta ludzi mieszkała w wytworniejszych lub uboższych dzielnicach i miała inne zainteresowania, ale jakie to były zainteresowania o to się bardzo nie troszczył, folgując coraz nowym zaciekawieniom naukowym. Nie będąc zmuszony do praktycznego spożytkowania swoich wiadomości i mając możność podróżowania, interesował się nie tylko swoją specjalnością, polonistyką, lecz zbaczał nieraz w dziedziny dość odległe. Raz przez cały semestr chodził sobie na wykłady znakomitego filozofa i dla zyskania odpowiedniego tła, studjował historję filozofji, innym razem zaciekawiło go jakieś zagadnienie matematyczne i pociągnęło w stronę specjalistów, to znów jakiś entuzjasta profesor zapalał go do sanskrytu. Z biegiem lat, nie przestając pracować w obranej specjalności, zajmował się kolejno filozofją Nietzschego, mistyką, dziejami cywilizacji, psychologją i filozofją religji, materjalizmem, a nawet socjalizmem, a każde z tych zainteresowań rodziło się w nim przy zetknięciu się z nową rzeczywistością i pochłaniało go tak całkowicie, że cały świat znikał mu z oczu.

Było to dla niego szczęściem. Zrazu jako wygnaniec nosił z sobą tęsknotę za krajem, a potem, gdy Helenę wydano za mąż, wyobraźnia malowała mu takie zwodnicze obrazy straconego szczęścia, że nieraz życie wydawało mu się zgoła bezcelowe. Wtedy zetknął się poraz pierwszy z filozofją Schopenhauera i literaturą Leopardiego. Jednego i drugiego rozumiał własnymi doznaniem, a jeden i drugi pociągali go w kierunku skojarzeń przypadkowych i koniecznych. Miał w sobie coś z zapalonego szperacza, poszukiwacza rozwikłań dla powikłanych spraw i to takiego zacieklego, że gdy jakie zagadnienie zaczynało go interesować, to wszystkie inne usuwał na stronę, dopóki się z tem nie uporał. Upór poszukiwania był wprost jego manją. Czasem, zabierając się do pracy, spostrzegał, że na biurku niema kluczyka od szuflady i chociaż szuflada nie była zamknięta, to jednak szukał kluczyka aż go wreszcie znalazł. Innym razem, przypominał sobie, że posiada świetną rozprawę do jakiegoś zagadnienia filozoficznego i zaczynał grzebać w swoich książkach i broszurach, odkrywając przy tej sposobności wiele innych ciekawych broszur z rozprawami, ale poszukiwania nie przerywał, dopóki wreszcie nie znalazł owej broszury, która w danej chwili wydawała mu się uosobieniem wszelkiej mądrości i wiedzy.

Razu pewnego studjował jakąś rozprawę o Don Juanie, zaciekawiał się tym typem od strony tragicznego daremnego poszukiwania nazwał to sobie idealizmem agresywnym i szukał typu przedstawiającego idealizm rezygnacyjny. Szukał wśród pustelników pierwszych wieków chrześcijaństwa w świętym Franciszku z Assyżu, w Madame Guyon, w Katarzynie Emmerich, w Teresie od Dzieciątka Jezus. Marzyło mu się jakieś literackie zestawienie absolutnych kontrastów umysłowych i moralnych, ale zamierzonego napisania utworu literackiego nie doszło, bo zaciekawienie wyciągnęło go daleko poza typ na szerokie wody zagadnień psychologiczno-religijnych. Od psychologii do filozofji religijnej był już tylko krok, a filozofja religijnej wymagała studjów specjalnych nad poszczególnymi religjami świata. I znowuż

pochłoneła go postać i religja Zaratustry z jego wyobrażeniami tak bardzo podobnemi do wyobrażeń chrześcijańskich. Nowe zainteresowanie uogólnił sobie w kwestji założeń kultycznych i dogmatycznych jednej religji od drugiej i badaniom tej sprawy pozostał wierny bardzo długo, dopóki nie pochłonał go wyłącznie dogmat chrześcijański w swoim zarodku, rozwoju i powszechnieniu.

Takiem było duchowe życie Regiera w ciągu wielu lat. Od dziecięcego wieku nosił w sobie zaciekawienie zagadkami świata i pragnienie ich rozwiązania. Pojęcie prawdy i prawdziwości były dla niego równoznacznem z jasnością i czystością powietrza, którem się oddycha. Sprawy nieznanne lub niezrozumiałe były dla niego niepokojące tak długo, dopóki przynajmniej w ogólnym zarysie nie zapoznał się z niemi, zaś sprawy, które uważał za dostatecznie wyjaśnione, stawały się dla niego prawdą, za którą byłby bez wahania oddał życie. Gdy wybuchła wojna i zaczęło się dla niego życie w okopach, znałogowany jego umysł nie mógł się już obyć bez dochodzeń i badań, a ponieważ pod ręką nie było książek i wogóle sposobności do akademickiego roztrząsania zagadnień, musiał zabrać się do nich w sposób dotąd nie praktykowany. Dotychczas, ceniąc metodę naukową i metodyczność, każde nowe zagadnienie zaczynał od gromadzenia literatury przedmiotu dla zorjentowania się, co nauka w danej dziedzinie już wie, potem uwzględniał stronę krytyczną, potem ustosunkowywał się sam do zagadnienia a wreszcie starał się o wysnucie praktycznych wniosków z założeń teoretycznych. W okopach było inaczej. Wielkiem zagadnieniem było tu przede wszystkim życie. Toczyło się walkę kosztem życia i trzeba było odpowiedzieć sobie na napastliwe pytanie, jaki jest przedmiot walki, za który płaci się tak drogo.

Dla niego, jako dla Polaka, nie było ceny dość wysokiej, jeśli za nią mogła być odzyskana wolność narodu i niepodległość państwa, ale narody wolne, które ani nie walczyły o wolność, ani nie potrzebowały obawiać się jej utraty...? O co one walczyły. W jego uczuciach narodowych było bardzo dużo pierwiastka negatywnego w niena-

wiści względem gnębicieli narodu. Nienawidził wszystkich zaborców, ale każdego inaczej i nieraz budziło się w nim uczucie mściwości względem moskiewskich, dobroduszących a zarazem zwierzęcych stupajek, wymyślających coraz nowe udręki dla pokonanych, względem żandarma pruskiego, tępego, poprawnego i nieugiętego. Marzyły mu się po nocach jakieś nadzwyczajne wynalazki broni, mundurów zabezpieczających od kul, a nawet jakieś zgoła już magiczne sposoby czynienia ludzi niewidzialnymi, aby przy pomocy kilku tysięcy żołnierzy można było zniszczyć olbrzymie armje wrogów, wyzwolić swój naród z hańbiącej niewoli i zemścić się na wrogach za wszystkie ich nikczemności. Nigdy nie wyobrażał sobie wyzwolenia własnego narodu inaczej, jak aktu wielkiej dziejowej zemsty.

Podczas wojny, gdy z bliska patrzeć musiał, jak strasznie ludzie cierpią, wyobrażał sobie, że wszystkich walczących ożywiają uczucia takie same, jakie ożywiały jego, ale potem, gdy pod wpływem widzianych cierpień uczucie mściwości rozwiewało się w nim coraz bardziej i gdy pojednanie ludów jawiło mu się jako szczyt mądrości międzynarodowej, wszystkie walki orężne wydały mu się jakimś potwornym nieporozumieniem, które powinno zostać zanalizowane, poznane i wyjaśnione, aby wszelkie wojny raz na zawsze ze świata zniknęły.

Podczas choroby oraz przy pracy w Sztabie roztrząsał także szereg zagadnień i doszedł do ciekawych wniosków, ale wszystkie te roztrząsania malały wobec pojednania się z Heleną i widokami szczęścia, którego postać była dla niego nieznaną, tajemniczą, a więc tem bardziej pociągającą. Wreszcie przyszły niepowodzenia materialne siostry i jego własne; nieznaną dotychczas konieczność wielkiej oszczędności a nawet wyrzeczeń ciążyła na jego umyśle nowem zagadnieniem. Przechodząc koło księgarni i widząc w witrynie pociągającą książkę, instyktownie chwycił za klamkę, aby sobie kupić nowe dziełko, ale wnetże uświadamiał sobie, że te przyjemności muszą być narazie, a może na długo wyłączone wobec konieczności pomagania siostrze. Przychodziło do niego zagadnienie biedy, a

przychodziło nie jako sprawa teoretyczna, lecz jako uczucie towarzyszące konieczności wyrzeczenia się, odmówienia sobie wielu rzeczy, ograniczenia się niejednym względem, stanie się innym człowiekiem. Idąc ulicą krokiem żołnierskim, obowiązkowym, zdawał sobie sprawę z faktu bolesnego, że musi wiele rzeczy omijać, że znaczna część świata pozostaje dla niego zamkniętą i niedostępną. Patrzył na strojne panie w powozach i pieszo, na panów, których cała troska polegała na ładnym zawiązaniu szalika pod brodą i szykownym zgnieceniu miękkiego kapelusza, zaczynał rozumieć, jak bardzo troszczą się piękne panie o podobanie się próżnującym panom i jak bardzo ci panowie pochłonięci są zdobywaniem dla swojej uciechy tych pań i doznawał uczucia nie zawiści wyłącznie, ale jakiegoś niezadowolenia, że istnieje duży nieład, nieporządek, chaos przesytu i głodu, próżniactwa i przepracowania, nadmiar rozkoszy i nadmiar męki. Sprawa społeczna przychodziła do niego świadomością kłopotów siostry, która nie miała może pieniędzy na wykupienie weksla, koniecznością chodzenia na obiady do restauracji taniej i dającej liche jedzenie i faktem zniszczenia płaszcza, którego nie można było zastąpić nowym. Kontrasty społeczne interesowały go coraz bardziej i coraz częściej postanawiał zabrać się do przestudjowania odpowiedniej literatury, ale musiał to odkładać do czasów lepszych, bo chwile bieżące wymagały od niego ogromnie dużo pracy i dawały mu wzamian dość czasu do zajmowania się swoimi przeżyciami. Czasem też przychodziła ochota uchylecia się od ustosunkowywania się kwestji społecznej i rozstrzygnięcia jej wyłącznie dla siebie. Wyzyskać jakieś konjunktury gospodarcze, zdobyć pieniędzy i stworzyć szczęście z Heleną zdala od ludzi i wszystkich spraw ludzkich. Niech sobie każdy myśli o sobie! Ale umysł jego był za nadto przyzwyczajony do metodycznego ujmowania zjawisk, a życie coraz mocniej przypominało mu o pewnych zjawiskach, aby mógł być o nich zapomnieć, albo się od nich uchylić.

Teraz, idąc z Heleną, uświadamiał sobie, że ludzie chcąc sobie sprawić przyjemność, chodzą do teatrów, na

koncerty, do restauracji i kawiarni, albo odbywają przejażdżki za miasto. Były właśnie ostatnie dni miesiąca, miał pieniędzy tak niewiele, że nie mógł Helenie zaproponować niczego osobliwego. Zamilkł i idąc obok niej krokiem wolnym, myślał z goryczą o sytuacji, w jakiej pomimo ciężkiej pracy znalazł się w chwili obecnej. Z uczuciem żalu i winy wobec Heleny, spojrzął na nią i szukał słów, aby się przed nią wytłumaczyć z czegoś ogromnie przykre go. Ale otrząsnął się z tego sentymentu i milczał. Patrzył dookoła, jakby szukał miejsca dla siebie i dla Heleny, ale w Alejach wszystkie ławki były pozajmowane.

— Nie będziemy tu siadali, Heluta — rzekł do niej z wielką troskliwością, jakby ją chciał wynagrodzić za to, że nie ma dla niej nic lepszego nad ławkę w Alejach. — Pojdziemy gdzieś, gdzie można z sobą porozmawiać spokojnie.

— Dobrze, Stachu — zgodziła się bardzo chętnie z równą serdecznością, szczęśliwa, że nie ona jest przedmiotem jego ponurej zadumy.

Zawrócili w stronę Łazienek i szli żwawo, jakby pragnęli wydostać się jak najprędzej z obcego im tłumu. W milczeniu mijali ludzi wesółych i rozbawionych, obcy uciesze świątecznej i nastrojom radosnym.

— Nie gniewaj się na mnie, Helu — rzekł Regier, gdy minęli Belweder i znaleźli się poza tłumem spacerowiczów. — Jestem trochę rozgoryczony i nie umiem się opanować.

Zwolnił kroku, jakby chciał ochłonać od tego rozgoryczenia a jednocześnie mocno przyciskał do piersi ramię Heleny, przepraszając ją w ten niemy sposób za swój nastrój. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć i jak mu wyperswadować to rozgoryczenie. Niejasno czuła, że Regier ma jakieś troski i że pośrednio i ona sama jest przyczyną tych trosk. W tem niejasnym poczuciu szła obok niego jak winowajczyni i czekała na słowo, które umożliwiłoby rozpoczęcie innej rozmowy.

— Już od przeszłej jesieni myślę o sprawach, które mnie dawniej nie interesowały, bo ich nie mogłem pojąć—

mówił cicho i powoli, jakby się jej zwierzał z tajemnic swoich.

Zamilkł i zapatrzył się na drogę, której bruk był coraz gorszy. Przyglądał się temu brukowi i swoim myślom, szukając dla nich wyrazu. W pewnej chwili zaturkotała za nimi rozklekotana dorożka. Spojrzał w bok i przystanął. Dorożka naładowana była jakimiś ogromnymi tobołami, z pośród których wynurzały się dwie kobiety. Cały ten, jak się zdawało, znaczny ciężar, ciągnęła chuda stara szkapa o pałakowatych nogach i wystających żebrach. Biegła jakby w obawie, aby ciężki wehikuł nie utknął i aby go przecie dociągnęła jako tako przed nieznany jej dom. Kiwała przy tym biegu swoim wielkim łbem, jakby przyświadczała niewypowiedzianej nędzy swojego życia, odgadywanej mglistym instynktem dawnych pokoleń, które ugiwały się wolno po niezmiernych zielonych pastwiskach.

— Widzisz, Helu — wskazał jej ruchem głowy żało-
sne widmo konia. — Tyle się mówi o kulturze, o subtelno-
ści uczuć dzisiejszego człowieka. Takie okrucieństwo!... Ja
wiem, że to jest jakaś potworna konieczność, ale porównaj
los tego dorożkarskiego konia z wierzchowcem jakiego spor-
towca albo choćby z koniem zamożnego wieśniaka. Szarzy-
zna ulic, licha sieczka, bat nad głową, a w głowie, Bóg ra-
czy wiedzieć, może jakieś straszliwe myśli o krzywdzie
narzekania przed Stwórcą na człowieka.

— Człowiek jest biedny — spróbowała szeptem tłū-
maczyć rzecz smutną i konieczną — i w tę swoją biedę
wciąga stworzenie, którego stał się panem.

— Zapewne, Heluta, ja to dobrze rozumiem — zgodził
się szybko. — Ten biedny dorożkarz jest może jeszcze
większym nędzarzem, niż jego koń, ale... Bo ja wiem zresz-
tą! — machnął ręką. — Kiedyś marzyła mi się jakaś cu-
downa solidarność całego stworzenia. Wierzyłem, że czło-
wiek pobuduje sobie maszyny, które uwolnią zwierzęta od
ich ciężkiej pracy, a zarazem nauczy się wytwarzać to, co
mu jest potrzebnem do życia, a co dzisiaj wytwarzają orga-
nizmy roślinne i zwierzęce, czyli że znikną z powierzchni
ziemi te wszystkie rzeźnie, które tak okropnie brutalizują

dusze ludzkie. Później myślałem już tylko o ludzkości, później o narodzie, a dzisiaj nie widzę solidarności nawet w klasie społecznej. Każdy myśli o sobie i każdy gotów jest poświęcić wszystkich i wszystko dla siebie. Może to jest logiczne, ale to nie jest etyczne...

— Tak trudno wyobrazić sobie świat bez walki!... — westchnęła Helena, jakby starała się wytłumaczyć smutne konieczności życia.

— Ach, tak! — przyświadczył skwapliwie. — Walka! Jak najbardziej nieubłagana i nieustępliwa aż do zwycięstwa. Ale nie walka człowieka z człowiekiem, bo w takiej walce ginie nieskończenie więcej, niż zdobywa zwycięzca. Niechby ludzkość stworzyła wielką armję i proklamowała świętą wojnę złu. Czy myślałaś już o tem, jak wiele by mógł zyskać świat, gdyby wszystkie ofiary i trudy wielkiej wojny narodów zostały zwrócone przeciwko złu trapiącemu ludzkość, przeciw nędzom życia, nienawiściom, zawiściom, małoduszności słabych i podłości silnych..?

Około zamiejskich domów na brudnej ulicy biegały dzieci ludzi ubogich, dzieci zaniedbane, licho ubrane, głodne. Wskazał jej na nie i mówił szeptem, jakby się wstydził, że o człowieku musi mówić rzeczy bolesne:

— Patrz, oto ludzie młodzi, którzy nie znają młodości. Ich udziałem jest nędza ciała i ducha. Ilu z nich pozna tragiczne szczęście piękna, zawartego w melodji Chopina i w oktawie Słowackiego? Miną się nie z szczęściem, ale z życiem samem! I nigdy nie powstanie w nich podejrzenie, że żyli mimo życia. Tragedja, która nie jest tragiczną dla tych biedaków, bo nie dostrzegają! Myślałaś o tem?

— Myślałam — odpowiedziała cicho. — Może nie tak, ale podobnie. Miałam chorą sąsiadkę wdowę z kilkorgiem dzieci. Chodziłam do niej często z pomocą która była tylko przedłużaniem męki. Myślałam wtedy, jak łatwo nędzarzom zastawić stół najbogatszymi potrawami i najwyszukańszymi winami, a jak niesłychanie trudno wyprawić im ucztę duchową. Sam Bóg chyba mógłby im objawić moc piękna bez wieloletnich trudów zdobywania go. I niema na to rady — westchnęła — niema rady!

— Ależ jest! zawołał z wielkiem ożywieniem. — Jest rada na wszystko. Tylko że ludzie nie chcą słuchać głosu sumienia! Cała nasza kultura pozornej racjonalności jest zjawiskiem ogromnie irracjonalnem. Wszystko załatwia się powierzchownie, nieszczerze. Dzieje ludzkie mają swoje źródło w umysłach i sumieniach. Wojna, rewolucja, przewroty społeczne, reformy, traktaty pokojowe dojrzejają w sercach i umysłach Austerlitz, Gravelotte, Marna to tylko symbole dziejów serc i sumień. W sumieniach i sercach dokonano się, a na polu bitwy się objawiło jedynie. Pacyfiści dlatego tylko nie osiągają najmniejszych rezultatów swoich usiłowań, że zwalczają wojnę w jej manifestacji, ale nie sięgają do jej źródeł, do serc i sumień...

Szli zamyśleni tuląc się do siebie, bo od wschodu powiewał chłodny wiatr i zapadał zmierzch. Regier ożywił się nagle i poweselał. Ruchem pełnym siły, trzymając Helenę mocno pod rękę, zawrócił na miejscu, i rzekł do niej:

— Pójdziemy, Heluta, do domu, „bo się ma ku wieczorowi i już się dzień nachylił“ — zacytował słowa opowieści ewangelicznej.

Z przeciwległej strony miasta widać było czerwień zorza wieczornej na niebie i czuło się wielką ciszę idącą ponad gwarem miasta. Regier spojrział na Helenę i uśmiechając się do niej, wywodził:

— Bardzo ci do twarzy w zorzy wieczornej. Będziemy często wychodzili patrzeć na zachód słońca.

— Kiedy? — wyrwało się jej pytanie nieostrożne.

Zamyślił nad odpowiedzią, przypomniał sobie nagle wszystkie trudności i kłopoty. W myślach coś ważył i liczył. Helena żałowała, że nie ustrzegła się tego pytania, zadanego tak nie w porę i dla zatarcia wrażenia pokazywała mu sylwety wież kościelnych odcinające się ostro na tle zorza wieczornej. Ale Regier nie zwracał uwagi na to, co mówiła.

— Kiedy? — powtórzył pytanie. — Tego lata, Helu. Na początku jesieni najdalej. — I jakby przekonywał samego siebie, mówił dobitnie, akcentując słowa niektóre: — Zanadto cenimy rzeczy błahe i uboczne. Chrystus powie-

dział, że życie więcej jest, niż pokarm. Do uczyty duchowej przygotowywać się trzeba tak długo, a jest taka tania. Do wybranych potraw i rzadkich win zasiąść może każdy jeśli jest bogaty. Nam przecie nie chodzi o bogaty stół i kosztowne szaty. Będziemy mieli wszystko, nie mając nic. Prawda, Helu?

— Będziemy mieli wszystko, mając wszystko — poprawiła go Helena. — Pracować będę razem z tobą za samo szczęście wspólnych zachwyty dla piękna, za samo błogosławieństwo wspólnego urzeczywistnienia dobra. Zapracujemy sobie na chleb i na prawo samego uczestniczenia w uczyty duchowej całej ludzkości. Będziemy czytali ładne mądre książki, będziemy razem patrzyli na tyle pięknych rzeczy... I ja znam tę cudną opowieść o uczniach idących do Emaus. Byli tak bardzo pochłonięci myślami o Mistrzu, że nie spostrzegli go, gdy stanął obok nich. Pragnienie życia tak często przesłania nam prawdziwe życie! Już dawno rozumiałam, że człowiek do szczęścia potrzebuje tyle, ile za szczęście uważa.

Słuchał jej wywodów uważnie, a gdy skończyła i zamilkła, mówił tonem łagodnego sprostowania i jakby uprzedzenia:

— Widzisz, Helu, ja już rozumiem bardzo wiele. Nawet w obliczu szczęścia wiem, że entuzjazm wyczerpuje się, jak wszystko na świecie. Przyjdą chwile, w których będziemy umieli ocenić, a nawet będziemy przeceniali ładne mieszkanie, wygodne sprzęty, a nawet książki tem bardziej cenić będziemy, im ładniej oprawione. Powinniśmy o tem pamiętać i tak się do tego ustosunkować, aby gorycz nie mogła trafić do serca nigdy i z żadnego powodu. Dzisiaj jesteśmy ubodzy, ale szczęście czyni nas bogatymi; gdybyśmy kiedyś stracić mieli źródło bogactwa, jakie posiadamy w sobie i to z powodów błahych, byłibyśmy nędzarzami...

Roześmiała się przy tych jego słowach do jakiejś własnej myśli o miłości. Szli teraz wolniej, znużeni długim spacerem i wracając do ciotki Teresy, mijali właśnie Politechnikę. Ulica była w tem miejscu zupełnie pusta i robiło się ciemno. Człowiek z długą tyką chodził od latarni do la-

tarni i zapalał je. Gdy ich minął, Helena stanęła i nie przestając się śmiać, mówiła:

— Patrz, Stachu, miłość nieszczęśliwa jest jak zielsko, które pleni się we wszystkich strefach i klimatach, a miłość szczęśliwa staje się rośliną egzotyczną, wymagającą troskliwego pielęgnowania. Dotychczas miłość myślała o nas, teraz my będziemy myśleli o niej.

Gdy przyszli do domu, ciocia Tercia spała; aby jej więc nie budzić, nie mówili z sobą, a ponieważ mieli sobie jeszcze wiele do powiedzenia, więc wszystko streścili w długim pocałunku. Aby nie budzić cioci Terci...

. . .

Płynęły dni i tygodnie, nie przynosząc z sobą nic, co by wzbudzało nadzieję, że będzie lepiej. Bardzo często doznawał Regier takich wrażeń, jakie towarzyszyły mu podczas jego częstych i długich wyczekiwań na dworcach kolejowych w czasie wojny, gdy żaden z żołnierzy nie wiedział, kiedy pociąg ruszy w dalszą drogę. Przy takich wyczekiwaniach zrazu każdy interesował się przeróżnymi możliwościami, ale wreszcie przychodziło zupełne zubożenie, jak gdyby cała wojna upłynąć miała na takim właśnie wyczekiwaniu pociągu na jakiejś obojętnej stacji kolejowej.

Teraz doznawał Regier bardzo często takiego samego uczucia. Oto pociąg stanął, nikt nie wie, kiedy ruszy w dalszą drogę i jedyną mądrością jest wielka i bezgraniczna cierpliwość. Nie wiedział nic o tem, jakim będzie jego jutro i nie miał wprost pojęcia, jak ułoży się jego życie w najbliższej przyszłości.

Siostrze powodziło się źle, musiał więc jej pomagać w miarę możliwości, o jakiegokolwiek pracy stałej, która dawałaby mu dochody większe od pensji oficerskiej, marzyć nie mógł. Czasem przychodziło mu na myśl, że może znalazłby miejsce w jakiej firmie handlowej, gdzie potrzebują korespondentów ze znajomością języków obcych, ale znajomi pouczyli go, że wielkie firmy, które opłacają dobrze swoich korespondentów, mają najczęściej specjalistów

w każdym języku a płacą dobrze nietylko za dobrą znajomość obcego języka, ile za dokładne wiadomości z pewnej dziedziny handlu czy przemysłu. Oczywiście, że przyswojenie sobie takiej znajomości wymagałoby długiego czasu i dlatego przestał myśleć o tym sposobie zarobkowania. Kiedyś mówił mu Stępień, że gimnazjum w Zabłoniu ulegnie reorganizacji i że wówczas mógłby otrzymać miejsce polonisty, które obsadzone było prowizorycznie przez siłę niedość wykwalifikowaną. Ale i do tej reorganizacji jakoś nie dochodziło. Narazie więc trzeba było trzymać się służby wojskowej jako jedyne źródła utrzymania. Kiedy skończy się ten stan tymczasowości i wyczekiwania, trudno było przewidzieć.

Wszystko odbywało się jakby poza nim i wbrew niemu. Helena przyjechała z Pasiecznej z rachunkami i kosztorysami oraz z wiadomością, że roboty posuwają się naprzód powoli i że jeżeli dalej pójdzie tak samo, to dworek cioci Tercei nawet za dwa lata jeszcze odbudowany nie będzie. A przecie musi być urządzony wewnątrz, umeblowany, zaopatrzone w wiele rzeczy. Nie powiedziała tego cioci Tercei, żeby jej nie martwić, a Regier przyjął ten komunikat narzeczonyj do bezradnej wiadomości. Wojna pozbawiła go wszystkich środków, o znalezieniu korzystniejszej posiadłości nie mogło być narazie mowy, a przy tem wszystkim trzeba było wydatnie pomagać siostrze.

Ponieważ musiał oszczędzać, więc wieczorami prawie zupełnie nie wychodził z domu i cieszył się szczerze, że od czasu do czasu zaglądała do niego panna Madzia ze swojemi wątpliwościami gramatycznymi. Stryjenka jej, taka zrazu niegrzeczna, nietylko że nie protestowała przeciwko tej pomocy, ale, przeciwnie, wszelkiemi siłami starała się pozyskać porucznika. Zapraszała go nieraz do siebie, a Regier zachęcany przez pannę Madzię, której pragnął dopomódz, korzystał z tych zaproszeń i poznawał u pani Zarębiny ludzi, o jakich dotychczas czytywał za ledwie, i jakich gotów był uważać raczej na plód bujnej wyobraźni piarskiej, niż za rzeczywistość.

Nic nie przypominało w nich kresowców. Regier wiedział dobrze, że ludzie przybywający z kresów wschodnich, przy całej swojej serdeczności dla wszystkich przygodnych znajomych, zachowują pewien ekskluzywizm uczuciowy i specjalnym sentymentem otaczają swoich bliższych współrodaków. Znał nawet restauracje i kawiarnie, w których można było widywać się z Podolakami, Litwinami czy Wołyńiakami. Toteż dziwiła go potrosze ta międzynarodowość sentymentu, z jaką spotykał się u pani Zarebiny. Widował u niej ludzi, jakich zazwyczaj łatwiej było spotkać w Berlinie, Wiedniu albo w Warszawie w okolicach giełdy, niż w jakichś Żarkiszkach, czy dominjach Ojkle.

Osobliwie interesował go pewien pan, przypominający wszystkimi rysami twarzy i charakteru raczej Ormjanina czy Greka, niż Litwina. Interesował go zaś dlatego, że ów pan miał dla niego zgoła specjalne względy, chociaż w jego grzeczności było coś drapieżnego i jakby zaczajonego. Egzotyczne nazwisko, Maligan, przypominało mu zawsze pelikana z torbą pod dziobem, w którą mocny dziób chował wszystko, coby się przydać mogło. Pan Maligan przypominał pelikana i tem jeszcze, że miał sowite, obwisłe podgardle człowieka, który cieszył się kiedyś nadmierną tuszą, a gdy pozbył się tłuszczu, skóra pozostała i potworzyła się torby zwisające.

Ten egzotyczny pan budził podziw swojemi ogromnemi wiadomościami i znajomością ludzi i stosunków, jakich nie posiadał bodaj nikt prócz niego. Od Stockholmu po Neapol i od Londynu do Konstantynopola znał wszystkich wybitnych polityków, przemysłowców, pisarzy, publicystów, mężów stanu, dyplomatów, i o każdym z nich umiał powiedzieć coś ciekawego. Tego widział tam, owego owdzie, innego poznał w taki a taki wyjątkowy sposób. Niby z rękawa sypał opowiadania i anegdoty, spostrzeżenia i zdania o rzeczach i ludziach. Regiera interesował ten człowiek coraz bardziej, bo dzięki niemu widział, że nawet taki uniwersalny talent, jakim okazywał się pan Maligan, może

mieć bardzo praktyczne i intratne upodobania specjalne, bez rozpraszenia się i hamletyzowania.

Minał maj, przyszedł czerwiec, panna Madzia zdała na maturę i wybierała się gdzieś w Wileńskie na wyuczasy razem ze stryjenką i opiekunem, którym był ów pan Maligan. O zamierzonym jakoby wywożeniu pieniędzy za granicę nie było już mowy, tak że całą tę sprawę zaczął Regier uważać za płód zbyt żywej wyobraźni panny Madzi. Jednocześnie wszakże spostrzegł, że u pani Zarębinie odbywają się jakieś tajemne narady, na które pan Maligan przyprowadza dużo panów podobnych do siebie. Panna Madzia zapewniała Regiera, że teraz już napewno zostanie coś postanowione i prosiła go, aby jej nie opuszczał i jeśli zaproponują mu przewiezienie pieniędzy, aby się tego koniecznie podjął, bo tylko w ten sposób zdoła ona odzyskać pieniądze po rodzicach. Ale i tym razem nic się nie stało. Pan Maligan nie przestawał być interesującym, a razu pewnego złożył Regierowi dowód wielkiej życzliwości i poświęcenia.

Było to tak: Regier powiedział pani Zarębinie, że na lipiec otrzymał parotygodniowy urlop, ale nie będzie mógł wyjechać z Warszawy, bo musi szukać mieszkania dla siostrzenicy i jej męża, który jako oficer zostaje z prowincji przeniesiony do Warszawy, a nie mają jeszcze mieszkania. Pani Zarębina zainteresowała się tak życzliwie tą sprawą, że obiecała zapytać o mieszkanie pana Maligana, który wiedział bardzo wiele, nawet o wolnych mieszkaniach, i mógł poradzić lepiej, niż ktokolwiek. Regierowi było to bardzo na rękę, bo w ciągu ostatnich tygodni Ludka pisała list za listem, zaklinając wujka o pomoc w tej sprawie. Oczywiście, o mieszkanie nie było tak trudno, były nawet bardzo ładne, ale zawsze takie drogie, że o nabyciu jednego z nich nie mogło być mowy. Dochodził już do smutnego wniosku, że mieszkania dla Ludki znaleźć nie zdoła, gdy dnia pewnego spotkał w kawiarni pana Maligana, który po przywitaniu natychmiast zakomunikował mu miłą wiadomość:

— Mówiła mi pani Zarębina, że pan poszukuje mieszkania. Jest bardzo ładne przy ulicy Pięknej, niedaleko

Alei Ujazdowskiej. Trzy pokoje, kuchnia, łazienka. Dru-
gie piętro. Może pójdzie pan przy sposobności zobaczyć.

Regier był oczywiście zgóry przekonany, że cena za
to mieszkanie będzie taka wielka, iż trzeba będzie z niego
odrazu zrezygnować, uważał więc, że niewarto będzie cho-
dzić na oglądanie tego mieszkania, ale pan Maligan wymie-
nił cenę tak nieprawdopodobnie niską, iż Regier kazał ją
sobie powtórzyć, przypuszczając, że się przesłyszał.

— Może pan zamiast gotówki wystawić kilka weksli
z terminami miesięcznymi i wykupić je sobie bardzo wygod-
nie — dodał pan Maligan, sądząc, że cena wydała się Re-
gierowi zbyt wysoką.

Propozycję przyjął Regier bardzo skwapliwie i w oba-
wie, aby się transakcja nie rozwiązała, poszedł natychmiast
obejrzeć mieszkanie, poczem nie zwlekając, wystawił we-
ksle w jakiejś lekkomyślnej nadziei, że na ich wykupienie
pieniądze znajdą się w czasie właściwym.

— Ale jeśli nie będę miał na czas pieniędzy? — rzu-
cił niby żartem pytanie.

— To będę musiał panu skredytować i sam wypłacić
właścicielom należność za mieszkanie. Kiedy je pan zaj-
muje?

Nie wiedział tego oczywiście; napisał tedy do Ludki,
aby przyjechała mieszkanie obejrzeć. Ponieważ Iwecki
translokację już był otrzymał, więc Ludka przyjechała na-
tychmiast i zakrzętnęła się tak żwawo koło całej sprawy, że
po tygodniu mieszkali w Warszawie. Regier obiecywał so-
bie, że odtąd nie będzie w Warszawie taki osamotniony i że
będzie miał gdzie spędzać wolne wieczory, ale niebawem
przekonał się, że oboje Iweccy są wielkimi zwolennikami
zabaw i życia towarzyskiego i że teatr, koncerty, kawiar-
nia, wizyty u znajomych zabierają im wszystek wolny czas.

I nie dość na tem, że w domu Ludki nie znalazł tego,
czego się spodziewał, ale w dodatku bliskie jej sąsiedztwo
wytworzyło dla niego źródło nowych kłopotów. Iwecki nie
był człowiekiem, który byłby umiał i chciał oszczędzać
i Ludka bardzo często zwracała się do wujka z prośbą o po-

życzki, skarżąc się, że matka nie posyła jej pieniędzy z Zabłonia. Regierowi było żal młodej siostrzeniczki i nie od razu powiedział jej jak ciężkim jest położenie matki i jego własne. W miarę możliwości pomagał jej, a sam za pośrednictwem Rutkowicza znajdował coraz więcej pracy dodatkowej, i dzięki znajomości języków obcych zarabiał w godzinach pozabiurowych dość dużo.

Od czasu do czasu odwiedzał go major Iwecki a z jego wynurzeń i planów Regier wnioskował, iż ma on bardzo przesadne wyobrażenie o stanie majątkowym swojej teściowej i że liczy na otrzymanie od niej znacznych sum. Regier był różnemi kłopotami tak przybity i zgnębiony, że nie znajdował odwagi, aby Iweckiemu powiedzieć, jak się rzeczy mają. Obawiał się zresztą, że sprawa posagu Ludki nie została postawiona dość jasno i że wyjaśnienia nie w porę mogłyby Iweckiego źle usposobić. Spostrzegł już jasno, że mąż jego siostrzenicy jest człowiekiem nietylko ambitnym, ale także interesownym. Postanowił tedy pozostawić sprawę czasowi, w nadziei, że lepsza sytuacja gospodarza może niejedno poprawić gruntownie.

Podczas odwiedzin Iweckiego zdarzyło się pewnego razu, że wszedł do niego pan Maligan. Regier zapoznał z sobą obu panów i z zadowoleniem widział, że szybko znaleźli dużo interesujących tematów do rozmowy. Pan Maligan dochodził skrupulatnie, z których to Iweckich pan major pochodzi i niebawem pokazało się, że obaj panowie mają w Warszawie wspólnych znajomych czy zgoła przyjaciół, i że nawet gdzieś kiedyś się widzieli. Pani Zarębina okazywała krewniakowi swego lokatora dużo życzliwości i nieraz zapraszała go na herbatkę. Regierowi nadarzyła się coraz częściej sposobność do podziwiania rozległych wiadomości i stosunków pana Maligana oraz zdolności konwersacyjnych majora Iweckiego.

Po paru tygodniach Iweccy wyjechali na letnie mieszkanie, panna Madzia jakoś uspokoiła się widać, bo przestała mówić Regierowi o swoich sprawach, a wreszcie otrzymał Regier kilkutygodniowy urlop, który spędził w Zabłoniu. Na samym wstępie dowiedział się od siostry, że inte-

resa poprawiły się znacznie, ale że większej części swoich dochodów używać musi na spłacanie znacznych długów, jakie trzeba było zaciągnąć w miesiącach ciężkiego przesilenia. Pocięszyło go to, że można przynajmniej mieć nadzieję, iż będzie lepiej. Z Zabłonia wywoził sobie miłą nadzieję, że w jesieni będzie mógł Helenę poślubić.

Osobliwą przyjemnością były dla niego długie rozmowy z Władkiem, który wakacje spędzał w Zabłoniu i bardzo gorliwie pomagał matce w jej ciężkiej pracy. Nie ulegało wątpliwości, że z Władka będzie człowiek dzielny i pod każdym względem niezależny.

Z Zabłonia wyjeżdżał Regier w usposobieniu jak najlepszym, ale gdy znalazł się w Warszawie, wszystko poszło po staremu. W ciągu dnia pracował w Sztapie, wieczorami, przeciąganymi nieraz do późnej nocy, pracował w domu. Nie miał poprostu czasu do zastanawiania się nad położeniem swoim i dopiero, gdy przemęczony kładł się na spoczynek, przychodziły mu do głowy dziwne myśli o wyjątkowości jego położenia. Dawniej wszystko wydawało mu się jakimś tymczasowem i nie opuszczało go przeświadczenie, iż lada dzień musi przyjść wielka zmiana na lepsze. Teraz ta tymczasowość zdążyła się ustalić i Regierowi wydawało się nieraz, że w Sztapie pracuje od czasów niepamiętnych i pracować będzie zawsze, że ma siostrę, która prowadzi fabrykę nietyle narzędzi rolniczych, ile jakichś ciężkich i bezustannych kłopotów, że ciotka Teresa zawsze była stara i chorowita, że zawsze mieszkała przy ulicy Topolowej niedaleko lotniska i że jest jakaś bajka o wsi Pasięcznej, zniszczonej jakoś wkrótce po stworzeniu świata i że ta wieś odbudowywać się będzie do dnia sądnego. Nieraz przychodziło do niego wspomnienie dawnych lat, pełnych wielkiej nadziei i niemożonej wiary; przed oczyma stawał obraz rozległych ściernisk podbiegających aż do samego miasta rodzinnego, a nad temi ścierniskami unosiły się dymy pachnące tak cudnie, jak nic na świecie. Zdało mu się, że widzi te sinawe dymy, i widzi, jak z za nich wychyla się postać Heleny, bliższa obecnie, niż kiedykolwiek, i dalsza, niż dawniej, gdy dzieliło ich wszystko, zda-

wało się, nazawsze. Gdzieś, w jakichś nierzeczywistych stronach świata było szczęście, było nawet bardzo blisko, tylko ręką sięgnąć po nie, ale między tą ręką a szczęściem była jakaś niewidzialna i niepokonalna przeszkoda. W tych warunkach coraz częściej karmił duszę marzeniami.

Czasem, gdy usiadł sobie w parku Ujazdowskim, aby choć przez chwilę odpocząć od pracy i trosk powszednich, przychodziło ni stąd ni zowąd wspomnienie jakiejś krzywej i wprost fantastycznie zabudowanej uliczki na samym końcu Zabłonia. Za ostatniego pobytu w Zabłoniu poszedł na tę uliczkę i przed jednym z najędźniejszych jej domów ujrzał gromadę dziadów i bab, wygrzewających się na słońcu, brudnych, zawszonych, głodnych, obdartych. Dowiedział się, że to jest przytułek dla starców i kalek. Jakiś zacny filantrop zabłoński założył ten przytułek, zebrał trochę pieniędzy, pospędzał starych nędzarzy i jął opiekować się nimi, zbierając składki od dobrych ludzi. Ale składki napływały coraz skromniej i przytułek stał się siedzibą nędzy i rozpacz. W Zabłoniu miłosierdzie publiczne przestało wspierać doraźnie nędzarzy, jako że jest przecie dla nich przytułek tam a tam, a w przytułku gościł stale tylko chłód i głód i brud, bo filantrop opuszczony przez współobywateli, po wydaniu swoich niewielkich funduszków sam znalazł się w położeniu mocno dziadowskiem.

Obraz tego straszego przytułku prześladował Regiera bardzo często jako przykład niewypowiedzianej obojętności ludzi dla ludzi. Widywał stale tych starych nędzarzy, ślepych i chromych, drapiących się brudnymi rękoma po suchych grzbietach i pomstujących słowami zaciekłych pacierzy na to straszliwe miłosierdzie obojętnych braci w Chrystusie. Słyszał słowa tych pacierzy, przeplatane strasznymi westchnieniami, z których każde zdawało się być dmuchaniem w płomień pekielny, mający pożerać sytych i odzianych za zapomnienie o słabych, głodnych i nagich.

— Zaraz, szanowni obywatele — marzyło mu się wtedy pytanie jakiegoś miłosiernego Krezusa — wiele też byłoby trzeba na trochę lukratywniejsze żebractwo?

Wyjmował z kieszeni kawałek papieru i ołówkę i za-

czyznał liczyć, a wyobraźnia dopowiadała mu odrazu co należałoby zrobić jeszcze prócz tego przytułku. Jakby na zawołanie przychodził wielki majątek. Marzyło mu się, że oto idzie ulicą a z przeciwnego chodnika pędzi ku niemu wysoki pan w czapce urzędowej, aby mu powiedzieć, że go wzywają do konsulatu amerykańskiego. Jakiś wujaśzek umarł w Filadelfji, Bostonie, czy Nowym Jorku, samotny, bezdzietny, niemający na całutkim świecie nikogo, komu by mógł przekazać uciulane dwieście milionów dolarów. Jeszcze całe szczęście, że pozostał krewniak i może odziedziczyć te dość nieskromne oszczędności. I roz hulana wyobraźnia wiodła Regiera od strasznego przytułku w Zabłoniu na szeroki świat i pokazywała mu na każdym kroku co należałoby zrobić jeszcze, aby pokonywać skutecznie tysiączne niedole, trapiące ludzi blisko i daleko. Więc miłosierna wyobraźnia jego budowała tam tramwaje, owdzie szkoły i biblioteki, jakich świat nie widział, jeszcze gdzieś indziej wznosiła wspinały pomnik wielkiemu mężowi zapomnianemu przez naród, albo źle widzianemu przez panujące partje. Ale przedewszystkiem przebudowywał do gruntu ten straszliwy przytułek zabłoński, który był przytułkiem nie nędzarzy, ale jakimś potwornem konserwatorium nędzy. Gdzieś, w jakimś cienistym ogrodzie budował istny pałac o dużych widnych izbach, z wygodnymi łóżkami, łazienkami, kuchnią, zaopatrzoną w dobre jedzenie, jednym słowem taki budował przytułek, że wszyscy chcieli być potem kalekami i starcami, tak tam było dobrze. W filantropijnej swojej wyobraźni razem z Heleną i niezliczonymi pomocnikami, kąpał, odziewał, karmił i leczył całą tę gromadę nędzarzy, aż wreszcie przypominała mu się raptem i jakby na drwiny jego własna sytuacja i ogarniała go wściekłość.

— Ależ tak — monologował, — wszędzie, nawet w tem marnem Zabłoniu jest przecież dość ludzi, którzy przy odrobinie dobrej woli mogliby zbudować i utrzymać jaki taki przyzwoity przytułek dla biedaków i wykonać tysiące rzeczy innych, koniecznych i pożądaných. Tylko że jesteś-

my jeszcze tak mało społeczeństwem, że każdy troszczy się wyłącznie o siebie i nie myśli o ogóle...

Zacinał się w sobie, że mu przecie nic do tego i obiecywał sobie myśleć tylko o sobie i o swoich. Lecz jakieś nieuchwytnie skojarzenia przynosiły mu znowu te niezapomniane widoki starców z przytułku zablońskiego i pragnienie dopomożenia im reagowało majątkiem po wujaszku amerykańskim, bo innej rady na te niedole nie było.

— Marzenie jest bezsilną zemstą słabych nad rzeczywistością — mawiał sobie Regier i wstydził się tych swoich fantazji, jak czegoś zdrożnego. Ludzie silni marzą czynami i budzą zawiść, podczas gdy ludzie słabi mogą dla swoich marzeń budzić najwyżej współczucie i pogardę.

Stawało się Regierowi jasnym przynajmniej jedno, że wiedza w pewnych warunkach staje się zbytkiem, od którego życie pobiera bardzo wysoki podatek przepychowy. Społeczeństwa mają tylko pewne i bardzo określone zapotrzebowania wiedzy i nie mogą jej wchłonąć w siebie więcej nad tę właśnie określoną ilość, podobnie, jak woda nie może rozpuścić w sobie więcej soli ponad ściśle wymierzoną i dokładnie ograniczoną ilość.

Pan Maligan wypowiadał się przy sposobności, że niektóre dziedziny wiedzy są nietylko zbędne, ale wprost szkodliwe, bo odwodzą ludzi od zadań praktycznych. Gdy Madzia zaprotestowała przeciwko takiemu mniemaniu, pan Maligan odpowiedział najspokojniej w świecie:

— No to niech mi pani powie, na co zdało się pielęgnowanie tak zwanych języków umarłych? Wiem, że uczenie się ich miało kiedyś sens, gdy języki te były bogatą skarbnicą, pełną rzeczy cennych, ale z chwilą gdy ze skarbnicy tej wszystko zostało przeniesione do skarbnic innych narodów, gromadne uczenie się tych umarłych języków stało się prosto marnowaniem czasu. Jedni uczą się ich na to, aby mogli zkolei nauczyć innych. Powtarza się tu niemal to, co pewien student odpowiedział profesorowi etnografji na pytanie, czem się żywią buszmeni. Student ów odpowiedział, że buszmeni utrzymują się tem, iż wzajemnie piorą sobie bieliznę... Uznają tylko żywy praktyczny język,

w którym można napisać dzisiaj list i zamówić bawełnę w Azji, albo stal w Szwecji...

— Trochę za bardzo pan przesadza — zaoponował Regier. — Zapewne, że nieraz wielka wiedza teoretyczna nie daje korzyści praktycznych w postaci zdobyczy materialnych, ale czemuż byłby człowiek bogaty przy jednostronności swojej kultury? Tragedja Sofoklesa i ody Horacego mają swoje znaczenie dla kształcenia umysłu i serca, dla budowania charakteru. Bez nich byłibyśmy odpowiednio ubożsi, może nawet bardzo biedni.

— Po tragedję Sofoklesa sięgam sobie w interpretacji dobrego tłumacza i jeśli przeczytam ją sobie w jednym z języków europejskich, to mam dokładne pojęcie o co tam chodzi — obstawał Maligan przy swoim. — Dlaczego miałbym tracić lata na przyswojenie sobie tego języka, skoro nigdy nie posiadłbym go tak dobrze, jak ów tłumacz Sofoklesa i skoro ani ja, ani nikt nie miałby z tego korzyści? Jeśli chodzi o kształcenie umysłu i charakteru, to chemja, elektrotechnika, drukarstwo, górnictwo i t. d. mają więcej postaci bohaterskich, niż Homer i wszyscy epicy i tragicy razem wzięci.

Regier nie przeczył; nie miał wogóle ochoty do dyskusji. Opanowywało go coraz bardziej uczucie, że popełnił mnóstwo błędów życiowych i że dzięki swojej niepraktyczności znalazł się poza nawiasem ludzi, którzy rządzą jeśli nie światem, to przynajmniej własnym losem. Słuchając wywodów pana Maligana, przyznawał mu w duchu rację i właśnie fakt, że musiał przyznać mu rację, irytował go jeszcze bardziej. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby był studjował prawo, chemję, czy medycynę, i gdyby w danej dziedzinie był posiadał takie wiadomości, jakie miał w dziedzinie filologii i filozofji, to nawet jako praktyk-szeregowiec byłby miał pełne ręce dobrze płatnej pracy. Człowiek, którego boli głowa, albo który pragnie zabezpieczyć sobie spadek, zawsze trafi do innego człowieka, znającego proszki od bólu głowy, albo wiedzącego, jak się przeprowadza postępowanie spadkowe. Ale możnaby czekać do końca świata, zanim pacjenci niezliczonych lekarzy i klienci

adwokatów przyszliby do filozofa z zapytaniem o kryterium do określania stosunku ideału do rzeczywistości. Wszystkie dociekania filozoficzne są pracami zaofiarowywanymi bezustannie w nadmiernych ilościach, podczas gdy poszukiwaniami są prace uzdrowiaczy, obrońców sądowych, restauratorów, krawców. Każdy chce być zdrowym i wolnym, aby korzystać w pełni ze wszystkich rozkoszy życia, które są pod ręką i dla każdego łatwo dostępne. Rozkosze umysłowe i estetyczne należą do proskrybowanych przez wszystkich rozsądnych ludzi. Cóż to bowiem za rozkosz, którą trzeba zdobywać udręką i męką ciężkiej pracy i wieloletniego wyrzeczenia się wolności? Co to jest za szczęście, dla którego trzeba przemienić do gruntu cały sposób myślenia i uczucia, stając się zarazem Sofoklesem i Don Kichotem, Słowackim, Edisonem, Marconim? Aby zrozumieć rozkosze twórcy, trzeba razem z nim współtworzyć, a praca twórcza jest najcięższą ze wszystkich prac pod słońcem. Pragnienie wiedzy trudno jest rozbudzić, ale nieskończenie trudniej zaspokoić. Rozkosz zaspakajania pragnienia wiedzy jest tylko usuwaniem męki ducha, który chce wiedzieć. Kto chce szukać źródeł wiedzy, musi naprzód znaleźć i udostępnić sobie źródła zaspakajające pragnienia ciała. Aby używać przy stole rozkoszy zmysłowych, trzeba być bogatym, aby używać rozkoszy duchowych, trzeba być daleko bogatszym.

Refleksje te zaprawione były wzmagającym się rozgoryczeniem i zniechęceniem. Budziło się w Regierze uczucie, że świat jest zgoła opaczny i że nie będzie na nim lepiej, dopóki z gruntu nie zostanie przemieniony i naprawiony. Ale w miarę, jak rosło w nim niezadowolenie ze świata, budziło się też niezadowolenie z samego siebie. Zaczynał rozumieć, że nie świat względem niego, ale on względem świata zajął bardzo niewłaściwe stanowisko i że za błędy popełnione w dotychczasowym życiu trzeba odpokutować. Pokutować? Nie, pokutować Regier nie myślał! Błędy trzeba naprawiać, jeśli to jest możliwym, i wystrzegać się ich na przyszłość. Gdy się spostrzegło, że się idzie drogą niewłaściwą, to trzeba wrócić i szukać drogi najbliższej do zamierzonego celu.

— Mam prawo do szczęścia, jak wszyscy ludzie — mówił sobie Regier. — Trzeba tylko iść i wziąć swoją część.

Ale gdy zastanawiał się nad tą pretensją swoją do szczęścia, gdy wyobrażał sobie, że na świecie istnieje pewna suma szczęścia, jakby ogromny kapitał, z którego każdy brać może tyle, ile wziąć zdoła, wówczas w nagłym olśnieniu ukazała mu się prawda niewzruszona, że szczęście nie jest podobne do energii, której ilość, według prawa o jej zachowaniu, byłaby zawsze równa, ale że jest ono raczej przetwarzaniem tej energii i pomnażaniem jej emanacji. Kto chce czerpać szczęście z jakiegoś wyobrażanego skarbcza świata, ten musi naprzód napelnić ów skarbiec owocem swojej woli, siły i pracy, bo w razie przeciwnym byłby podobny do złodzieja lub żebraka. Przypomniała mu się nauka kościoła katolickiego o skarbcu kościoła, thesaurus ecclesiae, z którego wszyscy czerpią i wszyscy go napelniają. Był zbyt krytycznym, aby w tym skarbcu widzieć coś więcej ponad symbol czy zwrot rotoryczny, ale podobała się mu sama myśl, że istnieje jakiś thesaurus mundi, skarbiec szczęścia całego świata, uszczęśliwiający akurat tylu ludzi, ilu ich się przyczynia do jego napelnienia.

Myśl ta przyniosła z sobą refleksje na temat obowiązków względem świata. Zadawał sobie pytanie, co zrobił dotąd dla świata, dla ludzi, nawet dla siebie, i nie znajdował odpowiedzi. Całe dotychczasowe życie było przygotowaniem się do pracy, było rozkoszowaniem się skarbami ducha, nagromadzonemi przez innych. Pojął, że szczęście znajdzie w wielkim obowiązku, swoim obowiązku, który może być spełniony tylko przez niego. Co to miał być za obowiązek, tego nie wiedział jeszcze, ale myśl szukająca natknęła się na słowa Chrystusa, że kto chce duszę zachować dla siebie, ten ją straci, a kto ją straci dla Boga, dla wielkiej sprawy, ten zachowa ją na wieki wieków.

W walkach z kłopotami i trudnościami, mnożącemi się z dnia na dzień, zrozumiał ostatecznie, że prawo ofiary jest prawem odwiecznym i że duch musi szukać troskliwie miejsca i chwili, kiedy i gdzie ofiara jego jest potrzebna, a przeto wymagana przez Boga. Pojął wielką rzecz, że za-

nim na świecie pojawił się człowiek, odbywało się różnicowanie postaci fizycznych, ale wraz z pojawieniem się człowieka przyszło różnicowanie się postaci duchowych i że jednakowość ludzi jest tylko pozorna, bo między buszmenem a Kopernikiem, czy kabylem a Napoleonem różnica jest w istocie większa, niż między mrówką a człowiekiem. Oto do Jezusa Chrystusa szczęście przyszło w postaci tragicznego poświęcenia się za całą ludzkość; jego tragedia była szczęściem ludzkości i nieubłaganą potrzebą jego duszy. Chrystus nie mógł wybrać innego szczęścia nad szczęście poświęcenia i ofiarowania się za cały świat, jak bohaterowie poświęcają się za naród, za wielką sprawę, za rodzinę, za jednostkę wybraną z pośród wielu. Każda z możliwych postaci szczęścia jest o tyle usprawiedliwiona, o ile jest w niej zawarty tragizm. Im mniej tragizmu, tem mniej usprawiedliwienia dla szczęścia. Najgorszą, najbardziej zbrodniczą postacią szczęścia jest szczęście nieokupione żadnem poświęceniem osobistem, lecz okupywane wyłącznie pracą i cierpieniem innych.

W chwilach takich rozmyślań, które były dla niego, jakby nawiedzeniem przez dobre duchy, miał niezachwianą pewność, że posiadał prawdę niezawodną i nieomylną, iż szczęście może być osiągnięte jedynie przez zrozumienie obowiązku i spełnienie go do ostatka, ale w tem była trudność największa. Jak poznać swój obowiązek? Choć jeszcze tego nie wiedział, sama świadomość, że jest w posiadaniu wielkiej prawdy, dawała mu radosną pewność, że znajdzie swój obowiązek i swoje szczęście.

* * *

Trudności pani Anny, jakie miała z prowadzeniem fabryki, wikłyły się bezustannie niestałością waluty, która uniemożliwiała racjonalną kalkulację i powodowała niemiłe niespodzianki. Pani Anna sama nie umiała się uporać z temi trudnościami, a nie posiadała środków, aby zapewnić sobie pomoc doświadczonego pracownika. Toteż nawet przy wzmózonej czynności fabryki sytuacja nie zmieniła się na lepsze tak szybko, jakby sobie oboje tego byli życzyli. Re-

gier doszedł do wniosku, że trzeba będzie zrobić wszystko możliwe, aby jak najprędzej mógł zamieszkać w Zabłoniu i wydatnie pomagać siostrze, ale wobec sytuacji gospodarczej nie mógł tam przyjść z pustymi rękoma. Pracował tedy wieczorami i nocami jeszcze usilniej niż dawniej, oszczędność posunął do sknerstwa, aby tylko zrealizować ostatecznie swój zamiar. Lecz i w ten sposób pragnienie zbliżenia się do celu nie dawało wyników pożądaných. Iweccy potrzebowali tak często jego pomocy, że oszczędności, które przy wielkiej pracy Regiera były dość znaczne, nietylko iż się nie powiększały, ale raczej malały.

Iwecki wypowiadał się nieraz iż będzie musiał zabrać się do jakich interesów, które dałyby mu jaki taki majątek. Gdy Regier wyrażał wątpliwości co do etycznej wartości szybkiego bogacenia się przy pomocy różnych interesów, Iwecki wzruszał ramionami i wskazywał na przykład setek tysięcy ludzi zajmujących się handlem i dorabiających się na nim znacznych fortun.

— Sklepiarkka, sprzedająca sól i naftę, zarabia parę groszy, przedsiębiorca mający więcej doświadczenia i więcej kapitału, zarabia tysiące. Wszystkie społeczeństwa całego świata godzą się na takie opłacanie usług handlowych, więc nie wiadomo, dlaczego w interesach handlowych miałyby być coś zdrożnego.

— Podług mnie jedyną usprawiedliwioną postacią zarobkowania jest jakakolwiek twórcza, organizacyjna praca. Wielki kupiec bierze ogromne masy towarów w swoje ręce i choć żadnego z nich nigdy nie wytworzył, ustanawia ceny i nawet właściwym wytwórcom sprzedaje je tak, że nie oni, ale on na ich pracy zarabia. Dlaczegoż to posiadacz wielkiego kapitału ma mieć prawo do ściągania podatku z ludzi, nie posiadających kapitału? — wywodził Regier.

— Tu nie chodzi tylko o kapitał — gorączkował się Iwecki — Trzeba mieć jeszcze duże doświadczenie, wielką inteligencję, odwagę, inicjatywę, czyli przymioty nawskroś moralne. Kapitał jest tylko skutkiem pewnych przyczyn. Gdyby sklepiarkka sprzedająca parę kwart nafty dziennie, otrzymała nagle większość akcji trustu Oil Company, to

nie wiedziałyby, co ma z tym fantem zrobić. Nawet Edison, ten genialny wynalazca, gdyby miał w swoim ręku takie akcje, to sprzedałby je co rychlej, aby kapitał ułożyć w wartościach, na których się zna. Człowiek rozumny powinien znać się na rzeczach, które dają zamożność. Dopóki istnieją między ludźmi różnice umysłowe i moralne, dopóty muszą istnieć następstwa tych różnic, na to nikt i nic nie poradzi. Pewien uczciwy filozof powiedział, że nie tylko nie chce mu się pracować, ale bardzo chce mu się nie pracować. Gdyby wszystkich ludzi zrównać w prawach i wykluczyć pierwiastek i bodziec współzawodnictwa, to byłoby to równoznacznem ze skazaniem na zagładę całej kultury.

W ostatnich czasach major Iwecki przychodził do Regiera dość często i osobiście cenił sobie towarzystwo pana Maligana, którego filozofja przypadała mu bardzo do smaku. Coraz częściej miewał Regier sposobność do podziwiania wielkiej wielostronności pana Maligana i musiał na jego korzyść pozbyć się poglądu jakoby wykształcenie filozoficzne i zdolności handlowe i przemysłowe wykluczały się nawzajem. Że pan Maligan jest bardzo zdolnym kupcem i potrafi czerpać duże korzyści ze wszystkiego, czem można handlować, o tem Regier wiedział już dawno, ale że jest to człowiek posiadający wielką ogładę umysłową, o tem dowiadywał się przy różnych sposobnościach i jeszcze ciągle nie mógł sobie powiedzieć, że poznał pana Maligana nawskroś i że już nic nowego w nim nie odkryje.

Na wyczekiwaniu lepszych czasów zeszła jesień, przyszedł grudzień z długimi wieczorami i Regier z przyjemnością zachodził do pani Zarębiny, która przyjmowała równie chętnie jego jak i majora Iweckiego. Nieraz doznawał Regier uczucia wstydu, że tak łatwo uwierzył pannie Madzi, iż pan Maligan razem z jej stryjenką dybią na jej spadek; pan Maligan tak po rycersku ułatwił mu splacenie wystawionych weksli, że Regier nie mógł sobie wprost wyobrazić, aby ten człowiek miał być złym i chciwym. Gdy zaś przy sposobności zgadali się, że w Genewie słuchali wykładów tego samego profesora, pan Maligan okazał z tego powodu wielką radość i wołał rozpromieniony:

— Widzi pan, jesteśmy nawet kolegami! Losy ludzkie krzyżują się jak powietrzne drogi ptaków. Być może, że Schopenhauer razem ze swoimi Hindusami ma rację, że tylko zwodnicza zasłona Maji, owo principium individuationis, dzieli nas na osoby i przeciwstawia nas sobie, podczas gdy w rzeczywistości jesteśmy jednym nierozdzielnym czemś. Zna pan hinduskie „tat twam asi” — to jesteś ty?

Regier znał oczywiście, ale bardziej interesował się w tej chwili panem Maliganem. Odpowiedział mu coś, mówiąc o Upaniszadach i komentarzach Deussena, ale w tej chwili panna Madzia pochylona nad jakimś czasopiśmem ilustrowanem, zainteresowała się raptownie zagadnieniem instytucji udzielającej nagrody Nobla. Pan Maligan odpowiedział jej jak dobra encyklopedia krótko i wyczerpująco i zaraz dodał, że widywał znakomitego wynalazcę szwedzkiego w San Remo, że pamięta dobrze jego willę Mio Nido i że na czwartym światowym kongresie pacyfistów w Bernie w roku 1892, widział go w towarzystwie pani baronowej Suttner, głośnej powieściopisarki. Pan Maligan opowiedział bardzo zajmująco, jak to dzięki przypadkowi wynaleziony został dynamit, i jak i dlaczego przegrał Nobel swój proces kordytowy w Anglii. W końcu dodał kilka uwag krytycznych o testamencie Nobla, nie godząc się na to, że z pośród wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej i sztuki, wyróżnione zostały przez niego tylko niektóre, jak fizyka, chemia i medycyna, a z pośród sztuk pięknych jedynie literatura.

— Fundacja Nobla propaguje także sprawę pokoju — wtrącił Regier.

— Przypuszczam, że Nobel zrobił to ustępstwo dla pani Suttner, z którą łączyły go stosunki przyjacielskie — rzekł pan Maligan z miną wszystkowiedza. — Sam on w skuteczność propagandy pacyfistycznej nie wierzył i nieraz wypowiadał się, że wojnę można pokonać tylko i tylko przy pomocy wojny. Zresztą — westchnął, zaciągając się mocno papierosem, — rząd szwedzki ujawnia coraz większą ochotę do wyznaczenia sobie najwyższej nagrody w postaci po-

datków od fundacji, tak że i fundacja sama może się ostatecznie niedługo wyczerpać.

Regier zdumiewał się znowu, że ten pan, który zdawało się, wie tylko o kursie dolarów i akcji, zna się także i na takich subtelnościach, jak krytyka testamentu Nobla. Jeszcze bardziej zdumiał się, gdy pan Maligan przechodząc do zagadnień aktualnych, wygłosił kilka bardzo śmiałych i trafnych zdań o polityce i zwracając się do Regiera, zapytał:

— A pan jakiego jest zdania? Jakie są pańskie poglądy polityczne?

— Dotychczas — odpowiedział Regier, wymawiając każde słowo z ociąganiem, jakby sobie odpowiedź dopiero układał, — mniemałem, że trzymam się zasad wyznawanych przez cały naród, a dzisiaj... — machnął ręką, jakby się przyznawał do jakiegoś bardzo grubego przeoczenia.

— Dzisiaj spostrzegł pan zapewne, że naród w swojej ogromnej większości sam zapewne nie wie, jakie wyznaje zasady — dokończył Maligan. — W ugrupowaniach partyjnych ważniejszą rolę odgrywa nieporozumienie, niż zrozumienie i niż program. Łączą ludzi jednakie słowa, których jednakże używa się dla określenia rzeczy zgoła różnych, a ponieważ ludzie nie zastanawiają się nad treścią słów, jak to czynią filologowie, więc wszystko jest w porządku. Jednakich światopoglądów politycznych niema na świecie tak samo, jak niema dwóch jednakowych twarzy...

— Pan ma wybitne skłonności do przesadzania — mówił Regier. — Bądź co bądź musi pan zgodzić się, że łączą się z sobą miliony ludzi i to tak trwale, że żadna siła rozdzielić ich nie zdoła. Naprzykład narody...

— No, co do tej siły rozdzielającej, to nie będę się z panem sprzeczał. Zgoda, że siła zewnętrzna, wroga, rozdzielić nie zdoła, ale siły wewnętrzne czynią to aż nazbyt często. Następnie pouczającym byłoby dla pana, gdyby pan spróbował włożyć pewną treść w tę formę, jaką jest pojęcie narodu, nacjonalizmu i t. d. Dla jednych naród to język, religja, obyczaj, dla drugich to jakieś nieokreślone i niejasne cechy krwi, jeszcze dla innych naród to właściciel

państwa. A przecie trzeba sobie powiedzieć, że języka nie można uważać za jakąś stałą i niezmienną cechę narodu; każdy z narodów dzisiejszych potrzebuje słownika dla rozumienia pierwocin swojej własnej mowy. Gdyby narodowość była zawarta w mowie danego narodu, to naród wy-naradawiałby sam siebie przez bezustanne zmienianie języka.

— Ja odnoszę się do tych rzeczy więcej uczuciowo — rzekł Regier — i dlatego nie wytworzyłem sobie światopoglądu pojęciowego.

— Nie mógł pan sobie wytworzyć żadnego światopoglądu, ani pojęciowego, ani uczuciowego — zawyrokował pan Maligan, — bo o ile słyszałem, pracował pan wyłącznie w nauce i to w warunkach wykluczających konieczność zarobkowania, walczenia o kawałek chleba, czy o przekonania. Światopogląd jest odruchem uczucia, który powstaje przy zetknięciu się z przeszkodami materialnymi lub moralnymi...

— Przeszkodami materialnymi lub moralnymi...? — nie rozumiał Regier.

— Chcę przez to powiedzieć, że nie musiał pan walczyć z nikim o kawałek chleba dla siebie i nie potrzebował pan domagać się swobody dla swoich myśli i przekonań oraz wywalczać sobie prawo wolnego badania. W takich warunkach światopoglądy nie powstają. Aby osiąść światopogląd — pan Maligan mówił słowo po słowie z coraz większym naciskiem, — trzeba robić coś takiego, co przynajmniej w pewnej mierze skłóca człowieka z człowiekiem, coś, co przypominałoby jaką taką walkę. Światopogląd to sztandar, a pod sztandarem chodzi się do walki, albo paraduje się w pochodach i procesjach.

— Albo się paraduje...? — wtrącił Regier.

— To już wszystko jedno. Pod sztandarami rzeczywistymi i symbolicznymi już się dzisiaj przeważnie tylko paraduje. Nasze życie, nasza kultura współczesna — mówił Maligan — to po większej części takie właśnie paradowanie. Idziemy dokądś pod sztandarami, które zostały rozwinięte przed setkami lat. Dla nas mają one znaczenie już

tylko symbolu czysto konwencjonalnego, podczas gdy dla tych, którzy te sztandary rozwijali, były one życiem, treścią ich istoty najwnętrznieszej, okupywaną niejednokrotnie ofiarą z życia. Dość przeczytać sobie którekolwiek z dzieł Nietzschego, aby to zrozumieć w całej pełni.

— Pan zna dzieła Nietzschego? — zapytał Regier z niedowierzaniem.

— Interesowałem się historją filozofji wogóle — odparł Maligan, — ale nie uważałem filozofji nigdy za jakąś wartość stałą, była ona dla mnie ilustracją do własnego myślenia. Człowiek ceni sobie towarzystwo i dlatego lubi powołać się wobec samego siebie na oczywisty fakt, że Nietzsche był tego samego zdania, co i my, albo że Sokrates wygłaszał aforyzmy bardzo podobne do naszych własnych. Ale, jak się rzekło, światopogląd rodzi się dopiero wówczas, gdy zaczynamy coś robić: szukamy żony, budujemy dom albo porównujemy różne religje. Najłatwiej o światopogląd gdy się zakłada towarzystwo akcyjne albo gdy się prowadzi handel walutami. Wtedy tak zwana siła rzeczy sama wepchnie człowieka do takiej partji, w której mu jest najwygodniej. Razem z członkostwem partji otrzymuje się wtedy światopogląd.

Regier śmiał się z tych wywodów pana Maligana, ale coraz bardziej interesował się nimi i ich autorem, tembardziej, że major Iwecki nie przestawał się nim zachwycać i powtarzać, że z takim człowiekiem można zawojować cały świat.

— Sądzi pan zatem, że dostawca siana dla konnicy armji monarchicznej nie może być republikaninem? — rzucił ze śmiechem.

— Jeśli wziąć przypadek tak dalece konkretny, to trzeba się zastrzedz — wywodził z wielką powagą pan Maligan, — że bardzo wiele zależy od intendenty danej konnicy monarchicznej. Jeśli intendent jest bardzo skrupulatny i wymagający, to może dostawcy siana obrzydzić monarchję do gruntu i zaprowadzić nieszczęśnika pomiędzy najradykałniejszych rewolucjonistów.

— Więc aby zdobyć światopogląd, trzeba koniecznie coś robić — powtórzył sobie Regier dla pamięci.

— Albo czegoś mocno chcieć — przywodził pan Maligan. — Gdy sobie ktoś założy sklepik z wiktuałami, a sklepik nie idzie dobrze skutkiem strajku robotników, to się ten ktoś musi z konieczności ustosunkować do strajku i do strajkujących, a w rezultacie dorobi sobie do swego sklepiku ojczyznę, religję, moralność, jednym słowem cały system filozoficzny na temat: gdzie jest ojczyzna, tam ma być dobrze.

— Muszę się zastrzedz — rzekł Regier — przeciwko mniemaniu pana, jakobym nic nie był robił. Przeciwnie robiłem bardzo wiele, ale pomimo znacznej dotychczasowej pracy nie wyrobiłem sobie takiego światopoglądu politycznego, za który byłbym gotów nastawić głowy.

— Powiedziałem już panu, że ogromna jest różnica między pracą a pracą. Praca jako rozrywka, jako czynność *pour passer le temps*, nie liczy się wcale, gdy chodzi o światopogląd. Inaczej się pracuje, aby mózż żyć, a inaczej się pracuje, gdy praca nie jest obowiązkiem, ale przyjemnością. Obowiązek we wszystkich znanych mi językach jest słowem twardem i bezwzględnem, ograniczającym wolność człowieka, a praca dla chleba jest najlepszą nauczycielką światopoglądów. Pan pracuje w Sztapie? — zakończył pan Maligan swój wywód pytaniem.

— Tak, w Sztapie — odpowiedział Regier, zastanawiając się nad słowami Maligana; pobudzały go bowiem do myślenia.

— Czy pan tam pracuje z zamiłowania, czy z konieczności? — pytał dalej.

— Z zamiłowania...? — powtórzył Regier. — Dostałem się do wojska przypadkowo, gdy wybuchła wojna i czekam jedynie na sposobność aby powrócić do życia cywilnego. Dlaczego pan pyta?

— Bo na podstawie pańskich prac i zamiłowań mógłbym panu skonstruować światopogląd najodpowiedniejszy — roześmiał się Maligan. — Gdyby nie było niedyskrecją pytać pana o zamiary na przyszłość, to na ich podstawie,

oraz na przewidywaniu trudności, jakie nastęczyć się muszą, mógłbym panu z wielką pewnością przepowiedzieć partję, do której pan ostatecznie należeć będzie.

— Ależ to już jest kismet mahometański, fatum, mechanistyka! — zawołał Regier.

— Jedyne racjonalna podstawa wszelkiego światopoglądu! — odparł pan Maligan tonem wykluczającym wszelkie możliwe wątpliwości. — Przypadku niema: wszystko, co jest, to być musi. Koniecznością są nawet te zastanawiające zbieżności, które zazwyczaj uważane bywają za przypadek. Nawet nasza rozmowa dzisiejsza jest czemś koniecznym i nieuniknionem, czyli czemś, co w innej postaci istniało przed wiekami, a dzisiaj urzeczywistnia się w taki właśnie sposób.

— Mogliśmy się poprostu nie spotkać i cała teoria pańska byłaby obalona — roześmiał się Regier.

— Spotkaliśmy się wszakże i dlatego nie mogliśmy się nie spotkać — mówił spokojnie Maligan. — Uzasadnić tego twierdzenia dowodami nie mogę, ale gdybyśmy genealogje swoje cofnąć mogli aż do czasów mgławicy, z której narodził się nasz świat razem z tem wszystkim, co na nim jest, to przekonalibyśmy się, że drogi nasze skrzyżować się musiały, a mianowicie w pewnej określonej chwili i w określonym miejscu.

Podczas tej rozmowy Iwecki prowadził niemniej ciekawy dyskurs z panną Madzią tylko już na mniej filozoficzny temat, a pani Zarębina słuchała uważnie dowodzeń pana Maligana, usiłując je zrozumieć. Widać jednak było, że ją ta rozmowa mało interesuje, bo co chwila robiła ruch, jakby chciała coś powiedzieć, lecz przeszkadzał jej w tem zapal gościa, z jakim wykladał swoje poglądy porucznikowi Regierowi. Wreszcie przecie, mając już dość tej niezrozumiałej rozmowy, machnęła ręką i rzekła:

— Czy panowie nie macie już tematu innego, żeby się głowić nad takimi głupstwami, które żadnego rozsądnego człowieka obchodzić nie powinny? Przecież można mówić o sprawach zrozumialszych i pożyteczniejszych!

— Co do tych spraw pożyteczniejszych — rzekł Ma-

ligan — to jest ich bardzo wiele. Niedawno czytałem, że jakiś uczoney zabrał się do wylawiania złota z wody morskiej, ale pokazało się, że koszta eksploatacji morza są kilkakrotnie wyższe od zysków. Jakie to śmieszne, że ludzie szukają złota nawet w morzu, podczas gdy ono leży na ulicy!...

— Gdzież to pan widział złoto na ulicy? — zapytał Regier z ironicznym uśmiechem.

— Gdyby pan był człowiekiem praktycznym i chciał się schylić dla podniesienia kawałka złota, to możebym panu pokazać — powiedział pan Maligan znacząco.

— Może pan być pewien, że jestem człowiekiem praktycznym i że chętnie schyliłbym się po grudę złota — z wesołym patosem zapewniał go Regier — bo akurat mam bardzo wielkie zapotrzebowanie tego pożytecznego kruszcu.

— Dobrze. W takim razie pokażę panu przy sposobności bardzo ładną grudkę złota — obiecał pan Maligan. — Dzisiaj, niestety, zrobić tego nie mogę, bo muszę już iść. Ale tem chętniej innym razem. Dowidzenia.

Pożegnał się z panią Zarębiną i panną Madzią, która patrzyła mu w oczy, jakby chciała wyczytać w nich coś nadzwyczaj ważnego. Zabierając się do odejścia razem z majorem Iweckim, Maligan ścisnął mocno dłoń Regiera i mówił:

— Przy sposobności może pan także znaleźć poszukiwany światopogląd.

— Ale jaki?

— Monarchiczny, kapitalistyczny, konserwatywny! — zapewniał Maligan. — Będzie to światopogląd posiadających, a więc bezwzględnie solidny.

* * *

Znowuż upłynęło Regierowi kilka miesięcy życia na ciężkiej pracy i daremnych usiłowaniach pokonania upartego losu, ale nie wiodło mu się. Im większe robił oszczędności, tem więcej miał wydatków nieprzewidzianych. Musiał pomagać Ludce, siostrze, a nawet cioci Terci, która zupełnie nie orjentowała się w położeniu i ze stałą myślą o rodzinie Wernerów, dawała starej swojej Balbisi tak mało

pieniędzy na gospodarstwo, że bezradna klucznica musiała zwracać się o radę i pomoc do Regiera, odwiedzającego ciotkę codziennie. Musiał opiekować się ciotką i z tej jeszcze racji, że nieraz w ciągu całych dni podrzemywała bezustannie, nie rozmawiając z nikim i nie jedząc. Były to objawy zgrzybiałości, a także skutki stałych niepokojów i zgrzyot, przeżytych od początku wojny. Regier patrzył na to gasnące życie starej krewniaczki i nawet przez myśl mu nie przeszło, aby miał zostawić ją samą w tym jej opłakanym stanie. Chodził do niej, sprowadzał jej lekarza i w miarę potrzeby udzielał Balbisi potrzebnych rad i jeszcze potrzebniejszych pieniędzy, gdy przez nadmiar oszczędności ciotka zapomniała zupełnie o sobie i o swoich potrzebach. I znowuż życie przyniosło mu nieoczekiwaną naukę, że tak zwane poświęcenie bynajmniej nie bywa jakimś specjalnym aktem woli, wyrzekającej się samej siebie, ale że przychodzi ono dzień po dniu razem z powietrzem, którem człowiek oddycha i jako jeden z pośród wielu szczegółów życia. Wychowanie, cały sposób życia, czucia i myślenia, daje stałe nałogi, dzięki którym wola oddziałuje na pewne bodźce zewnętrzne tak, a nie inaczej.

Gdyby pod koniec roku dwudziestego, po zakończeniu wojny z bolszewikami był mu ktoś powiedział, że po upływie niemal dwóch lat będzie jeszcze w Warszawie, byłby się czuł wysoce nieszczęśliwym i bliskim rozpacz, ale ponieważ tego nie wiedział, ponieważ dzień po dniu i tydzień po tygodniu upływał mu jako tymczasowość, która skończyć się miała bardzo rychło, może już nazajutrz, czy za dni kilka, przeto ani spostrzegł, jak dzieląc się troskami i kłopotami z siostrą, Ludką i ciotką Teresą, doczekał się drugiej rocznicy swego wyzdrowienia w Warszawie. Ostrożny, który tymczasem awansował, był przekonany, że przyjaciel rzekł się myśli porzucenia służby wojskowej; przygotowywał mu tedy miłą niespodziankę w postaci awansu i odznaczenia. Ale gdy tylko napomknął o tem Regierowi, przekonał się, że nie zapomniał on o swoich zamiarach i że jeśli opuszczenie służby wojskowej odkłada, to ma po temu jakieś specjalne powody. Nie przypuszczał oczywiście,

aby Regier był zmuszony do pozostawiania na służbie opłakanym stanem majątkowym, bo jak wszyscy, tak i on, uważał go za człowieka zamożnego.

Z nastroju przygnębienia i bezradności wyrwał Regiera niespodziewany list z Zabłonia, w którym pisał mu Stępień o bliskiej reorganizacji gimnazjum i ponawiał swoje propozycje co do objęcia w niej stanowiska nauczyciela języka polskiego. Było pod koniec marca, gdy Regier w dzień dżdżysty i wietrzny wracał wieczorem do domu, dobrze usposobiony treścią otrzymanego listu. Starym zwyczajem stawał przed witrynami księgarń i odczytywał tytuły nowych książek. Dobry nastrój ustępował miejsca uczuciu niezadowolenia i goryczy. Nigdy nie miał skłonności do trwonienia pieniędzy, ale nie umiał sobie odmówić wydatku na książki, które mu się specjalnie podobały. Chociaż podczas wędrówek swoich po Europie miewał do dyspozycji największe i najbogatsze biblioteki, to jednak miał tę słabość wszystkich miłośników książek, że lubił kupować dzieła bliskich sobie autorów. Obecnie, gdy sytuacja jego stała się bardzo ciężką, nic nie sprawiało mu tyle przykrości, jak ten względnie drobny fakt, że musiał odmawiać sobie przyjemności kupowania książek, które byłby pragnął posiadać. Nigdy nie potrafił dostosować się do regulaminów bibliotecznych i czytelnianych, aby książkę pożyczoną przeczytał w takim a takim terminie, i nigdy stosunku swego do ulubionego autora nie umiał wyczerpać jednorazowem przeczytaniem jego dzieła. Autorowie, których cenił, stawali się dla niego bliskimi przyjaciółmi, z którymi każdej chwili spotkać się można i każdej chwili znajduje się ich gotowymi do prowadzenia najserdeczniejszych rozmów. Do różnych pisarzy ustosunkowywał się bardzo różnie i bardzo różnie ich czytywał. Śród filozofów, beletrystów, poetów, krytyków, miał takich, których można było czytać zawsze, i takich, dla których trzeba było mieć nastrój specjalny, jedni pozwalali czytać się całymi rozdziałami, inni zmuszali do głębokich przemyśleń poszczególnych zdań, i przeczytać ich książkę można było tylko przez bezustanne powracanie do niej. Poza to miał Regier jakieś osobiste

uprzedzenie i obrzydzenie do książek czytelnianych, brudnych nieraz umazanych, noszących na sobie ślady przeżyć wszystkich swoich czytelników i czytelniczek. Dlatego lubił mieć książki własne, a że nie mógł ich obecnie nabywać, czuł się rozgoryczonym i przygnębionym.

Stojąc przed witryną jednej w wielkich księgarni, starał się odgadywać treść wielu nowych książek, które pociągały go albo nazwiskami, albo nagłówkami. Włosi, Francuzi, Niemcy, Szwedzi, Anglicy tytułami swoich dzieł obiecywali czytelnikowi wielkie rozkosze estetyczne, ale Regier musiał ich sobie odmówić, bo poprostu nie miał odwagi na wydatek nawet tak niewielki, jak wartość kilku książek.

— Dobry wieczór — ozwał się tuż za nim znajomy głos pana Maligana. — Na cóż się decydujemy? Pirandello, Chesterton, Valéry, Rilke?... odczytywał nazwiska na kartach tytułowych. — Decyzja trudna, co?

— Zdecydowałem się na wszystkie i dlatego nie kupuję dzisiaj nic — odpowiedział Regier. — Zresztą takie obcowanie z autorami, gdy czytelnik stoi przed witryną, a autor jest za nią, ma swój specjalny urok. Książka, której kartki są jeszcze nierozcięte, zawiera wszystko, co wyobraźnia zaledwie przeczuwa.

— Chodźmy i zafundujmy sobie tego specjalnego uroku, panie poruczniku. I ja potrzebuję trochę lektury dla oderwania myśli od trosk powszednich.

— Nie mogę panu towarzyszyć — obstawał Regier przy swoim, i zmieniając ton, wskazał na teczkę: — Sam robię literaturę.

— Pisz pan? — zaciekał się Maligan.

— Tłumaczę różne akta na języki obce i z języków obcych.

— Opłaca się to panu?

— Niebardzo, ale rad jestem, że mam takie dodatkowe zajęcia.

— Czyżby pan naprawdę musiał być rad? — niedowierzał Maligan. — Gdyby tak było rzeczywiście, to powi-

niebym teraz dotrzymać panu słowa i wskazać obiecane złoto na ulicy. Chce pan?

— Bardzo proszę.

— Gdzie pójdziemy? — pytał pan Maligan. — Do restauracji, do pana, do mnie?

— Do restauracji nie — zastrzegł się Regier.

— No to pódziemy do mnie — zdecydował pan Maligan.

— Przecie złoto miało być na ulicy...

— Wskażę panu adres bardzo dokładnie, ale trzeba porozmawiać spokojnie w zaciszu domowym, bo wiatr jest obrzydliwy i w dodatku deszcz pada.

Regier poszedł do pana Maligana, który rozmowę swoją o złocie na ulicy rozpoczął od dobrej kolacji i bardzo ogólnej charakterystyki sytuacji gospodarczej.

— Okropny brak inicjatywy — narzekał pan Maligan — a jeśli się zdarzy jaki energiczniejszy człowiek, to spotyka tyle trudności, że doprawdy...

Słowa te przypominały Regierowi jego siostrę, dla której miał dużo szacunku za jej inicjatywę. Siostra ta musiała borykać się ze stałymi trudnościami i była dla niego stałym przykładem trudności gospodarczych, znanym mu bardzo dobrze. Nią tedy i jej daremnymi wysiłkami starał się Regier zilustrować sobie wykład pana Maligana.

— Tak, trudności są duże — przyświadczył, myśląc o siostrze — ale mam nadzieję, że to się musi skończyć i że niebawem będzie lepiej.

— „Niebawem” to nie jest termin kupiecki. Kiedy będzie lepiej? I dlaczego ma być akurat lepiej, a nie gorzej? — dawał upust swemu sceptycyzmowi pan Maligan. — Dość jest takich ludzi, którzy na daremnem czekaniu potracili majątki. Czy pan uwierzy, że tu istnieją jakieś zakorzenione nałogi, jakaś straszna niechęć do samostarczalności gospodarczej? Ludzie są bezkrytyczni i tak dalece za nic mają wszystkie wyroby krajowe, że gdy istnieje wybór, to kupują zawsze to, co pochodzi z zagranicy. Jak wobec tego ma sobie radzić przemysł krajowy? Niech pan powie!

uprzedzenie i obrzydzenie do książek czytelnianych, brudnych nieraz umazanych, noszących na sobie ślady przeżyć wszystkich swoich czytelników i czytelniczek. Dlatego lubił mieć książki własne, a że nie mógł ich obecnie nabywać, czuł się rozgoryczonym i przygnębionym.

Stojąc przed witryną jednej w wielkich księgarni, starał się odgadywać treść wielu nowych książek, które pociągały go albo nazwiskami, albo nagłówkami. Włosi, Francuzi, Niemcy, Szwedzi, Anglicy tytułami swoich dzieł obiecywali czytelnikowi wielkie rozkosze estetyczne, ale Regier musiał ich sobie odmówić, bo poprostu nie miał odwagi na wydatek nawet tak niewielki, jak wartość kilku książek.

— Dobry wieczór — ozwał się tuż za nim znajomy głos pana Maligana. — Na cóż się decydujemy? Pirandello, Chesterton, Valéry, Rilke?... odczytywał nazwiska na kartach tytułowych. — Decyzja trudna, co?

— Zdecydowałem się na wszystkie i dlatego nie kupuję dzisiaj nic — odpowiedział Regier. — Zresztą takie obcowanie z autorami, gdy czytelnik stoi przed witryną, a autor jest za nią, ma swój specjalny urok. Książka, której kartki są jeszcze nierozcięte, zawiera wszystko, co wyobraźnia zaledwie przeczuwa.

— Chodźmy i zafundujmy sobie tego specjalnego uroku, panie poruczniku. I ja potrzebuję trochę lektury dla oderwania myśli od trosk powszednich.

— Nie mogę panu towarzyszyć — obstawał Regier przy swoim, i zmieniając ton, wskazał na teczkę: — Sam robię literaturę.

— Pisze pan? — zaciekał się Maligan.

— Tłumaczę różne akta na języki obce i z języków obcych.

— Oplaca się to panu?

— Niebardzo, ale rad jestem, że mam takie dodatkowe zajęcia.

— Czyżby pan naprawdę musiał być rad? — niedowierzał Maligan. — Gdyby tak było rzeczywiście, to powi-

ków i, pan może nie uwierzy, ale fakt jest faktem, że trudno dostać pozwolenie na wywieżenie własnych kapitałów, chociaż możnaby dać bardzo realne gwarancje, że te kapitały wrócą do kraju wielokrotnie powiększone i to w terminie określonym.

— Ach, więc ustosunkowani współpracownicy powinni przekonywać kogo należy o korzyściach wywozu kapitałów za granicę!...

— Nie przekonaliiby i tak, więc powinni od razu umieć obejść się bez tych krępujących pozwoleń, nikomu na nic nie potrzebnych.

Teraz przypomniał sobie Regier pannę Madzię i jej słowa o przewożeniu pieniędzy za granicę. A więc jednak mówiła prawdę i pan Maligan po tym wstępie zrobi niewątpliwie konkretną propozycję. Oto gdzie leży złoto na ulicy.

— Współpracownik, który mógłby podjąć się tej części zadania, musiałby oczywiście być naszym wspólnikiem, to jest człowiekiem bezpośrednio i osobiście zainteresowanym w prosperowaniu firmy.

— A gdyby taki wspólnik nie miał kapitału, jak ja naprzykład? — wyrwało się Regierowi pytanie.

— To otrzymałby od nas szeroki kredyt, który pozwoliłby mu na uczestniczenie w grubych i niezawodnych zyskach.

— Niezawodnych, powiada pan... Czy to jest złoto na ulicy, o którym pan mówił?

— Tak. Mówił pan, że się po nie chętnie schyli. Otóż leży ono przed panem. Jeździ pan służbowo za granicę, prawda? I nie rewidują pana...

Regier milczał, pan Maligan także. Dopiero po chwili ozwał się gospodarz:

— Oczywiście, nie wiem, czy pan się nie trzyma pewnych przesądów, i nie chciałbym, broń Boże, wpływać na pana w jakimkolwiek kierunku.

Pod pierwszym wrażeniem Regier chciał odpowiedzieć, że oczywiście, takich właśnie przesądów się trzyma, i chociaż na granicy nie bywa rewidowany, to jednak dla tego sa-

mego nie podjąłby się niczego, co byłoby równoznacznem z nadużyciem czyjegokolwiek zaufania. Chciał to powiedzieć z ostrym akcentem i pójść sobie, ale w tej chwili przypomniała mu się panna Madzia, która zapewniała go nieraz, że chodzi o wywiezienie jej spadku po rodzicach.

Zawahał się. Nie wiedział co ma panu Maliganowi odpowiedzieć. Niełatwo było zdecydować się na pozostawienie panny Madzi własnemu losowi. W tej chwili przyszło mu do głowy, że dobrze będzie poradzić się Iweckiego, bo plan panny Madzi był bardzo pierwotny: wziąć pieniądze z rąk stryjenki czy Maligana i oddać jej. Oczywiście, że do takiego postępowania trzeba było posiadać jakieś dowody, czy wogóle tytuły prawne i moralne. Następnie wydało mu się niesłychanie trudnem, aby względem człowieka, który okazał mu bądź co bądź zaufanie, miał się zachować jako oskarżyciel przed władzami.

Pan Maligan tłumaczył sobie jego zamyslenie zgoła inaczej, bo rzekł:

— Może pan zarobić narazie pięć tysięcy franków i otrzymać udział w zyskach.

— Czy o duże kapitały chodzi? — zapytał Regier, chcąc sprawdzić trafność informacji panny Madzi.

— To zależy, co nazwiemy dużym kapitałem — odpowiedział Maligan wymijająco. — W Ameryce dużym kapitałem nazywa się sto milionów, u nas sto tysięcy dolarów to kapitał bardzo duży.

— Sto tysięcy.. — powtórzył Regier.

— Naturalnie, że nie odrazu. Likwidacja kapitału odbywa się tu powoli i trzeba całą sprawę rozłożyć na kilka rat, ale w ciągu jakichś sześciu tygodni kapitał musiałby być przewieziony.

Regier milczał. Że się tej sprawy nie podejmie, było dla niego jasnem, ale że nie może i nie powinien sprawić zawodu pannie Madzi, było niemniej jasne.

— Nie oczekuję odpowiedzi natychmiast. Pan sobie pomyśli i rozważy. W ciągu jakichś sześciu—ośmiu tygodni może pan zyskać dwadzieścia pięć -- trzydzieści tysięcy franków. Chodzi o to, żeby pieniądze nie były w drodze

narażone na niespodzianki. Za tydzień, albo za dziesięć dni przyszedłbym do pana po odpowiedź i wtedy omówilibyśmy całą sprawę szczegółowo.

— Za tydzień, dziesięć dni — rzekł Regier jakby do siebie. — Dobrze, pomyślę.

Pożegnał się i wyszedł, bo doznawał uczucia głębokiego obrzydzenia, że z tym wykształconym i nawet subtelnym panem Maliganem prowadził rozmowę na temat wybitnie kryminalny, a nie mógł postawić wobec niego sprawy tak jasno, jakby było należało. Postanowił porozmawiać z panną Madzią, a przedewszystkiem z Iweckim. Po drodze uspokoił się trochę, a gdy przyszedł do domu, zapomniał rychło o złocie leżącym na ulicy a raczej w błocie ulicznym, bo trzeba było odpowiedzieć natychmiast Stępnowi i propozycję jego, oczywiście, przyjąć. Nie było powodów do wahań, bo praca w Zabłoniu była poprostu wyzwoleniem z ciężkiej sytuacji obecnej. Będzie mógł przyniejmniej przeprowadzić się do Zabłonia, gdzie znajdzie mieszkanie. Poślubi wreszcie Helenę, będzie mógł pomagać siostrze. Jednocześnie z listem do Stępnia i oświadczeniem, że propozycję przyjmuje, napisał najformalniejsze podanie do swego zwierzchnika o zwolnienie go ze służby wojskowej. Ostrozór i tym razem próbował go skłonić do pozostania, ale Regier nie ustąpił. Stało tedy na tem, że w lipcu zostanie zwolniony ze służby i będzie mógł wyjechać z Warszawy.

Zaczął się przygotowywać do tej wielkiej zmiany w swoim życiu. Ponieważ Pasieczna jeszcze ciągle nie była odbudowana, postanowił, że ciotkę Teresę zabierze z sobą do Zabłonia, a sam natychmiast po uwolnieniu się ze służby pojedzie do Pasiecznej i dopilnuje odbudowy. Najbardziej smuciła go panna Madzia, że człowiek, którego przywykła uważać za swego opiekuna, ma wyjechać z Warszawy i pozostawić ją samej sobie. Aby ją pocieszyć, polecił ją Regier opiece Iweckiego, do którego uprzedził ją jak najlepiej, jego zaś wtajemniczył w całą sprawę o ile znał ją z opowiadania panny Madzi, i cieszył się, że Iwecki okazał dla niej dużo zainteresowania. Panu Maliganowi oświadczył,

iż wobec rychłego opuszczenia służby wojskowej tem samem jako możliwy jego współnik „ustosunkowany”, odpada.

— Musisz się mieć na baczności — rzekł razu pewnego do Iweckiego. — Ten Maligan nie ma zbyt wielkich skrupułów i gdyby cię chciał wciągnąć do jakich nieczystych spraw, to mu wyraźnie powiedz, co sobie o nim myślisz. Człowiek znajduje się nieraz w sytuacji bardzo głupiej. Rozum i sumienie domagają się, aby zwrócić uwagę na tego pana odpowiednim władzom, a jakieś głupie nałogi uczuciowe każą brzydzić się rolą oskarżyciela, tembardziej, że przecie tak łatwo jest pomylić się.

Iwecki roześmiał się, słuchając tych ostrzeżeń.

— Maligan to jeden z najbystrzejszych ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać — rzekł z wielkiem uznaniem. — Naturalne, że tacy ludzie posługują się dla swoich celów innymi ludźmi, ale cała mądrość w tem, żeby stosunek odwrócić i posługiwać się nimi dla celów własnych. A co do podziału spraw handlowych na czyste i nieczyste...

— Są sprawy wyraźnie brudne, do których człowiek uczciwy w żadnym razie ręki przyłożyć nie może!... — zawołał Regier.

— Sprawy handlowe i podobne im dzielą się przedewszystkiem na udane i nieudane. Tylko nieudane bywają czasem kwalifikowane jako niebardzo czyste, udane zaś, osobiwie takie, które dają duże zyski, są zawsze bezwzględnie czyste.

Regier spoglądał na Iweckiego, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

— Czy wszedłbyś w spółkę z takim Maliganem? — zapytał.

— Jeśli wchodzić w spółkę wogóle, to tylko z takim Maliganem — odpowiedział Iwecki, podkreślając na złość słowo „takim”. — Dlaczego tak zwani paskarze mieliby mieć wyłączne prawo do korzystania z dóbr tego świata? Sam pan Maligan zdaje się być zmyślonym inteligentem. Zdołał widać dość duże wykształcenie, które zdało się tylko psu na budę, a potem przyszło doświadczenie życiowe,

i skorzystał z niego. To mądry człowiek, można się od niego bardzo wiele nauczyć.

— A jego stosunek do spadku panny Madzi? — próbował przeczyć Regier.

— Mnie się zdaje, że chce on poprostu skorzystać z ugorującego kapitału, aby go potroić, a zarazem zdobyć coś dla siebie.

— A jeśli ten kapitał straci?

— Nie powinien go stracić — rzekł Iwecki z naciśkiem — i jeśli można mu w tem dopomódz, aby go nie stracił, to trzeba to zrobić... — zawahał się przez chwilę i dodał: — Trzeba to zrobić w interesie choćby panny Madzi.

— Mamy bardzo różne poglądy na tę samą sprawę — stwierdził Regier.

— Istotnie — zgodził się Iwecki. — Ja naprzykład za nic na świecie nie poszedłbym na taką belferkę w Zabłoniu. To jest pogrzebanie się żywcem na partykularzu, który nawet nie dostrzeże różnicy między człowiekiem kultury a zaimprovizowanym nauczycielem, który „poświęcił się” — rzekł te słowa z przekąsem — pracy pedagogicznej, bo mu jakoś nie poszło z medycyną, czy prawem. Człowiek powinien iść między równych sobie, gdzie się na nim umięją poznać.

Regier wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. W głowie jego powstawały jakieś niejasne obawy o Ludkę. Obaw tych nie umiał sobie sformułować, ale rychło zapominał o nich, bo trzeba było zajmować się mnóstwem spraw innych.

Po opuszczeniu służby wojskowej, Regier zajął się przedewszystkiem sprawą ciotki Teresy. Przeprowadził się do Zabłonia, zabawił u siostry kilka dni, omówił z Heleną i panią Anną niektóre ważne sprawy, odbył kilka konferencyj z burmistrzem Zabłonia w sprawie swojej pracy w zreorganizowanym gimnazjum i doprowadził rzecz tak daleko, że ostatecznie pozostawało tylko porozumieć się

z dyrektorem Niebożęckim, który spędzał wakacje w Kieleckim. Oczywiście, że Regier nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że sprawa jego pracy w gimnazjum jest przesądzona w sensie dla niego najpomyślniejszym. Przy całej swojej zwykłej skromności rozumiał bardzo dobrze, iż kwalifikacje posiadał pierwszorzędne i pod tym względem konkurencji obawiać się nie potrzebował. Z uczuciem radości, że oto niebawem rozpocznie się nowy rozdział w jego życiu, jechał do Warszawy, aby z ciotką Teresą omówić szczegóły odbudowy Pasicznej i pokierować osobiście robotami.

Chociaż dni były ciepłe i słoneczne, ciotka czuła się niebardzo dobrze i musiała często polegiwać. Bardziej, niż kiedykolwiek tęskniła za swoją Pasiczną i serdecznie była rada, gdy Regier zapewnił ją, że teraz odbudowa zostanie przeprowadzona bardzo szybko i sprawnie. W świeży ranek lipcowy, po nocnym deszczu, wyjechał z Warszawy z uczuciem człowieka, który po długiej tułaczce powraca do domu rodzinnego, gdzie czeka na niego szczęście, jakiego nigdzie indziej znaleźć nie mógł. Pociąg biegł niezbyt szybko wśród wiosek i pól, wpadał do lasów i wyjeżdżał na szczerze, rozległe płaszczyny mazowieckie; Regier nie mógł się napatrzeć tych widoków tak dobrze znanych a zawsze tak miłych. Zdawało mu się, że patrzy nie on, ale jakiś inny człowiek i że ze zdumieniem dostrzega rzeczy nad wszelki wyraz piękne i drogie, które niegdyś zostały przeczone. Czad węgla od lokomotywy wpadający do przedziału razem z wiatrem ciągnącym od wilgotnych łąk i zasępionych borów, przypominał mu jego niezliczone wędrowki po świecie. Przymknął oczy i widział się pod ogromną kopułą jednego z największych widzianych óworców kolejowych, w tej osobliwej atmosferze czadu węglowego zmieszanego z zapachem gorącego żelaza i smarów. Od owych czasów pozostało mu dziwne skojarzenie czadu węglowego z wyczekiwaniem rzeczy nowych i nigdy jeszcze nie widzianych, gdy z przedziału wagonu spogląda się w dal i gdy na spotkanie bieżą góry i rzeki, miasta i wsi, południa i wieczory, niby twarz świata nieznanego.

Regier spoglądał przed siebie i oddawał się temu intymnemu szczęściu podróży, polegającemu często na oglądaniu rzeczy zwykłych, ale w nowym niespodziewanem i zdumiewającym ugrupowaniu. Oto jakaś szara chata rozsiadła się w słońcu i sama słońcem promienieje; jeszcze nigdy i nigdzie nie widziało się takiej chaty, więc warto dobrze się jej przypatrzeć, ale oto już się widzi zdala jakiś niepokojący dom z okiennicami pozamykanemi, jakby się niemi odgradzał od całego świata, i jakby przed wszystkimi strzegł zazdrośnie swojej własnej tajemnicy. Puste drogi biegnące przez pola, wieża kościoła, wychylająca się z lasu, ludzie przechodzący obok nasypu, wszystko nabierało dla niego tajemniczego znaczenia uroczystych obietnic szczęścia. Serce wzbierało mu przecuciem nieznanych radości, że oto nie będzie już istniał na świecie w takim osamotnieniu, w jakim żył dotąd. Wyobraźnia podsuwała mu obrazy prostych, powszednich i błahych wydarzeń, rozmów prowadzonych z Heleną dla samego słyszenia jej głosu, i w wydarzenia te odziewała bliskie szczęście. Myślał o tem, że będą z sobą chodzili daleko za miasto i będą patrzyli na takie drogi, polne, jakie właśnie widział, na chaty i na ludzi obcych, a wszystko będzie piękne i zdumiewające, jak objawienie prawdy świata.

Długo patrzył oknem, oddając się temu sybarytyzmowi uczuć człowieka, który czuje się wolnym panem swego losu i zbliża się szybko ku upragnionemu szczęściu. Około południa pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce, niemal w szczerem polu. Po rozległych ścierniskach łąziło bydło, niedaleko pociągu palił się ogieniek pastuszy, a błękitnawy dymek rozchodził się dokoła i pachniał wszystkimi przedziwnymi urokami nadciągającej jesieni. Regier wdychał z tym dymkiem nietylko wspomnienia, ale najmiłsze wrażenia radosnych i miłych przeżyć z lat dawnych, wracających oto łaskawie, aby towarzyszyć szczęściu dawno śnionemu. Przychodziło razem z nimi rozumienie rzeczy bardzo prostych i jasnych. Aż się dziwił, że tak długo czekał na szczęście, które było przecie bliskie i dostępne. Jakże śmiesznem wydało mu się w tej chwili, że ktoś wyobraża

sobie szczęście w postaci bogactw i dostatków, gdy przecie szczęściem jest przede wszystkim samo istnienie, sam niewymowny cud życia, patrzeć na ściernisko i wdychanie woni dymku jednoczącego duszę człowieka z duszą wszechświata, jak dym z ofiary dawnego patriarchy. Nie potrzeba niczego oprócz oczu i uszu, aby widzieć i słyszeć łaskę zwiastowania o tem, czem jest życie człowieka i życie pyłku unoszącego się w promieniu słońca.

Nastrój ten nie opuszczał Regiera i podczas pobytu w Pasiecznej, gdzie niemrawy pan Chodaczek stąpał dumnie około dworka odbudowywanego ślamazarnie, jakby chodziło o to, aby dworek nigdy odbudowany nie został. Ale pan Chodaczek stroił się w pychę wielkiego budowcy i zaćmiewał tą swoją pychą Salomona, gdy ten budował wielki pałac z „lasu Libanowego na sto łokci wzdłuż, a na pięćdziesiąt łokci wszerz, a na trzydzieści łokci wwyż”, i gdy budowniczy jego Hiram, ozdabiał ten przybytek królewski złotem, i srebrem, i miedzią. Staruszek tracił zupełnie cel pracy, jakby sama sprawa polegała na tem, aby jaśniał swoją zabiegliwością i sprytnem pokonywaniem trudności.

— Drzewo my dostali suchuteńkie, że meble możnaby z niego było zrobić, nietylko dworek budować. Sam-em na tartak jeździł i sam-em wybierał, żeby się pani dziedzicze i państwu dobrze mieszkało. To samo cegła. Wypalona jest dobrze i nie rozleci się i za sto lat.

Pan Chodaczek wziął jedną z cegieł i stukał w nią, kładąc słuchać Regierowi.

— Jak ten dzwon, proszę pana, co? — mówił z dumą, oczekując należytego uznania.

Ale Regier nie skory był do pochwalenia pana Chodaczka, bo choć drzewo było suche, a cegła jak dzwon, cała robota była tak obrzydliwie rozgmerana, iż zdawało się, że najlepiej będzie zacząć wszystko od początku.

— Tak, drzewo jest suche i cegła jak dzwon — przyświadczył Regier z ironją, zgola niedostępną postrzeganiu pana Chodaczkowemu — ale dworka jak niema, tak niema. Budować trzeba, budować, panie Chodaczku!

— Alboż się to, proszę pana, nie buduje? — wyró-

cił pan Chodaczek zdziwione oczy. — Tylko, że taki majster na ten przykład, sam nic a nic nie wie i o wszystko pyta, co i jak ma być, a ja znowu własną głową zrobić nic nie mogę i muszę pisać do Warszawy. Teraz już parę tygodni, jak napisałem do pani dziedziczki, żeby mi odpowiedziała, czy ma być dworek „otrynkowany“, czy „fugowany“, bo cegła jest na lic i możnaby zrobić na fugowanie. Murarz czeka, ja czekam, a odpowiedzi niema. Nie ja, proszę pana, winowaty.

Regier zabrał się bardzo energicznie do roboty, przynałął majsterka i jego czeladników, aby kończyli swoje dzieło zewnątrz i wewnątrz, i pod koniec sierpnia doczekał się wreszcie tej pociechy, że można było zacząć z urządzeniem mieszkania przynajmniej dla ciotki Teresy narazie. Ciotka na samą myśl, że niedługo będzie mogła zamieszkać w Pasicznej, nie skąpiła pieniędzy jak dawniej i chętnie dawała na odbudowę, ile było potrzeba, ale gdy Regier przyjechał do Warszawy, zastał ją znowu bardzo słabą i leżącą w łóżku. O przeprowadzce nie mogło być mowy, a Regier musiał, niestety, śpieszyć do Zabłonia, aby natychmiast po wakacjach stanąć do pracy w szkole. Cioci Terci obiecał przysłać Helenę, aby jak tylko będzie można, odwiozła ją do Pasicznej, a sam śpieszył z wyjazdem.

Dni były już krótkie i wieczorami bywało chłodno. Pociąg miał odejść około dwunastej w nocy, ale Regier znalazł się na dworcu po jedenastej, bo ciotka była zmęczona i chciała spać, a Iweckich nie było w domu. Od wschodu powiewał chłodny wietrzyk, nisko nad zachodem czerwienił się młody księżyc. Żwawym krokiem chodził Regier po peronie, obiecując sobie spać podczas podróży, ale gdy wreszcie znalazł się w wagonie, nie dała mu spać radość, że oto zbliża się do wymarzonego celu. Długo rozmyślał o wszystkich dziwnych powikłaniach swego życia i o tem, jakie ono będzie w przyszłości. Do radości, że już niedługo połączy się z Heleną i że będzie mógł pomagać siostrze, mieszał się lekki niepokój, czy aby sprostą wszystkim nowym zadaniom. Potem układał sobie w duchu jak będzie wykładał swój przedmiot w gimnazjum, jak wszystkich

swoich uczni zapali do niego i jak pracować będą z wielką ochotą. Wynajdywał na poczekaniu jakieś sprytnie i chytre wybiegi pedagogiczne, żeby nawet najobojętniejszych pociągnąć i zaciekawić, układał sobie podstępne plany zawojowania młodych serc i umysłów, i dopiero nad ranem zasnął na krótko.

W miarę zbliżania się do Kalisza, niecierpliwość płoszyła sen i kazała mu czuwać nad radością, że niedługo przytulili do serca Helenę, aby się z nią już nie rozstawać. Było jeszcze bardzo rano, a ponieważ nie depešował o swoim przyjeździe, był przekonany, iż sprawi siostrze i Helenie wielką niespodziankę. Ale nie sprawił takiej niespodzianki. Z okna przedziału ujrzał na pustej zabłońskiej stacyjce Władka, i domyślił się, że siostrzeniec czeka na niego. Tknęło go jakieś przeczucie, że Władek czeka na niego, aby mu donieść o czemś przykrem. Zaniepokoił się tem, ale zapanował nad nerwami i przywitał się z siostrzeńcem jak najspokojniej.

— Czy wstałeś tak wczesnie specjalnie na moje spotkanie? — zapytał.

— Wyczekuję tu na wujka od trzech dni i wychodzę prawie na wszystkie pociągi — odpowiedział Władek, wysilając się na swobodę, chociaż znać było po nim, że jest czemś zgębiony.

— Co się stało? — nacierał Regier. Myśl jego szukała szybko jakiej przyczyny niewiadomego zła, ale nic nie znajdowała. Był niecierpliwy i chciał uprzedzić odpowiedź Władka, aby nie dać się zaskoczyć jakiej przykrej wieści. Choroba? Straty materjalne, kłopoty z wierzycielami? — zadawał sobie pytania.

— Właściwie nic się nie stało — odpowiedział wymijająco Władek — ale w domu jest taki nastrój, że chciałem wujka uprzedzić, żeby się temu nastrojowi nie dał zaskoczyć i nie pogorszył jeszcze sytuacji.

Wychodzili właśnie ze stacji i Regier nie mógł pytać o przyczyny tego nastroju, ale gdy znaleźli się w ustronnej i pustej alei, przystanął i rzekł:

— Proszę o możliwą zwięzłość, mój Władku. Jestem

przemęczony, ale nie potrzebujesz mnie oszczędzać. Nie rozplacę się, bądź pewny.

— Powtarzam, że nic się nie stało. Zwiążym być nie mogę, bo sprawa ma przedhistorję, bez której wujek jej nie zrozumie. Otóż pani Helena miała przed laty jakieś ciężkie przejścia i wtedy, chcąc otrzymać rozwód, przyjęła wyznanie ewangelickie.

— Kiedy? — zapytał Regier, sam nie wiedząc dlaczego pyta.

— Nie wiem dokładnie. Pięć czy sześć lat temu.

— No i co?

— Pani Helena ma jakiś proces z krewnymi męża, którzy chcą pozbawić ją nawet tego, co było jej bezsprzeczną własnością.

— Nie rozumiem nic a nic.

— I ja także nie rozumiałem, ale teraz rozumiem — mówił Władek. — Pani Helena ma prawo po swojej stronie, ale szanowni krewniacy dowiedzieli się w jakiś sposób o jej przejściu na ewangelicyzm i sprawę z sądu przenoszą na forum inne. Wszyscy już wiedzą, że ma ona wyjść za wujka...

— Więc cóż z tego?! — zachnął się Regier.

— ...a ponieważ wujek ma zająć w gimnazjum miejsce profesora, więc zaczyna się naganka przeciwko wujkowi, że niby miejsca profesorów winny być poobsadzone wyłącznie przez katolików. Jednym słowem...

— Błazeństwa...! — dokończył Regier.

— Zapewne, że to nie jest ani mądre, ani uczciwe, ale miasteczko raptem zaczyna stawać w obronie „zagrożonej wiary” — podkreślił Władek te słowa, — bo przejście pani Heleny na ewangelicyzm tłumaczy się wpływem wujka. Bigotki i bigoty mówią, że taki profesor będzie uprawiał na szeroką skalę prozelityzm. Gada się takie niesłychane głupstwa i kłamie się ohydnie.

— Ależ nic łatwiejszego, jak wszystko wyjaśnić! — zawołał Regier.

— Kiedy nikomu nie chodzi o wyjaśnienie, kochany wujku — mówił Władek. — To jest taki sobie sposób wal-

ki z przeciwną ideą. Niektórzy przyjaciele wujka chcieli, żeby wujek został dyrektorem zreorganizowanego gimnazjum...

— Jednym słowem wielkie głupstwa — zawyrokował Regier. — Znam Niebożęckiego, dyrektora gimnazjum, i jestem przekonany, że się z nim łatwo porozumiem.

— Wątpię, kochany wujku, bo dyrektor Niebożęcki sam bardzo mocno podkreśla, że polska szkoła musi być szkołą nawskroś katolicką.

— Jesteś bardzo źle poinformowany, bo Niebożęcki to notoryczny ateista i wolnomysliciel, dla którego religia jest przesadą. Znam go dość dawno. Jeszcze przed niespełna dwoma laty popisywał się swoim ateizmem.

— Słyszałem jego przemówienie na wiecu i powtarzam to, co słyszałem. Od chwili, gdy profesor Stępień i inni wysunęli wujka jako kandydata na dyrektora, pan Niebożęcki jest za tem, aby profesorami katolickich uczni byli wyłącznie katolicy.

— Jakto? — zdziwił się Regier. — Słyszałeś jego słowa?

— Słyszałem — odpowiedział Władek.

Do domu przyszedł w milczeniu. Regier myślał nad słowami siostrzeńca, ale im więcej myślał, tem mniej rozumiał. A więc Helena przed paru laty przyjęła ewangelicyzm... Tak, teraz przypominał sobie, że mu o tem kiedyś pisała, ale niezwrócił na to zbyt wielkiej uwagi, bo go to mało interesowało. On ma zostać profesorem języka polskiego i literatury w gimnazjum zablońskim. Jacyś ludzie dowodzą, że trzeba być katolikiem, aby móżdż wyklądać literaturę polską...

Wzruszył nad tem wszystkim ramionami, umył się i przebrał, a kiedy witał się z siostrą i narzeczoną, był już zupełnie spokojny i śmiał się z ich zaniepokojenia. Przecież nie będzie wykladał dogmatyki katolickiej, ani nie będzie apologetą protestantyzmu. Chodzi o literaturę polską, a tę zna świetnie, tak świetnie, że gdyby nawet miał współzawodnika w ubieganiu się o miejsce nauczyciela, to musi

zwyciężyć. Takie to jasne, iż nie pojmuje, jak mogą się martwić.

Mówił z głębokim przekonaniem, ale kobiety nie uspokoiły się jego wywodami. Wiedziały i rozumiały, że nie chodzi ani o kwalifikacje, ani ostatecznie o wyznanie, ale o wyzyskanie pretekstu przez pewne niskie popędy złych ludzi, którzy do obrony swoich lichych interesów wciągają religję.

— Jakież to głupie i nędzne! — wołał Stępień. — Jest przecie jasnym, że chodzi jedynie o zaszkodzenie pani Helenie, że mszczą się na niej krewni jej męża. Ponieważ jest to twoja narzeczona, więc huzia na ciebie. Co za nędza!

— Ale co robić? — pytał Regier. — Pójdę chyba do tego Niebożęckiego i rozmówię się z nim.

— Tu jest tylko jedna rada — rzekł Stępień. — Pani Helenie już o tem mówiłem, ale jest uparta i niebardzo mnie rozumie.

— Jedna rada? Tylko jedna? Co to za rada? — pytał Regier.

— Ponieważ ci niegodziwcy wojują przeciwko wam wyznaniem, trzeba im spłatać figła. Koniecznie trzeba im spłatać figła...!

— W jaki sposób mamy spłatać figła?

— Pani Helena pójdzie do spowiedzi, a ty, Stachu, przyjmij katolicyzm...

— Tak na poczekaniu? — roześmiał się wesoło Regier.

— A na cóż chcesz właściwie czekać? Trzeba tłumowi okazać pogardę. Dziś większość taka, to idziemy z taką, jutro będzie mahometańska, to będziemy mahometanami. Pal djabli głupców! Ach, spłatać im takiego figła! — entuzjasmował się Stępień.

— Nie, mój drogi, ja takiego figła nie spłatom — odpowiedział Regier stanowczo.

— Ależ oni na nic innego nie zasługują! — gorączkował się Stępień. — Byłoby to poprostu uchyceniem się od walki z ludźmi, z którymi się nie walczy. Przecież z samej pogardy dla tej niskości należałoby to zrobić. Pogardy! Rozumiesz?!

— Kiedy ja nawet nie doznaję takiej wielkiej pogardy, ile raczej litości — odpowiedział Regier. — Nie przypuszczałem nigdy, że mógłbym zostać zaczepiony z tej strony... W tej chwili doznaję uczucia głębokiego zawstyżenia, iż byłem takim obojętnym ewangelikiem i że niegdyś poważnie myślałem o przyjęciu katolicyzmu ze względów patriotycznych. Zostałem zdyskwalifikowany jako Polak i to przez swoje wyznanie. Będę walczył o swoją polskość i o swoje wyznanie... Nie mam możliwości poniżania się do kompromisu.

— Więc dobrze, nie poniżaj się — mówił podrażniony Stępień, — a tymczasem przeciwnicy twoi będą się śmiali, że zastanawiasz się nad ich podłością w sposób przynoszący im zbyt wiele zaszczytu. Zrozum, że tu nikomu nie chodzi o religję, o przekonania wyznaniowe. Na wykręt odpowiada się wykrętem.

Regier odpowiedział, że nie zniży się do sposobu walki jego przeciwników w żadnym razie, pożegnał Stępnia i udał się do dyrektora Niebożęckiego. Dyrektor był bardzo zakłopotany, mówił coś o vox populi, o konieczności poddania się opinii publicznej, która... której...

— Czy pan się godzi z tą opinią publiczną? — zapytał Regier.

— To jest, jak pan to rozumie? Pod jakim względem mam się godzić, czy nie godzić?

— Ja słyszałem, że aby dobrze wyklądać literaturę polską, trzeba być koniecznie katolikiem. Takie podobno jest zdanie. Czy pan je podziela?

— Hm... Naturalnie, że jedność zupełna pod każdym względem byłaby bardziej pożądaną od podziału na różne grupy — odpowiedział pan Niebożęcki.

— Jeśli sobie dobrze przypominam, to jeszcze niedawno reprezentował pan zasadę bezwzględnej równości obywatelskiej zarówno w dziedzinie przekonań narodowych jak i religijnych. Wyrażał pan się nawet, że religja jest przesadą i że dla pokoju i postępu byłoby lepiej, gdyby religja została zupełnie wyeliminowana z życia publicznego.

— Proszę pana — odparł pan Niebożęcki z wielką go-

dnością, — nie zmienia zdania tylko kamień. Natomiast istota myśląca...

— Dziękuję panu za tę informację o istotach myślących — rzekł Regier. — Zanim pana dyrektora pożegnam, chciałbym jeszcze tylko zapytać, czy istota myśląca może w ciągu dni kilku lub kilkunastu zmienić zdanie co do pewnego kandydata na nauczyciela gimnazjum?

— Bardzo wątpię, a nawet powiem wręcz, że nie wątpię, iż nie. Impertynencjami nie wytrąci mnie pan z równowagi.

— Nie myślałem wcale o wytrącaniu pana z równowagi. Chciałem się dowiedzieć, jak stoi moja sprawa. Dowiedziałem się i żegnam pana.

Pozostawała jeszcze decyzja burmistrza i radnych miasta, ale Regier nie robił sobie żadnych nadziei i nie oddawał się złudzeniom. Znał siłę tych nastrojów, które niewiadomo jak powstają, ale gdy już znajdują swój wyraz, to niema takiego Herkulesa charakteru, który odważyłby się im przeciwstawić. Wiedział lepiej od kogokolwiek, że w Polsce jeszcze bardzo długo frazes o religii narodowej będzie miał rezonans bardzo głośny, który przegłuszy wszystko inne. Liczył się z tym faktem, ale pomimo to nie wyzbywał się jakiejś nikłej resztki nadziei, że jednak wśród radnych i w magistracie znajdzie kilka głosów, które staną w obronie kompetencji przeciwko fanatyzmowi i bezmyślności.

— Wyczekiwanie trwało zaledwie kilka dni i rozwiąło się. Okazało się, że pan Niebożęcki już od trzech tygodni miał kandydata na polonistę i że umiał zalecić go tak gorąco, iż o Regierze nie było wcale mowy. Jedyne Stępień powstał bardzo stanowczo przeciwko dyrektorowi, że z jego upoważnienia przeprowadził z Regierem rokowania i że to powinno obowiązywać zarówno dyrektora, jak i magistrat, ale wskazano mu na to, że nie zawarto przecie żadnej obowiązującej umowy i że trzeba koniecznie paraliżować szkodliwe wpływy, podkopujące jedność w wierze i narodowości. Bigotki miejskie nie posiadały się z oburzenia, że Helena Turska, katoliczka z dziada pradziada, uległa tym

właśnie zgubnym wpływom, i zapowiadały najostrejszy bojkot towarzyski jej i jej krewnym.

Nastrój w domu pani Anny był bardzo smutny. Rozwiewało się skromne marzenie trojga ludzi i trudno było przewidzieć, jakie będą następstwa tej smutnej sprawy. Regier zabrał się bardzo energicznie do pracy w fabryce. Z zaciętością, jakiej nie byłby w sobie szukał, pracował od rana do nocy, postanawiając stworzyć sobie warunki istnienia w Zabłoniu. Bardzo wydatnie pomagała mu Helena. Pani Anna ożywiła się bardzo i pomimo niepowodzenia brata była usposobiona bardzo optymistycznie, wierząc, że prędzej czy później brat jej spotka się z oceną sprawiedliwą, jaka mu się należy. Regier, chociaż na kupiectwie znał się bardzo mało, zorientował się szybko, że poprawa sytuacji w fabryce możliwa jest jedynie przy dopływie kapitału. Należało jak najszybciej pozbyć się długów, które wysokimi procentami ciążyły na fabryce i nie dopuszczały do powiększenia produkcji. Zaś w tych warunkach, w jakich fabryka się znajdowała, trudno było zarobić tyle, aby starczyło na odpowiednie utrzymanie kilku osób. Władek potrzebował na studia, Ludka od czasu do czasu zwracała się do matki z prośbą o pieniądze, obie zaś kobiety i Regier mieli wprawdzie potrzeby bardzo skromne, ale jasnym było, że jeśli dochody z fabryki nie powiększą się znacznie, to nie będzie można z nich się utrzymać. Trzeba było znaleźć pieniądze.

W połowie września postanowił Regier pojechać do Warszawy. Trzeba było koniecznie odwiedzić chorą ciotkę i w razie potrzeby zająć się jej przeprowadzką do Pasiecznej, a następnie rozejrzeć się za możliwym źródłem kredytu. Bardzo w porę przypomniał sobie pana Maligana, jego rozległe stosunki w świecie finansowym a przede wszystkim jego bogate doświadczenie. Regier rozumiał, że Maligan mądrą radą, a może nawet bliższym zainteresowaniem się fabryką, może ją postawić na wysokim poziomie. Zajdzie do niego i zapyta o to i owo. Słowo mądrego fachowca bywa wszystkim w takich razach. Nieraz jakiś drobny szczegół wystarcza, aby sytuację zmienić do gruntu. Był

tedy dobrej myśli i wierzył, że od pana Maligana przywiezie sobie radę, która zmieni położenie całej rodziny do gruntu.

Powiedział siostrze i Helenie, że musi koniecznie pojechać do Warszawy, aby odwiedzić chorą ciotkę, a następnie, aby się rozejrzeć za środkami podniesienia produkcji fabryki. Pani Anna nietylko że się nie ucieszyła tą jego zapowiedzią, ale sposepniała na samą myśl, że brat znowuż będzie daleko i że będzie musiała troszczyć się o wszystko sama. Zdażyła przywyknąć do jego pomocy i umiała należycie ocenić skutki jego energicznych zarządzeń. Była święcie przekonana, że przy jego współpracy dochodowość fabryki podniesie się bardzo znacznie. Helena słuchała zapowiedzi wyjazdu narzeczonego w milczeniu, ale oczy zaszkliły się jej łzami; poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, nie odważyła się wszakże wyrzec słowa, aby się nie rozplakać. Nie mógł patrzeć obojętnie na udrękę obu kobiet, zabrał więc rzeczy najpotrzebniejsze i poszedł na dworzec. Szedł szybko, jakby uciekał przed tym smutkiem, który znalazł zamiast szczęścia wyczekiwanego. Zdawało mu się, że trzeba wrócić i zapewnić płaczące kobiety, że przecie niedługo wróci i że wszystko będzie dobrze. W pustej alei usłyszał za sobą wołanie ciche, jak szept z oddali. Obejrzał się i ujrzał Helenę idącą szybko za nim. Wezbrała w nim taka wielka tkliwość dla tej kobiety, która śpieszyła, aby mu jeszcze coś powiedzieć, że stanął wobec niej bezradny i pełen poczucia winy, iż dotąd nie umiał osłonić jej przed złemi przygodami życia.

— Co, Heluniu? — zapytał niemal szeptem.

— Chciałam ci powiedzieć... — uśmiechała się możliwie obojętnie — chciałam zapytać, kiedy wrócisz?

— Za kilka dni najdalej, może pojutrze nawet — odpowiedział szczerze. — Dlaczego przypuszczasz, że miałbym siedzieć w Warszawie dłużej?

— Nic... Ja tak tylko. Jedź z Bogiem, Stachu. Więc za parę dni...

— Ależ tak!

— No dobrze. Jedź z Bogiem.

Obejrzała się dokoła. W alei nie było nikogo. Szybko przytuliła się do niego i pocałowała go w usta. Przygarnął ją ramieniem, ale wywinęła mu się i jakby zawstydzona, popędziła ku domowi. Na twarzy pozostała mu jej gorąca łza. Spoglądał za nią przez długą chwilę, zawahał się, czy jechać, czy nie jechać, ale szarpnął się mocno, jakby się odrywał od tego miejsca, i szybkim krokiem ruszył ku stacji z mocnym postanowieniem walki aż do zwycięstwa.

* * *

Po przyjeździe do Warszawy Regier poszedł przede wszystkim do ciotki Teresy. Przywitała go bardzo serdecznie i ku wielkiemu jego zdziwieniu zaczęła od razu mówić o jego sprawie zablońskiej.

— Skąd ciocia wie? — zapytał rzetelnie zdziwiony.

— Jakże tu nie wiedzieć, gdy stałeś się człowiekiem sławnym! — roześmiała się ciocia Tercia. — Onegdaj przyniosła mi Ludka gazetę i obie doczytałyśmy się ładnych rzeczy o tobie, jako odwodzisz ludzi od prawdziwej wiary i jeszcze pchasz się na nauczyciela gimnazjum, aby wykolejać młode dusze.

Podawała mu gazetę, i w rubryce „Z całej Polski“ Regier doczytał się, jakim to niebezpiecznym stał się dla ładu i porządku.

— Kiedy dostałeś nasz list? — zapytała ciotka.

— List? Nie dostałem żadnego listu.

— Pisałyśmy z Ludką onegdaj, żebyś zaraz przyjechał. Pan Rutkowicz, którego Ludka zna, dowiedziawszy się o całej sprawie, powiedział jej, aby zaraz zadepeszowała do ciebie, bo w jednym tutejszem gimnazjum możesz natychmiast otrzymać bardzo podobno korzystne miejsce. Mam tu nawet adres dyrektora Stobera. Idź do niego, Stasiu, zaraz...

Staruszka podała mu karteczkę papieru z adresem i przynaglała go, aby nie zwlekając, poszedł do niego.

— Widzi ciocia, ja nie wiem, czy warto chodzić, bo muszę myśleć także o pomaganiu Ani. Jej fabryka potrzebuje koniecznie pracownika, na którego opłacenie nie po-

siada ona pieniędzy. Sama zapracowuje się nad siły. Prócz tego będą musiał poszukać źródła kredytu dla niej.

Opowiedział zacnej ciotce o ciężkiem położeniu siostry. Staruszka słuchała bardzo uważnie, a potem rzekła:

— Idź, Stasiu, do tego dyrektora, a ja pomyszę o tem. Poradzimy sobie.

Nie odpowiedział jej, biorąc te słowa za zwykłe w takich razach pocieszenie, ale ciotka, widząc, że jej niedowierza, powtórzyła z całym naciskiem:

— Poradzimy sobie, Stachu, i nie damy się zjeść w kaszy. Nie wiem jeszcze kiedy, ale pieniądze będą.

Regier poszedł do dyrektora gimnazjum, Stobera, i został bardzo dobrze przyjęty. Dyrektor był człowiekiem wytwornych manier, subtelny i wykształcony. Mówił niewiele, ale zato każde słowo posiadało wagę.

— Jest pan męczennikiem wbrew intencjom, ale to głupstwo. Mówił mi Rutkowicz co pan umie i to mi wystarczy. Potrzebuję właśnie nauczyciela języka francuskiego i literatury i przypuszczam, że przedmiot ten może pan wyklądać z równą łatwością, jak swoją specjalność.

Regier przyznał się z całą szczerością, że napadnięty został przez nieporozumienie, bo nawet mu się nie śniło uprawiać jakikolwiek prozelityzm i dodał, że wołałby wyklądać język polski, który studjował w ciągu lat wielu.

— Niech pan tymczasem wykląda język francuski, być może, iż niedługo otworzy się dla wiedzy pańskiej pole pracy odpowiedniejsze. Będziemy chcieli wyzyskać pańskie wiadomości jak najwszechstronniej.

Regier przyjął miejsce nauczyciela w Warszawie, bo ostatecznie nie miał wyboru. Do Ostrozora wracać mu się nie chciało, nad Zabłoniem mógł ostatecznie czuwać i z dala, byle się znalazł kredyt dla powiększenia produkcji. Narazie otrzymał pokój przy szkole i obietnicę, że jak tylko gmina ewangelicka odzyska lokal oddany przed dwoma laty pewnej instytucji państwowej, to otrzyma odpowiednie mieszkanie. Oczywiście, że ślub z Heleną ulegał znowuż odwołce, ale ostatecznie sytuacja nie przedstawiała się bynajmniej tak źle, bo miał obiecane mieszkanie. Władek po

wstępnych studjach filozoficznych w Krakowie, przeniósł się do Warszawy na fakultet teologiczny, który właśnie rozpoczynał swoją działalność naukową, więc Regier cieszył się, że będzie miał zapewnione miłe towarzystwo tego sympatycznego chłopaka.

Dni popłynęły Regierowi na pracy w szkole i poza szkołą, nadeszła jesień z ogromnie burzliwą agitacją przedwyborczą i Regier został wciągnięty do życia ewangelickiej gminy warszawskiej przez nowych swoich przyjaciół. Bierząc czynny udział w życiu społecznym, nauczył się oceniać pewne zjawiska, których nazwy były dla niego dotychczas prawie wyłącznie symbolem dźwiękowym. Spoglądał wstecz i spostrzegał, jak to od chwili wygnania okupantów i odzyskania wolności, wzmagała się w Polsce reakcja klerykalna. Gwarancje konstytucyjne pozostawały na papierze, a życie wtlaczane było w ciasne ramy idealików partyjnych przez czynniki dla których ład społeczny i polityczny był czemś skończonym i dokonaniem raz nazawsze, czemś, co nie potrzebowało rozwoju i co powinno było nawet przeciwstawić się postępowi, jako czemuś obcemu i szkodliwemu dla narodu. Razem z innymi Regier zapalał się do walki o lepszą przyszłość, a zapalał się tem bardziej, im mniej było widoków, że światło i sprawiedliwość pokonają mrok i ucisk. Budziło się w nim nieznanne mu dawniej uczucie nienawiści dla wszystkiego, co staje w poprzek życia i co dla interesów i interesików kramarskich gotowe poświęcić przyszłość i szczęście całego narodu. Jeszcze żywszą nienawiść dla wszelkiego ucisku znajdował w listach Heleny, która uczucie wstrętu do swoich krzywdzicieli przeniosła na partję, do której ludzie ci należeli.

„Programy nie znaczą nic — pisała do Regiera, — ale wszystkim jest żywy człowiek i on decyduje o pięknie i prawdziwości programów politycznych i społecznych. Można być uprzedzonym do pewnych doktryn politycznych i społecznych, ale gdy spotka się szlachetnych ich przedstawicieli i obrońców, to niepodobna nie poddać swoich uprzedzeń rewizji. Jeszcze przed dwoma laty smuciło mnie każde niepowodzenie tak zwanego obozu narodowego, bo po-

jęcie „narodowy” posiadało dla mnie najcudniejszą treść, na jaką serce zdobyć się może. Dopiero wypadek otworzył mi oczy i ze wstydem widzę dzisiaj, że nacjonalizm mój z nacjonalizmem mechanicznym i zachłannym nie ma nic wspólnego. Jakaż bo treść wkłada się w pojęcie narodu i narodowości? Niejednemu zdaje się, że człowiek mówiący po polsku, to Polak i że ten Polak powinien korzystać gdzieś z jakichś specjalnych przywilejów, dla których wolno, a nawet trzeba ograniczać innych ludzi w ich prawach. Będzie to herezją dla ciebie, polonisty, ale dzisiaj widzę, że to jednak nie takie ważne, czy pożywienie nazywa się *ho artos*, czy *panis*, czy *das Brot*, czy *chleb*, czy *le pain*, czy jeszcze inaczej. Słowa to tylko symbole fonetyczne i dość obojętne, a ważnem jest jedynie to, czy dany język jest przybytkiem wolnego ducha, pałacem, w którym mieszka piękno moralne i sprawiedliwość, czy też jest on bogaty w słowa, których używać niewolno w stosunku do pewnych fetyszów i upiorów. Słowo jest narzędziem zwiastowania najwyższej radości i wyzwolenia ducha, albo więzieniem, w którym słycać brzęk kajdan. Jeśli język ma uchodzić za cechę *par excellence* narodową, to powinien być ewangelją dla wszystkich narodów, a nie kłatwą, która wydziedzicza i upośledza. Istotą Polski stać się musi wolność ducha i ta wolność musi się wyrazić w języku narodowym, który będzie radosną nowiną dla wszystkich łaknących i pragnących jej...”

Regier przeczytał te słowa i uśmiechał się gorzko, porównyując marzenia z rzeczywistością, która w okresie wyborczym ujawniała się w szczególnie jaskrawy sposób w walce różnych obozów. Nieraz po przeczytaniu kilku różnych dzienników, miał Regier wrażenie, że niema chyba na całym świecie ludzi, którzy nienawidziliby się tak mocno, jak nienawidzą się Polacy, należący do różnych obozów politycznych. Podczas zebrań towarzyskich widywał zgoła wyraźnie, że ludzie odmiennych przekonań, czyli zwolennicy prawicy i lewicy, byli szczerze zakłopotani, gdy mieli się z sobą przywitać i porozmawiać. Spoglądali na siebie wzajemnie jak na zdrajców i wyrodków, i jeśli nie mówili

sobie tego bezpośrednio z ust do ust, to zato zastępowała ich prasa i nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do istoty żywionych dla siebie uczuć. Zarzucano sobie kradzieże grosza publicznego, nadużycia najróżnorodniejsze, nicowano życie prywatne menerów politycznych i wykazywano, że ten czy ów jest łotrem albo głupcem, a nawet jednym i drugim jednocześnie.

Rzeczywistość ta interesowała Regiera coraz bardziej i pociągała go pragnieniem ostrej nieubłaganej walki w obronie prawdy i sprawiedliwości. Pod wpływem różnych wypadków napisał był już dawniej kilka artykułów o braku idei i jej skutkach, o potrzebie surowej opinii publicznej i t. d., ale gdy próbował artykuły te wydrukować, wtedy spostrzegł, że niema, niestety, prasy, która interes ogółu stawiałaby ponad interesem partji. Zrozumiał wtedy, że ludzie, którzy będą walczyli o moralne odrodzenie Polski, będą musieli stosować metody powstańców polskich, którzy naprzód musieli zdobywać broń do walki o wolność. Ani przez chwilę nie wątpił, że w Polsce jest dużo ludzi myślących o moralnych potrzebach kraju i narodu, wierzył głęboko, że ludzie ci zwołają się kiedyś do wspólnej pracy i uczynią wszystko, co potrzeba, ale zarazem rozumiał i to, że obowiązkiem każdego, który potrzeby kraju już poznał, jest szukanie tych ludzi, zbliżanie się z nimi i organizowanie ich do wielkiej pracy odrodzeńczej.

W Rutkowiczu znalazł człowieka, który rozumiał go bardzo dobrze, ale zarazem posiadał duże doświadczenie i nie ukrywał przed Regierem, że trudności są większe, niż on sobie wyobraża. Rutkowicz doszedł do przekonania, że niema możliwości moralnego odrodzenia bez odpowiedniego ustosunkowania się do zagadnień najwyższych, religijnych. Dopiero w zetknięciu się z najwyższą tajemnicą życia rodzi się poczucie tragizmu istnienia i wielkiej za nie odpowiedzialności. Zainteresowanie się religją budzi tysiąc zainteresowań innych, podobnie, jak kamień rzucony na wodę, tworzy mnóstwo kół koncentrycznych dokoła miejsca, na które padł, podczas gdy sam idzie na dno.

— Ale co chcesz, mój drogi? — mawiał do Regiera.—

U nas niema najmniejszego zainteresowania się sprawami religji. Nasza rzekoma religijność i pobożność to zwykła błaża, i bezustannie trzeba zwracać uwagę na fakt, że nie mamy działaczy religijnych nawet na miarę wybitnych pisarzy czy artystów.

— W takim razie trzeba budzić zainteresowanie dla spraw religijnych — mówił Regier. — Sądzę, że gdy ludzie zrozumieją, iż religja nie jest równoznaczna z bigoterją i że nie jest ona sprawą przygotowania się na śmierć, ale jest przygotowaniem się do życia, to wówczas grunt do odrodzenia przez religję będzie należycie uprawiony.

— Zapewne, że tak — mówił Rutkowicz, — ale w jaki sposób chcesz zbudzić zainteresowanie dla zagadnień religijnych w kraju, który za najwyższą cnotę reklamował wiarę ślepa? Religja jest sprawą, dla której mowa ludzka niezawsze posiada odpowiednie wyrazy i dlatego tak często ucieka się ona od słowa do symbolu. I oto masz najbardziej paradoksalne zjawisko, że u nas symbol przesłonił rzecz symbolizowaną tak doskonale, iż można nawet mówić o symbololatrii. Przez symbole oddawał człowiek cześć Bogu, a teraz doszło do tego, że symbole wyparły Boga ze świadomości człowieka i same odbierają cześć boską.

— W takim razie musimy zaczynać od podstaw — zdecydował Regier. — Jest nas dwóch, którzy się znamy i rozumiemy. Szukajmy innych i organizujmy się, aby nas było tysiąc, a potem sto tysięcy. Nawołujmy, budźmy...!

— Przejdź się po ulicy i czytaj afisze — odpowiedział Rutkowicz z ironicznym uśmiechem. Doczytasz się, że istnieje ogromny popyt na „wielką zabawę taneczną“, ale nie na zagadnienia filozoficzne i religijne... Sprawa odrodzenia moralnego! Kogo to obchodzi? Zresztą według oficjalnych strażników religji panującej zostałbyś uznany za sekciarza i heretyka. Wychodzą oni z założenia, że herezje rodzą się tam, gdzie się myśli. Myślał Hus, myślał Luter, Kalwin... To jest grzech wszystkich grzechów w oczach ultramontanizmu panującego, grzech pierworodny.

— Ultramontanizmu panującego? — powtórzył Regier.

— Tak, panującego. Jest to najsilniejsza władza, jaką

kiedykolwiek posiadała Polska! Ktokolwiek jej się przeciwstawił, zawsze padał.

— Ale przecież obok tej władzy istnieje ruch postępowy, są przecie nawet wolnomysłliciele, wydający pisma.

— Zapewne, że istnieją i wolnomysłliciele — machnął ręką Rutkowicz, — i ruch postępowy jest, ale to są wszystko krople w morzu ogólnej obojętności. Naszem wyznaniem panującym jest indyferentyzm pod etykietą wyznania rzymskiego. Z polityki zrobiono religję i wciągnięto ją do kościołów, z religji zrobiono politicum. Idź sobie do kościoła na kazanie, a zdumiesz się, jakie tam bywają wygłaszane mowy polityczne, podczas gdy na wiecach mówi się dużo o świętej wierze ojców a nawet śpiewa się pieśni nabożne. Jest chaos, z którego może się coś narodzi. Ale kiedy się narodzi i co?

Rzeczywistość była niewesoła. Całe życie polityczne wydawało się Regierowi niewolniczym naśladowaniem obcych wzorów. Stosunki były tak śmiesznie odwrócone, że państwo nie było zbiorowym obowiązkiem, jak tego żądał Norwid, ale obowiązkową zbiorowością; było dla wielu przymusowym należeniem do całości politycznej. Brakło idei, która byłaby wielką siłą dośrodkową, ale istniało aż nadto sił odśrodkowych. I nie to było złem najgorszem, że tak było, ale że ogół nie interesował się bynajmniej temi ważnemi sprawami. Istniał wprawdzie hałaśliwy kierunek patriotyczny, narodowy, ale ten był dla Regiera jakimś fatalnym nieporozumieniem, bo prezentował się jako dosłowne tłumaczenie polskie państwowej organizacji i dezorganizacji zaborców. Nie było własnej idei w tym patriotyzmie. W czasach niewoli żyło jedynie pragnienie własnego państwa, to znaczy, że przeciętny najliczniejszy a więc panujący człowiek, życzył sobie, aby zamiast obcego urzędnika był urzędnik swój, a zamiast języka obcego miał być w tych urzędach język polski. Jednem z pragnień integralnych niewoli było pragnienie odwetu, to jest że zamiast urzędzeń i zarządzeń przeciwpolskich miały kiedyś powstać zarządzenia przeciwniemieckie i przeciwrosyjskie. Ta więc polityka odwracała tylko kierunek i zachowywała wszystko,

co w spadku pozostawili zaborcy; polityka ta zadawała się powierzchowną polonizacją językową i tradycyjną. Nie było w tem wszystkim własnej idei i dlatego nikomu nie przychodziło na myśl, że nie z państwa rodzi się idea, ale państwo z idei.

Od tej rzeczywistości bardzo często uciekał Regier do swoich dawnych zamiłowań badawczych. Stober dbał o należyte przygotowanie swoich nauczycieli i kupował dla biblioteki nauczycielskiej wszystkie cenniejsze publikacje naukowe. Zarabiając obecnie więcej, mógł Regier znowuż kupować sobie książki, które go interesowały, i w obcowaniu z miłymi autorami znajdował przyjemności, jakich daremnie szukał w życiu. Interesa siostry poprawiały się powoli, a Helena przyjęła miejsce w jednej ze szkół w Zabłoniu i razem z odzyskaniem względnej niezależności materialnej odzyskała spokój i wiarę w przyszłość. Pisywała do Regiera listy pełne ciekawych spostrzeżeń i refleksji, w których znać było tyle siły, woli i przekonania, iż zrozumieć wprost nie mógł, jak ta kobieta mogła kiedyś uleżeć namowom swoich interesowanych domowników i wyjść za Turskiego. Pozostawało tylko jedno objaśnienie tego faktu, że powodowała się chyba jedynie pragnieniem dopomożenia rodzeństwu w ich ciężkim położeniu materialnem.

W dworku w Pasiecznej kilka pokoi było już urządzonych, ale zdrowie ciotki pozostawiało znowuż tyle do życzenia, że trzeba było niemal przemocą zatrzymać ją na nadchodzącą zimę w Warszawie. Regier zachodził do niej jak zwykle, bo lubił mądre rozmowy ze staruszką, która przy sędziwym wieku zachowała sobie jasność sądu i niezależność myśli. Chociaż bywała bardzo słaba, nie przestała interesować się życiem publicznem i wypowiadała o niem zdania trafne.

Pewnego pięknego dnia pod koniec października Regier otrzymał od niej zaproszenie, aby przyszedł do niej zaraz po obiedzie, jak tylko będzie wolny. Ponieważ zaproszeń takich nigdy od ciotki nie otrzymywał, więc zaniepokoił się, czy nie zasłabła czasem, ale fakt, że pisała sama i że wyznaczała mu pewną godzinę, uspokoił go. Był oczy-

wiecie żywo zaintrygowany niezwykle zaproszeniem ciotki i zaraz po szkole i po spożyciu obiadu w jednej z pobliskich restauracyj, wszedł do tramwaju i pojechał na Topolową.

Dzień był jak na porę roku wyjątkowo ciepły i jasny, słońce chyliło się ku zachodowi i rzucało na Warszawę snopy ukośnych promieni. Było jakoś smutno i cicho na świecie; nawet tramwaje nie podzwaniały tak głośno i wesoło, jak zwykle. Regier wysiadł na Placu Zbawiciela i Nowowiejską poszedł w stronę Politechniki. Za bramą placu wyścigowego powiało na niego zapachem wędnących liści, których leżało na chodniku dość dużo. Chociaż dzień był słoneczny i dość ciepły, od jaskrawej bieli obłoków zdawał się płynąć ostry chłód.

Gdy wszedł do mieszkania cioci Tercei, spotkała go stara Balbisia i dała mu milczący znak, aby był cicho. Ciotka nie spała prawie całą noc, i teraz w oczekiwaniu na niego zasnęła.

— Niech sobie podrzemie, pan poczeka, prawda? — szeptała tajemniczo, pokazując w uśmiechu stare zęby.

Wprowadziła go do pokoju i przez uchylone drzwi pokazała mu ciotkę w pokoju sąsiednim; spała siedząc w fotelu. Zapytał Balbisę, czy ciotka nie jest bardziej słaba, niż zwykle. Zakręciła w odpowiedzi głowę, uśmiechnęła się znacząco i wyszła z pokoju. Regier wyjrzał oknem na ogródek, w którym blakły astry i wędły krzaki peonji; gnijące liście i łodygi pachniały znikomością i dala. W ukośnych promieniach słońca z ostrym turkotem zlatywały się ze wszystkich stron aeroplany i lądowały na pobliskim lotnisku. Tylko jeden latał wysoko, dokonywując bardzo śmiałych ewolucyj. Kierowany śmiałą dłonią, aparat pływał chwilami, jakby się wspinał pod górę, stawał pionowo, przechylał się wtył, wywijał kozła, zjeżdżał wdół, jak po pochylni i znowu wspinał się pod górę i znów wywijał kozła. Za każdym razem, gdy aparat przechylał się wtył, Regier doznawał dziwnego ściskania pod kolanami, jak dawniej, gdy lecąc aeroplanem, niekiedy zapadał się razem z nim raptownie, jakby w pustkę powietrzną. Znowu przyle-

ciał skądś nowy aeroplan i opuszczając się tuż nad lotniskiem warczał bardzo głośno. Regier zajrzał do pokoju, czy warkot maszyny nie obudził śpiącej ciotki. Spała spokojnie, chociaż w pokoju było już dość chłodno. Regier wszedł na palcach jak najciszej, aby zamknąć otwarte okno. Udało mu się to bez przebudzenia ciotki. Pozostał w tym samym pokoju, usiadł przy drugim oknie i znowu patrzył na umierające kwiaty w ogródku, na zachodzące słońce, na lotnika igrającego z niebezpieczeństwem i na ciotkę, która, zdawało się, dosypia resztę życia.

— Już jesteś — ozwała się nagle, otwierając oczy, i z uśmiechem wyciągnęła do niego ręce, jakby właśnie akurat był wszedł do pokoju. — Widzisz, Stasiu — mówiła szybko dalej — mówiłam ci, że sobie damy radę... Jest w Piśmie świętem takie słowo głębokie i mądre, którego dawniej nie rozumiałam: „Puszczaj chleb swój po wodzie, albowiem po wielu dniach znajdziesz go znowu...”

Ciotka promieniała, a Regierowi udzielało się jej radosne usposobienie.

— No i puszczała ciocia swój chleb po wodzie? — zapytał ze śmiechem.

— Tak, moje dziecko — odpowiedziała z dumą — i teraz wraca ten chleb z dużymi procentami. Znałeś Ryszarda Brunnera? Brat cioteczny mego zięcia. Musiałeś o nim słyszeć. Zadarł kiedyś bardzo grubo z Moskalami i musiał uciekać. Mieszkał jakiś czas w Szwajcarji, powodziło mu się bardzo różnie i wtedy pożyczyłam mu na jakieś przedsięwzięcie pięć tysięcy rubli. Ryś ruszył z temi pieniędzmi do Ameryki... Ale co ja tu będę dużo opowiadała. Zaraz w sierpniu napisałam do niego. Przyszła odpowiedź dobra. Masz, czytaj.

Podala mu list i z niego Regier dowiedział się o świetnym powodzeniu Ryszarda Brunnera, który przez wdzięczność oddaje do dyspozycji kochanej cioci Terce 5.000 dolarów, a zarazem donosi, że Wernerowie z jego winy nie wrócili jeszcze do kraju, bo gdy dowiedział się o ich pobycie we Władywostoku, skorzystał z tego i przez Werne-

ra załatwił tam szereg korzystnych interesów, na których i Werner wyjdzie bardzo dobrze.

— Pisałam mu, że mi jest bardzo ciężko i w dodatku Wernerowie nie wracają — komentowała ciocia Tercia — a on i o Wernerach pisze i pieniędzy sporo posyła. Bo to dość dużo, co? Otóż chciałabym cię prosić, abyś wziął przysłane czeki i abyś poszedł jutro do banku. Byłabym taka szczęśliwa, gdybym mogła wszystkim wam teraz pomóc.

Po paru dniach przyszło pokrycie dla pierwszego tysiąca dolarów i zobowiązanie się banku amerykańskiego do przekazywania reszty należności w sumach, jakie zostaną zażądane. Gdy Regier przyszedł do ciotki, aby jej wręczyć otrzymane miliony, zastał ją w łóżku. Ucieszyła się bardzo, że otrzymał dużo pieniędzy.

— Siadaj, Stasiu, i nie gniewaj się na mnie, jeśli nie będę bardzo rozmowna.

— Zmęczona ciocia?

— Nawet nie wiem, czy to można nazwać zmęczeniem — odpowiedziała. — Pieniądze podzielcie między siebie, bo ja ich potrzebować nie będę. Szkoda, że nie mogłam przeprowadzić się do Pasiecznej...

— Może na wiosnę wrócą wreszcie Wernerowie, to ciocia nie będzie tam sama.

— Na wiosnę!... — machnęła wychudzoną ręką i uśmiechnęła się blado.

Na piętrze grał ktoś ogromnie smutnego menueta z jednej z sonat Beethovena, a grał tak niepoprawnie i po dziecięcemu niezgrabnie, że to potęgowało smutek melancholijnej jesieni, pełnej beznadziejności i rezygnacji. Powtarzano ten menuet kilka razy z rzędu, dla wprawy, i wytwarzał się taki nastrój podobny do zamierania życia i słońca. pod wpływem tej smutnej usypiającej melodji ciotka przymykała oczy i zdawała się zasypiać, ale raptem ożywiła się i wypowiadała głośno myśli, jakie ją nawiedzały.

— Jak tam teraz musi być ładnie w Pasiecznej! — westchnęła.

— Pusto tam teraz ciociu, i samotnie — rzekł Re-

gier, aby odwieść myśli staruszki od przedmiotu stałej tęsknoty.

Znowuż przymknęła oczy, jakby się przypatrywała rzeczom dla innych niewidzialnym. Po pewnej chwili rzekła z wielką stanowczością:

— Muszę tam wrócić koniecznie! Tam mi będzie najlepiej. Nie zostaw mnie tutaj.

Przysunął się do niej i jął zapewniać, że jeszcze się nacieszy swoją Pasiieczną, ale na słowa jego odpowiadała przeczącym uśmiechem.

— Kiedyś, dawno już temu — ozwała się, jakby zaczynała cudowną opowieść — wracałam z miasta ze sprawunkami... Byłam jeszcze taka młoda, wesoła. Konie się męczyły, bo im było ciężko ciągnąć brykę naładowaną po brzegi. Wysiadłam i posłałam je na przełaj przez łąkę, a sama poszłam sobie piaszczystą drogą. Miało się pod koniec wiosny i była cicha słoneczna pogoda. Przechodziłam obok cmentarza. Akurat był pogrzeb młodej dziewczyny. Ładnie śpiewał chór i tak jakoś serdecznie. Przystanęłam przy ogrodzeniu cmentarza i patrzyłam na smutny obrzęd. Matka umarłej zanosila się od płaczu, a potem zacichła i nastąpiła taka okropna cisza, iż zdawało mi się, że krzyknę głośno. Wtem zaśpiewał głośno jakiś mały ptaszek na brzozie. Zaśpiewał tak wesoło i swawolnie, że wszyscy odwrócili głowy od grobu w jego stronę. Ktoś się nawet uśmiechnął. Cichutko szumiały brzozy. Płakałam z żalu, że umarła młoda dziewczyna i odśmiechałam się temu swawolnemu ptaszкови. Ach, tak dobrze było wtedy!...

Zamknęła oczy i zapatrzyła się w ten obraz swojego wspomnienia. Milczała długo, a potem spojrzała na Regiera prosząco i wyciągnęła do niego długą rękę:

— Nie zostawisz mnie tu, Stasiu, prawda? — zapytała szeptem.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Spoglądał przez okno na złamany badył słonecznika i wsłuchiwał się w smutny menuet Bethovena, powtarzany jeszcze raz przez pilną uczennicę. Szukał słowa, które odwiodłoby ciotkę od smutnych myśli o śmierci.

— Ja wiem, że mnie tu nie zostawisz, ale dla mego spokoju powiedz, że mi to przyrzekasz. Tylko to jedno słowo: przyrzekam.

Pochylił się nad jej chudemi blademi rękoma i całował je ze czcią.

— Więc przyrzekasz?

— Przyrzekam — odpowiedział pod przymusem tego natarczywego pytania.

— Dziękuję ci — pogłaskała go po głowie.

Próbował opowiedzieć jej coś wesołego, ale go nie słuchała i myślała sobie swoje, bo po chwili milczenia rzekła jakby do samej siebie:

— Nie pozwól wyciąć tych starych brzóz koło naszego grobu... Już parę razy chcieli wycinać, a ja nie dałam. I teraz podczas strzelaniny inne drzewa pokosiło, a te brzozy ocalały...

Weszła Balbisia z zapytaniem, czy ma podać mleka do wody mineralnej. Ciozia Tercia skinęła głową, a do Regiera rzekła:

— Idź już, Stasiu, bo jestem zmęczona i spać mi się chce.

Regier pożegnał ciotkę i z ciężkim sercem szedł ku placowi Zbawiciela. Chciał wsiąść do tramwaju, ale starym zwyczajem ruszył pieszo w stronę Alei Ujazdowskiej, aby użyć spaceru i otrząsnąć się ze smutnych myśli. Koło parku Ujazdowskiego po przeciwległej stronie ulicy ujrzał majora Iweckiego z jakąś panią. W pierwszej chwili wydało mu się, że idzie obok niego Ludka, ale wnet spostrzegł, że to jest panna Madzia. Aż przystanął ze zdumienia. Panna Madzia śmiała się serdecznie z czegoś, co jej major opowiadał. Wydało mu się niewłaściwym, że Iwecki spaceruje z panną Madzią, ale wnetże skarcił się ostro za tę myśl, boć nie kto inny, jeno on sam polecił opiece Iweckiego pannę Madzię. Nie mogli się widać porozumieć w domu i omawiają swoje sprawy podczas spaceru.

Odwrócił się od nich i żywym krokiem ruszył ku domowi, aby napisać siostrze jak cudownie rozstrzygnięta zo-

stała sprawa kredytu, tak bardzo potrzebnego dla powiększenia produkcji fabryki.

* * *

Jednego z pierwszych dni grudnia Rutkowicz przyszedł do Regiera, aby omówić z nim sprawę wydania jednodniówki z artykułami i rozprawami politycznymi, społecznymi i wyznaniowymi, które w żadnym z istniejących pism nie znajdowały gościny. Dla pism prawicowych były te prace wprost buntowniczymi albo inspirowanymi przez wpływy żydowsko-masońskie, dla lewicy były za mało doktrynerskimi. Dla jednych i drugich stanowisko autorów tych artykułów w sprawach wyznantowych, mianowicie stanowisko bezwzględnej wolności i równości, było albo nienawistnym, albo niemilem. Prawica chciała mieć wolność wyznaniową w jakiegokolwiek ustawie na pokaz dla całego świata, ale nie myślała o wprowadzeniu jej w życie, lewica zaczynała poważnie liczyć się z potężnymi wpływami klerykalizmu i nie chciała odstręczać od siebie sklerykalizowanych mas. Dla jednych religja była sprawą publiczną i raz na zawsze załatwioną w postaci przywilejów dla wyznania panującego, dla drugich była sprawą prywatną, którą najlepiej pozostawić życiu prywatnemu i nie wyciągać jej na jaw. Dla Rutkowicza, Białoty, Regiera i kilku ich przyjaciół, życie polityczne i społeczne kojarzyło się tak nierozdzielnie z życiem religijnym, z prawością, że nie umieli wyobrazić sobie zdrowego życia społecznego bez jego podstaw moralnych. Dlatego występowali przy sposobności przeciw tej obłudzie, która z religji czyniła narzędzie polityki, a z polityki niemal że religję. Widząc, że sumieniom dzieje się nieraz krzywda, że życiu publicznemu brak podstaw moralnych, każdy z nich „chwycił”, jak to się mówi, za pióro, aby wskazać na zło i zalecić naprawę. Ale na tem „chwytaniu za pióro” najczęściej się kończyło, bo artykułów napisanych nie było gdzie drukować. Rutkowicz, jako człowiek z żywym temperamentem i dużą energją, rzucił kiedyś myśl, aby artykuły Regiera, Białoty i jego własne wydać w postaci jednodniów-

ki i przynajmniej w ten sposób dotrzeć do publiczności czytającej. Sprawa tej jednodniówki była odkładana z różnych względów dość długo, potem przyjaciele nie widzieli się przez parę tygodni, pochłonięci różnemi kłopotami i troskami, aż wreszcie energiczny Rutkowicz sam zebrał rękopisy, poszedł do drukarni i pewnego wieczoru przyszedł do Regiera z korektami.

— Masz, Stachu, koryguj swoje, a prędko, żeby przynajmniej pojutrze drukarnia mogła zabrać się do drukowania. Drugą korektę zrobię chyba sam — mówił, siadając i trąc czoło. — Tfy, nawet nie wyobrażałem sobie, że takie głupstwo, jak jednodniówka, będzie wymagało tyle zachodu. W Holandji, czy Anglji kosztem takiej samej fatygi załatwiają sprawy wielkiej kolonji...

— Szkoda, że i my nie załatwiłiśmy tą fatygą sprawy jakiej choćby niewielkiej kolonji — odpowiedział Regier, śmiejąc się z przyjaciela.

— Mówię zupełnie poważnie — odciął się Rutkowicz. — Siecie taki obrzydliwy deszczyk ze śniegiem, jak szpilki, cały dzień orałem jak ten wół, nieprzymierzając, a teraz zamiast sobie rzetelnie odpocząć, trzeba robić takie rzeczy okropnie elementarne, jak udzielanie zacnym rodakom nauki o poszanowaniu wolności sumienia.

— Żeby się tylko cała ta nauka na co zdała — rzekł Regier, biorąc w rękę korektę. — Mnie się zdaje, że nikt poprostu nie zwróci na to uwagi. I to też będzie dobrze. Wogóle wieczorami bywam jakoś dobrze usposobiony i dochodzę do wniosku, że zawsze jest dobrze tak, jak jest.

— Może masz rację — machnął ręką Rutkowicz. — W każdym razie przykre jest to, że musimy pisać o rzeczach tak strasznie prostych, elementarnych! Miałbym i ja takie dobre usposobienie, jak twoje, gdybym go sobie nie psuł bezustannem rozczytywaniem się w publicystyce dla której nie mam poprostu nazwy.

— Nie czytać głupstw i kwita — poradził rezolutnie Regier.

— Przez ignorowanie pewnej rzeczywistości nie usu-
nie się jej ze świata—odpowiedział Rutkowicz.—Ja mogę

nie czytać, ale będą czytali inni i co najważniejsza będą się stosowali do zgubnych wskazań. Temu trzeba koniecznie energicznie przeciwdziałać. Obojętność względem takiej publicystyki, to obojętność dla losów narodu i państwa.

— Zapewne, że niewolno być obojętnym względem tych spraw, ale zarazem nie należy przeceniać swoich własnych sił — mówił Regier. — Co można zrobić, to zrobić należy, a poza tem powiedzieć sobie, że dyskusja w tej sprawie toczy się już od czterech wieków i jeśli nie doprowadziła do żadnych wyników, to działają tu jakieś siły wyższe, przeciwko którym wola ludzka nic zrobić nie zdoła...

Obaj przyjaciele zamyślili się i milczeli przez chwilę.

— Wyobraź sobie — roześmiał się Rutkowicz — że nawet taki wielki polityk, za jakiego uznawany był Dzeduszycki, błogosławił te narody, które nie filozofują, nie myślą wcale o zagadnieniach religijnych. Dla niego, i nie tylko dla niego, religja jest konieczną, aby panował w społeczeństwie pewien określony porządek, czyli że jest ona rodzajem policji. Należy jej się poddać bezwzględnie i o dogmatach nie rozumować, bo to sprawa księży i wtrącać się do niej nie wypada...

— Trzeba sporo pogardy i dla religji i dla duszy ludzkiej, aby sobie wyobrazić, że dla miłego spokoju człowiek rzeknie się myślenia o swoich przeznaczeniach, zastanawiania się nad wiekuistymi zagadkami bytu. Tylko zupełne lekceważenie religji rzeka się prawa wolności myślenia o niej i przyswajania jej sobie — mówił Regier.

— Pogardy dla religji! — zawołał Rutkowicz, unosząc się. — Zapewne, że trzeba i pogardy dla religji, ale przede wszystkim trzeba tu jakiejś bezgranicznej ignorancji elementów psychologii ludzkiej. Jest to tak, jak gdyby się człowieka postawiło w izbie, przed dwojgiem drzwi i powiedziało mu się, że przez jedno idzie się na zagładę, a przez drugie ku wiecznej radości, ale zarazem nakazałoby mu się, aby broń Boże, nie myślał o tem, bo to grzech. Ma zamknąć oczy i dać się ślepo prowadzić przewodnikowi, którego nie może wylegitymować. Wyobrazić sobie w takiej sytuacji człowieka obojętnym i ślepo ufa-

jącym przewodnikowi może tylko ignorancja i służalczość. Przecież w Biblii są przykłady, że nawet aniołom nie ufano bezwzględnie. Nie uwierzył od razu kapłan Zacharjasz, nie powstrzymała się od zapytania anioła Gabrijela Marja Panna... Znasz opowieść o nieszczęśliwym ojcu, który przyprowadził do Jezusa swego upośledzonego syna, a Jezus obiecuje go uzdrowić, jeśli ojciec wierzy, że to się stać może. „Wierzę, Panie, ty ratuj niedowiarstwa mego!” — odpowiada nieszczęśliwy, przyznając się do powątpiewania... A tu nagle jakieś dzikie idealizowanie tępoty, która byłaby w stanie nie myśleć i nie zastanawiać się nad rzeczami wiekiustymi! Co za ohyda!

— Niema w tem nic tak osobliwego — uspakajał go Regier. — Znasz dobrze swój własny katolicyzm polityczny z przed lat i wiesz, do czego prowadzi religja stosowana, gdy się z niej robi narzędzie do celów politycznych. Twój katolicyzm polityczny nie był o ile wiem, cyniczny, zdaje mi się bodaj, że wierzyłeś szczerze w dogmaty swojej religji. Inni mieli nawet ateistyczny katolicyzm, jak Maurras i inni rojaliści francuscy. Dla jakichś tam względów chcieli króla, a ponieważ króla się koronuje, zaś koronacja jest obrzędem religijnym, przeto potrzebna im religja dla świętej ostentacji, bo król musi mieć w pobliżu kapłana. Dogmat, nauka moralna religji, konieczność odrodzenia moralnego, to wszystko było dla nich jednym wielkiem głupstwem, bo chodziło wszak tylko o pewne formy, o pozory, o komedję, którą lubią tłumi.

— Jakto? — zdziwił się Rutkowicz — uważasz, że taka podłość byłaby możliwa? Wyzyskanie wiary milionów dla nędznych przyziemnych celów?

— Nawet nie nazwałbym tego podłością — zastrzegł się Regier. — Ci ludzie nigdy nie zetknęli się z żywym słowem Chrystusa, nigdy ono do nich nie przemówiło. Wyrastali sobie w atmosferze ładnych ceremonij, kadzidla, pięknych witraży, obrazów i posągów, i nawet nie spostrzegli, jak cześć oddawaną Bogu przez symbol przenieśli na ten symbol. Gdy zaś zaczęło się czcić martwe symbole, umarło żywe czucie religijne i religja stała się czemś konwencjo-

nalnem, czego można, a zdaniem ich, nawet należy używać do różnych celów.

— Ależ to jest udawanie religji, a nie religja! — zawołał Rutkowicz.

— Tak jest istotnie. Słyszymy bezustannie, że religja musi być, bo bez niej nie byłby możliwym ład i porządek społeczny. Słowo to powtarza się z pokolenia w pokolenie, a skoro istnieje przekonanie, że religja musi być, więc jest taka, jaką stwarza sobie potrzeba polityczna. Serce stwarza religję żywą, nawiązując kontakt z Wiekui-stem i Nienazwanem, a tem samem z atmosfery trosk i za-biegów ziemskich przenosi się w atmosferę jakiejś cudownej doskonałej radości św. Franciszka. Instynkt ciemny buduje sobie religję magiczną, dla której symbole i relikwie są mocniejszymi lub słabszymi akumulatorami sił magicznych. Polityka wyzyskuje i instynkt ciemny i subtelne serce: daje pewne formy i symbole, jakimi posługuje się religja żywa, otacza te formy ogromną pompą, ale poza nią niema, niestety, nic. Jest to sobie najzwyczajniejsza symbolatryja. Niedgdyś krzyż był znakiem i symbolem, przy pomocy którego oddawano cześć Bogu, wyznawano wiarę w niego, dzisiaj stał się sam przedmiotem czci. I tak jest z wielu, bardzo wielu symbolami... Symbolatryja, o której sam mi mówiłeś. Czy zwróciłeś uwagę, jak bardzo troszczą się zwolennicy tej symbolatryji, aby wszędzie wisały krzyże? I oto znak miłości i pojednania staje się dla nich znakiem nienawiści i przemocy jednych nad drugimi. A nasza ciemnotka ustawia krzyże i figury przy wyboistych i złych drogach, aby strzegły podróźnych. Należałoby raczej pro-stować drogi, ale magja jest łatwiejsza, jest to wysilek gnuśnych.

Rutkowicz spoglądał na przyjaciela z rosnącym zain-teresowaniem. Ze słów Regiera musiał wnioskować, że pewne sprawy zostały przez niego gruntownie przemyślane; uwagi, które teraz robił, były owocem tych przemyśleń.

— Jakie będą skutki takiego stanu rzeczy? — rzucił pytanie jakby samemu sobie. — Do czego to doprowadzi?

— Fizjognomja duchowa człowieka jest w jego cha-

rakterze, a charakter to powaga lub brak powagi, z jaką odnosi się do spraw najważniejszych świata. Brak ustosunkowania się do najwyższej tajemnicy istnienia jest równoznaczny z zaturbuczeniem fizjonomji narodowej, wyzbyciem się charakteru, rozbrojeniem duchowem. Naszym politykom zdaje się, że naród jest na to, aby panował koniecznie nad innymi, słabszymi narodami. Polskę tłumaczą sobie ci panowie żywcem z rosyjskiego i pruskiego. Zdaniem mojem naród powołany jest istotnie do panowania, ale do panowania nad samym sobą, bo tylko stopień opanowania własnego umysłu i charakteru moralnego stanowi o stopniu opanowania świata.

— Niestety, masz rację — przyświadczył zcicha Rutkowicz. — Zatrata charakteru to najstraszliwsze źródło wszystkich możliwych klęsk. Wytwarzanie dla własnego narodu warunków cieplarnianych, wywyższenie go kosztem innych narodów, a nie kosztem jego własnych wysiłków, musi demoralizować i osłabiać. Polityka ekspansywna zamiast intensywnej jest czemś żalosnem i głupiem. Wielkość jednostek i narodów jest w ich zdolności do tragicznych przeżyć. Im wyższem jest życie i potężniejszym, tem tragiczniejszym jest zarazem. Panowanie nad światem jest panowaniem nad jego tajemnicami, a wydzieranie światu tajemnic, to poznawanie samego siebie, lecz poznać samego siebie można tylko w czynie, w wielkim płodnym i twórczym czynie. Kto nie działa, ten nie błądzi, ale też nie postępuje naprzód. Co robić, aby zbudzić ogół do takiego czynu samopoznawania?

— Zazwyczaj — mówił powoli Regier — wystarcza apel do umysłów, do serc, do szlachetnej ambicji, ale u nas jest atmosfera zgoła osobliwa: z narodowości zrobiono fetysz, czy Molocha, któremu ofiarowuje się wszystko najlepsze, a raczej zaprzepaszcza się wszystko najlepsze. Oto pokażę ci przykład oglupienia moralnego, tego fetyszyzmu, o którym właśnie mówiłem.

Regier wstał i podszedł do biurka, na którym obok książek leżały czasopisma i gazety. Wziął jedną z gazet i podszedł z nią do przyjaciela.

— Patrz — mówił z naciskiem — w tym artykule wybitnego publicysty znajdziesz dowód zupełnego znieczulenia moralnego. Podczas wyborów publicysta ten podzielał przekonanie swojej partji, że wyjdzie ona z wyborów zwycięsko i nie będzie potrzebowała oglądać się na nikogo i na nic. Dlatego razem ze swoimi kolegami nazywał zwolenników i kierowników partji przeciwnych złodziejami, koniokradami, Szelami i wogóle nie krępował się w doborze słów. Teraz pisze inaczej. Jego partja odniosła zwycięstwo nie bezwzględne, ale względne i publicysta odrazu zaczyna wypowiadać się, że jego partja gotowa byłaby wejść w sojusz z tymi, którzy wyzwani zostali przez niego niejednokrotnie od złodziei i koniokradów. Oczywiście, że tylko dla dobra narodu. Jeśli publicysta i jego partja uważa kaptowanych sojuszników za ludzi nieuczciwych i złych, to oczywiście przez gotowość sojuszu z nimi dyskredytuje się moralnie, ujawnia zupełny brak zasad moralnych, jeśli zaś może wyzwisk nie brała zbyt dosłownie, to kłamała świadomie, dopuszczała się niskich oszczerstw, czyli że warta tyle, ile wart wszelki oszczerca. Oto są skutki tego stanu zupełnej bezideowości. Nie rozumieją u nas, że państwa wielkie i silne tworzy wielkie umiłowanie jakiejś prawdy, jakiejś idei, która opanowuje świat i rzuca go pod nogi twórcom tej idei.

Rutkowicz czytał wskazany mu artykuł, ale już po przeczytaniu kilkunastu zdań, odrzucił gazetę z obrzydzeniem.

— Co za błazeństwa! — zawołał. — Ani próby uzasadnienia, tylko twierdzenia gołosłowne! Przecież to trzeba mieć pogardę dla własnego czytelnika, aby sobie wyobrazić, że wszystko przyjmie za dobrą monetę!

— Czytelnik ten przyjmie te twierdzenia za swoje, bo myśli jeszcze mniej od swojego publicysty — powiedział Regier. — Ja tego czytelnika znam i rozumiem bardzo dobrze. Ludzi samodzielnie myślących jest na świecie bardzo mało i jeśli jakiś przypadek nie zbudzi ich ze stanu bezmyślności, to mogą sobie pokończyć uniwersytety, być członkami akademji i nie mieć własnego zdania w

sprawach bardzo powszednich i elementarnych. Pouczyło mnie o tem życie, a ono jest zawsze najlepszym nauczycielem. Jako chłopię mieszkałem z rodzicami w małym miasteczku, gdzie tylko jeden dom miał trzy piętra. Otóż kiedyś znalazłem się na trzecim piętrze tego domu. Widok z okien był ładny; na dole na szosie ciągnął się długi szereg wozów, jadących z bardzo głośnym turkotem. Ktoś zrobił uwagę, że na wysokości trzeciego piętra słychać turkotanie wozów lepiej, niż na dole. Przyjąłem to do wiadomości zupełnie bezkrytycznej. Po latach, gdy miałem już dużo wiadomości z fizyki i gdy studjowałem w Heidelbergu, zdarzyło mi się mieszkać na trzecim piętrze. Odwiedził mnie pewien starszy kolega niemiecki, pochwalił widok z okien i zaciszność mieszkanka. Powiedziałem mu wówczas, com był słyszał jako kilkoletnie pacholę, że niema zaciszności, bo na trzecim piętrze słychać turkot powozów i tramwajów lepiej, niż na dole. Niemiec spojrział na mnie jakby się właśnie dowiadywał rzeczy ogromnie doniosłej i zapytał: dlaczego? Oczywiście, że powiedzieć mu tego nie umiałem. Powołałem się na anonimową opinię powszechną, ale od owej chwili nie powtarzałem głupstw i nauczyłem się trochę krytycyzmu. Czytelnicy owych gazet są ludźmi, którym nie ma kto zadać pytania: dlaczego? Nauczono ich wierzyć we wszystko, co im się z którejkolwiek strony do wierzenia podaje, więc uzasadnień żadnych nie potrzebują.

— A jeśli sam będziesz chciał swoje przekonania uzasadnić? — zapytał Rutkowicz. — Bo przecie wszystko, co człowiek ceni i kocha, to pragnie upowszechnić, propagować. Więc jakże zachowa się, gdy spotka się ze zdaniem przeciwnem? Jak uzasadni swoje przekonanie?

— Otóż to właśnie! Wszelki dogmatyzm nieuzasadniony fanatyzuje, a fanatyzm dowodzi prawdziwości swoich twierdzeń pięścią, kijem, rewolwerem — odpowiedział Regier. — Historia fanatyzmu politycznego dostarcza dużo dowodów, że tak jest. Gdyby nasi politycy próbowali zrozumieć i uzasadnić sobie swoje własne twierdzenia, to rezultatem tego byłaby jak najdalej idąca tolerancja. Czło-

wiek myślący musi niekiedy powątpiewać, a powątpiewający nigdy nie może być Torkwemadą, bo na to trzeba osobliwej tępoty.

— Żegnam cię, Stachu! — Rutkowicz wstał, wyciągnął rękę do przyjaciela i stojąc, mówił: — Dochodzimy do wniosków bardzo smutnych, ale zdaje się trafnych. Ludzie, którym podano prawdy bez uzasadnienia, będą je uzasadniali kulakiem i kijem.

— I rewolwerem — dodał Regier — a może nawet armatą. Chodzi o sposób dyskusji i argumentowania. W pewnych razach wystarczy, gdy ludzie stwierdzą sobie rozbieżność zapatrywań na pewne sprawy i gdy powiedzą sobie, dlaczego myślą właśnie tak, a nie inaczej, w innych wypadkach na inaczej myślącego i działającego bierze się drąg, rewolwer, armatę. U nas słowo nie posiada jeszcze siły kija, a cóż dopiero karabinu albo armaty.

— Dość! Już niemożę słuchać tego wszystkiego, bo się poprostu życie mierzi! — zawołał Rutkowicz, potrząsając ręką Regiera. — Zrób jak najprędzej korektę, abym ją mógł przesłać drukarzowi, a co do reszty — zobaczymy. Może jeszcze niekoniecznie musisz mieć rację.

— Wcale się przy niej nie upieram — zapewnił go Regier. — Nawet wolałbym nie mieć racji.

Jedenastego grudnia, w pamiętnym dniu zaprzysiężenia pierwszego prezydenta Polski, Regier został wezwany do banku w sprawie pilnej. Sprawa była ważna i dotyczyła dalszych przekazów dolarowych z Ameryki. Ponieważ Regier chciał się porozumieć z ciotką Teresą zanim udzieli bankowi odpowiedzi, więc Nowym Światem szedł ku rogowi Alei Jerozolimskiej, aby wsiąść do tramwaju i pojechać ku Topolowej. Niedaleko przystanku tramwajowego spotkał niespodziewanie pana Maligana.

— Dzień dobry panu — rzekł jakoś wyjątkowo dyskretnie przyjaciel pani Zarębiny. — Niech pan dalej nie chodzi, bo tam się zanoszą na brzydką awanturę — wskazał w stronę Alei Ujazdowskiej.

— Czyżby istotnie? — nie dowierzał Regier.

— Z wszelką pewnością — dowodził pan Maligan. —

Niech pan poczeka chwilę, zaraz będzie dodatek nadzwyczajny. Tam była strzelanina...

— O co?

— O rzeczy bardzo proste — odpowiedział pan Maligán. — Został wybrany prezydent w najidealniejszej zgodzie z przepisami konstytucji, więc znalazło się sporo ludzi, którzy oświadczyli, że gwizdzą na konstytucję, jeśli oni nie mają mieć władzy w swoim ręku. Próbowano przekonać się nie artykułami konstytucji, ale w sposób daleko prostszy i pierwotniejszy.

Regier przypomniał sobie swoją niedawną rozmowę z Rutkowiczem i swoje przewidywania, że ludzie, którzy nie umieją uzasadnić swoich twierdzeń słowami i wnioskami logicznymi, czynić to będą kijem i rewolwerem. Doznał dziwnego uczucia lęku, jakby był odpowiedzialny za to, co się dzieje, że to przewidział i przepowiedział. Zdawało mu się, że swojemi pesymistycznymi słowami spowodował smutne i zawstydzające wypadki. Należał on do tych ludzi, którzy wyzbywszy się wszelkich przesądów i zabobonów, nie potrafili pozbyć się natrętnej myśli, że między wyobrazeniami ludzkimi, obawami i nadziejami, a rzeczywistością wydarzeń i faktów istnieje jakiś fatalny związek. Wyobrazenie o takim związku jest stare jak ludzkość sama, a napomnienia, żeby nie wywoływać wilka z lasu, nie malować djabła na ścianie, nie wymówić czego w złą godzinę, świadczą o zakorzenieniu tego przesądu. Regier nie umiał wyzbyć się tego właśnie natrętnego przesądu i jeśli czasem przez niekontrolowane skojarzenie myślowe wyobrazenie nieszczęśliwego wypadku połączyło się z osobą bliską i drogą, to całą siłą woli odwoływał swoją myśl, odczyniał urok fatalny, cofał go z drogi i gorąco prosił Boga, aby się nie stało to, co mu się przywidziało. Wiedział dobrze, że działają w nim jakieś niekontrolowane siły atawistyczne i śmiał się z nich, a jednocześnie ulegał dziwnemu i niepokojącemu uczuciu, że jakieś złe, nieżyczliwe moce czyhają tylko na to, aby wykonać mimowolne i bezwiedne myśli ludzkie. Gdy usłyszał od Maligána, że doszło do zaburzeń i krwawych walk, słowa jego mówione przed tygo-

dniem do Rutkowicza, zamigotały przed jego oczami żywymi obrazami faktów, które jak gdyby z jego słów ciałem się stały.

— I cóż będzie dalej? — zapytał głosem zduszonym, jak winowajca.

— Jestem w szczęśliwym położeniu fatalisty i nie martwię się na zapas. Stanie się tylko to, co się stać musi — odpowiedział pan Maligan.

— A cóż się stać musi? — wypytywał Regier.

— Tego, oczywiście, nie wiem — odzęgnywał się pan Maligan, jakby się właśnie miały stać rzeczy smutne i bolesne.

— W takim razie dziękuję panu za ściśle informacje — roześmiał się Regier — i żegnam pana, bo już muszę iść.

— Tylko nie tamtędy! — ostrzegał pan Maligan, wskazując ku Alei Ujazdowskiej.

— Jaki z pana niekonsekwentny fatalista! — śmiał się Regier. — Dowodzi pan, że staje się tylko to, co się stać musi, a jednocześnie obawia się pan, że może się stać coś, co się stać nie musi.

— Widzi pan — odpowiedział ze śmiechem pan Maligan — to jest zły przykład ludzi, z którymi się stale stykam, a którzy wierzą w przypadek, więc przystosowuję się prosto do zwyczajów.

Minęło znowu kilka dni w atmosferze podniecenia i niepokoju. Regier przestał czytywać gazety, bo nieraz wydawało mu się, że są one pisywane przez ludzi dotkniętych jakimś ciężkim niedomaganiem umysłowym. Brak logiki i zasad moralnych tworzył jakąś niewiarogodną zasadę naczelną. Autorowie artykułów podburzających opinię ogółu nie znajdowali ani słowa krytyki dla konstytucji, ale w jakiś potwornie nielogiczny sposób wylewali swoją wściekłość na tych, którzy z praw konstytucyjnych korzystali. Było w tem dla Regiera coś tak potwornego, jak gdyby ktoś mówił do współobywateli: Oto daję ci na piśmie i w postaci uroczystej przysięgi prawa poręczające ci wolność, ale nie waż się z tych praw korzystać, jeśli nie chcesz zapoznać się z moją pięścią. Gdyby ktoś zaprowadził głodnego nę-

dzarza do magazynu pełnego wyszukanych potraw i oświadczył mu, że wszystko jest dla niego, to taki ofiarodawca mógłby wzbudzić uczucie podziwu i wdzięczności za swoją hojność, ale gdyby zaraz dodał, że obdarowanemu niczego tknąć nie wolno i że wszystko jest tylko na pokaz, to musiałby wywołać zaniepokojenie o jego zdrowie umysłowe i moralne. Ogół narodu daje obywatelowi prawo, a pewna partja krzyczy, że prawo jest tylko dla niektórych. Ten brak elementarnej uczciwości wzbudzał w Regierze głęboki wstręt dla obłudników. Nie posiadał jeszcze dość doświadczenia w ocenie powikłań życia politycznego i nie wiedział, że w tem szaleństwie jest metoda, więc zdawało mu się, że byle wywołać dyskusję publiczną i wyjaśnić niektóre sprawy, to wszystko będzie w porządku. Nie mógł doczekać się wyjścia jednodniówki, a to w nadziei, że wywoła ona krytykę i protest tych, przeciw którym się zwraca i że dyskusja musi wnieść dużo światła w atmosferę mroczną i duszną.

Jednodniówka wyszła w końcu drugiego tygodnia grudnia i miała stać się dla Regiera przedmiotem zawstydzających wspominań. Nadzieje, że artykuły zawarte w tej jednodniówce wywołają pożądaną dyskusję, okazały się tak dalece płonnemi, że Regier jeszcze długo wspominał swoją naiwną wiarę w możność wywołania dyskusji samem pragnieniem ustalenia zasad prawdy i sprawiedliwości. Narazie jednodniówka sprowadziła do niego pana Radego, który przyszedł na pogawędkę ze swoim zwykłym ironicznym uśmiechem na ustach.

— Przychodzę podzielić się z panem swojemi doświadczeniami — rzekł zaraz na wstępie. — Przed laty robiłem to samo i z takim skutkiem, jakiego niezawodnie doczeka się pan.

— O jakim skutku pan mówi? — zapytał Regier.

— Pan wie bardzo dobrze — odpowiedział Rade. — Wydajecie panowie jednodniówkę, aby powiedzieć co myślicie o sytuacji i co trzeba zrobić izby było dobrze na tym najlepszym z światów. Ktoś pośpieszy z krytyką, ktoś wam zaprzeczy, ktoś się z wami zgodzi, powstanie dyskusja na całą Rzeczpospolitą, prawda i logika odniosą walne i nie-

zaprzeczone zwycięstwo, wszyscy padną sobie w objęcia, stwierdzą jeszcze raz, że u nas prawo przed siłą, że w jednośi siła i... kochajmy się!

— Nawet nie wiem, czy szanowny pan umiałby uzasadnić ten swój ton ironiczny — rzekł Regier podkreślając słowa „szanowny pan“, jakby tą konwencjonalną tytułaturą odgradzał się od swego gościa.

— Właśnie po to przyszedłem, abym panu uzasadnił pewne poglądy swoje — brzmiała gotowa odpowiedź. — Oczywiście, może mi pan powiedzieć, że pan się temi poglądami nie interesuje, ale sam fakt, że napisał pan szereg artykułów i że je pan wydaje drukiem, świadczy o tem, że zainteresuje się pan mojami poglądami.

— Słucham pana tedy.

— Przedewszystkiem chcąc sobie na przyszłość zaskarbić względy pańskie i wzbudzić w panu zaufanie do swoich zdań niektórych, abyśmy w chwili odpowiedniej mogli razem pracować, powiem panu wręcz, że na artykuły jednodniówki nikt, ale to nikt nie zwróci uwagi i nikt nie wda się z panami w dyskusję.

— Skąd pan wie o tem tak dobrze?

— Przed laty robiłem to, co panowie robią obecnie i przekonałem się, że pies z kulawą nogą nie dba o wyjaśnianie tak zwanych kwestji zasadniczych. Następnie czytywałem bardzo uważnie prasę i wiem, że sprawy bardzo ważne, podstawowe, sprawy, od których rozstrzygnięcia zależną jest przyszłość całego narodu, należą u nas do tematów tak dalece wstydlivych, iż są one rozmyślnie i z premedytacją przemilczane. Choćby pan wydał gruby tom roztrząsań na temat wolności sumienia i zupełnego równouprawnienia wyznań religijnych, nikt z panem rómawiać o tem nie będzie.

— Ale dlaczego? — zdziwił się Regier.

— Dlatego, że nie możnaby było panu zaprzeczyć, że pan ma bezwzględną rację, ale pewna partja twierdzi, że musi być wyznanie panujące nad innymi wyznaniem, że musi ono mieć przywileje, a to dlatego, że to wyznanie panujące trzyma cały naród w kupie...

— A cóż w takim razie zrobić ze zdaniem wielkich i największych pisarzy i myślicieli narodu, którzy wskazywali, że przywileje i panowanie wyznania formalizują dusze i zabijają w nich wszelkie żywe uczucie religijne? — pytał Regier.

— Milczeć trzeba o tem wszystkim, jakby nigdy nie było Modrzewskiego i Ostroroga, Mickiewicza i Goszczyńskiego, Trentowskiego i Cieszkowskiego, a nawet Brzozowskiego i Witkiewicza — odpowiedział pan Rade. — Tu nie chodzi o dyskusję naukową, ale o siłę i panowanie. Wszystkie dyskusje na tematy polityczno-społeczne są rzeczą śmieszną, bo ostatecznie panuje zawsze tylko ten, kto ma siłę, a nie ten, kto ma rację. Jeszcze nikt nikogo nie przekonał w dyskusji, ale owszem przekonał w walce na głosy wyborcze albo na kije...

— Na głosy wyborcze... — wtrącił Regier. — Widzi pan więc, że jeśli się pozyska trochę ludzi, rozporządzających takimi głosami wyborczymi, to nasza praca już nie jest bezowocną.

— Niech pan zdobędzie takich głosów dwieście pięćdziesiąt tysięcy, albo jeszcze lepiej odrazu pół miliona, to wówczas będą z panem rozmawiali i dyskutowali, chociaż wtedy dyskusja wcale potrzebna nie będzie.

— Wniosek? — pytał Regier. — Co mi pan chce powiedzieć? Czy chodzi o zniechęcenie?

— Nie chcę pana zniechęcać — odpowiedział Rade, — bo ostatecznie nie mam w tem najmniejszego zainteresowania. Jeśli publicystyka sprawia panu minimalną przyjemność, to nie wiadomo, dlaczego nie miałby pan pisywać i ogłaszać artykułów na pewne tematy. Tylko nie należy oczekiwać żadnych normalnych efektów.

— A gdybym jednak oczekiwał?

— Ma pan rację — odparł pan Rade, — to także nic nie szkodzi. Może pan więc oczekiwać efektów, których nie będzie. Jestem, niestety, mniej przekonującym od tej rzeczywistości, która jedynie przekonać pana może i przekona z pewnością.

— Więc pan sądzi, że dyskusji na pewne tematy wy-

wołać u nas nie można? — zapytał Regier, jakby dla zła-
godzenia w gościu wrażenia swojej nieufnej postawy.

— Widzi pan — roześmiał się Rade — od traktatu
Ostroroga do rozpraw Witkiewicza upłynęło jakie cztery
setki lat i zawsze, ilekroć odzywa się głos w sprawach naj-
ważniejszych, zamiast djalogów, czy nawet chórów, mamy
szepcany monolog. Tematy poruszane przez Modrzewskiego
i Mickiewicza, Goszczyńskiego i Brzozowskiego są, natu-
ralnie, zawsze aktualnymi, ale dyskusję toczy się tu nie
przesłankami i wnioskami logicznymi.

— Sam rozmawiałem o tych sprawach z Rutkowiczem,
nie dalej, jak przed kilku dniami — mówił Regier — i mó-
wiłem nawet mniej więcej to samo, co mówi pan, ale...

— A ja rozmawiałem z Rutkowiczem wczoraj i kto
wie, czy nie powtarzam tu panu własnych pańskich słów —
roześmiał się Rade.

— W jaki to sposób miałby mi pan powtarzać moje
własne słowa? — pytał Regier.

— To się zdarza, proszę pana — pouczał gość. — Mnie
się trafiało, że w dyskusji powiedziałem to i owo, do czego
się oczywiście odpowiednio przygotowałem. Ostra opozy-
cja: nie mam racji i dość. A po kilku dniach słyszę swoje
słowa jako argument. Pytam, kto to mówił i okazuje się,
że to mówił mój oponent. Rutkowicz ceni pańskie zdanie,
i jeśli pan z nim rozmawiał, to może powtórzył mi pańskie
słowa, bo zawsze argument cudzy przekonywa nas bar-
dziej, niż zdanie własne. Pan przekonał Rutkowicza, on
przekonał mnie, a ja przychodzę przekonać pana! To jest
dobre!

Rade śmiał się burzliwie i pożegnał się z Regierem nie
przystając się śmiać.

— Co za dziwny człowiek! — pomyślał Regier po odej-
ściu gościa. — Przychodzi zdaje się tylko po to, aby się
naśmiać z ludzi.

Słowa Radego nie dawały mu spokoju. Czuł się zdra-
śnięty w swojej ambicji, że człowiek obcy przychodzi po-
uczać go o jego naiwności. W duchu życzył sobie, aby ten
zarozumiały mądrala nie miał racji, ale w gruncie rzeczy

nie oczekiwał nadzwyczajnego zainteresowania się jednodziówką. Machnął wreszcie ręką, przypominając sobie fatalizm Maligana, twierdzącego, że będzie tylko to, co być musi.

Mniej więcej na tydzień przed Bożem Narodzeniem w mglistą i chłodną sobotę Regier wyszedł na miasto, aby kupić kilka upatrzonych książek i cacek artystycznych na podarki gwiazdkowe dla swoich najbliższych. Ciocia Tercia namawiała go, aby przynajmniej na kilka dni pojechał do Zabłonia, stanęło więc na tem, że na Boże Narodzenie Władek zostanie u ciotki a Regier pojedzie do Zabłonia razem z Iweckimi; do cioci zjadą wszyscy na Nowy Rok. Układ podobał mu się bardzo. Po Nowym Roku miał otrzymać dość duże i ładne mieszkanie, co ostatecznie umożliwiło połączenie się z Heleną, tak długo odkładane, siostra miała pieniądze na znaczne powiększenie fabryki i opłacenie zdolnego fachowca, jednym słowem było się z czego cieszyć. Wigilja, jak sobie to postanowił, będzie dniem zaręczyn uroczystych i ustaleniem dnia ślubu. Wśród podarków, które miał zabrać do Zabłonia, był ładny pierścionek z dużym rubinem, dla Heleny.

Pochłonięty temi myślami, Regier szedł ulicą Mazowiecką ku znajomej księgarni i nie dostrzegał ani mgły ani chłodu tego dnia ponurego. Poraz pierwszy od bardzo długiego czasu czuł się szczęśliwym i zadowolonym. Miał miejsce, które dawało mu duże zadowolenie moralne i dostateczne środki utrzymania, nie potrzebował martwić się o siostrę, której sprawy po spłaceniu długów stanęły bardzo dobrze, Władek budził śmiałe nadzieje swojemi zdolnościami i pracowitością, Ludka miała zostać niedługo matką... Wszystko układało się tak dobrze i szczęśliwie, że po latach udręk, wyrzeczeń i zgryzot niepodobna było nie oddawać się całym sercem temu uczuciu radości, które wreszcie przychodziło bez zastrzeżeń, bez obaw, jasne i ciche.

W ten nastrój przedświąteczny i w te marzenia Regiera padł ostry dźwięk, słowo jak wyzwanie, nazwa gazety, którą Regier znał jako krzewicielkę nienawiści partyjnej i wielbicielek brutalnej siły. Obdarty chłopiec biegł

z paczką gazet i wywoływał to złe słowo nazwy jak memento, że nie wszystko jest dobrze, że jakieś przyczajone ciemne moce czuwają nad tem, aby nadchodzące święto nie stało się radością powszechną dla wszystkich i dla każdego. Odczuł przenikliwy chłód tego grudniowego dnia, dostrzegł jego ciężką mgłę i brak słońca. Ruszył żywiej, bo chciał otrząsnąć się z tej mgły i z tego chłodu.

U wylotu ulicy ujrzał gromadkę ludzi, jakby osłupiałych. Podeszedł do nich, przypuszczając jakiś wypadek.

— Ach, mój Boże, mój Boże...! — łkała jakaś kobieta, zasłaniając sobie oczy.

— Co? Co? — słyszał pytania dokoła. — Co się stało?

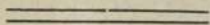
— Prezydenta zabili! — odpowiedział ktoś głosem tłumionym.

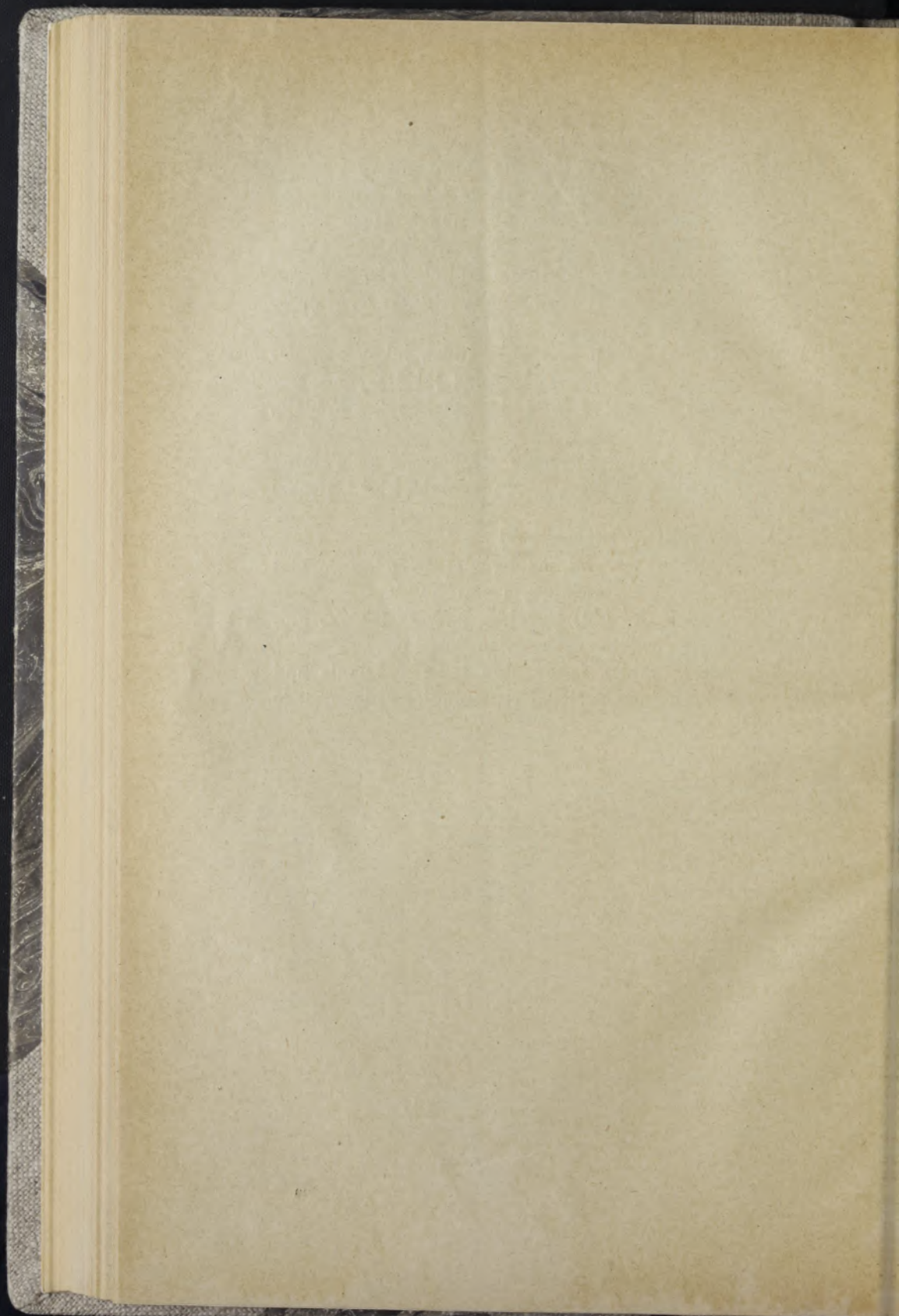
— Gdzie? Kiedy? Niemożliwe!

— W Zachęcie! Kwadrans będzie! — odpowiedział ktoś szeptem, nie pozostawiającym wątpliwości.

— Ach, mój Boże! Mój Boże! — zalkała jeszcze głośniejszej narzekająca kobieta, zasłaniając sobie oczy.

Regier zdjął czapkę, jakby stanął niespodzianie nad czyimś świeżym grobem, i starał się pojąć coś niepojętego i strasznego.





III.

Już w pierwszych miesiącach pożycia małżeńskiego z Helena, Regier spostrzegł, że jego miłość dla niej zmieniła się do gruntu. Nie kochał jej mniej, ale kochał inaczej. W dawnych latach jego miłość dla Heleny była tęsknotą, męką, często rezygnacją. Teraz stała się szczęściem do siężnem, bliskiem i stałem.

Było mu tak, jak bywa człowiekowi, który po ciężkiej długiej chorobie wstaje z uczuciem wracającego zdrowia i spogląda przez okno. Po mrocznej posępnej zimie nadchodzi wiosna, ale niebo jest szare, pochmurne. Oko chciwie i niecierpliwie szuka wśród chmur miejsca, skąd mógłby strzelić najmilszy promień słońca, poprzez szarą monotonną chmur widzi ono najcudowniejszą barwę świata, dobroczynny błękit, i niemal siłą wydziera słońcu złocisty ciepły promień.

Rozkosz spotkania się tęskniącego oka ze źródłem wszelkiej radości, jest nieopisana, ale gdy chmury się rozwieją, gdy całe niebo jest błękitne i czyste, tęsknota za słońcem, taka ostra i bolesna w dni chmurne i chłodne, znika w radości i szczęściu, jak cienie znikają w ulewie blasków słonecznych. W szczęściu, które słońce niesie z sobą, słońca nie widać, ale rodzą się w niem nowe pragnienia i nowe tęsknoty.

Regier wiedział już, że jednym z powodów, może najważniejszym, dla którego domownikom udało się wydać

Helena za mąż, był argument, że ona jest katoliczką, on zaś ewangelikiem, że nie powinna za niego wychodzić. Wiedział też, że po śmierci ciotki, którą bardzo kochała, z jej namowy i na jej intencję poszła Helena do spowiedzi i na tej spowiedzi udało się spowiednikowi przekonać ją ostatecznie, że niewolno łączyć się z heretykiem. Wspomnienie tego faktu dawało mu uczucie zwycięstwa. Nie osobistego, ale zwycięstwa sprawy życia nad sprawą nakazów władczego instytucjonalizmu. Oto wszystkie namowy, przekonywania, przeszkody, zdołały odsunąć jego małżeństwo z Heleną na lata, ale nie zdołały mu przeszkodzić. Oboje wycierpieli skutkiem chwilowego zwycięstwa cudzej instytucji bardzo wiele, stało się dużo rzeczy bolesnych, porządek świata, w którym Bóg sam wyznaczył tak wielką rolę miłości, został na czas pewien zakłócony, ale nie zniweczony. Zwycięskie słońce triumfowało nad zasłonami odgradzającymi od niego serca i dusze.

Regier cieszył się z tego. Jego myśl badawcza starała się zawsze przenikać uczucia i zjawiska najbardziej mgliste i zagmatwane. Wszystko, co w jakiś sposób było mu niejasnym, odczuwał jako wrogie, zdradliwe, niebezpieczne. Cały świat układał mu się w szereg pytań i odpowiedzi; niemal dogmatem stało się dla niego, że na każde pytanie można i trzeba znaleźć taką lub owaką odpowiedź. W szukaniu odpowiedzi na pytania znajdował cały czar życia i uosobienie tego wszystkiego, co ludzie nazywają szczęściem. Bywał osamotniony w swoich upodobaniach, bo ludzie na ogół nie lubią doszukiwać się problemów życia, aby się głowić niemi.

Niespodziewanie dla samego siebie znalazł towarzyszkę swoich wypraw w dziedzinę myśli. W kilka dni po ślubie, spędzając święta Wielkiej Nocy w Zakopanem, siedzieli oboje w zacisznym pokoju i spoglądali na Giewont. Miało się ku wieczorowi i nad potężnym szczytem kłębiły się leniwie masy zaróżowionych obłoków. Niedocieczoną drogą dziwnych skojarzeń myślowych i uczuciowych doszedł Regier do postaci olbrzyma, który nietylko Giewont, ale całą ziemię ze wszystkim, co się na niej znajduje,

utrzymałby na rozpostartej dłoni. Do obrazu tego przyłączył się obraz równie wielkiej miłości i dobroci.

Helena uśmiechała się do jakichś swoich myśli i ulegając impulsowi, roześmiała się głośno, serdecznie, jak dzieci, gdy spostrzegają nagle coś bardzo zabawnego.

— Jacy ludzie są śmieszni! — zawołała, wskazując gestem Giewont, jakby tam właśnie dostrzegła była tych śmiesznych ludzi. Regier poszedł za jej spojrzeniem, a Helena mówiła dalej z tym wesołym, rozradowanym uśmiechem: — Jakże inaczej tu się czuje i myśli, niż na równinie, albo na zamkniętej ulicy wielkiego miasta! A tymczasem różni władcy chcą koniecznie, aby wszyscy ludzie mieli jednakie uczucia i wyobrażenia religijne! Gdy w Warszawie spoglądam oknem na ulicę i pomyślę o Bogu, to wzorem wszystkich niezliczonych pokoleń podnoszę głowę ku górze, gdzie jest przestronno i gdzie ogrom pojęcia znajduje ogrom przestrzeni. Tu czuje się inaczej, swobodniej, górniej...

— Gdy się patrzy na Giewont, a jednocześnie ma się w sercu miłość i dobroć — dopowiedział Regier, przypominając sobie jakąś sprawę bolesną. — Nie wszyscy spoglądają tu ciągle na Giewont i mało kto przesyca myśli miłością. Umarł tu kiedyś biedny suchotnik, ewangelik... — rzekł Regier i zawahał się, jakby żałował, że zaczął o tem mówić, ale Helena czekała na dalszy ciąg jego słów, więc dodał pośpiesznie: — Matka tego suchotnika, uboga wdowa, nie miała za co przewieźć zwłok do miasteczka w Lubelskiem, gdzie mieszkała, a tu dobrzy chrześcijanie nie chcieli użyczyć jej skraweczka ziemi na cmentarzu. Widziałem tę płaczącą wdowę. Było to takie straszne...! Musiałem myśleć o tem, jakie to obojętne, że istnieje miłosierny Bóg, skoro jego wyznawcy są tacy okrutni i dzicy...

— I co się stało? — wyszeptwała Helena.

— Właśnie, że nic. Nie zstąpił z nieba anioł z płomiennym mieczem, aby obronić płaczącą wdowę... przed wyznawcami miłości chrześcijańskiej. Kilku ludzi wstydlivej i dobrej woli złożyło się, aby pokryć koszt przewiezienia ciała. Straciłem wtedy dużo tej wiary w człowieka, która

do życia bywa nieraz potrzebniejszą od wiary w Boga. Tak bardzo chce się ludzi kochać, a oni tak często odpowiadają na to pragnienie nienawiścią!

— We Francji grzebią umarłych wszystkich wyznań na tych samych cmentarzach — rzekła Helena, usiłując złagodzić przykre wrażenie tej opowieści. — Nie wszędzie więc jest tak źle.

— Bo we Francji sprawy te nie zależą od miłosierdzia jedynobawczego wyznania — odpowiedział Regier z gorzkawym uśmiechem. — Kieruje tam niemi wyklinana bezbożność i dlatego ujawnia się w nich tyle miłosierdzia, elementarnej dobroci i sprawiedliwości. Gdyby tam do władzy powróciła prawowierność i pobożność... Dajmy zresztą spokój! — machnął ręką.

— Nie, nie dawajmy spokoju tym ponurym rzeczom i przemieniajmy je w lepsze, sprawiedliwsze, piękniejsze! — zawołała Helena z zapałem.

— Gdybyż było wiadomo, jak to zrobić! — rozłożył ręce bezradnie.

— Pragnienie światła jest niepokonalne — mówiła Helena. — Jakże rozległem jest już dzisiaj jego panowanie! Światło jest potrzebne i musi zwyciężyć.

— Niestety i ciemnota jest potrzebna. Pomyśl tylko, Helu, co stałoby się ze wszystkimi politykami świeckimi i duchownymi, którzy żyją z ciemnoty mas! Dopóki ciemnota będzie dawała korzyści sprytnym jednostkom, dopóty będzie krzewiona i podtrzymywana pod osłoną najszczytniejszych haseł. Zresztą często rozum bywa bardzo oświecony, a uczucie upiera się przy starych nałogach. Rozum nie zdoła nigdy zrobić tego, co robi charakter uczciwy i rzetelny.

— Człowiek jest omylny — westchnęła Helena. — Im więcej ma światła, tem mniej sobie ufa. Tak gorąco łaknęłam zawsze prawdy bezwzględnej, namacalnej, niezmiennej po wieki wieków! Dzisiaj wiem, że prawda jest jak słońce, ale wzrok ludzki jest słaby i niejednaki. Średnio-wieczny kamień filozoficzny i nieomylność papieska to dwa wyrazy pragnienia potęgi i spokoju.

Regier spojrział na żonę z dużym zainteresowaniem.

— Będąc katoliczką miałaś nad sobą autorytet nieomyślności i znasz go z doświadczenia. Czy ci nie wystarczył?

— To takie dziwne — mówiła Helena powoli i niemal szeptem, jakby odpowiadała samej sobie. — Dopóki ten autorytet nie był mi potrzebny, nie myślałam o nim, a kiedy stał się potrzebny, abym się mogła na nim oprzeć, spostrzegłam, że est mi on zupełnie obojętny.

— Jakże to? Obojętny? — zdziwił się Regier.

— Za dużo znałam historii, aby mi mógł wystarczać pod względem umysłowym. Wszak nieomyślność papieska miała być dziedzictwem Piotrowem, a Piotr był bardzo omylny i chwiejny. Nie zrozumiał swego Mistrza przy Cezarei Filipa, wyparł się go w chwili decydującej, a potem... Czy nie zastanawiało cię, że apostoł Paweł gromił go za brak zasady, a nawet dwulicowość? To są fakty, nad którymi umysł niełatwo może przejść do porządku. Zaś uczuciowo autorytet nieomyślności na nic mi się nie zdał, skoro sama jestem omylna i nie mogę ustosunkować się do nieomyślności inaczej, jak tylko omylnie. Wreszcie, traktując sprawę od strony moralnej, jasnym jest że Bóg nie będzie nas sądził za brak znajomości dogmatów i historii Kościoła, ani za brak bystrości w odróżnianiu wniosków logicznych od nielogicznych... Przecież Kościół rzymski sam uznaje, że objawienie Boże zostało w żydostwie przechowane wiernie, chociaż nie było w niem autorytetu nieomylnego. Bóg nie żąda od człowieka rozległej wiedzy, ale dobrej, uczciwej woli.

Regier spoglądał na żonę, jakby ją widział po raz pierwszy. Mówiła o rzeczach ciekawych i zastanawiających. Było mu wstyd, że sam nie zdobył się na takie proste spostrzeżenia i uwagi. Rodziło się w nim uczucie podziwu dla Heleny, a jego szczęście nabierało postaci zgoła nowej, niespodziewanej. Nieoczekiwane bogactwo myśli Heleny dawało mu uczucie zadowolenia, jakie rodzi się z wielkiego dostatku. Jednocześnie było mu żal, że tyle lat przeżyli oddzieleni od siebie, nie znający się, obcy, dalecy.

Dla powetowania sobie tych lat wielu, które minęły

bezpownotnie, Regier oddawał Helenie każdą chwilę życia. Odpowiadała mu tem samem i oto najniespodziewaniej dla siebie zrobił odkrycie, że banalne, oklepane słowo o jedności dwojga dusz, może się stać wspaniałą, cudowną rzeczywistością. Wiedział dużo i widział dużo. Ponieważ sprawa małżeństwa, powikłana dla niego tak tragicznie, musiała interesować go osobliwie — spustrzegł był już dawno, że konwencjonalizm związków małżeńskich przykrywa zbyt często wewnętrzną pustkę.

Cywilizację dzisiejszą nazywa się wszak chrześcijańską — mówił sobie Regier, — a w tej chrześcijańskiej cywilizacji powieść, teatr, pismo humorystyczne wydrwiwają bezustannie oszukiwanego męża. Nie oszukiwaną żonę, ale oszukiwanego męża. Dzieje się to w środowiskach, które wyznają i uznają zasady ascetyczne. Wiarołomstwo przestało już dawno być tragedją i stało się komedją, czy nawet farsą. Nieraz zachodził w głowę, jak to jest możliwem, że przy istotnym stanie rzeczy, może istnieć taka wysoka nadbudowa obłudy, kłamstwa, pozorów, błagi. Przecież sfery oświecone i nieoświecone, bogate i ubogie czytują te same powieści, chodzą na te same sztuki do teatru, czytują te same pisma humorystyczne, a słowo drukowane było i jest przecie wyrocznią. Gdzieś się komuś coś przysięga, później się tę przysięgę łamie, powieściopisarz i komedjopisarz powiadają, że dzieje się to z reguły, zdawałoby się, że trzeba koniecznie poważnie o tem pomyśleć, czy to jest dobrze, czy nie należałoby czegoś zmienić, aby zbudził się nowy szacunek dla prawdy, ale nic z tego! Tak samo, jak w świecie starożytnego pogaństwa, dla dzisiejszego prawowierne go „chrześcijanina“ oszukany mąż jest figurą śmieszną. Drwił sobie z niego kunktatorski Erazm z Rotterdamu w swojej „Pochwale głupoty“, opowiadają o nim stale pisarze najbardziej katoliccy, czy to Bourget, który katolicyzmem wikła tylko perypetje cudzołóstwa, czy to Huysmans, lubujący się w skomplikowanej ohydzie bestjalskich wyuzdań ludzi zwyrodniałych. Trudno byłoby znaleźć wybitnego pisarza, który w taki czy inny sposób nie ignorowałby całkowicie nakazów kościelnych dla swoich celów

powieściopisarskich. I nie o zmyslenia ich chodzi, ale o rzeczywistość odtwarzaną z wiernością aż brutalną. Nawet w średniowiecznej powieści rycerskiej, ascetycznej i katolickiej, tkliwa jasnowłosa Izolda oszukuje swego męża, króla Marka, z pięknym i miłym Tristanem; winę zwała się tu na jakiś mistyczny napój, a Boga oszukuje się naiwnie śmiesznymi obejściami formuł przysięgowych.

Na co ludzkosci potrzebne są te wszystkie kłamstwa? — rozmyślał Regier. Wyobraźnia jego przedstawiała mu nagle obraz świata, w którym wszyscy wiedzieliby o sobie wszystko do ostatecznych szczegółów. Zamilkłoby puste i zakłamane gadanie o prawdzie i prawdziwości, bo mówiłby czyny znane dokładnie. Regier był przekonany, że wiedza ludzka jest początkiem wszechwiedzy. Biorąc pod uwagę tempo szybkiego rozwoju wiedzy, dochodził do niespodziewanego i radosnego wniosku, że za lat sto, czy może jeszcze wcześniej, ludzkość stanie zdumiona wobec jakiegoś wielkiego odkrycia, które zmieni do niepoznania postać świata. Radjofonja i telewizja łącząca w sobie w isticie cudowny sposób najbardziej oddalone zakątki świata, zostanie tak udoskonalona, że ludzie na dwóch końcach świata, jak w bajce arabskiej, będą mogli w każdej chwili widzieć się i wiedzieć o sobie wszystko. Chyży, usłużny promień przeleci w okamgnieniu tysiące kil., wyszpera tajemnicę pustelnika w lesie dziewiczym Ameryki czy Australji i odrzuci ją na ekran zmysłnego aparatu. Na nic się nie zdadzą piękne słówka i gesty, bo wszyscy będą wszystko o sobie wiedzieli. Tylko, że rozwój stosunków międzyludzkich, będąc uzależnionym od rozwoju techniki, musiałby przyjść bardzo powoli, stopniowo, dając ludziom możność przyzwyczajania się do nowej sytuacji. Ale co byłoby, gdyby wszechwiedza zwała się na świat nagle i niespodziewanie! Jakie tragiczne rozczarowania spadłyby na ludzi! Przyjaciół widziałby, jak został zdradzony przez przyjaciela, mąż ujrziałby wszystkie wybiegi i wykręty, przy pomocy których oszukiwany był przez „kochającą żonę”, ojciec ujrziałby z przerażeniem, jak synowie jego nurzają w błocie jego dobre imię i powagę. Trudno wyobrazić sobie katastro-

fę większą i bardziej straszliwą! Złudzenia rozwiałyby się jak mgła poranna, bohaterowie, filantropi, ofiarnicy i asceci okazaliby się obłudnikami, tchórzami, egoistami, wyuzdańcami i krzywdzicielami wdów i sierot. Pogodny, obojętny i nudny świat przemieniłby się w najpotworniejszą wizję apokaliptyczną.

Stary świat niewiedzy, złudy, oszukaństwa, podstępu i obłudy, musiałby zginąć w płomieniach wstydu, a to, co przyszło po nim, musiałoby być piękne i czyste, jak pierwszy ranek stworzenia. Ale zanim do tego przyjdzie, czyż nie mógłby się ziścić sen Fausta o przenikaniu się dusz ludzkich prawdą i miłością? Czyż nieziszczalnemu miałby być człowiek dobry i czysty? Nic więcej, tylko dobry i czysty. Dwoje ludzi tak zespolonych z sobą, że między ich dusze żadne, najmniejsze kłamstwo wcisnąćby się nie mogło. Nie byłby wyłączony błąd, bo człowiek błędzi dopóki żyje, ale byłoby wyłączone kłamstwo, ta najgorsza ze wszystkich zbrodni.

Bo cóż z tego, że istnieją wspaniałe twory sztuki, że cywilizacja wznosi pałace, że olśniewa samą siebie arcytworami poezji i muzyki, gdy jednocześnie poza temi widomemi tworami i ponad nimi wznoszą się pod samo niebo gmachy kłamstwa i zbrodni? Kłamstwa wymuszonego przez panującą obłudę, narzucającą sumieniu ludzkiemu zewnętrzne pozory prawdy, pod którymi kryją się najohydniejsze postacie sprzedajności i szpetoty moralnej.

Zresztą intuicja jest tym organem duszy, który poza wszelkimi pozorami jasno i niewzruszająco wyczuwa podstęp i zdradę. Ludzie, którzy z sobą żyją latami pod jedną strzechą, nie mogą zataić sobie rzeczywistości, jeśli się sobą interesują. Życie bywa ciężkie i pochłania wszystkie spojrzenia na pracę powszednią; z dwóch przyjaciół stają się dwaj zaciekli współzawodnicy; małżonkowie obojętnieją sobie wzajemnie i nie mają czasu śledzić w sobie tych zmian, jakie zachodzą w ich duszach i malują się w oczach i ruchach, ale pewnego dnia ufające i wierzące oko spojrzy uważniej i jak w błyskawicy dostrzeże w twarzy kochanej i znanej coś obcego, czego w niej nie było. Nic nie wiado-

mo z tego, z czem ludzie chodzą do sądu, o nic nie można oskarżyć wyraźnie, na żadnych świadków powołać się nie można, a jednak nieomylny instynkt wewnętrzny daje taką absolutną pewność, jak to, że poza zjawiskiem ukryta jest istota rzeczy. Zrazu uczucie, płynące z tego poznania, jest straszliwe: odkryło się swoje własne osamotnienie, może hańbę, w każdym razie nieszczęście; ale potem przychodzi zobojętnienie. Bo cóż zrobić? Słowo najuroczystsze kłamstwa przesłoni prawdę rzeczywistości. Nie można niczego ustalić, wyjaśnić, przebaczyć, uczynić niebyłem w przeszłości i niemożliwym na przyszłość. Staje się tylko to jedno, że człowiek najbliższy i najdroższy przestaje istnieć, a obok oszukanego serca żyje już tylko zimny wróg, albo gorszy od niego człowiek obojętny, chytry, podstępny, po którym spodziewać się można wszystkiego. Niezawsze można od niego uciec.

O tych wszystkich rzeczach Regier myślał nieraz, bo widział małżeństwa niedobre i nieszczęśliwe. Widział ich tyle, że wydawało mu się nieraz, iż po krótkotrwałej miłości zawsze przychodzi zobojętnienie a nawet uczucie wrogie, towarzyszące bolesnemu zawodowi. Pożycie z Heleną odślaniało mu zgoła niespodziewane perspektywy. Rozumiał, że miłość jeśli ma istnieć, to musi rosnąć i potężnieć, musi więc być starannie pielęgnowana, jak szlachetna roślina egzotyczna. Był przekonany, że i Helena jest tego samego zdania. Że się nie mylił, o tem mówiło mu życie samo.

Jakby mimochodem, w sposób wysoce delikatny Helena mówiła mu o wszystkim, co mogłoby kiedykolwiek stanowić treść jego zapytań o jej przeżycia i doświadczenia. Zbacając przy sposobności na drogę zwierzeń, unikała jakiegoś tonu spowiedziowego i mówiła mu o sobie tak, jak się mówi o ciekawych zagadnieniach psychologicznych, o zdumiewających spostrzeżeniach, że jest się takim, a nie innym. Regier znajdował łatwo słowa odpowiednie i właściwy ton, aby na dyskretne zwierzenie odpowiedzieć zwierzeniami.

— Śmieszni są ludzie — rzekł pewnego razu po dłuższej rozmowie z Heleną — którym się zdaje, że gdzieś i kie-

dys można zawrzeć małżeństwo, jak chodziło o kupno domu czy instalację ogrzewania centralnego. Małżeństwa nie zawiera się pewnego dnia o pewnej godzinie i na pewnym miejscu, ale zawiera się je stale, przez całe życie. Tem właśnie istnieje, że jest bezustannie zawierane na nowo. Jeśli pewnego dnia nie zostanie odnowione, to...

— To co? — zaciekała się Helena.

— Sądzę — roześmiał się Regier — że w takim razie dwoje ludzi powinnyby doznać uczucia wstydu, iż udają coś, czem nie są. Małżeństwo musi być zawierane stale, już choćby z tego powodu, że ludzie z przed lat pięciu to nie ludzie dzisiejsi. Fizjologowie powiadają, że człowiek w ciągu lat kilku wymienia wszystkie komórki organizmu aż do ostatniej. Rzecz prosta, że zmienia się i charakter. Człowiek, którego znaleźmy i ceniliśmy przed dziesięciu laty za pewne rysy charakteru, może tych rysów już nie mieć, albo też może mieć odstręczające.

— A jeśli ja zmienię się na gorsze? — pytała Helena.

— Jestem przekonany, że tego nie uczynisz. Zresztą nie chodzi wszak tylko o ciebie. I ja mogę także stracić w twoich oczach, jeśli nie zachowam tych rysów, dla których przywiązałaś się do mnie. Moja troska o ciebie jest więc dla mnie troską o siebie. Musimy znać dobrze co jest w życiu naszym rośliną szlachetną, a co jest zielskiem, i pamiętać, że zielsko pleni się nawet, gdy jest pielone.

— Co do tego zielska, masz zupełną rację — zgodziła się Helena — ale co do reszty, rzecz ma się zgoła inaczej. Miłość jest, albo jej niema. Gdy jest, to wszystko czyni dla swego istnienia, to znaczy dla uszczęśliwienia człowieka kochanego, a gdy jej niema, to jej niema. Teorja jest tu tylko przemądrzałym świadkiem, któremu się zdaje, że swojemi radami i spostrzeżeniami może zmienić bieg sprawy.

— Może masz rację, Helu. Teorja jest tylko nieudolnym objaśnieniem spraw, które nie od niej zależą.

Przez chwilę milczał, jakby się zastanawiał nad czemś, co mu się w tej chwili przypomniało. Nagle pojaśniało mu

w oczach wielką radością i słowa płynęły spokojnie, ufnie, stanowczo, gdy mówił:

— W każdym razie, Helu, już żaden ksiądz mi cię nie odbierze dlatego, że jestem ewangelik i żaden Niebożęcki nie wydrze mi mego stanowiska z tego samego powodu. Dopóki mam miłość twoją i wiarę w ciebie, a zarazem możliwość pracy, niczego więcej nie pragnę.

Ktoś przyszedł, Helena musiała wyjść, a Regier zabrał się do roboty, której towarzyszyło uczucie zwycięstwa nad wszystkimi trudnościami, jakie stworzyła mu była ciemnota i zła wola. Pogodnie i spokojnie patrzył w przeszłość na nieznanego księdza, który odwrócił od niego nie serce Heleny, ale jej wolę złamaną przez nalegania domowników i namowy umierającej ciotki. Pracowicie wkładał jej ów ksiądz obowiązki prawowierności, aż zdawało się, że osiągnął swój cel. Lecz oto przyszło życie z największą swoją potęgą, miłością, i zburzyło dzieło nietolerancji wyznaniowej. I tak się to w życiu powtarza stale, że doktryna podobna jest do nożyc ogrodnika, czuwającego nad geometrycznymi kształtami parku francuskiego. Gdy ogrodnik postarzał się i nożyce wypadły z jego rąk, zwycięska przyroda pokonała jego dzieło bujnością życia i siłą wyższą od wszystkich innych sił.

Z wybaczącym uśmiechem przypominał sobie pocziwego Niebożęckiego i rozpacz obu kobiet, że oto nie otrzymał posady w Zabłoniu, bo nie jest katolikiem. Teraz spogląda wstecz i widzi, jak dobrze się stało, że tej posady nie otrzymał i jak wielką usługę oddał mu nieznanemu pisarz, który w gazecie rozwiódł się o jego herezji, dyskwalifikującej go jako nauczyciela młodzieży polskiej i katolickiej. Dzięki panu Niebożęckiemu mieszka w stolicy, ma pod ręką wszystko, czem służyć może dzisiejszemu człowiekowi wysoka kultura wielkiego miasta, ma pracę nie tylko miłą mu, ale i cenioną przez innych...

Nie, naprawdę, niema tego złego, które nie wyszłoby na dobre — powiedział sobie z głębokim przekonaniem. Był pewien, że wszelkie udręki płynące ze źródła nienawiści i nietolerancji należą dla niego i dla Heleny do bez-

powrotnej przeszłości. Szczęście zostało zdobyte ciężko, ale nic go już zakłócić nie zdoła.

Mylił się, nie przypuszczając nawet, jak bardzo się myli.

* * *

Życie Regiera układało się w pewien równomierny schemat i byłoby płynęło bardzo spokojnie, ale Regier należał do natur, dla których wszelka postać pokoju bywa zawsze tylko odskocznią dla szukania nowych zadań. Zajmując się socjologią i filozofją w czasach swojego wożowania po Europie, stworzył sobie własny światopogląd. Według niego, człowiek spokojny i zadowolony z czegoś osiągniętego, jest szkodnikiem, bo przez stagnację sprawdza cofanie się kultury, zaś niezadowolenie z tego, co istnieje, budzi pragnienia coraz wyższe, szafasy przebudowuje w pałace, magję szatańską przemienia w wiedzę ścisłą i pewną, pokonywa trudności przestrzeni i czasu, pustynie przekształca w kwitnące ogrody, a na wszystkie dostrzeżone gdziekolwiek tajemnice rzuca jasne promienie poznania. Regier rozumiał, że niema i nie może być życia bez stałej ewolucji, czyli bez przemian w kierunku doskonałości. Ewolucja była dla niego rewolucją rozłożoną na stulecia, zaś rewolucja wydawała mu się raptownym i gwałtownym skrótem hamowanej ewolucji. Gdzie była stała ewolucja, tam rewolucja była niemożliwa, podobnie, jak nieuniknioną była rewolucja wszędzie, gdzie krótkowzroczny despotyzm hamował ewolucję. Dzieje świata były dla niego dziejami umysłów ludzkich, charakterów i temperamentów. Gdzie rządził rozum, tam panował ład, gdzie zagnieźdzał się sentyment, tam panował chaos. Podczas swoich licznych podróży po różnych krajach, nieraz musiał zadawać sobie pytanie, dlaczego bogato wyposażona Hiszpanja jest uboga i ciemna, a taka naprzykład malutka Holandja, wydzierająca morzu ziemię swoją piędź za piędzią, jest bogata? Przeciwstawiał kraje północne Europy i północnej Ameryki krajom południowym i szukał przyczyn bogactwa krajów ubogich i ubóstwa bogatych. Bo

wszak kraje północne nie mogą równać się z południowemi co do bogactw naturalnych. Na północy człowiek musi walczyć z tysiącami trudnościami, jakich południowiec nie zna, a jednak rzecz dziwna: człowiek południowy jest ubogim w porównaniu z północnym, tak bardzo upośledzonym przez naturę. Ten paradoks historyczno - socjologiczny dawał dużo do myślenia. Czy człowiek zbożycił się na północy w walce z przyrodą właśnie dzięki temu, że zmuszony dużo myśleć, rozwinął w sobie zdolności umysłowe i wyprzedził niemi południowca? Czy pokonywając niezliczone trudności rozwinął w sobie własności i przymioty charakteru, których brak południowcowi?

Szukając odpowiedzi na to pytanie, Regier nie mógł nie dostrzedz, że kraje północne zamieszkałe są przez ewangelików, zaś południowe przez katolików. Oczywiście, nie wysnuł z tego wniosku, że ewangelicyzm zbożyci, a katolicyzm zuboża, ale powiedział sobie, że niezawodnie istnieją pewne dyspozycje duszy, które wyhodowane przez trudności życia na północy, przekładają niejako z nałogu wszystko co trudniejsze i mniej dostępne, nad rzeczy łatwe i szybko osiągalne. I ta tężyzna jaka się wytwarza w człowieku walki, staje się jego bogactwem. Człowiek taki różni się od zwolennika kwietyzmu i kontemplacji. Inaczej działa i inaczej myśli. Na południu człowiek staje się zależnym od przyrody, która bywa rozrzutna, chociaż bywa także kapryśna, na północy człowiek czuje się zależnym wyłącznie od swej własnej dzielności i przemyślności. Stąd wypływają pewne konsekwencje także w dziedzinie wartości moralnych, a przedewszystkiem w dziedzinie religji. Człowiek północy sam staje wobec wiekuistej zagadki i okiem ducha spogląda w nią nieustraszenie, człowiek południa pozostawia ją innym, a sam zadawalnia się wiarą w tych innych ludzi. Różne nazwy możnaby dawać tym dwom różnym typom: uczuciowca i rozumowca, optymisty i pesymisty, zainteresowanego i obojętnego, chołeryka i sangwinika, zależnie od tego, czy nacisk położy się na stronie intelektualnej, afektywnej, czy charakterowej.

Szukając odpowiedzi na pytania związane z takim sta-

nem rzeczy, Regier zawsze i przedewszystkiem myślał o Polsce, która czyniła wyłom w jego schemacie jako wyjątek w regule. Należąc do ludów północnych, religijnie pozostała niezdecydowana, bo w gruncie rzeczy nie przyswoiła sobie katolicyzmu w tej mierze, jak Hiszpanja, Irlandja lub Niemcy katolickie, a zarazem pozostała daleką od proletanckiego sposobu myślenia i odczuwania. Być może, iż dlatego właśnie to jej niezdecydowanie zachęcało dwa wrogie jej światy do walki o nią. Podczas gdy Rzym panował nad nią szeroko, ale płytko, myśl rosyjska z jednej strony a niemiecka z drugiej, usiłowały przeniknąć w głąb jej duszy, zdobyć ją dla siebie. Regier nie mógł zamykać oczu na fakt, że w Polsce było jednakże bardzo dużo obcego, niepolskiego. Choćby w ostatnich czasach, budowali ją Niemcy i Rosjanie na obraz i podobieństwo swoje. Rzym budował katolicki kościół i katolicką duszę, Niemiec przemysł, Żyd handel, Rosjanin więzienie i cytadele, inni cudzoziemcy wnosili pośrednio lub bezpośrednio wiele rzeczy specjalnie swoich, lub międzynarodowych. Oświecony Polak przyswajał sobie bardzo łatwo to, co przychodziło z cywilizowanej zagranicy, a masy ludowe dźwigały swoje jarzmo w rezygnacji i obojętności wobec tego wszystkiego, co sobie w Polsce robi Rzym, Moskwa, Niemiec...

Regier był oczywiście przekonany, że wpływy obce przyciągane są przez jakieś polskie vacuum duchowe i że skończą się dopiero wówczas, gdy z Polski ruszą potężne prądy na wszystkie strony świata. Aby się to stać mogło, musi nastąpić pewna pełnia duchowa, a potem przepełnienie tak silne, iż mogłyby powstać prądy odśrodkowe. Musi powstać bogactwo duchowe jako podstawa bogactwa materialnego, a potem to bogactwo materialne musi stać się podwaliną dla kultury intensywnej. Czasem, w rozmowie z Rutkowiczem Regier wpadał w szewską pasję, gdy jakieś zdarzenie wskazywało mu na to, że buduje się potęgę państwową, niby olbrzymie naczynie, a nie wiadomo, co się w to olbrzymie naczynie wleje.

Od pewnego czasu stało mu się jaśniejszem, niż kiedykolwiek, że wszystkie dolegliwości polskie pochodzą wy-

łącznie z braku idei. Mówił o tem przy każdej nadarzonej sposobności, a nawet pisywał, a o trafności swego poglądu był tak głęboko przekonany, że i sam się zapalał i innym udzielał swego zapалу, albo pobudzał ich do ostrej opozycji. Pewnego wieczoru po przeczytaniu jakiejś polemiki między dwoma zasadniczo przeciwnymi sobie obozami na temat potęgi zbrojnej państwa, rzucił się na przychodzącego w gości Rutkowicza, jakby to on był winien owej polemice, streścił mu w kilku słowach spór gazeciarski i rzekł:

— Czy ty rozumiesz takie rzeczy? Ja nie. Mam wrażenie, że buduje się ogromnie mocną kasę pancerną dla przechowania w niej jakiegoś wyjątkowo wspaniałego brylantu. Ale tego brylantu niema...

— Nie znam się na biżuterji — odpowiedział Rutkowicz — któremu nie chciało się wdawać w dyskusje zasadnicze.

— To nie jest biżuterja, tylko oburzenie — pouczał go Regier, udając, że nie rozumie drwiny przyjaciela. — Chodzi o ideę. Jeśli bez ilustracji nie rozumiesz, to weźmij sobie Ateny i Spartę. Ateny, jak było potrzeba, umiały stanąć w obronie swojej wolności, a wolność ta była im potrzebna na stworzenie tej wspaniałej kultury, którą żyjemy jeszcze i my, zaś Sparta stała na straży swej jałowości duchowej, uzbrojona po zęby. Gdyby Spartanin był rozumiał, że wolność jest przecie tylko środkiem do jakiegoś celu, to byłby się może pod niejednym względem upodobił do Ateńczyka, ale jemu nawet przez myśl pewno nie przyszło, że wolność będąca celem samej sobie, jest absurdem.

— No dobrze, dobrze, ale skąd tak odrazu wytrąsniesz ideę? — nacięrał Rutkowicz.

— Widać zaraz, że tych rzeczy nie doceniasz i nie myślałeś o nich należycie — zachnął się Regier. — Idei nie tworzy się na kolanie; ona przychodzi mimochodem, gdy jednostka czy społeczeństwo zabiera się poważnie do jakiego dzieła. Gdy jakieś społeczeństwo postanowiło rozwiązać jedną z trudności dzisiejszego świata i gdyby wola jego zdołała skupić dokoła siebie wszystkich, lub choćby

tylko niektórych, to już byłoby na drodze do idei, czyli na drodze do źródła siły. Doskonalenie pewnej wytwórczości, budowanie czegoś nowego, wynajdowanie środków do usunięcia braków i potrzeb, to pęd energii, który przekształca ducha i świat.

— To są rzeczy bardzo skomplikowane... — machnął ręką Rutkowicz. — Życie jest nieskończenie większe od wszelkich myśli o niem. Idea to niewyraźna myśl o bardzo wyraźnych sprawach. Anglik nie dorabiał floty do idei, ale idea przylepiła się do floty jak etykieta do butelki wystającego wina. Mylisz się, że o tych rzeczach nie myślałem. Logicznie, idea wyprzedza rzecz, ale w życiu pierwszeństwo ma sprawa, a dopiero potem przychodzi imię.

Regier słuchał uważnie, jakby pod wpływem słów przyjaciela kontrolował swoje własne przekonania i poglądy.

— Można rzecz wyrazić i tak — zgodził się wreszcie — ale dla mnie nie ulega wątpliwości, że idea Anglii była już w pierwszej jej fregacie i właśnie dlatego, że ta idea żyła, powstała z czasem taka wielka flota. Na początku było słowo, mój kochany. Trzeba wiedzieć, dokąd się idzie i czego się chce. W naszym wypadku obok zagadnienia technicznego, jak istnieć między dwoma wielkimi i niebardzo życzliwymi narodami, jak zachować sobie wolność i niepodległość, mamy zagadnienie moralne, na co użyć wolności, jak wyzyskać ten boski dar, pozwalający na przekształcenie części świata, czy nawet całego świata na obraz i podobieństwo swego ducha.

— Więc co każesz robić? Życie narodu to żywioł. Nie chodzi o to, aby mieć jakiś idealny ustrój, ale mądrych, uczciwych ludzi. Anglik ma konstytucję ogromnie zacofaną, ale jednocześnie jest najwolniejszym na świecie człowiekiem, w Rosji ustawa zapewnia maximum wszelkich wyobraźalnych wolności, a Rosjanin jest niewolnikiem. Gdyby nasza konstytucja była o połowę mniej liberalną, ale wcieloną w życie, to byłoby nam wszystkim lepiej, bo dzisiaj jest na papierze, a nad życiem panują potęgi zgoła nieliberalne i ciemne. Zresztą i my mamy swoją ideę...

— Mamy? — przerwał mu Regier zdziwiony i zaniepokojony.

— Naturalnie — przyświadczył Rutkowicz. — Mamy ideę mechanizacji i unifikacji życia. Nasi mężowie stanu — uśmiechnął się Rutkowicz — uważają, że wszystko byłoby dobrze, gdyby wszyscy obywatele byli do nich podobni z wyznania religijnego, uczuć narodowych i przekonań politycznych. Stąd we wszystkich programach zawsze i wszędzie wysuwa się na czoło oklepane jedności wiary, języka, obyczajów, jakby to trzeba było robić specjalnie i jakby to się zrobić dało. Anglja ma w każdym miasteczku dwadzieścia sekt religijnych, a jej językiem mówi sto kilkadziesiąt milionów ludzi. Ameryka poszła jeszcze dalej pod tym względem, a jej obyczaj naśladowany jest w wielu wypadkach i u nas. My powtarzamy sobie bezustannie, że w jedności siła i forsowaniem tej jedności rozbijamy ją i tam, gdzie ona istnieje... To jest dowcipne...

— Ależ w takim razie mamy zupełnie jednakie poglądy — zawołał Regier — i nie rozumiem dlaczego zacząłeś od udawania, że nie rozumiesz, o co mi idzie. Widzisz, mnie zawsze tak okropnie irytuje, gdy widzę, że do nas trafia moda golenia się po amerykańsku, ubierania się w kratkę, palenia fajki, a nie może do nas trafić troszkę amerykańskiego rozumu i energii.

Rutkowicz nie odpowiedział i pogрузzył się w myślach, widać było, że się nad czemś głęboko zastanawia i nie może dojść z samym sobą do ładu.

— Słyszałeś — ozwał się po chwili — że się szykuje nowe przesilenie rządowe?

— Słyszałem — odpowiedział Regier — ale się takimi rzeczami nie przejmuję. Niema w tem nic niezwykłego. Przesilenie co pół roku, czy co dwa tygodnie, to kwestja przyzwyczajenia. Jeśli w Ameryce i Anglji siła jest w rozbieżności, to u nas może siłę wytworzy zasada niestałości — uśmiechnął się Regier. — Czy zanosz się na jakie niezwykle przesilenie.

— Mnie irytuje ta zwykłość przesilen — rzekł Rutkowicz. — Gdy się jakiemu z panów partyjników zachce rzą-

dzić, to organizuje odpowiednie głosowanie, a po niem spaceruje do pałacu rady ministrów.

— Aż do następnego głosowania.

— Które nie każe na siebie długo czekać. Moznaby się i tak pocieszać — mówił Rutkowicz — ale ostatecznie powstaje pytanie dość ważne, kiedy w Polsce wejdzie w życie konstytucja, kiedy uporządkowane zostaną sprawy związane z zasadą wolności sumienia mniejszości narodowych, kiedy reforma rolna z papieru przejdzie w życie? Tymczasem mamy takie sobie kontredansy partyjne.

— W braku czego innego, dobre i to — machnął ręką Regier.

— Może masz rację. Trzeba nie przejmować się.

— A tyś się pewno przejął? — roześmiał się Regier.

— Tak — odpowiedział Rutkowicz. — Bo ty się nie przejmujesz takimi rzeczami?

— I jak jeszcze! — przyznał się Regier z komiczną powagą. — Ale spostrzegam, że wydarzenia następują po sobie tak często i w takim monotonnym rytmie, iż same sprowadzają uczuciową obojętność. Zresztą dobrze jest być jednym z paru milionów obojętnych.

— To się nim stań.

— Stanę się z wszelką pewnością — zapewniał Regier. — Głupstwo i monotonia nudzą, a patrzenie na macherów partyjnych także do wielkiej przyjemności nie należy. Gdybyż w tem wszystkim było przynajmniej tyle poczciwości, co wśród przygodnych muzyków „Kwartetu” Kryłowa, którym zdawało się, że wszystko pójdzie dobrze, gdy się poprzesiadają, to moznaby się uśmiechać, ale gdy chodzi o mniej idealne skłonności muzykanckie, to czas najwyższy czytać mądre książki albo uprawiać sport.

— Czytać mądre książki... — powtórzył sobie pod nosem Rutkowicz. — Gdzież je masz, te mądre książki?

— Sprowadzam z Francji, z Niemiec, czasem z Czechosłowacji, od czasu do czasu i u nas coś napiszą. Można jakoś wytrzymać.

— Pocieszyłeś mnie — rzekł Rutkowicz — więc sobie pójdę. A jakie książki czytać najlepiej?

— Historję sztuki, literatury, historję religii rzymskiej za Augusta, Sumę teologii Tomasza z Akwinu albo o pochodzeniu gatunków Darwina — wszystko to jest równie skuteczne. Gdybyś chciał studjować psychoanalizę Freuda albo napisy klinowe, to mógłbym ci służyć bardzo dobrze wydawnictwami przedwojennymi...

— Wybór jest duży w każdym razie — mówił Rutkiewicz, żegnając się z przyjacielem. — Jak znowu będę zgryziony, to wpadnę do ciebie. Ogromnie się uspokoiłem.

— Przyjdź kiedy, jak będziesz niezgryziony, to cię przyprowadzę o szewską pasję — zapraszał go Regier.

— Szewskiej pasji mam sam dosyć. Gdyby było na nią zapotrzebowanie takie, jak na przykład na saletrę chilijską, to mógłbym zrobić świetny interes. Do widzenia.

Odprowadziwszy przyjaciela do drzwi, Regier powrócił do gabinetu i zabrał się do roboty, ale tego wieczoru nie było mu sądzonem pracować, bo po niedługiej chwili wróciła do domu Helena i odrazu przyszła do niego zmiłą bardzo zatroskaną. Chociaż próbowała się uśmiechać, niebardzo sę jej to udawało. Regier nie wytrzymał i zapytał:

— Co się stało?

— Może nic, może mi się tylko zdaje — odpowiedziała i zawahała się.

— Byłaś u Ludki? — Regiera już dawno niepokoiło postępowanie Iweckiego i obawiał się, że pozycie Ludki szczęśliwem nie jest.

— Tak — powiedziała krótko i cicho, jakby w tem krótkim przyświadczeniu była cała opowieść.

— Powiedziała ci co?

— Skądże znowu! To są wszystko moje spostrzeżenia i wnioski. Może nie mam racji, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Ludka nie jest szczęśliwa z tym Iweckim. Mówiłam ci już, że spotkałam go kilka razy z tą panią z kresów...

— Z panną Madzią.

— Aha. Zrazu starałam się uspokoić, że to jest jego pupilka, którą w dodatku sam mu poleciłeś, ale to nie jest

tylko pieka życzliwego człowieka... Stanowczo nie — do-
... z naciskiem. — A w dodatku Ludka popłakuje; nie
mam już co do tego wątpliwości, chociaż ona ukrywa się
ze swoją biedą. Tam są nieporozumienia.

— Ale jakie? — nalegał Regier.

— Najgorszymi byłyby takie, które rodzą się z braku
miłości. To jest jedyne złe nieporozumienie w małżeństwie.
Wszystko inne to drobiazgi.

Oboje zamyślili się nad smutną rzeczywistością, o któ-
rej nie chcieli i nie mogli mówić. Jakimś szczątkiem na-
dziei łudzili się, że może to wszystko ich przywidzenie,
ale jednocześnie zdawali sobie sprawę, że gdy dochodzi do
takich spraw, które najbardziej ogólnikowo i eufemistycz-
nie nazywa się nieporozumieniami, to zazwyczaj sprawa
jest już nie do naprawienia. Można ocalić pozory, gdy na
ich ocaleniu bardzo zależy, ale znikającej miłości siłą utrzy-
mać nie można.

— Nie rozumiem doprawdy... — mówił Regier, trąc
czoło.

— Sprawa nie jest zbyt trudna do zrozumienia — od-
powiedziała Helena. — Przypuszczam, że Iwecki zainte-
resował się panną Madzią. Jak daleko idzie to zaintereso-
wanie i jakie wypłyną z niego w dalszym ciągu konsekwen-
cje, to narazie określić dość trudno, ale pewnem jest, że
na takim człowieku, jak Iwecki, oprzeć się na przyszłość
nie można, nawet gdyby doszło do pojednania chwilowego.

— Dlaczego? — zapytał Regier, któremu serce ści-
skało się na samą myśl tych wszystkich powikłań, jakie
czekały jego kochaną siostrzenicę. Przypomniał ją sobie,
jak serdecznie krzątała się ongi, aby go zbliżyć z Heleną
i jak szukała w nim powiernika podczas jego pobytu w
Zabłoniu.

— Ludka jest ładna, wytworna i mądra a zarazem jest
to charakter nawskroś czysty. Człowiek poważny musiałby
się czuć szczęśliwym, mając taką żonę. Jeśli Iwecki od-
wraca się od niej, to wartości moralne niemają dla niego
żadnego znaczenia... Nie chodzi tu o pobłądzenie zapewne,
ale o wyraz natury. Czy znasz go bliżej?

— Nie znam — odpowiedział Regier, ale w duchu przepowiadał sobie jego słowa o majątku i jego poglądy na wartość środków użytych do zdobycia pieniędzy. Pomyślał, że jeśli inne jego poglądy są równie radykalne pod względem obojętności moralnej, to można się po nim spodziewać wszystkiego. — Nie, niestety, bliżej go nie znam — powtórzył ciszej, niby wyrzut pod własnym adresem, że niedość czuwał nad szczęściem młodej dziewczyny, której powinien był przecie zastąpić zmarłego ojca. — Co robić? — westchnął bezradnie.

Helena nie zaraz odpowiedziała. W myślach przebiegła wszystkie sposoby dowiedzenia się całej prawdy, ale niebardzo wiedziała, co należałoby zrobić, gdyby było wiadomo, że Iwecki odwraca się od Ludki i że jego zainteresowanie się panną Madzią może mieć jakieś dalsze konsekwencje. Ludka będzie się do ostatka trzymała nadziei i będzie zamykała oczy na oczywistość, a poza tem starać się będzie ukryć istotny stan rzeczy zawsze głęboko upokarzając dla krzywdzonej kobiety.

— Będziemy musieli czekać zupełnie bezradnie — odpowiedziała po namyśle. — Ludka nie zerwie z nim, bo go zapewne pomimo wszystko kocha, a w dodatku nie wyobrażam sobie matki, która wszelkimi siłami nie starałaby się utrzymać przy sobie ojca swego dziecka. To jest bardzo śmieszne, ale niemniej prawdziwe, że pokrzywdzona kobieta ma jakąś niedorzeczną myśl własnej winy i doznaje uczucia wstydu za to, że ją wybrany mężczyzna rzuca. Będzie więc cierpiała i milczała, aby tylko uniknąć konieczności nazwania rzeczy po imieniu choćby wobec matki, która była przeciwna temu małżeństwu.

Regier słuchał uważnie i zastanawiał się nad każdym słowem Heleny.

— Nie! — rzekł stanowczo — do tego nie dopuszczę. Przecie to byłoby skazywaniem się na poniewierkę ze strony tej biednej Ludki! Nie miałem pojęcia, że może się coś podobnego stać, że spotka to taką dobrą, ufną i szlachetną kobietę, jak Ludka, bo byłbym stanowczo zapobiegł temu

fatalnemu związkowi. Ale gdy się już stało, trzeba koniecznie tę sprawę wyjaśnić i skończyć tak albo tak.

Helena uśmiechnęła się boleśnie. Przypomniała sobie własne swoje bolesne doświadczenia długich lat udręki i rzekła:

— Niczemu nie byłbyś zapobiegł i nic nie byłbyś zdołał zrobić, chyba przymusem, więc nie czyn sobie wyrzutów. A dzisiaj, gdybyś zaczął mówić z Ludką o tych rzeczach, których się ledwo domyślamy, to cię szlachetnie oszuka, że jest zupełnie szczęśliwa i że Iweckiemu nie można niczego zarzucić.

W nocy obudził się Regier z uczuciem, jakby zamiast na łóżku spoczywał na kamieniach. Tak jakoś niewygodnie było mu na świecie. Poprawiał sobie poduszkę, ale raptem sen odleciał od niego na dobre. Przypomniała mu się sprawa Ludki. Lepiej, niż wieczorem rozumiał, że jej się dzieje krzywda. Ale jaka? Iwecki przestaje ją kochać? — powtarzał sobie to pytanie kilka razy i nie mógł zrozumieć, dlaczego miałoby tak być? Przypomniał mu się wieczór w Zabłoniu i zwierzenia Ludki na spacerze, zakończone wybuchem jej serdecznego płaczu.

— Nie śpisz, Stachu? — ozwał się szept Heleny.

Drgnął, przyłapany niespodzianie na swoich posępnych myślach o Ludce. Zdziwił się, że Helena nie śpi i zaniepokoił się tem. Odgadywał, że i ją zbudziła podświadoma troska o Ludkę.

— A ty? — zapytał wymijająco.

— Tak mi się jakoś nie śpi — odpowiedziała. — Marynia widać za dużo napaliła.

— Rzeczywiście — czeplił się chętnie tej sposobności zepchnięcia bezsenności na Marynię. — Trzeba jej powiedzieć, żeby w sypialni już nie paliła, bo przecie już wiosna.

— Tak, ale jeszcze bywają dni bardzo chłodne.

Przez długą chwilę było cicha. Oboje łowili swoje oddechy, aby się dosłuchać powrotu snu i każde udawało śpiącego. Wreszcie Helena nie wytrzymała.

— Nie martw się, Stasiu — szeptała w nocną ciszę — wszystko będzie dobrze.

Gdy zaczynało szarzeć, zasnął mocnym snem, zmęczony zgrzyzotami i troskami. Obudził się o ósmej, a chociaż pierwszą lekcję miał dopiero o dziesiątej, wstał, ubrał się szybko i po śniadaniu wyszedł na miasto. Na najbliższym przystanku wsiadł do tramwaju i pojechał do Iweckich.

Służąca otworzyła mu i wyjątkowo grzecznie poprowadziła go do saloniku.

— Ale pani niema — rzekła zakłopotana. — Miałam właśnie zawiadomić pana profesora, że pojechała na parę dni do Zabłonia.

— Czy pojechała tylko z Jureczkiem?

— Tak... Pani nie chciała żebym jej towarzyszyła — tłumaczyła się dziewczyna.

Regier stał przez chwilę przygnębiony, niezdecydowany. Nawet sobie nigdy nie wyobrażał, że taka prosta rozmowa mogłaby być tak ciężką.

— A pan major? — zdecydował się wreszcie na pytanie.

— Jeszcze nie wrócił.

— Aa, nie wrócił!... — wyrwało się Regierowi.

— Z Gdańska. Pewno dłużej tam będzie, bo to służbowo — mówiła dziewczyna. — Pani zostawiła mi depezę, żebym zaraz wysłała, jak tylko pan przyjedzie.

— No to dobrze — uśmiechnął się do niej — niech Andzia zaraz wyśle tę depezę, jak tylko pan major przyjedzie.

* * *

Płynęły znowuż dni i tygodnie w głuchym milczeniu wewnętrznym. Nie rozmawiał z Heleną o Ludce, wstydząc się za ludzi, czy za los, a Helena mówiła także o wszystkim innym, tylko nie o niej, jakby zagadywała to, co ich oboje z tak bliska obchodziło, niepokoiło i bolało. Nie przyznając się do tego, oboje zachodzili często do mieszkania Iweckich, aby się czegoś dowiedzieć. W przeciągu tych kilku tygodni Ludka napisała do nich jeden raz tylko, że ponieważ mąż jej przez dłuższy czas bawić musi służbowo poza Warszawą, wyjechała do matki, bo w Warszawie by-

łoby jej samej zbyt smutno. Prosiła, aby od czasu do czasu zajrzeli do jej mieszkania.

Regier czynił to bardzo często. Razu pewnego, gdy przed lekcjami miał jeszcze dużo czasu, pojechał znowu do mieszkania Iweckich i dowiedział się, że pan major przyjechał.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

— Telegrafowałaś?

— Nie, bo pan zabrał tylko niektóre swoje rzeczy i papiery i zaraz pojechał na kolej.

— Ach tak... No, a kiedy znowu przyjedzie? — pytał, cedząc z trudem słowa.

— Nie śmiałam się pytać, bo pan major bardzo się śpieszył.

Stał jeszcze chwilę, jakby chciał o coś zapytać, czy coś usłyszeć, ale nie zdobył się na pytanie. Było mu ciężko. Rozumiał, że służąca musi się przecie domyślać, jak smutnie rzeczy stoją i że niema sposobu, aby zostały przed nią zatajone, czy upiększone. Zdawał sobie sprawę, jak upokorzącym bywa czasem współczucie ludzi obcych, szczęśliwych, spokojnych i w gruncie rzeczy obojętnych na cierpienia innych.

— No, dobrze, Andziu — rzekł, siląc się na uśmiech — niech Andzia dobrze pilnuje mieszkania. Do widzenia.

Gdy schodził ze schodów, pomyślał, że Andzia może nie ma pieniędzy. Major się o to nie zatroszczył. Ludka mogła w swoim zmartwieniu zapomnieć. Sięgnął do kieszeni, dobył z portfela kilka papierków i zawrócił na górę. Gdy zadzwonił i gdy dziewczyna mu otworzyła, zakłopotał się i stropił. Nie pomyślał nawet, jak to umotywić, że jej daje pieniądze.

— Zapomniałem powiedzieć Andzi — zaczął się tłumaczyć, podając jej pieniądze — że mi pani majorowa piła...

— O, proszę pana, ja mam jeszcze dużo pieniędzy — zapewniła go Andzia. — Pani mi posłała zaraz na drugi tydzień pocztą.

— Aha, więc Andzia jeszcze ma. To dobrze, a jakby było potrzeba, to proszę do nas każdej chwili.

Gdy się znalazł na ulicy, stało mu się jasnym, że sprawa jest daleko smutniejsza, niż mu się zrazu zdawało. Iwewki wpadł do domu, jak do hotelu, zabrał ubranie i papiery i pojechał sobie. Biedna Ludka siedzi w Zabłoniu i posyłała służącej pieniądze, otrzymywane widać od matki. Przyszło mu na myśl, że już dawno nie zatroszczył się o swoją siostrę, aby się dowiedzieć, jak się jej powodzi i czy jest zdrowa. Robił sobie z tego powodu wyrzuty i był smutny.

Szedł Aleją Ujazdowską w stronę Nowowiejskiej i starym utartym szlakiem z czasów niedawnych, ruszył w stronę lotniska Mokotowskiego na ulicę Topolową, gdzie tyle razy bywał u staruszki ciotki i gdzie towarzyszyło mu tyle różnych myśli i uczuć.

Widział samego siebie z wielką wyrazistością, niby kogoś, kto przez całe życie ucieka przed cierpieniem i zgryzotą i szuka szczęścia, ale nie udaje mu się uciec od zgryzot i nie udaje się znaleźć niezakłóconego szczęścia. Ludzie zbliżają się do siebie w nadziei, że ktoś podzieli się z nimi szczęściem i radością, a tymczasem ich bliźni dzielą się z nimi niedolą i smutkiem.

Przeszedł przez plac Zbawiciela i szedł dalej ulicą Nowowiejską ku bramie placu wyścigowego. Ogarniała go melancholja wspomnień, jak srebrna mgła nad łąkami w ciepłą noc wiosenną. Myśli pomyślane tutaj niegdyś i uczucia czute, budziły się pod jego krokami i wyrastały kwiatami, badyłami, ścierniem. Wtedy jego trosce było na imię ciocia Tercia, zgryzoty i kłopoty uosobione były w jego siostrze, która nie wiedziała nieraz co począć, aby jakoś istnieć, aby pomódz dzieciom, aby się nie dać pochłonać nacierającemu ze wszystkich stron odmętowi życia. Była wtedy milcząca melancholja, pełna miejscami głębokiej żalości, jak stojące ciemno granatowe wody milczących jezior, zamykające się radosnym promieniom słońca cieniami nieznanymi i niepojętymi smutków.

Spojrzał w górę i zamarł w radości wspomnianego

szczęścia. Warcząc groźnie i wesoło na jasne słońce, wielki żuk aeroplanu zanurzał się w błękicie, swawolnie i bez troski igrając z żywiołem chwiejnym i miękkim. Ach, jesień któraś z umierającymi badyłami słoneczników w małym podmiejskim ogródku, ach słońce niskie i blade! I te wszystkie myśli wtedy myślane i te uczucia czute! A skądś, jak z nieznanych głębin i z dalekiej przestrzeni leciały dźwięki menueta, śpiewającego melancholję samotnej uliczki małego miasta. Pogodny, cichy smutek nieznanego serca, zapisany melodją Beethovena, który odkrył tę żalność bezimienną, przeniknął do głębi i opowiedział całemu światu, aby było wiadomo, że życie jest bolesne, a piękno jest pełne smutku.

Przypomniał sobie niedawny dzień powszedni i powszednią godzinę, w której cicho i spokojnie zagasło życie cioci Terce. Zamknęły się oczy, syte widoku słońca, urwały się myśli, domyślane do ostatka, przestało bić serce spragnione spokoju. Pod białymi brzożami na milczącym wiejskim cmentarzu w Pasiecznej spoczęło strudzone ciało, zamknęło się koło, łączące kolebkę i grób, radości i smutki płyną skroś inne serca i inne myśli...

Minał Politechnikę, spojrzął na szpital, około którego tyle razy przechodził i nagle z za żelaznych sztachet przyległego ogrodu rzuciły mu się gwałtowne gorące łzy do oczu. Na gałązce siedział mały ptak i z różowej piersi wyrzucał takie głośne wezwanie do radości, że gdy zamilkł na chwilę, to cisza otwierała się raptem jak przepaść wyjąca milczeniem. Przypomniał mu się ten ptaszek nieznaną z opowieści cioci Terce, który przerwał milczenie cmentarza i płacz pogrzebowy swawolnym świegotem radości. To było w Pasiecznej, celu tęsknoty zmęczonego starego serca cioci Terce. Już nie tęskni. Ale tęsknią za nią inni. Niech odpoczywa w pokoju, bo inni tęsknią za tylu rzeczami, za tylu sprawami, podobnymi we wszystkim do Pasiecznej, do której tak było daleko od Warszawy! I na wszystkich cmentarzach po wszystkie czasy w dniach nieśmiertelnej słonecznej wiosny odzywać się będzie radosny świergot ptaszków o różowej piersi.

Topole pachniały lepka mazią młodych liści, zdaleka podzwaniał czysto i szkliwo tramwaj, skądś zaleciał w czadzie węglowym zapach wielkich dworców i niędosiężnej dali. Ach, czemuż jest człowiek, gdy wszystkimi porami duszy wdziera się do jego wnętrza świat, jak bystra woda, przerywająca słabe groble! Wszędzie jest wczoraj i jutro, śpiewający ptak, pachnące topole, melodia menueta granego niewprawną ręką szarego smutku i wszędzie jest zapach zadyszanej, gorącej lokomotywy, zapach spracowanej syczącej pary i rozgrzanej oliwy.

Popatrzył w okna domku tak dobrze mu znanego i z zafiranek wyjrzały na niego smutne jego myśli, dalekie już i zgubione. Spojrzał na zegarek i uradował się niemal, że to najwyższy czas zawrócić do szkoły. Było mu tak, jakby życliwe życie ujęło go pod ramię i odprowadzało z nad mogiły ku rzeczom wesołym i radosnym.

Liczył w duchu dni, które jeszcze trzeba będzie przesiedzieć w Warszawie i postanawiał, że na wakacje pojedzie z Heleną do Zabłonia. Pobędzie u siostry, zobaczy Ludkę i jej Jureczka, będzie tam Wladek. Tyle serc życliwych, tyle miłości zejdzie się tam razem...! Ależ naturalnie, że na wszystko znajdą radę, że niedola musi zostać pokonana i szczęście musi wrócić do Ludki i do wszystkich, którzy smutni są jej smutkiem. Ach, gdyby to już można było pojechać! Przypomniawszy sobie kochanego zanego Stępnia i spokojnie, bez żalu myślał o Niebożęckim, który nie przyjął go do swego gimnazjum w Zabłoni. Z pewnej odległości widział, jak dobrze się stało, iż nie ugrzązł w tem miasteczku prowincjonalnem.

Był skłonny do uogólnień, że zło jest dobre, bo zawsze na dobre wychodzi i że nie należy się niem nigdy przejmować. Na Krakowskiem Przedmieściu spotkał Władka, był jakiś zaaferowany i śpieszył dokądś.

— Dzień dobry, teologu! Dokądże to tak niepoważnie pędzisz?

— Mam dzisiaj colloquium filozoficzne i szykuję się do pogńębienia profesora — odpowiedział Wladek, śmiejąc się wesoło.

— Filozoficzne? Przecież ty słuchasz teologii.

— Mój kochany wujku, gdyby tak jeszcze było można, to do teologii byłoby dobrze dodać i historję i przyrodę i medycynę ze wszystkimi przyległościami — mówił Władek rzeczowo i poważnie.

— Czyżby było tak źle z teologją? — niedowierzał Regier.

— Przeciwnie, jest bardzo dobrze. Teologja rozrosła się ogromnie, a dzisiejszy inteligentny duszpasterz musi wiedzieć daleko więcej, niż jego kolega z przed lat dwudziestu pięciu.

Regier widział, że siostrzeniec śpieszy, a i sam musiał być niebawem w szkole, ale nie żegnał się z nim, chcąc go jeszcze o coś zapytać. Nie wiedział, jak to pytanie sformułować, żeby się wydało obojętnem i nie takim znowu ważnem.

— A jak tam Ludka? — zapytał wreszcie, wyciągając rękę na pożegnanie.

— Nie wiem — odparł Władek szorstko. — Dowiedziałem się. — Uszedł kilka kroków, ale raptem zawrócił i zrównawszy się z Regierem, rzekł: — Ludka jest nieszczęśliwa, bo pewno nie da sobie wyperswadować tego Iweckiego.

— Jakto wyperswadować?

— Bardzo zwyczajnie. Zobaczy wujek, że on ją rzuci. Trzeba się do tego ustosunkować. Przyjdę wieczorem, to porozmawiamy, a teraz żegnam, żebyś się nie spóźnił.

Wykręcił się na miejscu po żelniersku i poszedł w swoją stronę. Regier obejrzał się za nim i widział go w tłumie przechodniów niosącego książki i zeszyty na colloquium filozoficzne. Przyszło mu na myśl, że prócz tych książek niesie ten młody chłopak troskę o siostrę, której trzeba będzie wyperswadować jej własnego męża. Patrzył na innych ludzi i dziwnie natrętnie wracała myśl, że każdy z tych przechodniów może mieć nieznaną troskę o nieznaną Ludkę, czy coś takiego. Optymizm z przed chwili rozwiął się, jak mgła na wietrze, a przed oczyma Regiera zrobiło się tak, jakby słońce przesłoniła chmura.

W szkole był zamyślony i wyrozumiały bardziej, niż

zwykle. W dociekania historyczno-literackie i lingwistyczne plątały mu się releksje z dziedziny filozofji najbardziej pesymistycznej. Życie wydawało mu się jakimś grubym nieporozumieniem. Jest pędem ku szczęściu i radości, a w rzeczywistości jest pasmem niedoli i smutku. Ludzie budują wielkie domy, urządzają je na obraz i podobieństwo szczęścia, ale szczęście każe czekać na siebie i nie przychodzi, czasem nie przyjdzie nigdy. Mijają lata, człowiek dobudował nowe skrzydło domu, otoczył swoje mieszkanie ogrodem, zgromadził dużo rzeczy ładnych, zapewnił sobie wygodę, aż razu pewnego spostrzeża, że przychodzi starość. Ogarnie go lęk, schwyci za gardło żal, oczy zwrócą się wstecz i teraz dopiero widzą, że gdzieś na ubogiej uliczce, czy na zakurzonym gościńcu pewnego dnia o pewnej godzinie przechodziło szczęście, ale się je ominęło, bo sen o niem był taki błękitny, jasny, olśniewający, że aż się ćmiło w oczach.

A potem pewnego dnia, niespodzianie i nieoczekiwanie, w domu budowanym przez dwadzieścia pięć lat, błysnie jakiś jeden krótki uśmiech, padnie obojętne słowo, rozdręga się głos słyszany tysiąc razy, i objawi się szczęście, jak skrzydło ważki znikającej nad wodami. I przychodzi radosne i smutne zdumienie, że budowanie domu, kupowanie ładnych sprzętów, gromadzenie książek i dzieł sztuki teraz dopiero otrzymało swoje znaczenie, gdy w tym domu zakwitł ów uśmiech nigdy dotąd nie widziany, rewelacyjny, odsłaniający tajemnicę świata i życia, jak błyskawica nocy letniej odsłania z dziwną jasnością rozległe horyzonty.

Przy kolacji próbował mówić o tem z Heleną, ale już nie umiał tego powtórzyć tak dobrze, jak mu się to widziało podczas zajęć szkolnych, gdy myśl co chwila musiała wracać do innej rzeczywistości. Zapomniał o Władku i tem żywiej ucieszył się, gdy usłyszał jego głos w przedpokoju. Pobiegł na jego spotkanie i witał go serdecznie:

— Jak tam wypadło twoje colloquium?

Wladek przywitał się z Heleną i dopiero, gdy usadowił się obrzędowo na wygodnym fotelu, odpowiedział wujkowi:

— Człowiek jest miarą wszech rzeczy; ja mam zaut-

nie do siebie, profesor do siebie. Nie zaimponowałem mu tak, jak sobie wyobrażałem. Najlepiej, gdy się idzie udeptaną ścieżynką i odpowiada profesorowi miłemi jego sercu formułkami. A ja mam taki niepokonalny wstręt do wszystkich znoszonego, używanego, spleśniałego.

— Mówiłeś rano, że do teologii trzeba dodawać bardzo dużo innych logji... — rzekł Regier wyciągając siostreńca na rozmowę. Czaił się w nim dawny zapal młodzieńczy do szperania, podpatrywania i wygrzebywania z mroków myśli ziarenek poznania. Cieszył się zgóry, że Władek zasypie go swoim entuzjazmem, olśni paradoksami zestawień rzeczy niewspółmiernych i pozornie przeczących sobie, i szczerze rad był z jego przybycia.

— Gdy się studjuje teologię ewangelicką w Polsce — nabierał Władek z głęboka, folgując swoim racjonalistycznym nałogom, — to trzeba właściwie studjować katolicyzm. Niedawno jeden z kolegów studjujących we Francji, pisał do mnie, że katolicki profesor filozofji powiedział podczas wykładu, iż jako katolik nie liczy się z człowiekiem takim, jakim jest ten człowiek, ale z takim, jakim być powinien.

— Wiesz, Władziu, że to jest wcale ładne zdanie — wtrąciła Helena, słuchająca bardzo uważnie wywodów Władka.

— I mądre! — dodał Regier. — To jest temat godzien rozprawy.

— Otóż rozprawałem się z nim bardzo długo — rzekł Władek. — Jaśniał mi przed oczami niby napis ryty złotem na białym marmurze, ale mglił mi się miejscami i nie mogłem się z nim uporać. Powstało wiele pytań: Czy należy bojkotować człowieka rzeczywistego i świat rzeczywisty, czy też ustosunkować się do niego w sposób rzeczowy i odważny?

— Przepraszam — przerwała mu Helena, — zdaje mi się, że nakaz jest doskonałym środkiem pedagogicznym, więc gdy człowiek otrzymuje ideał do naśladowania...

— Zapewne — zgodził się Władek, — ale powstaje kwestja zasadnicza: jakim ten człowiek być powinien? Przedewszystkiem, kto mi ten ideał stwarza i kto mi go

narzuca? Bo katolicyzm nie daje ideału do dyskusji, do wyboru, do dobrowolnego przyjęcia, lecz zmusza do niego, gdy tylko posiada środki po temu.

— Sądziłbym, że chrześcijaństwo jest dość jasne w swoich nakazach — mówił Regier, — aby człowiek mógł wiedzieć, jakim być powinien.

— Chrześcijaństwo ma za sobą dwa tysiące lat rozwoju — odpowiedział spokojnie Władek. — Jest to okres długi, a przy kształtowaniu się mogło wszak łatwo dojść do pewnych zniekształceń. I doszło do nich rzeczywiście. Katolicyzm jest zamknięciem dyskusji zastyganiem i kamienieniem lawy entuzjazmu pierwszych czasów chrześcijaństwa. Jednocześnie jest dobrowolnem zamknięciem oczu na rzeczywistość historyczną, która też ma być nie taką, jaką jest, ale jaką być powinna.

— Ach mój Boże! — westchnęła Helena, jacy ci studenci szczęśliwi, że mogą zajmować się takimi objawieniami wami sprawami! Mów dalej, Władziu!

— Tylko co to ja chciałem powiedzieć dalej — śmiał się Władek. — Aha! Byłbym nie wpadł sam na ten koncept, ale natknąłem się na niewielką książeczkę francuską o Dziewicy Marji. Zajrzałem do niej i zainteresowałem się odrazu jej przejrzystym układem. Wiecie, jak to jest w Ewangelji, że Marja miała po Jezusie jeszcze kilkoro dzieci. Nikość to nie raziło i ewangelista zapisał to rzetelnie. Ale potem zaczęto wysławiać dziewictwo jako klejnot najosobliwszy. Trudno było nie przypisać go Matce Jezusa. Więc trzeba było wykomentować słowa ewangelisty o braciach i siostrach Jezusa jako jego braciach i siostrach przyrodnich albo dzieciach Józefa z pierwszego małżeństwa. Potem kclejno dodawano do obrazu Marji Panny rys po rysie, aż doszło do tego, że trzeba było ustalić fakt jej niepokalane-go poczęcia, bo tak wynikało logicznie z pewnych założeń doktrynalnych. Ale może was nuży takie bakałarstwo?

— Przeciwnie, ogromnie interesuje! — zawołała Helena.

— No więc tak, albo trzeba rozstać się z pewną dok-

tryną, czy zmodyfikować ją, albo też rzeczywistość wtłoczyć w ramy tej doktryny...

— Rzeczywistość wtłaczano, niestety w ramy doktryny! — potrząsnął głową Regier.

— Wnioski ludzkiego rozumowania nazwano objawieniem Bożem i jakoś nie wypadło, żeby objawienie Boże miało zostać korygowane. Wykomentowywano i odkomentowywano, co było trzeba...

Władek zamilkł na chwilę, jakby sobie coś przypominał.

— Aha! — zawłał nagle uradowany, że mu się w porę przypomniało. — Wiecie, jak to Jezus uzdrowia chorego i każe mu wstać, wziąć łożo i iść do domu. A nauczeni w Piśmie oburzają się, że w sabat każe dźwigać łożko. Tak samo z włosami rwanymi przez uczni w sabat, i z innymi sprawami. To znaczy, nie takim masz być, Synu Boży, jakim jesteś, ale jakim masz być według nauki uczonych w Piśmie. Jest rozprawa Hoene-Wrońskiego o Stworzeniu absolutnem ludzkości. Znam tylko jej tytuł i on mi się teraz przypomina: katolicyzm jest właśnie takim absolutnem stworzeniem ludzkości, świata, Boga, wszvstkiego. Stworzeniem w teorji...

— Czy w dzisiejszym chaosie powojennym takie stworzenie nowej moralnej rzeczywistości nie byłoby błogosławieństwem? — wtrącił Regier.

— Być może, że tak, gdyby ludzkość miała możność poddania się dowolności — rzekł Władek. — Ludzkość szuka prawdy wbrew swojej gnuśnej woli, i nie może zadowolnić się niczem, co nie wytrzymuje wszechstronnej krytyki sumienia i rozumu. Rzym zadekretował w swoim czasie, że nauka Kopernika jest głupia i heretycka, a jednego z świętych mężów do pasji doprowadzała nauka o antypodach. Rzeczywistość szła naprzód i Rzym musiał się z nią liczyć. Z tego wynika, że ci, którzy liczą się z nią zasadniczo, nie tylko przypadkowo i konjunkturalnie, muszą wyprzedzać te części ludzkości, które związały swoje losy z zasadą rzymską.

— Jeszcze we Francji wpadła mi kiedyś w rękę cie-

kawa książka statystyki porównawczej — mówił Regier. — Była w niej mowa o przyczynach i skutkach doktryny katolickiej. W życiu gospodarczem ujawniła się przewaga protestantyzmu w całej pełni, w nauce podobnie. Szkoda, że sobie tej książki nie przywiozłem.

— Gdyby się wujek interesował, to przyniosłbym mu trochę takiej literatury z naszego seminarjum. Zresztą dużo się nasuwa spostrzeżeń w innych dziedzinach życia. Na przykład w literaturze: z jednej strony dogmatyczny, bezkrytyczny Don Kichot, który też nie liczy się ze światem takim, jaki jest, ale chce mieć taki, jaki się jemu podoba, a z drugiej strony myślący Faust, filozofujący Hamlet, twórczy w osamotnieniu Robinson... Można to nazwać także stylizacją, czy liryzowaniem życia. Jak w teatrze, gdzie się rozdziela role: ty będziesz mężem, on będzie przyjacielem, tamten będzie bogatym wujaszkiem, a tamta będzie żoną...

— I w życiu, mój Władziu, odbywa się stale taki teatr i takie rozdzielanie ról — uśmiechnęła się Helena. — Najgorsze, oczywiście, to, że jedni przesadzają los innych, predestynują ich niejako...

— Brawo, ciociu! — zawołał Wladek. — Katolicyzm predestynuje całe życie doczesne i wieczne, uzależnia je od doktryn i władców, ale zarazem jest zasadniczym wrogiem protestanckiego ustalania filozoficznej zasady predestynacji.

Helena zamyśliła się i patrzyła przed siebie wzrokiem odwrócnym i nieobecny, jakby w mroku usiłowała dostrzedz coś niewyraźnego.

— Może to jest przeciwko zasadom nauki chrześcijańskiej, ale zdaje mi się — mówiła powoli i z namysłem, — że doktrynę predestynacji trzeba koniecznie rozszerzyć na całe życie ludzkie. Sama doznałam na sobie skutków tego, że mojem życiem, mojami pragnieniami rozporządzali się ludzie, których musiałam słuchać... A następnie...

— Droga ciociu — zawołał Wladek, przerywając jej, — my młodzi czujemy na sobie cały ciężar odpowiedzialności za zachowanie świata zasad chrześcijańskich. Do-

strzegamy ślepe dziecko na ulicy, czytamy o rybakach, którzy potonęli przy pracy, o miastach, które rozsypały się w gruzy podczas trzęsienia ziemi, o bezmyślnych rzeziach i mordach masowych, wspominamy za minione wieki te straszne tragedje nieszczęśliwych chorych kobiet, które godne były najtkliwszej opieki i miłosierdzia, a które dzikie barbarzyństwo spaliło na stosach jako czarownice...

— Taka cudowna postać, jak Joanna d'Arc — wtrąciła Helena — w rękę dzikiego żołdactwa i niemniej dzikiego kleru...! Ginąca jako czarownica...! Co za ohyda, że to się wszystko działo w imię miłosiernego Chrystusa!

— I widzisz, ciociu, my wszyscy wiemy dzisiaj, że ludzkość, jeśli ma wierzyć, to musi otrzymać komentarz do tych strasznych tekstów dziejowych — mówił Władek. — Nic na świecie nie dzieje się bez woli Boga, prawda? Więc trzeba koniecznie ustalić udział woli Bożej w tem wszystkim i skontrolować nasze wyobrażenia o Bogu. Bóg jest niezmienny i doskonały, ale nasza wiedza jest zmienna i niedoskonała. I na to nie poradzi żaden dogmat nieomyślności, żadne stosy, żadne anatemy. Dzisiejszość domaga się nowego słowa i niema wątpliwości, że gdyby Chrystus dzisiaj nauczał na ulicach Warszawy, czy ubogiego Sochaczewa, to treść jego nauki byłaby ta sama, jak przed dwoma tysiącami lat, lecz środki byłyby inne, dzisiejsze. Miłość Chrystusowa policzyłaby wszystkie bóle, wątpliwości serca ludzkiego, które wierzyć pragnie...

— O, jak bardzo pragnie! — westchnęła Helena. — Ale czy znajdziecie to słowo, którego świat dzisiejszy tak potrzebuje?

— Już zrozumienie jego potrzeby znaczy bardzo wiele — rzekł Władek. — Światły i wykształcony ksiądz francuski, Bremond, wydał przed kilkunastu laty ładną i mądrą książkę o zaniepokojeniu religijnem i za motto wziął sobie słowa z Misterjów Jezusa: „Nie byłbyś mnie szukał, gdybyś mnie nie był znalazł”. Kto wie, może już znaleźliśmy i dlatego zaczynamy szukać tak gorliwie. To nie jest paradoks literacki, ale rzeczywistość, bo najpiękniejsze rzeczy i sprawy świata są paradoksalne.

— Zdaje mi się nieraz, że łatwiej byłoby cierpieć, gdyby się miało tę błogą pewność, że to cierpienie ma jakiś sens, że nie jest daremnem... — mówiła Helena.

— Napewno ma sens — rzekł Władek z głębokim przekonaniem. — Myślałem dużo o Ludce — rzekł niespodziewanie, — było mi jej ogromnie żal, ale uspokoiłem się, bo już wiem, że to jest dobrze. Zło i dobro to różne rytmy tej samej substancji duchowej. Świat może nigdy nie zda sobie w pełni sprawy z tego, ile zawdzięcza cierpieniu.

— Tak, tak, ale biedna Ludka...

— Pojedziemy na wakacje do Zabłonia — rzekł Władek. — Serce ludzkie potrzebuje miłości i wiary w człowieka. Damy jej miłości tyle, ile tylko dać możemy. Nie trzeba o tem mówić, trzeba myśleć serdecznie, jakby to zrobić.

— Czy wiesz coś o Iweckim? — zapytał Regier.

— Owszem... — odpowiedział Władek, — a właściwie domyślam się, że przestał Ludkę kochać. Musi to być człowiek uczciwy...

Oboje spojrzeli po sobie, jakby chcieli przekonać się spojrzzeniami, iż zgodnie uważają Władka za warjata.

— Uczciwy człowiek? — powtórzyła Helena, wzruszając ramionami.

— No tak, tak — przyświadczył Władek. — Powiedziałem: uczciwy człowiek. Wam się pewno zdaje, że na tych sprawach znać się można dopiero wtedy, gdy się zaczyna siwieć i gdy się stanie nieszczęście. Kto myśli o jednej rzeczy, to myśli zazwyczaj i o niektórych innych. Gorzej jest, gdy ludzie w niektórych wypadkach nie uciekają od siebie. Iwecki jest lekkomyślny, ale uczciwy człowiek.

— Ależ, Władziu...! — próbowała zmitygować go Helena, uśmiechając się zakłopotana.

— Widzi ciocia to jest po ewangelicku i po moralnemu. Ja się domyślam — Władk uśmiechał się blado, — że miłość nie trwa może zbyt długo. Oczywiście, trzeba dbać o to, żeby trwała jak najdłużej, ale gdy już przychodzi nieszczęście...

— Jakie nieszczęście? — wtrącił Regier. Rozmowa

przybrała obrót, który go krępował przez wzgląd na Helenę.

— Gdy człowiek żonaty czy zamężny pokocha kogo innego i znenawidzi małżonka, to trzeba się zgodzić, że to jest nieszczęście, szczególnie, gdy ludzie się oszukują. Nie jestem katolikiem, abym mógł uważać, że taka sytuacja ma jeszcze coś wspólnego z małżeństwem, czy nawet z sakramentem. Jest to już pielęgnowanie moralnej ohydy dla utrzymania niepotrzebnej fikcji.

— Łatwo ci mówić, Władziu! — szepnęła Helena.

— Nie, nie łatwo, bo myślę o siostrze — odparł twarde Władek. — Ale gdy się dom pali, to trzeba czasem wyskoczyć oknem. Ma się do wyboru: albo się udusić w czadzie, albo zaryzykować złamanie nogi. Gdy się wpadło w bagno, to nie można w niem pozostawać z obawy, że po wydobyciu się z niego ludzie uważają, iż mamy powalane suknie.

— Jak ci się zdaje, czy Iwecki...? — zapytał Regier, nie kończąc pytania.

— Czy wróci...? — Zamyślił się Władek. — Mam nadzieję, że nie. Trzeba tak zrobić, aby w żadnym razie nie miał po co wracać. Zdaje mi się, że obcowanie z człowiekiem, który raz wykradł się od nas jak złodziej, musi być boleśniejsze, niż cokolwiek innego.

— Ty, Władziu, wszystko traktujesz tak oderwanie, teoretycznie — mówiła Helena — życie jednak nie jest takie oderwane.

— Powinno być oderwane od rzeczy wstrętnych — trwał Władek przy swoim.

— Poczekamy do wakacji i zobaczymy, jak się Ludka ustosunkowała do całej tej sprawy — rzekł Regier, zamykając dyskusję. — Ona ma tutaj także głos, nie możemy sprawy przesądzać bez niej, tembardziej, że w gruncie rzeczy nie wiemy nawet, co i jak się stało.

Tego wieczoru więcej o Ludce nie mówiono. Wszyscy troje zgodzili się na to, że natychmiast po zamknięciu roku szkolnego wyjadą do Zabłonia.

Wiosna minęła szybko, skończył się czerwiec i w pierwszych dniach lipca wszyscy byli już w Zabłoniu. Ludka powitała ich wybuchem wielkiej radości. Rozplakała się najnieoczekiwanej i pani Anna, która niczego dowiedzieć się od niej nie mogła przez cały czas jej pobytu w Zabłoniu, miała już nadzieję, że oto teraz nareszcie dowie się wszystkiego.

Nie dowiedziała się. Po pierwszym wybuchu powitania, Ludka wróciła szybko do równowagi, nakazała sobie milczenie i nikt nie odważył się zacząć z nią rozmowę o tem, co na wszystkich leżało jak ciężka zimna mgła jesienią. Jedno tylko było wiadomem, że Ludka nie otrzymuje listów od Iweckiego, czyli że wszelka łączność między nimi została zerwana. Co poprzedziło zerwanie tego nie wiedział nikt, a Ludka milczała.

Wakacje te były dla Regiera ciężkie i męczące. Najchętniej byłby wyjechał, aby nie patrzeć na rzeczy, wobec których był bezradny. Czuł się zgoła zbędnym w tem Zabłoniu, które nie przestawało być miłem i drogiem w czasach największych trosk i kłopotów pieniężnych, ale zmieniło się tak do gruntu i niepoznania teraz, gdy do niego zawitała troska nowa, nieznaną, zawstydzającą wszystkich w jakiś nieopisany sposób.

— Ach, Stasiu wybuchnęła raz pewnego pani Anna, gdy została z Regierem sama, — ja tego chyba nie przeżyję. Ludka nic nie mówi, nie wiem, co się stało i panuje taka atmosfera, że... że...

Usta się jej rozdygotały i skończyło się na płaczu, który czasem przynosi ulgę, ale często tworzy nową warstwę ciężkiego csadu żalności i smutku.

— O tym... Iweckim nie wiesz nic? — zapytał wreszcie, gdy się trochę uspokoiła.

— Ale to zupełnie nic — odpowiedziała, — a ty?

— I ja nic nie wiem — przyznał się. — Sądzę, że i Ludka wie niewiele. Dziwne...

— Wiesz, Stasiu, to się określa bardzo jasno: mąż od

niej uciekł. Rozumiesz? Mąż od niej uciekł...! Tyle razy słyszało się takie słowo, ale dopiero teraz zaczynam rozumieć, jakie ono jest straszne. Tylko, dlaczego uciekł? Nie-raz przychodzą na myśl rzeczy okropne...

Patrzyła na niego, chcąc wyczytać coś w jego oczach. Regier milczał.

— Może ja jestem niesprawiedliwa... Ale nieraz, gdy spać nie mogę... — zawahała się i zamilkła. Dopiero po chwili wyszeptała: — Czyżby Ludka...?

— Nie, Aniu — odrzekł twardo i ostro, z odcieniem wyrzutu w głosie. — Tu gra rolę inna kobieta i... może pieniądze... Ludka? Nie!

Pani Anna odetchnęła. Ale tylko na chwilę. Słowa brata, stanowcze i pewne, uspokoiły ją zupełnie co do tego, że Ludka w każdym razie nie dała powodu Iweckiemu do uciezki. Lecz potem przychodziły myśli i domysły w długim korowodzie i męczyły ją bardziej, niż najgorsza znana rzeczywistość.

Pod koniec wakacji, gdy wieczory stawały się już chłodne i towarzystwo zasiadało niekiedy przy lampie, przyjechała do Zabłonia panna Joergens. Przyszła oczywiście w odwiedziny do pani Anny tegoż samego dnia wieczorem i przyniosła z sobą coś jakby ulgę. Wesoło i swobodnie ją zrzędzić, że towarzystwo obsiadło stół w pokoju, gdy taki jest ładny księżyc i gdy tak się ładnie spaceruje.

— Chodźmy na spacer! — zawołała Ludka, ożywiając się.

— Dobrze, tylko niech Anielka naprzód zaśpiewa coś ładnego. Żeby był nastrój księżycowy — zaproponowała pani Anna, uradowana, że Ludka się ożywia.

— Co ja wam tu będę śpiewała? — certowała się panna Anielka, ale zaraz usiadła do fortepianu, uderzyła kilka akordów i zaśpiewała:

„Na spokojnem sennem morzu
Chciałbym teraz leżeć w łodzi...”

Pani Anna drgnęła. Rzuciło się w niej coś, jakby chciała zawołać, że nie to, nie to, ale było za późno. Głos Anielki drgał cudownymi przydźwiękami, a słowa pieśni niosły

z sobą wspomnienia jakby z dalekiej wiernej krainy, gdzie było dobrze mieszkać, zanim się stało smutne, mgliste i niepojęte.

Spojrzała na Ludkę, ale w jej zaciętych oczach nie dopatrzyła się niczego.

Regiera nawiedzały przy tej pieśni myśli również nieoczekiwane. Przeraziło go nagle spostrzeżenie, że w jakiś okropny sposób, niedostrzegalnie, jakby chyłkiem minął rok życia. Przypomniało mu się jedno jakieś popołudnie na łąkach nad rzeką za Zabłoniem. Był małym chłopcem, gonił motyle, łapał koniki polne, przyglądał się z brzegu rybkom igrającym w leniwych falach rzek, w płytkiej łasze odkrył kijanki i łowił je wytrwale z zapamiętałością fanatycznego zaciekawienia. Słyszał dalekie odgłosy czegoś nieznanemu, chwilami bał się osamotnienia na łące, czuł się sam na sam z czemś, co chwyta i pożera, widział z daleka wiatraczek wesoło wymachujący śmigami, jakby ktoś wołał i wołał...

Wszystko to trwało jakieś dwie godziny pewno, ale żyło się te dwie godziny tak długo, takim mnóstwem wzruszeń, radości, przestraszonych nagle i wesołości niespodziewanych...! A teraz oto widzi, że minął rok życia krótszy, niż dwie godziny dzieciństwa bez burzliwej radości uganiania się za uciekającym motylem, bez przestachu zaczajonego w trzcinach nadrzecznych, bez odgłosów lecących z niewiadomej dali. Ach, tak, Ludka...! Przywalała się nagle czarna chmura i zasnęła słońce nad łąkami wspomnień i długich godzin przepelnionych radościami życia. Spojrzał na Ludkę i podchwycił jakieś żalosne bezradne drgnienie jej smukłych ramion. Odpowiadała sobie widać tym ruchem ramion na jakieś pytanie, mówiła sobie, że czegoś nie wie.

— Nie wiem, dlaczego dobre i miłe stało się złem i staje się wstrętnem. Już nawet nie wiem, jak było: czy padał deszcz, czy świeciło słońce, czy było chłodno, czy ciepło. Było w pokoju radosne odgrozienie od świata, zamknięte, niczyje, dzwięczał głos, który był obietnicą i przysięgą, ilekroć się odzywał... Nie wiem, nic nie wiem, czy ten

głos mówił do mnie, czy do kogoś, kto był za mnie szczęśliwy... Była uliczka małej miłośnicy, przez okno widziało się deszcz padający w szybkich pracowitych kropelkach i leniwe godziny, rozlewające się kałużami w wyboinach popsutego bruku. Oczy patrzyły długo na koniec uliczki. Zraz się pokaże radość, za krótką chwilę, która wyleci w powietrze jak zielony meteor na błękitnym niebie. Coś czytała, ale książka była ciężka i mówiła o czym innym... Oczy biegły w deszcz ponad godzinami ciężko rozlanemi w kałużach. A teraz już nic nie wiem, i nie wiem, i nie wiem... Nazywała kogoś imieniem, które było jasne i pojęte, jak promień słońca w oknie, a teraz stało się ciemne i straszne, jak woda stawu między czarnymi olchami. Nie wiem...

Fortepian wicherzył te myśli, podniecał, buntował, uciszał i znowu je wicherzył jak październik wicherzy wodę rzeczki, w której dobrze było kąpać się w sierpniu. Rzeczka jest zła i cierpiąca, wierzby nad nią są smutne, a człowiek stojący pod nimi chce płakać, nie wiadomo dlaczego płakać cicho i gorzko, bez łez i bez szlochań...

„...i napawać się nicością!”

Ostatnie słowa pieśni przyszły niemiłosiernie niespodzianie, jak skazanie na rzeczywistość. Ostatni akord zamarł w przeraźliwej ciszy i w tę ciszę padł zduszony szloch.

Spojrzeni w popłochu ku Ludce. Zerwała się i wybiegła z pokoju ze śmiechem. Chciała tym śmiechem powiedzieć, że to nic, przeprosić obecnych za swój ból, który się wydarł tak niesfornie ze ściśniętej piersi, ale ten śmiech był smutniejszy od płaczu.

— Idźcie państwo na spacer — rzekł Regier wstając — my przyjdziemy za wami.

Władek podał ramię matce, Helena wzięła pod rękę Anielę i wyszli bez słowa z domu, na jasny księżyc i na ciszę miasteczka.

Regier poszedł do pokoju Ludki zdecydowany i stanowczy. Postanowił rozmówić się z nią i dość do ładu, ale gdy wszedł do pokoju, stracił na odwadze. Na stole paliła się tylko lampka ocieniona różowym abażurem.

Ludka stała nad kołyską śpiącego Jureczka, wstrząsana bezgłośnemi szlochami.

— Moja Ludko — zaczął jak najsurowiej.

Podniosła na niego zapłakane oczy i położyła palec na ustach, błagając go tym gestem, aby nic nie mówił.

Podszedł do niej na palcach, jakby się bał coś zbudzić, czy spłoszyć.

— Weź płaszczyk i pójdz — szeptał, — idziemy na spacer.

— Poszła za nim bez słowa. Uliczka była wysrebrzona księżycem i pusta zupełnie. Zdaleka dolatywało szczekanie psa i granie na organkach. Było chłodno. Regier ujął Ludkę pod ramię i szybko poprowadził ją za oddalającym się towarzystwem, ale gdy znaleźli się na końcu uliczki, skręcił na polną ścieżkę.

— Pójdziemy tam, gdzieśmy byli wtedy, pamiętasz — rzekł Regier.

— Dobrze — odpowiedziała krótko i obojętnie.

— Muszę z tobą pomówić — zaczął, gdy oddalili się znacznie od reszty towarzystwa.

— Nie trzeba, wujciu — rzekła stanowczo i cicho.

— Dlaczego?

— Tak sobie.

— Moje dziecko — nastawał Regier, ale Ludka prze-rwała mu ostro:

— Jakie tam dziecko! Żeby wujcio wiedział, że nie żadne dziecko, tylko taka głupia... taka...

Szukała dla siebie mocnego wyzwiska, żeby się zemścić na sobie za jakieś niedopatrzenie, za bolesne uczucie, czy co.

— No dobrze, ale porozmawiać możemy...

— Nie trzeba! — rzekła twardo. — Jeszcze sobie w słowach przepowiadać takie... takie głupstwa!

— To nie są głupstwa.

— Nie, nie, rzeczywiście, to nie są głupstwa — zgodziła się łatwo — ale mówić o tem nie trzeba.

— A pamiętasz, jak to mnie pocieszałaś?

— Pamiętam, to było co innego. A to moje to już ni-

gdy... Na wieki i nigdy — powtórzyła. Chciała to powiedzieć szeptem, ale głos wymknął się jej mimowoli razem z głośnym szlochem.

Jakby się czegoś nagle przestraszyła, rzuciła się ku Regierowi, przywarła do niego całym ciałem i głośno płakała. W tem pustym polu wśród ściernisk wysiebrzonych księżycem, płacz jej brzmiał jak wołanie zgubionego dziecka. Regier musiał zbierać wszystkie siły, aby się nie rozpłakać razem z nią. Tulił ją do siebie i głaskał po głowie, nieszczęśliwy, że nie umie jej wyrazić swojej tkliwości.

Raptem oderwała się od niego, spokojna i opanowana.

— Taka głupia!... — rzekła zaciekle, szukając znów jakiegoś złego słowa na siebie.

— Będzie dobrze, Ludko — odezwał się Regier, czując całą pustość tych słów.

— Naturalnie! Musi być dobrze — przyświadczyła. — Trzeba tylko zrozumieć i przyzwyczaić się do myśli, że świat jest trochę inny od wyobrażonego. Jest już tylko żal złudzenia więcej niczego.

Regier milczał, nie wiedząc, coby jej powiedział. Słów jej nie brał poważnie. Nie mógł sobie wyobrazić, aby jej było żal już tylko złudzenia i niczego więcej.

— Ludzie są ułomni, Ludko — wyrwało mu się niespodziewanie i jakby mimowoli. — Żaden z nas nie ma pewności, że nie popełni błędu...

— Niech mi wuj pożyczycy chusteczkę — rzekła spokojnie. — Taka jestem roztargniona, że o wszystkim zapominam...

— Ileż musimy nawybaczać w ciągu życia i innym i samym sobie! — mówił Regier dalej, próbując tą określną drogą przemycić pociechę do serca Ludki. Chciał jej powiedzieć, że Iwecki będzie żałował swego postępku.

Ludka nie odpowiedziała. Otarła oczy i twarz, sięgnęła do torebki po puder i zacierała ślady łez. Regierowi przypomniał się jej płacz z przed lat kilku w tem samym miejscu, tylko że w lecie i przy zachodzie słońca. Płakała z innych powodów i wzruszyła go bardzo swoją dbałością

o ładny wygląd. Dzisiaj to samo. Taka była zrozpaczona przed chwilą, a teraz dba o to, aby ładnie wyglądała. Roześmiał się, rozumiejąc, że może podziałały na nią tak kochająco jego słowa.

— Chodźmy — rzekła, zwracając Regierowi chusteczkę. Ujęła go pod ramię i patrząc po sinych ścierniskach wysrebrzonych księżycem, mówiła cicho, spokojnie i z zaciętością, jakiej nie byłby w niej szukał. — Błędy się przebacza... Tysiąc błędów to okazja do tysiąca przebaczeń. Kochające serce przebaczy, zrozumie, nawet wytłumaczy błędzającemu, aby sobie sam przebaczył i nie wyrzucał błędu nadmiernie, ale...

Zamilkła na chwilę, jakby szukała odpowiedniego słowa. Było cicho, jasno i chłodno. Grusze rozsiane po polu, przygarbiły się i skuliły nad milczącymi ścierniskami, księżyc płynął obojętny i zimny po niebie o nieokreślonej barwie, noc była sztywna, nieswoja i daleka. Uszli kilka kroków w milczeniu. Gdy znaleźli się w cieniu ogromnej gruszy, Ludka stanęła i dodała szeptem:

— ...nie przebacza się niegodziwości! To jest nie przebacza się czyjejs niegodziwości samemu sobie tak dalece, aby można było z niegodziwcem obcować, jak z człowiekiem dobrym. Jemu można ostatecznie przebaczyć i zapomnieć o nim. Był kiedyś taki a taki człowiek, stał się do gruntu innym, nieprzewidzianie innym. Tamtego niema, z tym zaś, jaki się objawił, nie chce się mieć nic wspólnego. Nie może się mieć!...

— Niegodziwość? — zdziwił się Regier, gdy ruszyli dalej.

— Tak, wujku — odpowiedziała. — To jest, ja nic nie wiem, tylko zachowanie się jest niegodziwym, podłym... To nie jest błąd, który można wytłumaczyć, zrozumieć, przebaczyć...

Regier był zaskoczony temi słowami. Rozumiał, że Ludka nie improwizuje, ale wypowiada jakieś myśli, które pomyślała i odczuła tysiąc razy, tak że przybrały wyraźną i jasną formę postanowienia.

— Ależ on cię może kocha! — wyrwało mu się znowu mimowoli.

— Napewno! — przyświadczyła spokojnie. — Tu chodzi o jakieś inne sprawy. Ta Madzia będzie taką samą ofiarą, jeśli...

— Skąd wiesz o Madzi? — zawołał Regier.

— Interesowałam się własnym mężem do pewnego stopnia — odpowiedziała Ludka z odcieniem ironji w głosie — a on był tak święcie przekonany o moich nalogach dobrego wychowania, że nie chował dość starannie swoich listów. W pewnej chwili czułam się rozgrzeszoną od nakazów dobrego wychowania i przeczytałam jeden z nich.

— Masz takie listy? To ważne dowody — wyrwało się Regierowi.

— Nie mam. Spaliłam. Dowodów żadnych nie potrzebuję. Na rozwód nietylko się zgodzę, ale będę go się domagała.

— Czy przemyślałaś wszystko dokładnie?

— Tak.

Tego wieczoru po powrocie ze spaceru Ludka była spokojniejsza, niż zwykle, a nawet wesoła. Pani Anna spoglądała na brata z wdzięcznością, wyobrażając sobie, że to on zdołał Ludkę tak uspokoić i pocieszyć.

* * *

Wakacje się skończyły i Regierowie musieli wracać do Warszawy. Razem z nimi wracała Ludka z Jureczkiem. Wpraszała się do Regierów na wieczory, obiecując sobie razem z nimi bywać na koncertach, odczytach, w teatrze.

Tygodnie płynęły, minął, wrzesień, październik dobiegał już połowy, wszystko w życiu Regierów i Ludki układało się według tych konieczności, jakie czas przynosił z sobą. Ludka odzyskała dawną energję i znalazła sobie zajęcie w biurze dużej fabryki. Od ósmej do trzeciej prowadziła książki rachunkowe, pisała listy, załatwiała różne sprawy biurowe, a wieczory spędzała z synkiem. Często zachodziła do wujostwa. Niebawem wszystko wdrożyło się w nowe koleiny, wyżłobione bólem i zgryzotami, i życie

płynęło znowuż spokojnie, jakby nigdy inaczej nie było i być nie mogło.

Pani Anna odwiedziła Ludkę, przywiozła jej trochę pieniędzy i namawiała ją, aby przeprowadziła się do Zabłonia, gdzie będzie mogła pracować razem z nią w jej fabryce narzędzi rolniczych, rozwijającej się coraz lepiej. Ludka pieniędzy nie przyjęła, zapewniając matkę, że zarabia na swoje potrzeby, a co do przeprowadzki, obiecała matce, że pomyśli o niej, jak tylko pozalaćwia w Warszawie niektóre ważne sprawy. Matka patrzyła na córkę, nie mogąc wprost pojąć, iż w tak krótkim czasie zmieniała się ona do gruntu. Niefrasobliwa i beztroska do niedawna, nie znająca wartości pieniędzy i nie troszcząca się, skąd je matka brała na jej wzrastające potrzeby, zrozumiała nagle wiele rzeczy i ustosunkowała się do życia poważnie, bez sentymentu.

Jakie sprawy trzymają ją w Warszawie i jak je będzie załatwiała, o to matka pytać nie śmiała. Wobec tej nowej Ludki czuła się skrępowaną i onieśmiałoną. Jeszcze niedawno widziała w niej beztroską, wesołą dziewczynę, a teraz oto stała przed nią kobieta dotknięta nieszczęściem największym, jakie spaść może na żonę i matkę. Swoją stanowczą postawą wobec tego nieszczęścia. Ludka przerastała własną matkę o całe życie doświadczeń. Pani Anna nie przymuszała ją do przyjęcia pieniędzy, nie nalegała na nią, aby przeprowadziła się zaraz do Zabłonia. Trafnym i niemyślącym instynktem odgadła, że decyzja Ludki ma swoje ważne powody i że nikt jej lepiej nie poradzi od niej samej.

Ludka czekała w Warszawie na kroki Iweckiego w kierunku rozwodu. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli opuścił ją dla panny Madzi, to najprostszą i jedyną drogą do celu jest zerwanie związku małżeńskiego z nią i zawarcie go z Madzią. Przeplakane noce, przecierpiane tygodnie i miesiące ukazały jej rzeczywistość w świetle właściwym. Wiedziała i rozumiała, że to, co się stało, już się odstać nie może. Gdyby Iwecki chciał powrócić do niej, nie mogłaby go przyjąć. Postąpił z nią niegodziwie, nic nie powiedział,

bez najmniejszego powodu rzucił. Przebaczyć to mogła, zapomnieć by tego nie umiała. Stał się dla niej obcym, cudzym, a nawet więcej, niż to: obcego człowieka nie potrzebowałyby się tak wstydzić, jak wstydziłaby się zawsze jego, ongi męża, za niego samego, za jego postępek nieusprawiedliwiony niczem i nigdy.

Jednocześnie rozumiała, że pewne, zdarzające się wykroczenia przeciwko wierze małżeńskiej mogą być mniej niskimi i bardziej wytłumaczalnymi od postępów, które łagodniej kwalifikowane przez prawo i moralność potoczną, są w gruncie rzeczy daleko niższymi od największych zbrodni, wobec których kompromis jest i musi być wykluczony. W bezsenne noce, gdy oślepiały ją łzy niepojętego żalu, przypomniało jej się nadspodziewanie jasno wszystko, co znała z literatury i ze słyszenia, a co było podobnem do jej bolesnego przeżycia. Widziała w duchu Solvejg siedzącą przy oknie i patrzącą na drogę, którą miał wrócić płochy Peer Gynt, rozumiała, że można było i trzeba było otworzyć ramiona powracającemu, przebaczyć całą płochosć, która była jakby fatalną i nieuniknioną koniecznością. Poczwała w sobie głęboki instynkt macierzyński, który jest zasadniczym rysem miłości kobiety dla mężczyzny i wiedziała bólem i męką, że ten instynkt prowadzi aż do zaparcia się samej siebie dla człowieka kochanego, który pobłądził. Za przeczytanymi powieściami wyobrażała sobie Iweckiego w objęciach cudzej kobiety, uwiedzionego uwodziciela, który budzi się z omamu i idzie się kajać. To możnaby przebaczyć własnymi łzami i męką odkupić, odżałować, odcierpieć. Możnaby przebaczyć nawet wiele razy. Przypomniał się jej chevalier Desgrieux i nieszczęśliwa Manon. Płochosć serca może być tragedją, tem większej wymagającą wyrozumiałości. Tak, ale Iwecki...

Z listów Madzi, których nawet przed nią nie chował, wiedząc dobrze, że nigdy nie będzie niczego szukała po szufladach jego biurka, widziała jasno, że chodzi o jakieś pieniądze. Dziewczyna pisała wszystko z naiwną otwartością, wspominając szlachetność Regiera, który obiecał jej pomoc. Zrozumiała, że panna Madzia potrzebowała jakiejś

pomocy Iweckiego, oraz domyśliła się, że Iwecki skorzystał ze sposobności, aby pieniądze, które ratował dla Madzi, stały się jego pieniędzmi. Ponieważ nie można było wziąć ich bez Madzi, więc brał je z nią.

Ludka interesowała się życiem i jego powikłaniami. Gdy w pismach czytała o akcji biskupów katolickich, pragnących zapobiedz wprowadzeniu cywilnego ustawodawstwa małżeńskiego i rozwodów, nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś chce koniecznie utrzymać fikcję niemoralną, pozory sakramentu w tych licznych, niestety wypadkach, gdzie jest już tylko wieczne przekleństwo i złoźczenie, bagno i brud, z którego należy wydobyć się jak najspieszniej. Zagląając do Pisma świętego, czytała słowa Chrystusa o nierozzerwalności związków małżeńskich „krom cudzołóstwa”, zalewała się łzami i dusza jej wprowadziła przed Chrystusem przebolesne modlitewne monologi:

— O Jezu, jakże cudownie czystem i pięknem musiało być życie, gdy największym grzechem upoważniającym do zerwania związków małżeńskich było cudzołóstwo! Jak pięknymi musieli być ludzie, którzy nie znali kłamstwa, perfidji i tej nikczemności, pogardzającej krzywdzonym i bezecnie oszukiwanym! Cudzołóstwo!... Ach, jak łatwo uwieść człowieka zbyt beztroskiego i zbyt ufego w swej sile! Można się wyprzeć na chwilę wiary ślubowanej drugiemu człowiekowi, ale potem wyjść w ciemną noc i płakać tak gorzko, jak płakał Piotr. Ileż win, ile zbrodni zostało okupionych takim płaczem! Ale są serca zimne, sumienia milczące, oczy, które nie uronią łzę nad swoją nędzą, są dusze poświęcające siebie i innych dla spraw nędznych i lichych, z którymi nigdy i nic przejednać nie może. Nawet miłujące przebaczenie musi się odwrócić od tego, co jest niskie, niskie, niskie...

Rozwód z Iweckim wydawał się jej koniecznością. Nie widziała żadnych powodów, dla których miałaby mu stawiać przeszkody, przeciwnie, uważała, że będzie to dla niej szczęściem, gdy będzie mogła sobie powiedzieć, że nie jest żoną człowieka, który ją tak haniebnie oszukał, zaprzedał zdradził, nie jakimś fizycznym grzechem zapomnienia się,

ale całą swoją istotą, zaparciem się wszystkiego, co w człowieku jest lepszego i piękniejszego. Myślała nawet, że może Iwecki martwi się i niepckoi o los tego rozwodu, jeśli ona się oprze, bo przecie żadnych powodów do zrywania małżeństwa nie dała. Byłaby najchętniej napisała do niego, że się zgadza na rozwód, że niczego od niego nie chce, że może się uważać za zupełnie wolnego. Ale nie wiedziała, gdzie jest. Czekala tedy, że któregoś dnia skądś przyjdzie wiadomość, iż stara się on o rozwód. Jego adwokat przyjdzie do niej, czy poprosi ją do swej kancelarji i wtedy ona powie mu, że się na wszystko zgadza, żadnych zastrzeżeń nie czyni i niczego nie żąda.

Potem, gdy już nie będzie w Warszawie potrzebna, przeprowadzi się do Zabłonia i będzie pomagała matce w prowadzeniu fabryki. Ale tygodnie mijały, a oczekiwana wiadomość nie nadchodziła.

Jakoś w pierwszych dniach grudnia do Regiera przyszedł pan Maligan i pani Zarębina. Oboje byli poważni, pani Zarębina miała zapłakane oczy. Regier poprosił gości do swojej pracowni; był niemniej od nich zakłopotany, rozumiejąc, że za chwilę dowie się czegoś wysoce niemiłego o mężu Ludki.

— Czem mogę państwu służyć? — zapytał podawszy im krzesła.

— Ach panie, co pan nam narobił!... — wybuchnęła pani Zarębina. — Co za człowieka wprowadził pan do mojego domu! Uciekł z tą głupią dziewczyną i z moimi pieniędzmi! Co ja teraz!... — rozplakała się głośno.

— Niech się pani uspokoi — łagodził jej wybuch pan Maligan, a zwracając się do Regiera, mówił przyciszonym głosem, jakby się tłumaczył:

— Przyszedłem tu do pana na specjalne życzenie pani Zarębiny, ale wiem zgóry, że nic pan nie powie nowego. Może pan wie nawet mniej od nas...

— Z pewnością mniej — przyświadczył Regier.

— Mówiłem to pani Zarębinie, ale koniecznie chciała,

abyśmy poszli do pana w tej niemiłej sprawie — tłumaczył się dalej. — Adresu pana Iweckiego pan nie zna?

— Nie znam adresu pana Iweckiego — odpowiedział Regier.

— Przewidywałem to — potrząsnął głową pan Maligan. — Wobec tego moglibyśmy już iść sobie i nie zabierać panu czasu, ale... — zawahał się — może pana zainteresuje dowiedzieć się tego, co wiemy my.

Regier patrzył na mówiącego z wyrazem niezdecydowania. Nie wiedział, czy ma prosić o wiadomości o Iweckim, czy nie. Bał się też, że dowie się może czegoś wyjątkowo nieprzyjemnego.

— Widzi pan — zaczął po chwili — my stanęliśmy wobec faktu zgoła nieprzewidzianego, ale zorjentowaliśmy się dość szybko. Ten pan przestał istnieć dla osoby najbardziej zainteresowanej, a tembardziej dla nas...

— Rozumiem i nie narzucam swoich informacji — zgodził się pan Maligan.

— Tak nas omotał, omotał — wybuchnęła pani Zarębina, której nie zdołał uspokoić nawet jej przyjaciel — wyłudził od nas wszystkie pieniądze i uciekł!

— Cóż ja pani na to poradzę? — rozłożył Regier ręce. — Serdecznie współczuję.

— Ja zaraz wiedziałam, że mnie spotka coś złego, jak tylko pan się wprowadził do mego mieszkania.

— Szczerze i serdecznie żałuję, że przez życzliwość dla kolegi musiałem się wprowadzić do pani, po odstąpieniu mu swego mieszkania — zwołał Regier. — Naprawdę szczerze żałuję! Dla nas ma to skutki przykrzejsze, niż dla państwa.

— Czy pan wie, jakie to są sumy? — wybuchnęła pani Zarębina. — Przecież zabrał nietylko jej pieniądze, ale i moje. I moje!

— Przepraszam panią — zaczął Regier — ale przypominam sobie dobrze, że były mi czynione propozycje przewiezienia pieniędzy przez granicę wbrew obowiązującemu prawu. Zdaje mi się, że należałoby się liczyć z góry z tem,

iż człowiek, którego nakłania się do jednego przestępstwa, popełni przy sposobności wiele innych.

— Ma pan rację. Takie rzeczy mają swoje konsekwencje i swoje ryzyko — rzekł pan Maligan. — Pan Iwecki poprostu zdyskontował naszą sytuację, wiedząc bardzo dobrze, że dochodzenie prawne nastęrcza tu pewne trudności. No, jakoś się z nim ułożymy, ale gorsza rzecz, że wplątana tu jest panna Madzia...

— Ach mój Boże! — załamała ręce pani Zarębina. — Z żonatym człowiekiem! Ach łotr!

— Niech pani odszuka pana Iweckiego i powie mu, że może śmiało starać się o rozwód. Z naszej strony przeszkód nie napotka. A potem może poślubić pannę Madzię.

— Może poślubić!... — powtórzyła pani Zarębina. — Do kryminału go powinni zamknąć!

— Proszę pani już pójdziemy — rzekł pan Maligan. — Pan profesor jest zajęty, a my jesteśmy niebardzo miłymi gośćmi. Pan profesor nie winien.

— Pan mi za złe nie weźmie — mówił do Regiera — musiałem przekonać panią Zarębinę, iż się myli, sądząc, że pan wie coś więcej od nas.

— Widzi pan tak dalece nie wiem, że nawet nie wyobrażam sobie, jak się pan Iwecki urządził z wojskiem.

— O, proszę pana — zawołał pan Maligan — to przewidujący człowiek! Z wojska uwolnił się już dawno i używa życia po cywilnemu. Wykorzystał stosunki, czy co, i poszedł sobie. Znajdziemy go, oczywiście, ułożymy się, o ile nie roztrwonil pieniędzy i będzie dobrze.

— Sądziłbym, że ten pan umie ocenić pieniądze i nie roztrwoni ich — rzekł Regier z ironicznym uśmiechem. — Ktoś, kto tyle poświęca dla pieniędzy...

— I ja jestem tego zdania, że pan Iwecki będzie dobrym administratorem — roześmiał się pan Maligan. — Tylko że w administrację wkradł się sposobem nieco forsownym.. Ale to rzecz gustu.

Pani Zarębina osuszyła oczy i żegnając się z Regierem, mówiła w jakimś już daleko lepszym nastroju:

— Żeby go aby znaleźli, zanim przepuści te pieniądze!

No i Madzia... Sądzi pan więc, że to człowiek honoru i że..

— Bezwarunkowo człowiek honoru! — roześmiał się Regier. — Któżby śmiał wątpić o tem, wobec jego dotychczasowego postępowania!

Pani Zarębina nie słuchała i nie patrzyła na pana Maligana, który uśmiechał się bezradnie do Regiera, że pani Zarębina mogła mu zadać takie naiwne pytanie.

Po odejściu gości, Regier długo rozmyślał o wszystkim, co się stało. Budził się w nim niepokój, że może się stać to i owo, co mogłoby paść cieniem na życie Ludki, odzyskującej spokój takimi ciężkimi wysiłkami. Najchętniej byłby zaraz poszedł do niej, aby się czegoś dowiedzieć, ale ponieważ miał dużo zajęcia, więc poszedł dopiero na-
zajutrz.

Zapytał, czy nie zamierza przeprowadzić się do Zabłonia, jak to matce obiecała. Odpowiedziała mu, że jeszcze nie. Musi czekać, aż będzie zupełnie wolna i wszystkie sprawy będą załatwione ostatecznie.

— A czy już zaczęło się coś? — pytał.

— Właśnie dziwię się bardzo, że jeszcze nie. Nie mam z kim pomówić o tem — odpowiedziała.

— Była u mnie ciotka tej panny Madzi, pani Zarębina... — mówił Regier.

— No i co?

— Nic nie wiedzą.

— Musimy czekać. Innej rady niema. Mam takie niejasne przecucie — Ludka mówiła cicho, głosem niespokojnym, — że mnie spotka ze strony tego człowieka jakaś przykreść. Nie wiem jeszcze jaka, ale już wiem, że mnie spotka. Muszę pozostać w Warszawie i czekać. Tu są adwokaci, sądy, konsystorza... Gdybym zamieszkała teraz w Zabłoni, musiałabym może co parę dni jeździć do Warszawy i to w przeciagu miesięcy. Poczekam tutaj.

— A na Boże Narodzenie? Pojedziemy do Zabłonia, czy zaprosimy matkę do Warszawy? — zapytał Regier.

— To wszystko jedno, wujku — odpowiedziała bez namysłu. — Możemy pojechać, o ile nie będzie za chłodno dla Jureczka.

I znowuż dni płynęły monotonnie spokojnie, jakby nie było na świecie żadnych cierpień i zgryzot ludzkich i jakby życie było obojętnym potokiem, w którym odbijają się równie dobrze chmury i słońce, błyskawice i gwiazdy.

Pani Anna przyjechała na Boże Narodzenie do Warszawy, bo miała w stolicy do załatwienia dużo różnych spraw, i wyjechała dopiero po Nowym Roku, który nie przyniósł nic nowego.

Ludka przyzwyczajała się do pracy w biurze, polubiła tę pracę i miewała nieraz takie wrażenie, jakby nigdy nic innego nie robiła. Po powrocie z biura spędzała całe godziny z Jureczkiem, który teraz w drugim roku swego życia stawał się coraz miłszym i ciekawszym chłopaczkiem, czasem wieczorem, gdy dziecko już spało, rzucała na siebie płaszcz i biegła do Regierów, a często - gęsto razem z nimi zachodziła do teatru, na odczyt, na koncert, do kina.

Ponure miesiące zimy zbiegły szybko, przyszedł marzec, a razem z nim konieczność powzięcia pewnej decyzji przez Ludkę. Zarząd fabryki, w której biurze pracowała, szybko poznał się na pracowitości i inteligencji swojej pracownicy i powierzał jej coraz odpowiedzialniejsze zajęcia, podnosząc odpowiednio wynagrodzenie. W marcu dyrektor poprosił ją do swego gabinetu i zaproponował jej kierownictwo biura zakupów.

— Jest pani taka oględna, ostrożna, a zarazem oszczędna — mówił dyrektor — że najchętniej widzielibyśmy panią na stanowisku, które właśnie opuszcza nasz długoletni pracownik. Wiemy, że pani nie ma wiadomości fachowych, ale na to się znajdzie rada. Główna sprawa to strona techniczna. Mamy do czynienia z dużą konkurencją i musimy utrzymać nasze ceny na pewnym poziomie, a więc i kupować musimy tanio. Z dotychczasowej pracy pani widzimy, że pani się interesuje naszym przedsiębiorstwem, a ponieważ panie naogół są oszczędniejsze, od mężczyzn...

Ludka zastrzegła sobie kilka dni do namysłu, aby się mogła zapoznać ze swoim przyszłym zajęciem i zakresem odpowiedzialności.

— Naturalnie, że damy pani możliwość zorientowania

się — zgodził się dyrektor — chociaż zgóry wiemy, że da sobie pani radę. Oprócz pensji dwukrotnie wyższej od obecnej, miałyby pani zagwarantowany pewien udział w zyskach. Ale...

— Słucham — zaciękaowała się Ludka.

— Musiałaby się pani zdecydować na zawarcie z nami umowy przynajmniej na trzy lata, albo powiedzmy na dwa. Obowiązki pani polegałyby głównie na inicjatywie zmniejszenia kosztów przy zakupach, czy to w wyszukaniu tanich miejsc zakupu, czy korzystnych warunków, czy wreszcie oszczędzaniu na kosztach transportu. Każda z tych pozycji przy jednym zakupie jest drobiazgiem, ale przy setkach zakupów i w ciągu roku daje to pozycje duże.

Ludka czuła się szczęśliwą, że zostanie kierowniczką biura zakupów w poważnej fabryce i po kilku dniach podpisała umowę, wiążącą ją z Warszawą na całe dwa lata. Ciągle jeszcze nie pozbywała się nadziei, że po upływie jakichś trzech - czterech miesięcy sprawa rozwodu jeśli nie zostanie ostatecznie załatwiona, to w każdym razie będzie zapoczątkowana. Sądziła, że najdalej za rok byłaby mogła wyjechać do Zabłonia jako zupełnie uwolniona od jakiegokolwiek łączności z Iweckim. Ale ponieważ fabryka domagała się od niej konieczności zawarcia umowy przynajmniej na dwa lata, zrobiła to z niejaką myślą uboczną o Jureczku. Pochłonięta całkowicie troską o dziecko, myślała już teraz o jego wychowaniu i wykształceniu oraz o gromadzeniu środków na ten cel. Wysokie wynagrodzenie nie kuśiło jej dla potrzeb własnych, które były bardzo skromne, ale dla zaspokojenia przyszłych potrzeb Jureczka. Jeśli po dwóch latach okaże się, że lepiej pozostać w Warszawie i pracować dalej, to umowę odnowi, jeśli nie, wyjedzie do Zabłonia. Narazie umowa ta miała dla niej i to jeszcze znaczenie, że broniła ją niejako przed naleganiem matki, aby jak najprędzej przyjechała do Zabłonia.

Wyczekiwanie na wszczęcie kroków rozwodowych ze strony Iweckiego zaczynało ją niecierpliwic i obrażać. Czuła się zupełnie zignorowaną, porzuconą jak rzecz niepotrzebna i zawadzająca, nie mogła sobie wyobrazić, aby

Iwecki miał taki stan rzeczy przewlekać w nieskończoność, tembardziej, że musi się przecie jakoś ustosunkować do panny Madzi. Ale tygodnie płynęły, a o Iweckim nie było nic słychać, jakby go na świecie nie było.

Przyszło lato, Ludka spędziła krótki urlop w Zabłoniu i pod koniec sierpnia wróciła do Warszawy, ale oczekiwanej wieści o Iweckim nie było. Przywykła już do myśli, że wyjechał niezawodnie do Ameryki i tam się jakoś tak urządził, że rozwód jest mu niepotrzebny. Jeśli postępek jego odrazu wzbudził w niej obrzydzenie do człowieka, który był zdolnym do czegoś podobnego, to sama myśl o tem, że szukając własnego zadowolenia, nie liczył się ani z nią, ani z tą Madzią, którą wyrwał z jej dotychczasowego życia, napełniała ją uczuciami, dla których nie znajdowała słów.

Pod koniec października którejs soboty, gdy Ludka wracała do domu wcześniej, niż zwykle, aby pojechać z Jureczkiem do przyjaciółki w Brwinowie na sobotnie popołudnie i niedzielę, spotkała w bramie listowego, który wręczył jej listy, a między innymi wezwanie do Sądu Arcybiskupiego w Warszawie. Spojrzała na datę i uradowała się. A więc jednak! Nie wątpiła, że chodzi o rozwód i że zostaje wezwana jako strona. Naturalnie, że z całą gotowością zgodzi się na rozwód, nie żądając niczego dla siebie i nie czyniąc żadnych zastrzeżeń. Niedługo będzie zupełnie wolna i pan Iwecki stanie się w jej życiu tylko smutnym, żalnym, nieopatrzonym epizodem. W nastroju radosnego podniecenia pojechała z Jureczkiem do Brwinowa i dopiero nazajutrz pod wieczór powróciła do Warszawy, ale usposobiona mniej radośnie, niż w sobotę. Mąż przyjaciółki poradził jej, aby stanowczo poszła do dobrego adwokata, zanim się uda do Sądu Arcybiskupiego, bo rzeczy tak ważnych nie należy traktować zbyt wspaniałomyślnie, ale przede wszystkim rzeczowo. Dodał, że może tu nie chodzi bynajmniej o rozwód, ale poprostu o unieważnienie małżeństwa.

— Jakto można unieważnić coś, co istnieje, czy istniało przynajmniej? — zawołała Ludka oburzona. — Można

w handlu unieważnić pewien kontrakt i jego skutki, ale jak unieważnić mojego Jureczka?

— To już sekrety prawa kanonicznego, którem Sąd Arcybiskupi kieruje się wyłącznie — mówił mąż przyjaciółki. — Dlatego radzę stanowczo pójść do adwokata.

Ludka zaniepokoiła się tem ostrzeżeniem i radą, więc zaraz nazajutrz po wyjściu z biura udała się do mecenasa Jansona. Przyjął ją barzo uprzejmie. Domyślał się o co jej chodzi, bo słyszał już, że Iwecki ją porzucił, ale zachował postawę pełną dyskrecji i podając jej krzesło, pytał:

— Czem mogę pani służyć?

— Mam sprawę rozwodową — rzekła Ludka zakłopotana. Zawsze wyobrażała sobie, że w chwili odpowiedniej pójdzie do kogo należy i w niewielu słowach wyrazi zgodę na rozwód. Teraz przekonywała się, że to jednak nie takie proste, szczególnie wobec otrzymanego ostrzeżenia, że może chodzić o unieważnienie małżeństwa. Podała adwokatowi wezwanie z Sądu Arcybiskupiego i nie czekając na jego odezwanie się dodała: — Na rozwód godzę się bez jakichkolwiek zastrzeżeń...

Adwokat popatrzył na wezwanie i przerwał jej:

— Widzi pani, tu nie chodzi o rozwód, ale o unieważnienie małżeństwa.

— Może pan mecenas powie mi z łaski swojej, co to jest unieważnienie małżeństwa. Przecież nawet dla Sądu Arcybiskupiego nie może być wątpliwem, że zawarłam legalnie małżeństwo z... panem Iweckim.

— Państwo brali ślub w kościele ewangelickim?

— Tak. Mąż sam... pan Iwecki sam zaproponował ślub w kościele mego wyznania.

— W takim razie może chodzić jedynie o unieważnienie, a nie rozwód. Kościół rzymsko-katolicki rozwodów zasadniczo nie uznaje — odpowiedział adwokat.

— Więc unieważnienie małżeństwa znaczy, że...

— Że małżeństwa wogóle nie było.

— Ale co było w takim razie?—załamała Ludka ręce.

— Proszę pani, niech pani się nie przejmuję — uspa-

kajał ją pan Janson. — Musimy się uzgodnić z pewną rzeczywistością i... naprawdę szkoda nerwów.

— Jakto? Sąd kościelny może orzec, że małżeństwa między mną a Iweckim nie było? Czemże w takim razie będzie mój synek?

— Sąd kościelny napewno wyda takie orzeczenie — rzekł adwokat. — Mówię to pani otwarcie z całą odpowiedzialnością za swoje słowa.

— Nawet gdyby pan wziął na siebie obronę moich praw? — pytała Ludwika.

— Obronę wezmę bardzo chętnie i zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, ale nie zdołam zmienić rzeczywistości, że tak u nas, jak np. w Bawarii prawo kanoniczne jest w sprawach podobnych jedynie obowiązującym. Mogę tylko odwlec sprawę pewnymi formalnymi obiekcjami, ale... Zresztą sama pani powiedziała, że na rozwód godzi się pani bardzo chętnie.

— Na rozwód, tak! — zawołała Ludka. — Rozwód to znaczy, że małżeństwo istniało i w pewnej chwili istnieć przestało. Ale unieważnienie..! Stwierdzenie, że małżeństwa nie było... Nie, to nie możliwe!

— A jednak, szanowna pani, nie mogę cofnąć słów powiedzianych.

— Przepraszam pana bardzo, ale ja mam czasem wrażenie — mówiła Ludka, — że ewangelicy bywają niesprawiedliwi względem Kościoła katolickiego. Pan jest takim gorliwym działaczem ewangelickim i dlatego widzi pan może te sprawy w świetle pewnego uprzedzenia, czy tak jakoś. Nie mogę w to wierzyć, aby Kościół katolicki mógł ułatwiać niemoralność, przeciwko której tak gorliwie występuje.

Zamiast odpowiedzi, mecenas Janson wstał i podszedł do półki z książkami. Poszperawszy chwilę, wydobyl gruby zeszyt czasopisma prawniczego, otworzył je na miejscu założonem karteczką papieru i podał Ludce. Ludka czytała, że pewne małżeństwo ewangelickie w Bawarii zostało przez sądy świeckie rozwiedzione skutkiem wiarołomstwa żony popełnionego z pewnym nauczycielem katolickim. Nauczyciel

ten żeni się z rozwiedzioną, ale według ustaw podlega karze dyscyplinarnej ze strony ministra oświaty. Nie godzi się na tę dyscyplinarną karę i kieruje sprawę do sądu kościelnego, który orzeka, że nie może być mowy o wiarygodności, bo małżeństwo zawarte w kościele ewangelickim nie jest małżeństwem, ale konkubinatem. Ministerstwo oświaty podzieliło wywody sądu kościelnego i nauczyciel uniknął kary dyscyplinarnej. W głosie do tego artykułu wyczytała jeszcze Ludka, że ponieważ niweczenie konkubinatów jest chwalebne, przeto małżeństwa niekatolickie należy unieważniać przy każdej nadarzonej sposobności.

Ludka oddała zeszyt adwokatowi. Oczy jej płonęły, na policzkach miała wypieki. Przez chwilę milczała, a potem rzekła z wielką stanowczością i przekonaniem w głosie:

— Będę walczyła sama o swój rozwód. Powiem, że się nie sprzeciwiam rozwodowi. Do unieważnienia swego małżeństwa nie dopuszczę. Nawet Iwecki... nawet najpodszy człowiek, choćby zapomniał o kobiecie, której przysięgał wierność i miłość, nie może zapomnieć o świętym, nietykalnym prawie swego dziecka. Kściół katolicki nie może popierać takiej... takiej...

Nie dokończyła zdania, bo słowo, które się jej narzucało, nie chciało przejść przez usta. Wstała i zęgnęła się.

— Dziękuję panu mecenasowi — rzekła spokojnie i przepraszam za fatygę.

— Bardzo mi miło służyć pani — odpowiedział Janson z ukłonem. — Jeśli pani dojdzie jednak do przekonania, że moja pomoc prawna może się jej przydać, to proszę mną rozporządzać. Będę służył bardzo chętnie.

W dniu oznaczonym Ludka z sercem ściśniętym przekroczyła próg Sądu Arcybiskupiego. W poczekalni siedziało kilka kobiet, prawie wyłącznie młodych, Ludka usiadła obok młodej brunetki o wesołych roześmianych oczach i czekała na swoją kolej. Po chwili uspokoiła się nieco i zaczęła się rozglądać dokoła. Na ścianie wisiał ogromny krucyfik, jakie widuje się w starych klasztorach, i parę starych obrazów świętych. Cała salka pachniała jakoś osobliwie wilgocią, zaduchem i jeszcze czemś nieznanem. Ludka

przypomniała sobie, że tak samo pachniał dom, o którym powiedziano jej, że kiedyś przed wielu laty była w nim przez jakiś czas apteka.

Przez salę przeszedł stary, chudy ksiądz w okularach, spoglądający po obecnych surowo i zimno. Robił wrażenie człowieka obojętnego i bezwzględne. Otworzyły się drzwi naprzeciwko, wyrzwał z nich ksiądz młodszy, pulchny i wesoły, a kłaniając się nisko i robiąc miejsce w drzwiach, wyrecytował zcicha:

— Ksiądz biskup będzie łaskaw...

Drzwi się zamknęły, na salce zapanowała znowuż gnębiąca cisza i mocniej, niż przed chwilą, zapachniała wilgoć zmieszana z zaduchem i tem czemś nieznanem.

— Pani także o mieszkanie? — ozwała się szeptem brunetka o roześmianych oczach.

Ludka spojrzała na pytającą ckiem wystraszonem, jakby została zaskoczona myślą, że się pomyliła w drzwiach. Przecie w Sądzie Arcybiskupim nie rozpatrują spraw o mieszkanie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, młoda wesoła brunetka przedstawiła jej się:

— Pani pozwoli, jestem Stożycka...

Helena wymieniła swoje nazwisko i dodała:

— Przecież tu chyba nie rozpatrują spraw mieszkaniowych...

— A ja właśnie w sprawie mieszkaniowej — szepnęła tamta i zamrugała wesołemi czarnemi oczkami. Mój małżonek chce się żenić, a ja nie ruszam się z mieszkania... Mamy separację od obu najważniejszych mebli, ale on jest filut i chciałby mnie najprzód wykurzyć z mieszkania, a potem przejdzie na prawosławie albo na protestantyzm i będzie się żenił. A ja sobie siedzę w mieszkaniu i kwita...

Ludka niebardzo rozumiała tego wszystkiego, co jej mówiła pani Stożycka, i nie wiedziała, co jej odpowiedzieć.

— Pani Helena Stein... — ozwał się głos z za uchylonych drzwi.

Jedna z niewiast zerwała się z ławki i krokiem nerwowym podążyła w stronę drzwi za którymi zniknęła jak zatrwożona ofiara. Ludka przypomniała sobie wszystko, co

czytała kiedyś o sądach inkwizytorskich i serce jej się ści-
snęło. Budziło się w niej uczucie dumy, która nie chce się
dać upokorzyć nikomu i nigdy. Zaraz wstanie i wyjdzie
stąd... Odetchnie na ulicy świeżem powietrzem i niech tam
sobie unieważniają małżeństwa jak im się podoba i ile tyl-
ko chcą. Co ją to może obchodzić! Jest człowiekiem wol-
nym i nigdy nie będzie zależną od żadnych biskupów, czy
arcybiskupów i ich sądów. Wstanie i pójdzie, a wezwania
choćby ich posłano dziesięć, rzuci do kosza. Zaciągała się
w sobie i zbierała energję do wykonania tego postanowie-
nia, ale nagle drzwi otworzyły się znowu, wyszła z nich bla-
da z czerwonymi oczami pani Helena Stein, a jednocześnie
zostało wymówione jej imię i nazwisko. W oczach jej się
zakreśliło, wstała i krokiem lunatyczki poszła ku drzwiom
rozwartym, jak przepaść.

— Proszę siadać — ozwał się głos starego suchego
księdza, spoglądającego na nią z ponad szkieł okularów.

Ludka usiadła, siłą opanowując drżenie i bolesny
skurcz serca. Ogarniała ją trwoga, że usłyszy coś takiego,
co jej wydrze szloch z piersi. Pomyślała o Jureczku i o je-
go uśmiechu, który przecie za chwilę znowuż zobaczy, i tym
obrazem dziecka ratowała się od płaczu. Nie, nie doczeka-
nie Iweckiego, aby przez niego miała płakać! Nerwowo po-
prawiała guziczek u rękawiczki i połykała śliny, aby zwil-
żyć gardło.

— Pani jako świadek w sprawie o unieważnienie mał-
żeństwa Stefana Iweckiego, rzymskiego katolika... z Ludwi-
ką... w kościele ewangelicko-augsburskim...

Ksiądz wodził palcem po jakimś papierze i odczyty-
wał te słowa jakby sobie coś przypominał.

— Jako świadek...? — zapytała Helena. Czyba jako
strona?

— Jako świadek dla ustalenia faktów podanych przez
Stefana Iweckiego.

— Stefan Iwecki to mój mąż — rzekła z mocą.

— Hm... Państwo brali ślub w kościele ewangelicko-
augsburskim? — zapytał ksiądz jakby mimochodem i jak-
by wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

— Tak. Na specjalne życzenie męża mojego! — rzekła z naciskiem.

— Szkoda. Małżeństwo jest nieprawne i zostanie unieważnione.

— Dlaczego?

— Niech pani się uda do adwokata, my tu nie mamy czasu na objaśnienia.

— Więc małżeństwo zostanie unieważnione?

— Tak sądę — usłyszała odpowiedź suchą i twardą.

— A nasze dziecko...?

— My się kierujemy sprawami wyższymi nad los jednostek. Katolik nie ma prawa zawierać małżeństwa w kościele akatolickim i za to zostanie ukarany.

— Czem? Zwolnieniem go z obowiązków względem mnie i dziecka? Aby miał możliwość podejścia nowej ofiary?

— Nie — usłyszała odpowiedź zimną i sztywną — otrzyma pokutę kościelną.

— I będzie mógł ożenić się z pewną panią, z którą uciekł?

— Będzie mógł zawrzeć legalne małżeństwo z kim zechce.

— Więc katolikowi wolno czynić takie rzeczy?

— Wezwano tu panią nie na dyskusję. Jeśli się pani interesuje pytaniem, co wolno katolikowi, to polecam konferencję z księdzem katolickim, co zaś do prawa kanonicznego, to pójdzie pani do adwokata.

Helena chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdobywała się na żadną myśl dorzeczną. Waliła się na nią, bezbroną kobietę, czarna fala zimnej przemocy jakichś ludzi bezwzględnych i twardych. Czuła, że już jej sprawa jest przesądzona, że załatwia się tylko jakieś czcze formalności, jakie spełniają wobec skazańca stojącego na szafocie. Patrzyła obłąkanem okiem na krucyfiks wiszący nad głową księdza i w twarzy Chrystusa szukała pomocy i ratunku w swojej bezradności. Ale Chrystus miał oczy zamknięte i głowę pochyloną na pierś, jakby nie chciał nic widzieć z tego, co się tu działo w jego imieniu. Wstała, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Więc sprawa jest właściwie przesądzona.

— Tak. Dekret na temere przesądza takie sprawy w chwili ich popełniania.

— To dobrze — kiwnęła głową. — To dobrze...

Szukała słowa, aby je rzucić temu starcowi w twarz, ale wyschłe gardło ścisnęło się boleśnie, na sercu położył się ciężar nieznośny, a do oczu garnęły się gorące łzy. Przypomniała sobie Jureczka i swoje postanowienie, że nie rozplacze się przecie dla człowieka, który naraził ją na takie upokorzenie. Ktoś otworzył drzwi przed nią, czyjś głos wymówił jakieś nazwisko i sama nawet nie spostrzegła, jak znalazła się obok czarnookiej ładnej pani w poczekalni.

— Chodźmy na powietrze — rzekła do niej, — ja dziś przyszłam napróżno, bo mój pan małżonek nie raczył się stawić.

Ludka wyszła jak pijana. Miała uczucie człowieka, który siedzi w słabej łódce bez wiosła i jest niesiony na zimnych obojętnych falach ku niewiadomym kresom. Nie może nic zrobić, nie może zmienić kierunku fal, nie ma możliwości zatrzymania łódki. Jacyś obcy ludzie decydują o niej i jej synku wbrew jej woli, nie pytając się o zgodę, nie przekonywując, nie uzasadniając. Obcy, niemiłosierni, bezwzględni ludzie. I nawet nie oni! Wyrok zapadł przed stuleciami, gdy zostały wyrzeczone jakieś słowa i gdy te słowa w jakichś ciemnych mózgach zostały pojęte ciasno, mroczno, z nienawiścią dla ludzi. Chrystus, miłujący i miłosierny, zakazał silniejszemu mężczyźnie opuszczać słabszą od siebie żonę dla byle jakiej przyczyny, bo chciał tę słabszą kobietę wziąć w opiekę, chciał ją obronić przed przemocą. Lecz oto mężczyźni podorabiali jakieś straszne komentarze do tych słów miłosierdzia i miłości i ta kobieta, która przez Chrystusa została wzięta w opiekę, przez tych komentatorów wydana została na łaskę i niełaskę złej wierzze pierwszego lepszego mężczyzny... Przecież Chrystus nie mówił, że słowa jego obowiązują tylko w granicach pewnego wyznania! W oczach Ludki wyrastał On zawsze na miarę całej kuli ziemskiej a głos Jego szedł skroś stulecia i skroś narody. Przecie na sądzie ostatecznym, gdy Bóg po

raz ostatni przemawia do wszystkich narodów świata, nie ma dyskusji teologicznej, niema mowy o wierzeniu lub niewierzeniu w rzymskie dogmaty, ale jest mowa wyłącznie o wierzeniu lub niewierzeniu w miłość! Przyszedłem do was głodny, a nakarmiliście mnie, byłem smutny, a pocieszyliście... I oto teraz i tutaj, człowiek wierzący w tego Chrystusa według Jego własnych słów, a nie według nakazu monarchy rzymskiego, słaba kobieta i jej dziecko, pokrzywdzone tak strasznie swawolą złego człowieka, wydane są na łup złej woli w imię komentarza stworzonego przez ludzi ciemnych, ograniczonych, nie pojmujących Boga, takiego jakim jest w miłości i miłosierdzu, lecz takiego, jakim go sobie wyobraża pewien system polityczno - religijny, potrzebny jest dla pewnych celów panowania nad światem.

— Pani się przejęła, nieprawdaż? — zapytała wesoło czarnocoka, rozmowna i żwawa towarzyszka niedoli.

Ludka szła obok niej, nie zdając sobie nawet sprawy dokąd właściwie idzie. Nie dosłyszała słów pani Stożyckiej i nie odpowiedziała na nie.

— Ja się już przyzwyczyłam — mówiła tamta dalej, — chodzę tutaj i do adwokatów już od trzech lat... Do wszystkiego się człowiek przyzwyczai.

— Ach tak — odezwała się Ludka. — Przepraszam panią, taka byłam zamyślona...

— To tak z początku jest zawsze — mówiła pani Stożycza. — Ja nie mogłam pojąć, że takie rzeczy mogą się dziać tutaj i to w imię Chrystusa. A potem się zaczyna rozumieć, że to są wszystko takie sobie formy, przy których pomocy ktoś rządzi tymi, co chcą być rządzeni.

— Ja tu przez trzy lata przychodzić nie będę — rzekła Ludka.

— Ma pani rację. Najlepiej oddać sprawę adwokatowi i niech się gardłuje. Ja już się tak przyzwyczyłam do tego, że stałam się nałogową piniaczką i znam takie ładne kruczki, że mogłabym adwokatom lekcji udzielać.

Ludka spojrzała na mówiącą z mimowolnym uśmiechem. Okazało się raptem, że można się do tych ponurych spraw przyzwyczaić i spojrzeć na nie zgoła wesoło.

— Pani traktuje te rzeczy z wielką pogodą — rzekła.

— A ja inaczej! — zawołała z ożywieniem pani Stozicka. — Proszę pani, ja wychowałam się w domu bardzo pobożnym, głęboko religijnym, jak to się mówi. Jako młoda dziewczynka wierzyłam w Boga tak, jak się wierzy w rzeczy najrealniejsze. Gdzieś, w miejscu bliżej mi nieznanym, siedział na tronie Bóg Ojciec, obok niego Syn jego, Jezus Chrystus, nad nimi zaś trzepotała się jasna gołębica Duch święty... A ten Bóg wszystko wiedział i wszystko widział. Co niedziela chodziłam z rodzicami do kościoła, co dzień rano i wieczorem odmawiałam pacierze... Potem oddano mnie na pensję we wszystkim podobną do klasztoru...

Zamilkła na chwilę i zamyśliła się, jakby sprawdzała, czy wszystko było takim właśnie, jak o tem mówiła.

— A dzisiaj nie wierzę w nic! Zupełnie w nic!

— Dlaczego? — zapytała Ludka mechanicznie, zatrzymując się. Przypomniała sobie w tej chwili, że jeszcze musi iść do biura dla załatwienia pilnych spraw. Przystąpiła więc, aby się pożegnać z przygodną znajomą.

— Byłoby dużo mówić — odpowiedziała pani Stozicka. — Ale pani śpieszy... Wie pani co? Niech pani swoją sprawę odda dobremu adwokatowi, a jeśli pani ma do mnie troszkę zaufania, to proszę korzystać z mego bogatego doświadczenia. Ja się stałam taką konsystorską pieniactką i mogę pani niejedno ułatwić. Może mnie pani odwiedzi, albo jeśli pani woli, to ja przyjdę do pani.

Wymieniła swój adres, zapisała sobie adres Ludki i ściskając jej rękę na pożegnanie, mówiła szybko z ujmującym uśmiechem:

— Niech pani o mnie zle nie myśli. Gdybym się z tych spraw nie umiała śmiać, to już dawno byłabym padła ofiarą rozpacz. Dowidzenia! Niech mnie pani koniecznie odwiedzi!

Pierwsza bytność w Sądzie Arcybiskupim przyniosła Ludce bardzo nieokreślone, mętne wrażenie czegoś, nad czem trzeba długo myśleć, aby to zrozumieć. Właśnie dla

mglistości tego wrażenia i dla niemożności zorientowania się w nowej rzeczywistości, Ludka udała się do adwokata Jansona i przekazała mu prowadzenie sprawy.

Mecenas Janson nie robił jej najmniejszych nadziei. Stanie się wszystko według pewnego szablonu i na to nie ma rady.

— Ja wiem — odrzekła Ludka, — bo gdy wracałam z Sądu Arcybiskupiego, zdałam sobie jasno sprawę, że wyrok na mnie i mojego synka został wydany zaocznie przed wielu stuleciami przez jakichś ciemnych średniowiecznych ludzi. Gdyby ci ludzie przyszli dzisiaj między nas, to uczeń piątej klasy byłby dla nich wielkim mistrzem, ale dotąd rządzą oni tą ogromną częścią ludzkości, która podlega ich berłu...

— Ma pani rację — zgodził się mecenas. — Wieki średnie istnieją dotąd dzięki średniowiecznym ludziom dzisiejszym. Gdy człowiek stanie się wolnym, te więzy dawne spadną z niego. Tymczasem panuje nad światem dzisiejszym ten sam duch, który palił na stosach czarownice i dokładnie określał postać i postęпки djabłów wszystkich gatunków. Ten sam umysł, który w brodawkach na ciele domniemyanych czarownic doszukiwał się siedliska diabła i który znał daleko lepiej diabły i czarownice, niż człowieka, stworzył podstawy dzisiejszego prawa małżeńskiego. Asceci średniowieczni dorzucali sobie do jedzenia rzeczy obrzydliwe dla zasługi, ci sami asceci widzieli w małżeństwie rzecz godną potępienia, więc dorzucili do niego, co mogli, aby je uczynić nieznośnym, złem, ciężkiem, obrzydliwym.

Ludka była pewna, że w mecenasie Jansonie będzie miała jej sprawa obrońcę inteligentnego i życzliwego. Choć wiedziała już dobrze, że nie zdoła on nic dla niej uczynić i że w myśl danej jej rady, będzie tylko czuwał, aby się jej nie stało więcej krzywdy, niż niosą z sobą fatalne stosunki, gdzieś w głębi serca tliła się iskierka nadziei, że w ostatniej chwili zbudzi się sumienie, nie w sędziach, bo ci mają literę przepisu i trzymają się jej z fanatyzmem pielęgowanym od wieków, ale w Iweckim, który dowiedziaw-

szy się może, iż może łatwo otrzymać rozwód, nie zechce skorzystać ze swojej przewagi, jaką daje mu martwa, mechaniczna przynależność do wyznania panującego.

— Kiedy skończy się to średniowiecze? — rzuciła pytanie.

— Nigdy — odpowiedział mecenas Janson. — Zawsze i wszędzie będą ludzie ciemni w olbrzymiej większości, a gdzie nie będzie silnych i męskich charakterów dla rządzenia ciemnotą, tam ciemnota będzie sprawowała rządy nad światem.

— A Francja, a Niemcy, a Skandynawja? — wtrąciła Ludka.

— We Francji sprawa nie jest przesądzona ostatecznie — odpowiedział Janson. — Jeszcze ciągle średniowiecze walczy tam o władzę ze współczesnością. Pewne okoliczności mogą przechylić zwycięstwo na stronę typu średniowiecznego. Mogą tembardziej, że nie wymaga się od nikogo wiary w treść, lecz zachowanie pewnych form. Co zaś do Niemiec, to obok typu dzisiejszego jest tam w takiej Bawarii naprzykład, obficie reprezentowany typ średniowieczny. Czy zna pani Austrię? W takim Tyrolu pod formą zewnętrzną chrześcijaństwa żyje tyle zabobonu, że nie dziwiłbym się, gdyby tam wykryto czarownice i zaczęto je palić na stosach. O Hiszpanji możemy wcale nie mówić, bo tam ludzie wierzą z wielką zaciekleścią, nie pytając wcale w co wierzą.

— Jakie to smutne...! — westchnęła Ludka.

— Dla dotkniętych smutne, dla stojących dalej obojętne. Likwidacja tych stosunków jest nietyłe kwestją oświecenia, ile charakteru. Krytycyzmu teoretycznego nie brak, ale nie widać moralnej postawy, wpływającej z poznania prawdy.

Ludka rozumiała to doskonale. Jej niedola małżeńska niosła z sobą takie głębokie, mądre wykłady filozofji praktycznej, że niepodobna było nie uczyć się z nich tego wszystkiego, co ludzie szczęśliwi i zadowoleni znają jedynie ze słyszenia.

Jakoś w dwa tygodnie po jej bytności w Sądzie Arcy-

biskupim, gdy już zapomniała o tych uczuciach, jakie jej wtedy towarzyszyły, przyszła do niej pani Stożycka, uśmiechnięta, wesoła, pogodna. Wczesny wieczór listopadowy wypełnił ulice miasta brudną, jadowitą mgłą i wciskał się przejmującym chłodem przez okna. Gdy na ulicach zapalały się pierwsze światła, Ludka zasłoniła szczelnie okna i przygotowywała się do jakiejś nadzwyczajnej dyskusji z Jureczkiem, który znał już kilkanaście słów i przy ich pomocy opowiadał matce jakieś nieprawdopodobne przygody i zdarzenia. W tej właśnie chwili przyszła pani Stożycka. Ludka niebardzo była rada tym odwiedzinom, przypominającym jej poczekalnię Sądu Arcybiskupiego, jej zapach obcy i zaduch, ale zarazem zbudziła się w niej jakaś ciekawość. Co też jej powie ta młoda kobieta, która już od trzech lat odwiedza sądy konsystorskie i stała się według własnych słów nałogową pieniaczką.

— Nie przyszła pani do mnie — zaczęła pani Stożycka, — więc przychodzę dowiedzieć się, co słyhać nowego.

Ludka tłumaczyła się mnóstwem pracy w biurze i w domu. Nie zapomniała o niej, ale nie miała czasu.

— Ma pani już adwokata?

— Mam, zdaje się, nawet bardzo dobrego, Jansona... Zna go pani?

— Znam ich więcej, niż przyjemnie znać — uśmiechnęła się pani Stożycka.

— A dlaczego nieprzyjemnie znać adwokatów? — pytała Ludka.

— Pani żartuje chyba tem pytaniem — roześmiała się czarnooka pieniaczka. — Znajomość taka łączy się zwykle z czemś niemiłym, przykrem, ze zgryzotami, a tu jeszcze ci ludzie tacy bywają roztargnieni, tak niepamiętają rzeczy najważniejszych, tak niezręcznie biorą się do obrony swoich klientów... Rzadko który przejmuje się sprawami swego klienta tak, jak tego wymagają okoliczności.

Ludka sprezentowała swojej nowej znajomej Jureczka, kazała podać herbaty i niebawem obie panie rozgawędziły się jak stare przyjaciółki.

— Ja na szczęście nie mam dzieci — rzekła w pewnej chwili pani Stożycka.

— Na szczęście? — zawołała Ludka. — Ależ pani nie wie, co pani mówi!

— Niestety, wiem. Rozumiem, że w warunkach odpowiednich dzieci mogą być źródłem radości i szczęścia, ale w naszych... Mnie życie nie zostawiło nic a nic z tego, co trzeba dać dziecku, bo już jako dziecko zostałam odarta z wszelkich iluzji.

— Mówiła pani, że wychowanie jej było takie religijne — przypomniała jej Ludka.

— Tak się to nazywa... Prowadzano mnie do kościoła, kazano odmawiać pacierze, w piątki dawano na obiad rybę... Potem to samo w ostrzejszej formie na pensji, prowadzonej trybem klasztorным, ale kiedyś raz pewnego przyjechała do domu na wakacje, zastałam istne piekło. Ojciec, zapracowany zwykle po uszy, nie pokazywał się prawie, matka płakała po kątach. Czułam, że coś jest nie w porządku, ale zauważyłam tylko jedno, że ubogi kuzyn, którego ojciec przygarnął, wyprowadził się od nas. Dziś, gdy spoglądam wstecz, rozumiem, czego nie rozumiałam wówczas. Kuzyn był łotr, a matka moja... Potem raptem doszło do pojednania między rodzicami. Ojciec sprawił matce wspaniałe butony, krawcowa naznosiła sukien i wyjechaliśmy do Karlsbadu... I tu właśnie zobaczyłam coś, co mnie napęlnia obrzydzeniem jeszcze dzisiaj. Kuzynek trafił za matką, a ona umiała spotykać się z nim, bo ojciec musiał często wyjeżdżać. Dzisiaj, gdy spoglądam wstecz i rozumiem wiele, widzę, że ojciec nie miał prawa do takiego kompromisowego załatwiania sprawy. Miłosierdzie bywa czasem wysoce niemoralne. To mi otworzyło oczy. Później widywałam gdzieś indziej to samo. Doszłam do tego, że występki uważam za coś powszedniego i normalnego...

— Pani się myli, oczywiście... — rzekła Ludka, dla której opowieść pani Stożyckiej była czemś nowem i niesłychanem.

— I ja tak sądzę. Zdaje mi się, że gdzieś są jednak ludzie uczciwi i dobrzy, ale włącząc się po sądach, spoty-

kałam się z towarzyszkami i towarzyszami niedoli, którzy opowiadali mi tylko o przewrotnych i niegodziwych. Ja sama musiałam w walce z tą niegodziwością popełnić tyle rzeczy nieładnych, że nieraz mam obrzydzenie do samej siebie.

Ludka roześmiała się wesoło na to samooskarżenie pani Stożyckiej.

— Teraz widzę, że pani jest względem całego świata równie niesprawiedliwą, jak względem samej siebie. Skądże znowu mogła pani napopełniać tyle rzeczy nieładnych! I co to były za występki, skoro mówi pani o nich w taki sposób?!

— A jednak, a jednak! — obstawała pani Stożycka przy swoim. — Wydano mnie za męża, gdy miałam lat osiemnaście. Otrzymałam duży posąg i zdawało się, że posiadam wszystkie warunki, aby stać się szczęśliwą. Tymczasem mąż zaczął przesiadywać poza domem, pić i grać w karty. A potem kobiety. Płakałam, rozpaczałam, wreszcie opuściłam dom, który zamienił mi się na piekło. Zamieszkałam u rodziców. Jakies półtora roku żyliśmy zdale od siebie. Mąż rozporządzał się moim majątkiem, a z mieszkania korzystał bardzo wesoło. Donoszono mi o tem z wszelkimi szczegółami. Mnie zaś kazał detektywom prywatnym pilnować... Za moje własne pieniądze. Chodziło mu o to, aby mnie się pozbyć. Nie mogąc nic mi zarzucić, wniósł skargę przeciwko mnie o złośliwe opuszczenie domu...

— Złośliwe opuszczenie domu? — roześmiała się Ludka. — Czy bywa i niezłośliwe?

— Widzi pani powynajdywali ludziska takich jakichś słów i nazw, żeby nimi gnębić swoich bliźnich. Mojemu małżonkowi chodziło o to, abym została skazana przez Sąd Arcybiskupi i aby mógł zapanować niepodzielnie nad mieszkaniem. Dostałam w posagu bardzo ładne i ładnie urządzone mieszkanie...

— No to pani właściwie mogłaby eksmitować męża — zauważyła Ludka.

— Byłam przecie taka beznadziejnie głupia i postępo-

wałam tak, jak w podobnych sytuacjach powinny postępować dobrze wychowane kobiety z przestarzałych powieści. Liczyłam na to, że się ten człowiek opamięta, że przyjdzie jak w sentymentalnej nowelce i padnie do nóg. Przebacz mi, najdroższa, i tam dalej...

— Mówi pani o tem tak spokojnie, jakby pani opowiadała wesołą przygodę.

— Przez półtora roku płakałam — odpowiedziała pani Stożycka. — Może byłabym sobie popłakiwała dalej, ale umarł mi ojciec, a matka kazała mi się wyprowadzić i przestała mi dawać pieniądze. Trzeba było zabezpieczyć sobie dach nad głową i środki jakiego takiego utrzymania, procesować się z mężem o swoje. Staliśmy się dla siebie obcymi, nawet wrogami. On uzyskał wyrok Sądu Arcybiskupiego przeciwko mnie: separacja, oddzielenie od stołu i łoża. Myśmy się sami odseparowali na niemal dwa lata przed tym wyrokiem, więc nie było tu nic nowego i ciekawego, ale wtedy się tak dziwnie zacięłam i zaczęło się... Dowiedziałam, że wina jest nie po mojej stronie i wyrok po czterech miesiącach został zmieniony na moją korzyść. Potem on założył apelację a jego adwokat wynalazł jakieś uchybienie proceduralne i tak się bawimy, a życie płynie. Ja chcę, żeby on opuścił moje mieszkanie, a on robi wszystko, co może, żeby mnie z niego wykurzyć.

— I to trwa już trzy lata? — dziwiła się Ludka.

— Znam sprawy podobne, które wloką się po lat siedemnaście.

— Czy nie szkoda życia na to?

— Oczywiście, że tak... — przyświadczyła pani Stożycka. — Mam znajomego, ech powiem otwarcie, narzeczonego, i wyszłabym za niego natychmiast, gdybym tylko uzyskała wyrok eksmisyjny przeciwko panu Stożyckiemu i gdybym zdołała odebrać swoje pieniądze, ale procedura cywilno-prawna, szczególnie gdy jest skomplikowana procedurą kościelno-prawną, może wypełnić życie i wysiłki paru pokoleń.

— Ach, proszę pani — wybuchnęła Ludka głośnym

śmiechem, — niech mi pani wybaczy, ale to takie pocieszne, co pani mówi! Mieszka pani pod jednym dachem z mężem...

— Niestety, tak.

— I ma pani narzeczonego...?

— Mam narzeczonego — odpowiedziała pani Stożyc-ka spokojnie. — Bylibyśmy się pobrali już przed rokiem, bo sprawy moje wzięły wtedy obrót bardzo dobry.

— No a rozwód? Przecie katolicy nie otrzymują roz-wodu...!

— Toteż pojechałam do Krakowa, przyjąłm wyzna-nie ewangelickie i chciałam właśnie wdroyć kroki rozwo-dowe, gdy otrzymałam groźne wezwanie od Sądu Arcybi-skupiego. Poszłam do swego adwokata, ale ten nie umiał mi nic powiedzieć. Na własną rękę, sprytnie i zmyślnie do-wiedziałam się, że mój małżonek przez swoich detektywów dowiedział się o tem, że zmieniłam wyznanie i zaskarżył mnie o apostazję, co byłoby przesądziło moje prawa do mieszkania.

— Czyżby coś podobnego było możliwem? — nie do-wierzała Ludka.

— Może mi pani zaufać w zupełności — mówiła czar-nooka pani, — posiadam wszystkie możliwe dokumenty i mogę je przedłożyć.

— I cóż pani zrobiła? — zaciekaWiła się Ludka.

— Nic takiego. Na parę dni przed terminem byłam taka zacięta przeciwko łotrostwom swego małżonka i tak dalece zobojętniała wobec wszystkiego, że zdecydowałam się na dalsze prowadzenie walki środkami swego przeciw-nika: chytrość na chytrość, perfidja na perfidję, kłamstwo na kłamstwo. Resztki jakichś wierzeń zniknęły mi z serca. Widziałam, że decydują jakieś zimne, martwe, głupie for-my, więc udałam się pod ich opiekę...

— Pod opiekę form?

— Tak. Poszłam do znajomego księdza, powiedziałam mu wszystko o swojej apostazji odprawiłam pokutę, wy-spowiadałam się i kiedy doszło do rozprawy, to adwokat mego męża został pouczony przez kogo należało, że spr-

wa przez niego wytoczona przestała być aktualną wobec mojej pokuty...

Ludka szeroko otworzyła oczy i oniemiała. Nie śmiała się już, ale przeciwnie, z oczu jej patrzyło przerażenie.

— Ja wiem — mówiła pani Stożycka dalej, — jakie to opowiadanie wywiera na pani wrażenie, ale cóż zrobić? Gdy formy decydują o życiu człowieka, gdy moralność i religja zostają ujęte w pewne symbole pozbawione treści, o którą nikt nie pyta, to tylko głupiec upierałby się przy zasadach i chciałby być moralniejszym od swoich oskarżycieli i sędziów...

— Ależ to okropne! — zawołała Ludka. — To okropne, że ludzie zostają doprowadzeni do takiego stanu przez swoich bliźnich!

— Wie pani, że to nawet nie jest takie okropne — zauważyła pani Stożycka. — Tak samo, jak nas dawne czasy gubią i potępiają, tak znowu z drugiej strony rzucają nam złote mosty. Taka naprzykład Theologja moralis O. Gury'ego, uczy wykrętów lepiej od jakiego sprytnego adwokata. Instytucja, której całe życie i wszystkie stosunki ujęte są w ściśle przepisy prawne, musi mieć swoich kazuistów i adwokatów.

— Pani czytuje nawet takie dzieła specjalne? — dziwiła się Ludka.

— Nieszczęście uczy lepiej od szkoły — odpowiedziała pani Stożycka. — Zresztą ten O. Gury jest bardzo ciekawy, bo uczy dłużnika jak zataić wobec sędziów istotny stan majątkowy, jak wiarołomna żona ma wykrętnie odpowiadać oszukanemu mężowi, żeby się prawdy nie dowiedział i tam dalej.

— Nie, to już niemożliwe! — zawołała Ludka. — Ja wiem, że Kościół katolicki ma swoich wrogów i ci rozpowszechniają o nim takie wieści, ale...

— Ja pani przy sposobności przyniosę taką książeczkę i tekst łaciński razem z kościelną aprobatą, to się pani przekona.

Obie kobiety siedziały długo, zastanawiając się nad szczegółami i okolicznościami swoich przeżyć. Pani Sto-

życka spojrzała wreszcie na zegarek i zerwała się do odejścia.

— Zagadałam się, a tam czekają — zawołała, udając wystraszoną. — Siedziałam tak długo, ale to tylko dlatego, że nie mam się do kogo odezwać. Do matki sprowadził się mój zacny kuzynek, który miał siedem konkurentów, krewnych tu nie mam, a serce potrzebuje czasem takich wynurzeń. Jestem wykolejona i szukam oparcia o trochę przyjaźni, gdzie spodziewam się ją znaleźć.

— A narzeczony pani? — zapytała Ludka.

— Najzacniejszy człowiek, ale mężczyźni to zgoła inny świat — odpowiedziała pani Stożycka. — Niektórych rzeczy słyszeć nie chcą, niektórych powiedzieć im nie można. My wyczuwamy, oni wnioskują. Ach, jak to musi być dobrze, mieć kochającą matkę! — westchnęła.

— Ja mam matkę i to bardzo kochającą — odrzekła Ludka, — ale komuś obcemu opowiedziałabym bodaj więcej, niż jej... Dziwne, prawda?

— Ludzie są tacy różni... Niech pani zajrzy do mnie koniecznie! — nalegała pani Stożycka na odchodnym i wyszła, śpiesząc się.

Ludka długo myślała o tem wszystkim, co od niej słyszała, i nie mogła pojąć, że jej nowa znajoma opowiedziała jej z takimi szczegółami swoje przeżycia nie oszczędzając tajemnic swoich własnych rodziców. Jedno zdawało się być jasnym, że do takiej szczerości doszło jedynie przez wydarzenia życiowe, a szczególnie przez traktowanie tych wydarzeń ze strony czynników rozstrzygających. Forma nabrała tak potężnego i wyłącznego znaczenia, że treść życia spadła do roli czegoś przypadkowego, podrzędnego, nic nie znaczącego. Opowieść pani Stożyckiej była opowieścią o wszechwładzy formy i o tych perypetyjach, jakie powstawały na tle zetknięcia się żywej istoty i jej woli z martwą formą i jej nieustępliwością.

* * *

Jednego z pierwszych dni po Nowym Roku do Regiera przyszedł jego kolega szkolny, ksiądz prefekt Lipka. Pro-

sił Regiera o przetłumaczenie mu kilku zwrotów w pewnej książce francuskiej, które nastęrczały księdzu Lipce du-że trudności. Z całą gotowością zabrał się Regier do spełniania prośby księdza prefekta, czyniąc mimochodem i dla siebie spostrzeżenie, że ksiądz czytał jedną z dawnych, ale wiecznie aktualnych rozpraw Loisy'ego. Dlatego niewątpliwie przyszedł właśnie do niego, będąc przekonanym, że Regier z nikim mówić o tem nie będzie.

— Pan się może dziwi, że przyszedłem akurat do pana — zaczął ksiądz Lipka, gdy Regier objaśnił mu wszystkie konwencjonalizmy francuskie.

— Nie dziwię się wcale — odpowiedział Regier z prostotą, — bo wiem, że wśród swoich naraziłby się ksiądz na podejrzenia, czy coś gorszego. Jest to wykroczenie przeciwko dyscyplinie — roześmiał się.

— A pan nie uważa tego za wykroczenie przeciwko pewnym zasadom etyki, że przychodzę akurat do pana — pytał prefekt.

— Nie, księżę prefekcie. Obaj dobrze wiemy, jak zresztą wie cały myślący świat, że wszelkie ostre zakazy prowadzą zawsze do wykroczeń przeciwko nim. Żaden katolik nie może być na tyle katolikiem, aby się rzekł pragnienia poznania...

— Ja wiem, co pan chce powiedzieć i zgadzam się, ale — ksiądz prefekt podkreślił mocno swoje zastrzeżenie — i w najgorliwszym protestancie jest potężny pierwiastek katolicki. Zgadza się pan?

— O ile powiemy sobie w dwóch słowach, co rozumiemy pod pojęciem katolicyzmu i protestantyzmu — rzekł Regier, — to możemy łatwo dojść do zgody, przynajmniej formalnej, logicznej. Do zrozumienia się.

— Czy można pana zapytać, jak zdefiniowałby pan katolicyzm?

— Katolicyzm sam w sobie jest dyscypliną i postacią władzy nad światem, zaś w stosunku do protestantyzmu jest *sacrificio dell'intelletto*. Ktoś tam coś ważnego wie, mnie komunikuje wnioski z tej swojej wiedzy, niby z przesłanek i każe mi wierzyć, nie dając prawa sprawdzania

prawdziwości swojego twierdzenia. Rozumiem doskonale, jak błogo jest wierzyć i nie męczyć się dochodzeniami... — mówił Regier.

Ksiądz Lipka uśmiechał się wyrozumiale nie przerywając Regierowi. Dopiero, gdy ten zamilkł, odpowiedział mu:

— Katolicyzm jest rzeczywiście autorytetem, ale jest też chęcią poddania się autorytetowi. Zgoda z autorytetem nie leży w płaszczyźnie zgody rozumowej, ale wyłącznie uczuciowej. Dlatego wielcy uczeni katolicycy nie troszczą się wcale o wywody krytycyzmu naukowego. To samo, co protestanta od Rzymu odpycha, to katolika do niego pociąga.

— Zapewne, ale takie stawianie sprawy przesuwa zagadnienie tylko na inne koleiny, nie rozstrzygając go bynajmniej — zastrzegął się Regier. — Dlaczego pewien typ wierzy w cudzą wiarę, a drugi typ chce koniecznie wierzyć bezpośrednio? Gdy choremu katolikowi mówią, że w Lourdes może zostać uzdrowionym, to katolik jedzie do Lourdes; gdy to samo mówią protestanci, to przedewszystkiem odniesie się z całym krytycyzmem do objawienia małej Bernadetty Soubirou, a potem zada sobie pytanie, czy istota myśląca logicznie może się ustosunkować racjonalnie do sprawy istnienia tylu różnych Madonn i do tego, że jedna jest potężniejsza od drugiej.

— Proszę pana — mówił ksiądz Lipka spokojnie i z uśmiechem pewności siebie — katolicyzmu nie można zdefiniować całkowicie, bo zawsze coś z niego pozostanie poza definicją. Trzeba go poznać na sobie, doświadczyć...

— Tak samo, jak protestantyzm — odparł Regier. — Wszyscy ludzie, ilu ich żyje na Bożym świecie, poszliby na kolanach do Lourdes, czy do Częstochowy, gdyby skuteczność pielgrzymki nie była takim rzadkim wyjątkiem. Zresztą, gdzie jest autorytet zewnętrzny, tam zawsze przesłaniać on musi przedmiot wiary. Kto mówi? Skąd wie? Czy się nie myli? To są pytania czysto ludzkie i byłoby dziwnem, a nawet nieludzkiem, gdyby się w sercach zainteresowanych nie rodziły. Wskazywanie na objawione Boże w przeszło-

ści i odgrodzenie człowieka od jego źródeł, ma tę niedogodność, że inne objawienie może mu przeczyć...

— Prawda może być tylko jedna i jedno jej objawienie.

— Ale wyraz prawdy należy od tyłu okoliczności! Im bardziej jest człowiek rozwinięty, tem doskonalszym jest wyraz tej samej wiecznej i niezmiennej prawdy. Na pastuszej fujarce nawet największy artysta nie zagra tego, co na skrzypcach Stradivariego lub fortepianie Erarda...

— Ale fortepian Erarda powinien uczyć pastuszą fujarkę...

— Tylko że nie powinien rwać swoich strun na pęta i bicze. Nie pozostaje nam nic innego, jak...

— Tolerancja — dokończył ksiądz Lipka.

— Nie, szanowny księżel! — zawołał Regier. — Tolerancja jest cierpieniem czegoś, znoszeniem wbrew samemu sobie niejako. Toleruje się z konieczności chromą nogę, raka na wątrobie, prostytutkę — nie można w tem towarzystwie umieszczać wierzeń duszy ludzkiej. Moja formuła brzmi: Oto miły brat mój, który wierzy inaczej, niż ja.

— Uznanie innej prawdy za równoważnościową — wywodził ksiądz prefekt — jest pewną postacią lekceważenia własnej prawdy, czyli pewną postacią rezygnacji, agnostycyzmem moralnym.

Regier uważał dyskusję za bezowocną i jałową. Każdy z obu miał rację dla siebie, a nie miał jej w oczach drugiego.

— Widzi ksiądz — rzekł po chwili, aby sprowadzić rozmowę na inny przedmiot — ja mam do czynienia z konsekwencjami zasady katolickiej. Siostrzenicy mojej unieważniają małżeństwo.

— Niestety, prosta konsekwencja prostej zasady — wzruszył ksiądz ramionami.

— Zasada okrutna i bezwzględna, jak jej konsekwencje. Trudno przecie zgodzić się na to, aby pewne formy decydowały o istocie rzeczy. Zasada, która wszystkie, najidealniejsze nawet małżeństwa protestanckie uważa za konkubinat...

— O protestantach niema tam mowy, ale jest wyłącznie mowa o warunkach zawarcia legalnego małżeństwa — zastrzegł się ksiądz Lipka.

— To są także zapasowe szyny, na które spycha się wagony zawadzające na torze głównym. Gdyby chodziło o zwalczanie konkubinatu, to konsekwentnie rzeczy biorąc, należałoby zmuszać partnerów do zawarcia małżeństwa formalnego, ale gdy się jednej stronie daje prawo porzucenia strony drugiej...

— To tem samem dokonało się czegoś chwalebного, bo zmniejszyło się ilość zła.

— Formalnego — dodał Regier. — Doszliśmy właśnie do punktu, w którym należałoby stwierdzić, że zawsze i wszędzie katolicyzm jest przede wszystkim potęgą i władzą zewnętrzną. Ogromnie mi przemawia do przekonania Maurras, który odrzucając Chrystusa, widzi w katolicyzmie szczytki światowładnego cezaryzmu. To jest konsekwencja.

— Ta konsekwencja zostanie potępiona i musi przestać istnieć — rzekł ksiądz z zupełną pewnością siebie, powstając. — Serdecznie panu dziękuję za usługę. Gdyby pan się interesował Loysym, to chętnie służę różnemi jego dziełami.

— Dziękuję, czytałem je przed laty i nie znalazłem w nich nic, prócz małego ustępstwa na rzecz prawdy obiektywnej. Serce jego zostało przy sentymencie katolickim i nie czuje się zobowiązanem do wysnucia wniosków z przesłanek ścisłego poznania.

— Badanie naukowe jeśli jest doskonałe, może i musi doprowadzić zawsze tylko do tych samych wniosków, co wiara — zawyrokował ksiądz.

— To już jest dobrowolne wyrzekanie się poznania własnego i bojkot rzeczywistości. Ja nie pozwoliłbym sobie wyłupić oczu nawet największemu autorytetowi...

— Jeśli cię oko twoje gorszy...

— Gorszyć może tylko ciemnota — odparł Regier — nawet ciemnota dobrowolna. Rozum kierowany sumieniem gorszyć nie może.

— W takim razie dowidzenia, panie profesorze — rzekł ksiądz Lipka, z wesołym uśmiechem. — Jeszcze raz bardzo uprzejmie dziękuję.

Regier stał przez długą chwilę po odejściu księdza Lipki, zmieszany i upokorzony. Ostatnie słowa gościa i jego wesoły uśmiech nasuwały myśl, że ksiądz prowadził całą rozmowę czysto formalnie, osobiście obojętnie, niemal żartobliwie, podczas gdy on wytoczył swoje najcięższe armaty osobistego przekonania. Uczucia niezadowolenia po takich rozmowach doznawał nie po raz pierwszy. Ileż razy miewał wrażenie, że ludzie, z którymi dyskutował przygodnie na tematy religijne, traktowali je niby jakieś zagadnienie archeologiczne, czy przyrodnicze, którem można się łatwo interesować, ale niepodobna się przejmować nadmiernie. W każdym ze swoich przygodnych rozmówców katolickich podziwiał jakąś dobroczynną obojętność dla przedmiotu dyskusji. Właściwie nie obojętność, przeciwnie wielkie umiłowanie; wrażenie obojętności płynęło skądinąd. Regier zaczynał rozumieć, że katolik uważa zagadnienia wiary za rozstrzygnięte od lat tysięcy i to tak gruntownie rozstrzygnięte, że można wcale o nich nie myśleć. Przypominał sobie słowa Brunetière'a: „W co wierzę, o to idźcie się pytać do Rzymu”. Kto wie, czy jednak autorytet monarchiczny, znajdujący się daleko poza frontem dyskusji, nie jest dobrodziejstwem? Przecież gdy się ma do czynienia z zagadnieniami metaficznymi, gdy tysiąc systematów filozoficznych pretenduje do wyłączności, wszystko jest jedno, który ostatecznie zostanie narzucony do wierzenia. Najlepszym będzie ten, który odpowiada najlepiej potrzebom szerokich mas i zaspakaja ich potrzeby. To uwalnia wielkie ilości energii dla radości życia i pracy. A jednak — myślał dalej — narody protestanckie, to jest te, które muszą zużytkowywać dużo energii umysłowej i uczuciowej na rozstrzyganie zawiłych zagadnień religijnych, znajdują je w sobie nie mniej, ale więcej do wykonywania wielkich zadań.

Regier usiadł przy biurku, przysunął sobie kawałek papieru i sięgnął po ołówek. Chciał sobie zanotować pewne myśli o autorytecie i jego użyteczności, ale myśli były ja-

kies uporczywe i leniwe. Autorytet, autorytet... — powtarzał sobie. O cóż chodzi? Chcę wiedzieć, czy jest Bóg i czego ode mnie chce. Nie, nietylko chcę wiedzieć, ale pragnę, aby był, aby istnienie i rozkosz poznawania prawdy nie miały końca. Powstaje obawa, czy aby przez nieświadomość i nieopatrność nie mogę stracić nieskończoności szczęścia; szukam Boga i pragnę się dowiedzieć od jakich warunków zależy moje współistnienie z nim. Spotykam wielkie trudności. Rozum jest przyzwyczajony do operowania faktami, które od poznanego kosmosu prowadzą do jego źródła. A źródło musi być o tyle większe od człowieka, o ile kosmos większy jest od mikroba. Stosunek poznania ludzkiego jest podobny. Czuję, jestem przekonany czucio-wo, ale rozum kłóci się z uczuciem. Kłóci się wiecznie i wiecznie zazdrości bezpośredniości poznania uczuciu. Ileż systemów filozofii powstało na tle tej tragicznej ciekawości człowieka, jakie wymyślne teologie i kosmologie! Cała wiedza ludzka kręci się dokoła tego wielkiego zagadnienia, a jeśli perspektywicznie oko zostaje omylone faktem, że chemik całymi latami ustala właściwości pewnego pierwiastka, albo nawet doszukuje się go, to przecież dość pomyśleć trochę, aby zrozumieć, że myśl zbliża się do kosmosu od strony pyłku, który jest także pełen znaczenia. Bo i cóż byłaby warta wiedza człowieka który poznałby dokładnie cały świat ze wszystkimi jego słońcami, planetami i kometami, a nie mógłby poznać jedyne go drobnutkięgo pyłku?

I oto w ten chaos tworzenia, w to poszukiwanie, które jest wątpieniem i tęsknotą, wpada głos autorytetu, który dowodzi, że wszystko wie i że dość jest wierzyć jemu, aby było dobrze. Ale sam tego nie widzi, że z chwilą, gdy podaje się za wszystkowiedza nieomylnego, przestaje być człowiekiem rozumiałym i dostępnym i staje się niepojętą i niedostępną tajemnicą. Nie zbliżył się przedmiot poszukiwania, ale na chwilę powstała złuda, jaką miewamy, potrząc przez lornetkę. Mam więc do wytlumaczenia nietylko rzeczywistość i tej rzeczywistości objawienia, ale muszę sobie objaśnić i nieomylność. Skąd wiesz, nieomylny? W ja-

ki sposób wiesz? Czy mogę wiedzieć i ja? Bo jeśli możesz wiedzieć tylko ty, gdy twoja nieomyślność nie jest moją, cóż mi po niej? Cóż głodnemu z tego, że syty bogacz opowiada mu o swoich przepelnionych śpiczlerkach? Gdy spragniony umiera na pustyni z pragnienia, wie bardzo dobrze, że gdzieś istnieją nie tylko źródła, ale olbrzy nie rzeki i jeziora świętej życiodajnej wody, ale wiedza mu nie wystarczy; umrze, jeśli nie dotrze do źródła z wodą. Nie chodzi o wyobrażenie wody, wiedzę o niej, ale o kilka kropel tego cudownego żywiołu, wlanych do ust spalonych spiekotą.

Regier machnął ręką i rzucił ołówek. Istnieją poprostu ludzie, którzy są wytrzymalsi na pragnienie, czy też umieją w jakiś cudowny sposób zaspakając pragnienie złudne fata morgana oaz i źródeł. Nie, nie tak... Istnieją ludzie, którym jest do szczęścia potrzebne odkrywanie nowych dróg do Indyj, wynajdywanie druku, ustalanie odległości gwiazd od ziemi, i są ludzie, którzy nie słyszeli nigdy o bogatej ziemi Ofir, nie potrzebują druku, bo nie umieją czytać, a na gwiazdy nie patrzą. Autorytet nieomyślności nie rozwiązuje zagadnienia prawdziwości przedmiotu wiary, ale z bezkresu kosmicznego przerzuca go do pewnego miasta na ziemi. Dla wierzących to miasto powinno stać się kosmicznym zagadnieniem, ale nauczono ich cnoty niemyślenia. To jest także sztuka, niewątpliwa sztuka! Jeden, jak Kartaljusz, wykształcił w sobie sztukę szukania i powątpiewania, aż do wątpienia o własnym istnieniu, dostrzegając jego dowód dopiero w tem, że myśli, drugi z pokolenia w pokolenie dziedziczył dar niedostrzegania tajemnic i zagadnień, dla tem pewniejszego zakonserwowania swojej ciemnoty na wieczne wieki. Jaskółka jest ptakiem i przepiórka też: jedna wykształciła zdolności lotu, druga je zatraciła. Jaskółka ma wspaniałe ostre skrzydełka, a prawie nie ma nóg, przepiórka ma ciężkie, niezdarne skrzydła, ale krzepkie, szybkie nogi. I nie chodzi o to, co jest lepsze, a co gorsze, bo w przyrodzie wszystko jest lepsze i gorsze zarazem. To są fakty, a fakty rozumie się najlepiej wtedy, gdy się je przyjmuje do wiadomości. Są takie,

a nie inne. Nie trzeba się dziwić, że któryś człowiek jest inny, niepodobny do nas. Nie trzeba się gniewać na fakty.

Tylko, że gdy jeden z tych faktów przychodzi i powiada drugiemu faktowi, iż nie ma prawa do istnienia, jeśli nie jest taki, albo taki, to wówczas fakt napadnięty musi się bronić. Wszystko rozstrzyga walka. Wieczna wojna jest ojcem wszech rzeczy. Ludzkość nigdy nie będzie się kierowała wyłącznie zasadami rozsądku, a w łonie dzisiejszej ludzkości są typy dalekiej potężnej przyszłości i typy schyłkowe. Jedne rozwiną się w typ panujący, drugie znikną, jako niezdolne do walk o istnienie. Dotychczas zwycięża typ rozumowy, ale czy pewnego jutra nie pokona go masa biernych uczuciowców, spragnionych nie odgadywania tajemnic życia, ale tego życia bezpośrednich radości? Niech tam sobie ktoś wie, czy nie wie, niech szuka, albo nie szuka, byle istniało źródło radości życia i było jak najbardziej dostępne. Tak będzie może rozumował typ uczuciowca biernego i spragnionego radości życia.

Regier wyrysował sobie na kartce kilka wymyślnych ornamentów dokoła słowa „autorytet”, a po chwili podał ją na drobne strzępy i wrzucił do kosza. Na biurku miał stos kajetów z wypracowaniami swoich uczni; trzeba było je poprawiać. Zabrał się do tej roboty i przestał myśleć o autorytecie.

Ludce upływały tygodnie i miesiące życia na odwiedaniu adwokata i dowiadywaniu się od niego coraz ciekawszych rzeczy. Zaczynała rozumieć panią Stożycką i sama powoli stawiała się piniaczką. Rozumiała już, że nic nie zdoła zrobić przeciwko tej sile fatalnej, na której łup wydał ją jej mąż, ale nie umiała wyzbyć się nadziei, że któregoś dnia ten mąż zrozumie całą ohydę postępowania i rzeknie się po rycersku prawa skorzystania z bezsilności ewangeliczki wydanej na łaskę i niełaskę uprzywilejowanego katolicyzmu.

Dlatego czyniła przy pomocy adwokata wszystko, co było można, aby sprawę odwlec jak najbardziej. Chodziło jej nie o siebie, ale o dziecko, miłego Jureczka, który patrzy w świat takimi ufnymi oczami i nie ma najmniejszej możliwości dowiedzenia się, że został porzucony przez swego ojca. Ale kiedyś przyjdzie rozumienie i Jureczek zapyta matkę o tego ojca. Co mu odpowie? Czy jej syn własny nie będzie podejrzewał jakiejś winy w niej za ten niepojęty, straszliwy postępek ojca? Niechby się z nią pan Iwecki rozwiódł, niechby się rozwiódł... Nie znosi jej, czy znieawidził, czy ma kogoś bardziej kochanego. Wszystko jedno, tylko nie unieważnienie małżeństwa! Bo co to znaczy unieważnienie? Oto że małżeństwa wcale nie było. Więc co było? Jeśli nie było małżeństwa, to nie było żony, ale była...

Ludce narzucało się wbrew jej woli określenie, które raniło ją do głębi. Nie mogła pojąć, aby istniał na świecie człowiek tak podły, który wyzyskując przewagę swojej niemoralności i *niemoralności konjunktury*, mógłby narazić kobietę na takie udreki, kobietę, której przysięgał wierność dożgonną. No i dziecko swoje tak całkowicie, tak zupełnie zapomnieć, jak się zapomina zwierzę. Już nigdy nie mogłaby się z takim człowiekiem pogodzić, ba nawet rozmawiać z nim, ale jednak żyło w niej potężne pragnienie, aby ojciec Jureczka nie był tak niegodziwym, jak mu na to pozwalały okoliczności. W rekursach, zastrzeżeniach, odwołaniach i jak te wszystkie kroki nazywał jej adwokat, była zawsze mowa o tem, że przecie nic nie zawiniła wobec swego męża, a przedewszystkiem nie zawiniło nic dziecko, które ma w tak okropny sposób zostać porzucone przez swego ojca. Liczyła na to, że w jakiś sposób dotrą one do Iweckiego i zbudzą w nim sumienie i honor. Wówczas zrzeknie się unieważnienia małżeństwa i zgodzi się na rozwód.

Ale sprawa wlokła się długo i męczyła śmiertelnie. Odpowiedzialna praca w biurze w ciągu dnia, ciężkie i bolesne przeżycia skutkiem postępowania Iweckiego, wszystko składało się na to, że doznawała jakichś stanów lęku, niepokoju i zdumienia, których nie umiała sobie wyjaśnić.

Czuła się zdrową i na nic nie byłaby się umiała skarżyć, gdzie jest i kim jest. Stan taki trwał tylko sekundę, czy nawet ułamek sekundy, ale towarzyszył mu strach, jakiego nigdy w życiu nie doznawała. Czasem wieczorem, gdy zasypiała nad książką i budziła się pod wpływem chłodu, otwierała szeroko oczy i patrzyła zdumiona przed siebie, jakby teraz dopiero spostrzegła, że żyje i jakby w życiu zauważała tajemnicę, która zdumiewa i przeraża. Zrywała się wtedy, biegła ku łóżeczku Jurka, albo zaczynała robić cokolwiek, aby uciec od tych myśli, które były jak upiory. Rozumiała, że jest przemęczona i potrzebuje spoczynku. Dlatego chociaż z jednej strony działała na zwłokę w sprawie swojej z Iweckim, z drugiej strony pragnęła, aby się to wszystko jak najprędzej skończyło.

Ale tygodnie płynęły jeden za drugim, nadchodziła wiosna, dni bywały jasne i ciepłe, jakby stworzone dla radości i spokoju, a końca sprawy i upragnionego spokoju nie było. Dnia pewnego ku wieczorowi Ludka zaszła do swego adwokata, aby mu powiedzieć, że całą tą sprawą jest już do ostateczności przemęczona i że się zdecydowała machnąć na wszystko ręką. Niech sobie robią, co tylko żywnie chcą.

Mecenasa Jansona nie było w domu. Miał wrócić niedługo i Ludka czekała na niego przez chwilę, ale potem przypomniała sobie Stożycką, do której ostatnimi czasy często zachodziła, i postanowiła ją odwiedzić. Nie widziała się z nią już jakie dwa tygodnie i nie rozumiała, co się stało, że ją ta miła znajoma nie odwiedza. Wyszła tedy z poczekalni mecenasa Jansona i poszła do pani Stożyckiej.

Zastała ją w stanie widocznego niepokoju czy wzburzenia. Chociaż usiłowała uśmiechać się jak najuprzejmiej i najweselej, jej zapłakane oczy kłóciły się z uśmiechem. Ludka spostrzegła jakby mimochodem i niespodziewanie, że jej znajoma jest jeszcze bardzo młoda i wyjątkowo ładna. Podczas płaczu zaczerwieniły się trochę jej oczy, usta nabrzmiałe czerwienią uwypukliły się i cała twarz nabrała wyrazu dziecka, które zgubiło matkę i długo płakało.

— Pani cierpiąca? — zapytała Ludka, nie wiedząc, co powiedzieć. — Może ja nie w porę przychodzę?

— Bardzo w porę — uśmiechała się pani Stożycka. — Trochę mnie głowa boli.

W tej chwili z jednego z przyległych pokoiów ozwał się zły głos męski i głuchy odgłos jakby huknięcia pięścią w stół. Odpowiadał mu gniewnie głos kobiety.

Ludka drgnęła i spojrzała ku drzwiom, pytając oczami, czy może ma odejść.

— Bardzo panią przepraszam — mówiła z zażenowaniem pani Stożycka — ale nie mogę pani oszczędzić tej sceny z za drzwi. Powtarzają się takie wybuchy złego humoru dość często. Zostałam zepchnięta do jednego pokoju, chociaż mieszkanie jest moje, a gdy czasem korzystam z kuchni, czy łazienki, przypominam o swoim istnieniu memu panu małżonkowi i wtedy w taki burzliwy sposób udziela służącej instrukcji, jak się ma względem mnie zachowywać.

— Ach, proszę pani! — zawołała Ludka z serdeczną życzliwością. — Niech pani przeprowadzi się do mnie! Choćby zaraz. Dam pani jeden pokój i będzie pani jak u siebie.

— Dziękuję serdecznie — odpowiedziała pani Stożycka — ale nie mogę ustąpić. Muszę walczyć nietylko o mieszkanie i resztkę majątku, ale poprostu o prawo do życia. Każde moje ustępstwo byłoby przez brutalnego człowieka poczytane za uznanie jego prawa i przyznania się do win, które ciąży wyłącznie na nim.

Mówiła spokojnie, cicho, z rezygnacją. Z za drzwi, zastawionych szafą, odzywały się jeszcze odgłosy złego humoru pana Stożyckiego, potem dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami i nastała cisza.

— Teraz będę miała spokój przynajmniej na sześć do ośmiu godzin — westchnęła Stożycka z ulgą. — Możemy spokojnie rozmawiać.

Ludka uśmiechnęła się niewyraźnie i spoglądała na Stożycką pytająco, aby się przekonać, czy ona nie żartuje.

— Rozmawiać spokojnie!... — rzekła szeptem. — Kie-

dy my będziemy mogły porozmawiać spokojnie, w prawdziwym znaczeniu słowa?

— O, proszę pani, choćby zaraz! — zawołała młoda kobieta z ożywieniem. — Niema się przecie czem przejmować! Że są niedobrzy ludzie na świecie, trzeba przyjąć do wiadomości i iść swoją drogą dalej. Czy panią spotkało co przykrego?

— Właściwie nie spotkało mnie nic nowego, ale oczekuję stale, że spotka, i tak jakoś tracę spokój, że życie staje się nieznośnem. Każdy dzwonek, każde stukanie do drzwi, czy spotkanie się w bramie z obcym człowiekiem przyprawia mnie o niepokój i bicie serca. Zdaje mi się, że teraz, teraz spadnie ten cios, którego się nie można doczekać i przed którym zdejmuję lęk.

— Zaraz to pani wytłumaczę i wyperswaduję — zabierała się pani Stożycka do wykładu gruntowego — tylko niech pani siada wygodnie i czuje się jak u siebie. Widzi pani, mój narzeczony służył w wojsku i przez parę lat był na prawdziwej wojnie, siedział w okopach, uczestniczył w szturmach, prowadził nocne wycieczki, no jednym słowem wojował. I on mi wytłumaczył, że niczem i nigdy przejmować się nie trzeba. Najpierw wiozą żołnierzy na tak zwane tyły, za frontem; żołnierz ma czas osłuchać się i opatrzyć w atmosferze dalekiej strzelaniny, awantur, ran, amputacyj i t. d. Potem go wiozą gdzieindziej, czasem nazad, tak że niejeden zaczyna się martwić, iż nigdy porządnej wojny na własne oczy nie zobaczy. Potem znowuż gdzieś w prawo, gdzie się ma być w rezerwie na wszelki wypadek, a potem do okopów, gdzie jest spokojnie i nudno, aż pewnego dnia w tę nudę zaczynają się walić pociski nieprzyjacielskiej artylerji, żołnierzowi mówią, że trzeba szybko iść naprzód, gdzie jest bezpiecznie i żołnierz idzie naprzód, zwycięża, albo zostaje odrzucony, odnosi rany, albo sam je zadaje i to jest wojna.

— Czasem mi się zdaje, że sama możność walki, samo posiadanie broni takiej samej, jaką ma przeciwnik, musi być szczęściem — rzekła Ludka — ale to wyczekiwanie, gdy przeciwnik sam jeden posiada broń, a...

— Zaraz, jeszcze nie dokończyłam! — zawołała pani Stożycka. — Z nami jest to samo. Najprzód spostrzeża się, jak pokój znika i kruszy się, potem przychodzą jakieś pertraktacje, wdają się krewni, przyjaciele, pojednawcy. Istnieje ogromne mnóstwo argumentów na to, że pokój zostanie zachowany. Potem okazuje się, że jednak wojna została wypowiedziana. Ale i wojny kończą się przecie pokojem. Wreszcie pierwszy ciężki cios: wyrok niesprawiedliwy, krzywdzący, bolesny... Ale adwokat zapewnia, że to jest takie sobie formalne głupstwo, z którego nic sobie robić nie należy. Potem idzie odwołanie, nowe rozpatrywanie sprawy; tym razem zadało się cios swemu przeciwnikowi. Jest nadzieja, że uzna swoją porażkę, że w takim a takim kanonie jest takie a takie słowo, że to słowo znaczy to a to, a nie przeciwnie...

— Haha — roześmiała się Ludka. — Przepraszam panią bardzo, że się śmieję, ale pani opowiada tak wesoło, jakby powtarzała jakąś dowcipną humoreskę.

— O to jedynie chodzi, żeby się ze śmiesznych rzeczy śmiać — wywodziła pani Stożycka. — Ja zrazu traciłam głowę, przerażałam się, co to będzie, co powiedzą ludzie, wstydziłam się spotykać znajomych... A potem zaczęłam się całej tej hecy przyglądać z perspektywy historycznej.

— Aż z historycznej?

— No tak. Interesowali mnie ci średniowieczni głowacze, którzy układali takie talmudy kanoniczne, czy kanony talmudyczne. To ma być takie a takie, pisali z zaciętością starych nudnych kawalerów. Biada życiu, jeśli kiedykolwiek będzie innem, niż przepis takiego świętego, czy nieświętego mądrali! A jeśli będzie tak, to trzeba postanowić tamto, jeśli zaś będzie cokolwiek inaczej, to cała sprawa zmieni postać całkowicie i wtedy trzeba wszystko odczynić przy pomocy jakichś osobliwych przepisów, dowodzących, że życie nie jest takim, jakim jest, ale jakim być ma, aby się podobało ciasnej główce i oschłemu sercu.

— Mnie coś podobnego mówił adwokat — wtrąciła Ludka.

— I ja podowiadawałam się takich rzeczy sporo od

adwokatów, ale głównie naczytałam się sama. Mam bardzo żywą wyobraźnię i przedstawiałam sobie takich ascetów, jak siedząc w ciasnej celi, do której nie trafia słońce, wymyślają sobie różne kawałki sprytnie i chytre, aby grzeszne, pogańskie ciało było jak najwięcej udręczone, i aby dusza triumfowała. Czytałam kiedyś o profesorze fizyki, który w szkole lotniczej bardzo uczenie wykładał prawidłowość lotu aeroplanowego. Przez okno widać było przelatującą jaskółkę. Profesor odwrócił oczy od tablicy, na której wypisywał mnóstwo formułek, i zawołał: Patrzcie, panowie, oto ta jaskółka lata zgoła nieprawidłowo. Dla tych starych ascetów o spaczonych umysłach i uczuciach życie było nieprawidłowem, więc mu poczynili przepisy, jakiem być ma. A życie drwi sobie z tych uczonych głowaczy i za ich oczami jest takim, jakiem jest. Gdzieś tam kwitną jabłonie, gruchają gołębie, krzyczą dzieci pełne uciechy, a chory dziwak siedzi nad starymi foljantami i powiada: nieprawidłowo!

Zaczęła się śmiać serdecznie i burzliwie, bo jej się nagle coś przypomniało. Chciała o tem powiedzieć Ludce, ale po pierwszym słowie wybuchła nową salwą śmiechu i porwała nim Ludkę. Obie kobiety spoglądały na siebie i zarażały się śmiechem coraz burzliwszym, głębszym, swawolnym. Zdawało się, że nie mogą przestać się śmiać i że jakaś siła niepokonalna zmusza je do wyśmiania się za wszystkie niepokoje i łzy, za wszystkie udręki i zgryzoty. Dopiero po chwili zdyszane i z oczyma pełnemi łez przycichły i oddychały głęboko.

— Wie pani z czego się tak niemożliwie śmiałam? — zapytała pani Stożycka, i zaczęła się tłumaczyć, ale jakby jeszcze mało było tego swawolnego, burzliwego śmiechu, roześmiała się nanowo i nanowo rozśmieszyła Ludkę. Padły sobie w objęcia i jęcząc niemal ze zmęczenia, wybuchaly coraz weselszemi, przenikliwszemi salwami wyzwalającego śmiechu. Dopiero po długiej chwili zdołała pani Stożyska opowiedzieć Ludce o przyczynie swojej wielkiej wesołości.

— Miałam na pensji przyjaciółkę, która bardzo do wciwnie umiała parodjować różnych mamutów, albo symbo-

lizować ich mamustwo, ale najlepiej udawało się jej zawsze naśladowanie zabaw dziecięcych. Wyznaczała nam odpowiednie role i mówiła: Ty będziesz zaczarowana królewna, ty będziesz królewicz, ty czarownica, ty król. Czarownica przychodzi do królewny i wymawia nad nią straszliwe zaklęcie: rama, karama, oma, oma, korotoma. Królewna jest zaczarowana i można ją ratować tylko zaklęciem odczarowującym: omolo, tomolo, ali, ali, kalali... Królewna musiała oczywiście znać dobrze zaklęcia zaczarowujące i odczarowujące, bo gdy je sobie płała, to się działy rzeczy śmieszne; popadała w zaczarowany sen po wymówieniu formuły odczarowującej. Ten sam konwencjonalizm pozostał, tylko że zamiast dzieci mamy do czynienia z ludźmi dorosłymi, a zamiast zabawy tragedję. Ale jak się dobrze przypatrzeć reżyserji tych tragedji, to i w nich widać komedję.

Ludka milczała przez chwilę, wspominając swoje czasy pensjonarskie i uśmiechała się do siebie, jakby sobie coś uświadamiała. Nagle błysnęło jej w oczach:

— Wie pani — zawołała z radością odkrywcy, który znalazł rzecz poszukiwaną, — że to wszystko podobne do sprzysiężenia ponurych mizantropów. Dlatego, że chcą dręczyć ludzi, nawymyślali tyle różnych szykan.

— Na nic nikomu nie potrzebnych — dodała pani Stozyczka. — Aha muszę pani jeszcze coś powiedzieć. Zna pani słowo „Verschönerungsverein“? W jakiej ładnej miejscowości górskiej zbiera się gromada zacnych rzeźników i mydlarzy i zakładają taki „Verschönerungsverein“. Jeśli mają w pobliżu ruinę, to ją doprowadzą do porządku, jeśli jaki potok górski ma piękny, malowniczy, urwisty brzeg, to każą zrobić ładnie wybrukowane zbocze, na wzgórzach postawiają jakieś domeczki, jakieś drogowskaziki, w lesie kosze na papierki, a przy każdym z tych upiększeń przyrody jest tabliczka uwieczniająca imiona autorów. Wszystko dzieje się w guście małomiasteczkowych mydlarzy i siodlarzy oraz kołodziejów. Zapaskudzą najładniejszy zakątek świata. Kanoniści dawni i dzisiejsi, wielcy i mali, to właśnie taki „Verschönerungsverein“ życia moralnego.

— Ale to jest kryminalna zabawka — rzekła Ludka, marszcząc brwi. — Przecież nie człowiek jest dla sabatu, ale sabat dla człowieka. Nie może być człowiek ofiarowywany dla dogodzenia zatabaczonym mózgom mizantropów, nienawidzących słońca i radości życia.

— Tak! — odpowiedziała pani Stożycka twardo. — Jak tylko skończę ponure sprawy z tymi panami, w których mąż mój znalazł gorliwych sprzymierzeńców, to wyniosę na światło wszystko to, co poznałam i co widziałam na własne oczy.

— Dlaczego pani z tem czeka? — zapytała Ludka.

— Muszę się jeszcze liczyć z ludźmi, którzy umieją się mścić — brzmiała odpowiedź. Zresztą jest to ich własna metoda: dopóki kogoś potrzebują, to się z nim liczą.

Pani Stożycka opowiedziała Ludce kilka ciekawych przykładów rozstrzygania spraw życiowych przy pomocy umarłych kanonów i dodała:

— „Verschönerungsvereiny“ i konwencjonalizm zabaw dziecinnych: rama, karama, oma, oma, korotoma...

Ludka pożegnała się z nią i idąc do domu, myślała o tem, że sprawy, które można ująć w formuły konwencjonalne, nie są sprawami żywemi, ale umarłemi, udającemi tylko pozory życia. Musi przyjść czas, gdy to zostanie zrozumiane i wtedy ludzkość wyzwoli się z pod panowania skostniałych, umarłych formuł rewolucją, jakiej jeszcze świat nie widział: rewolucją zdrowego wesołego śmiechu. Omolo, to-molo, ali, ali, kalali...

W ostatnich dniach maja, gdy Ludka zaczynała zapominać o sprawie unieważnienia małżeństwa i zajęta była wyprawieniem Jureczka na lato do Zabłonia, gdzie spędzić miała swój parotygodniowy urlop, przypadający na lipiec i część sierpnia, dostała od swego adwokata dokument, jakiego dotychczas nigdy nie widziała. Mecenas Janson musiał wyjechać i pisał do niej, aby się tym dokumentem nie przejmowała, bo sprawa musi przejść jeszcze przez inne

instancje, zanim wyrok podlegać będzie wykonaniu, a tymczasem może się zdarzyć jeszcze to i owo.

Ludka rozumiała że słowa adwokata są zwykłą zdawkową pociechą, mającą znaczenie na ten dłuższy lub krótszy czas, jaki potrzebny jest do pogodzenia się z losem i przyzwyczajenia do nowego stanu rzeczy. Wzburzona, z bijącym sercem zamknęła się z papierem w pokoju, jakby się obawiała, że może ją ktoś przy czytaniu zaskoczyć, obejrzała go na wszystkie strony i zabrała się do czytania.

„W Imię Pańskie. Amen.

„Sąd Arcybiskupi... w składzie osób następujących: Jego Eminencja... ks. prałat..., ks. prałat..., ks. dr..., z udziałem obrońcy węzła małżeńskiego ks. d-ra...”

Ludka otwierała szeroko oczy i szybko mrugała powiekami, bo słowa, które czytała, paliły jak płomień. Panując nad łzami, które dobywały się gdzieś z głębi serca i przemocą wydzierają się z pod powiek, przebiegła spojrzeniem dokument hańbiący człowieka, który jeszcze tak nieprzysięgał jej wieczną miłość. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że dokument taki będzie trzymała w ręku i że będzie w nim mowa o niej i o tem wszystkim, co kobieta uważa zazwyczaj za treść całego swego życia, ze szczęście swoje. Budziło się w niej uczucie głębokiego wstydu za człowieka, który zapomniał zupełnie o swojej godności, i za to wszystko, co mu pozwalało dopuścić się czynu haniebnego. Mimowoli oglądała się dokoła, jakby musiała koniecznie zobaczyć coś wstrętnego i przejmującego obrzydzeniem. Aha, przypomniało się jej, że gdy przed paru laty bawiła w gościach u przyjaciółki pod Krakowem, do pokoju jej zakradł się złodziej i zabrał różne rzeczy. Nie zrobił wielkiej szkody, bo został niezawodnie spłoszony, ale cały pokój nappełnił nieopisanem obrzydzeniem. Gdzie spojrzała, wszędzie widziała nieznanego człowieka, który dopuszcza się haniebnego czynu. Oto tutaj stał złodziej — mówiła do siebie. Gdy sięgała po coś, wyobrażnia podpowiadała jej usłużnie: To miał w ręku złodziej. Gdy wchodziła, czy wychodziła, zbliżała się do biurka czy okna, zawsze i wszędzie towarzyszyła jej natrętna myśl o złodzieju. Bezustannie

myła ręce, bo jej się zdawało, że wszystko zostało powalane, splugawione rękoma tak brudnymi, jak może zbrudzić tylko zbrodnia. Nic nie pomogło mycie rąk i odwracanie myśli od tej błahej sprawy: w jej życie wdarł się ponury cień nieznanego draba, kradnącego cudze rzeczy, i choć się z niej wszyscy śmieli, że jest taka trwożliwa, czy tchórzliwa, nie broniła się wcale i po kilku dniach wyjechała do domu, chociaż miała u przyjaciółki zabawić przez całe wakacje.

W tej chwili miała to samo wrażenie, że do jej życia wtargnął człowiek nędzny i lichy, przesunął się plugawym cieniem przez sprawy jasne i czyste i pozostawił po sobie to coś nieokreślonego, przed czym ostrzega schłodność myśli i uczucia: Tu był złodziej.

„W Imię Pańskie”? Przenigdy! W imię jakiego Pana? W imię Pana Jezusa, który nie chciał krzywdy niczyjej i nawet jawnogrzesznicy okazał boskie miłosierdzie? W imię tego Jezusa, który brał w opiekę upośledzoną kobietę i zakazał mężczyźnie opuszczać ją, o ile ona sama go nie opuści złamaniem wiary? A przecież Jezus nie przemawiał wtedy do rzymskich katolików, bo rzymskiego katolicyzmu jeszcze nie było, i miał się narodzić dopiero w kilka stuleci później! Nie mógł Jezus powoływać się na jakieś formuły i formalności rzymsko-katolickie. Nie mówił nawet do samych żydów, ale słowa jego wypowiedziane były do całego świata, do wszystkich serc i sumień. Kobieta nie miała wtedy praw, była własnością mężczyzny i pan jej mógł ją każdej chwili rzucić, wygnać, dać jej list rozwodowy. Nie było mowy o tem, kiedy kobieta może opuścić męża, bo kobieta była bezprawną i nawet cudzołóstwo męża nie dawało jej praw do narzekania sobie na swego pana i władcę. Jezus nie poruszał więc zagadnienia sprawy stosunku płci w związkach małżeńskich, ale poruszał jedynie sprawę prawa mężczyzny, który tego prawa wobec bezprawnej kobiety nadużywał. I powiedział: Jeśli ci kobieta, którą pojąłeś za żonę, nie złamie wiary, nie wolno ci jej opuścić. A nigdy nie powiedziałby Jezus, że wolno mężczyźnie opuścić żonę,

jeśli formalność ślubu nie została dopełniona według jakiejś martwej, skostniałej litery.

W te myśli, które leciały przez jej płonącą głowę szybko, jak cień chmury przez zielone błonia w jasny, wietrzny dzień wiosenny, wpadła myśl inna. Przecież w wiekach średnich małżeństwa zrazu nie były zawierane w kościele i nie były sprawą kościelną, ale prywatną, a wielki doktor Kościoła jasno i wyraźnie powiedział, że nie błogosławieństwo kapłańskie stanowi istotę sakramentu, ale woła małżonków.

Nagle wyszła do drugiego pokoju, aby wziąć Biblię. Przypomniała sobie, że na lekcjach religii pastor wykładając Listy Pawła mówił o tem, jak na początku chrześcijaństwa z natury rzeczy istniały małżeństwa mieszane, mąż na przykład był chrześcijaninem, a żona poganą, albo żona była chrześcijanką, a mąż poganinem. Małżeństwa niektóre były zawarte jeszcze wówczas, zanim nad Jordanem ozwał się po raz pierwszy głos Jana Chrzciciela i zanim Jezus zaczął głosić królestwo Boże. I cóż poradził apostoł Paweł tym chrześcijanom, którzy żyli w związkach małżeńskich z poganami?

Ludka przypominała sobie, że takie rzeczy, które ją żywiej interesowały, pozakreślała w swojej Biblii i była przekonana, że znajdzie to miejsce, w którym Paweł przemawia do chrześcijańskich małżonków połączonych węzłem małżeńskim z poganami. Wyjęła z szafy swoją szkolną Biblię i zaczęła szukać w Listach Pawłowych z zapalem uczonego, który szuka historycznego dowodu, mającego uzasadnić słusność jego twierdzenia. Przeszła po kolei wszystkie pozakreślane miejsca od Listu do Rzymian aż do Listów Piotrowych, ale szukanego miejsca nie znalazła. Przerzuciła kartki jeszcze raz, bezskutecznie, i dopiero gdy odwróciła kartkę pierwszego Listu Piotrowego, oko jej padło na początek trzeciego rozdziału: „Także i żony, bądźcie poddane mężom swoim, aby i ci, którzy nie wierzą słowu, przez pobożne obcowanie żon, bez słowa byli pozyskani”.

A więc chrześcijanom nakłada apostoł obowiązek wytrwania przy pogańskim małżonku, aby przez pobożne obcowanie strony chrześcijańskiej pogańska została zyskana

dla Chrystusa! Ani słowa o jakiejś formalności, a nawet o konieczności powtórzenia ślubu pogańskiego. Wiedziała, że u Pawła sprawa ta wypowiedziana jest jeszcze dobitniej i zaczęła szukać na nowo. Szukała jednak daremnie. Nagle błysnęło jej w oczach: racja, w Liście Piotra będzie niewątpliwie odsyłacz. Zajrzała pod pierwszy werset trzeciego rozdziału pierwszego listu i cofnęła się do 1 listu do Koryntów, gdzie w siódmym rozdziale od wersetu dwunastego czytała: „Jeśli który brat ma żonę niewierną, a ta z nim przyzwala mieszkać, niechże jej nie opuszcza. A jeśli która żona ma męża niewiernego, a on przyzwala z nią mieszkać, niechże go nie opuszcza... A jeśli ten, co jest niewierny chce się odłączyć, niechże się odłączy; albowiem nie jest niewolnikiem brat albo siostra w takowych rzeczach...”

Ogarnęło ją uczucie głębokiej radości. Ze czcią ucałowała świętą Księgę, która pocieszyła ją słowem Bożem, mówiąc jej jasno ponad wszelką wątpliwość, że to, co jej Sąd Arcybiskupi zwiastuje w imię Pańskie, nie dzieje się w imię Boga. Miała tego zupełną i niezachwianą pewność, bo oto obaj apostołowie z cudowną jednomyślnością pomijają kwestję formy i podnoszą sprawę ducha chrześcijańskiego miłości i dobroci.

Czuła, że dzieje się jej krzywda w imię jakiegoś możnego pana, który ma wielu poddanych, ale wiedziała, że panem tym nie jest Jezus Chrystus, ani żaden uczeń jego. Tem boleśniej ścisnęło się jej serce, że oto jakaś zimna cudza wola, pragnąca panowania nad światem, zwalnia złego człowieka od obowiązku pozostania przynajmniej formalnie rzetelnym człowiekiem, zwalnia go od obowiązku liczenia się z elementarnymi nakazami prawa i sprawiedliwości i pozwala mu folgować sobie, jak mu się podoba. A ją, słabą kobietę i jej dziecko, skazuje ta zimna i zła wola mizantropa na cierpienie i zgryzoty za to, że nie dokonała pewnej martwej, obojętnej formy, o której nic nie wiedział Chrystus i nic nie mówili jego apostołowie.

Uczucie tej krzywdy rosło jak krzyk krwi Abła wołającej o pomstę do Boga. Czuła duszność i żar w piersi ścisłskanej kościstą ręką trupa, który ciasnotą swego serca i u-

mysłu nie zdołał ogarnąć myśli Chrystusowej i ze słowa błogosławieństwa i pokoju uczynił złożeczenie i przekleństwo i obojętnie rzucił w nią, słabą, bezbroną, zmajoryzowaną przez ciemnotę i fanatyzm, pragnący władzy nad całym światem.

— Mammam, mammam — gaworzył Jureczek w sąsiednim pokoju, wymawiając te słowa rozpieszczonym ruchem buzi i czekając z niezachwianą pewnością, że zaraz jego *mammam* przyjdzie i weźmie go na ręce.

Wybiegła na to ciche wołanie dziecka, porwała Jureczka w objęcia i mocno tkliwie przytuliła do serca.

„W imię Pańskie” — powtarzała wzburzona wyobrażenia — odebrano Jureczkowi ojca, za to, że jego matka zaufała temu prawowiernemu człowiekowi, że mu uwierzyła, gdy jej w obliczu Boga ślubował wieczną miłość. Nie zdołał już opanować nad sobą, załkała głośno i wybuchła płaczem. Oczyma oślepleni od łez spoglądała przez okno na niebo, jakby się chciała dopatrzeć Boga, czy widzi, jakiej strasznej krzywdy dopuszczono się na niej w Jego Imieniu. Wstrząsana łkaniem, które gromadziło się w jej piersi już od szeregu miesięcy, podnosiła Jureczka coraz wyżej na rękach, podczas gdy głowa jej chyliła się coraz niżej, jakby padały na nią ciosy okrutnego kata. Rodziły się w niej uczucia pierwotne i myśli naiwne, aby samemu Bogu pokazać całą krzywdę swoją, dla której niema słów, i krzywdę dziecka małego, nad którego niewinną główką nienawiść zimna, pycha i zarozumiałość wymawiała w imię Pańskie potępienie za winę haniebnego człowieka. Łkanie jej stawało się bezgłośnie wołaniem pomocy Boga przeciwko bezprawiu i niesprawiedliwości. Jak Hażar na pustyni z dzieckiem swoim, ginęła w tej straszliwej pustce z pragnienia sprawiedliwości i czuła się na całym świecie samą, opuszczoną, porzuconą. Dlaczego, mój Boże? Dlaczego? — wołała wybuchami bezsilnego płaczu. Oto dlatego, że nie jest rzymską katoliczką i że wolno ją zdeptać, skrzywdzić, sporniewierać, że nikt w całym tym kraju nie upomni się za nią, że panowanie nad nim ma człowiek obcy, człowiek, który jest następcą cesarów, pretendujący do panowania nad ca-

łym światem i używający do tego środków, które najsuk-
teczniej prowadzą do celu.

Jureczek patrzył na płaczącą matkę - dużemi oczami
pełnemi zdumienia i niepokoju. Sytuacja była dla niego nie-
zwykła i niepokojąca. Obiema rączkami objął matkę za
szyję, przytulił się do niej z całej siły, powtórzył kilka razy
swoje mam-mam, coraz głośniejszy i trwożliwiej dowołując się
matczyne go spojrzenia i uśmiechu, a gdy na wołanie swoje
nie otrzymał odpowiedzi, rozplakał się cichym żalnym
płaczem, mieszając swoje łezki ze łzami matki.

Płacz Jureczka ocucił Ludkę ze stanu odrętwienia. Ta-
ka żalność ją ogarniała, że i Jureczka rozplakała swoją
zgrzyotą! Szybko otarła oczy i próbowała się uśmiechnąć
do synka, ale oczy miała zaczerwienione od płaczu, cała
twarz była jakby obrzękła i gdy matka spojrzała na Jurecz-
ka, ten przestraszył się jej widoku i zapłakał jeszcze gło-
śniej:

— Mam-mam, mam-mam!

Posadziła go na kanapce, skoczyła do umywalni, ob-
myła twarz zimną wodą, przypudrowała szybko, przyczem
musiała się uśmiechnąć na samo wspomnienie, że po wy-
buchu wielkiego żalu biedna niewiasta musi myśleć o pu-
drze nawet wobec miłego synka, i pośpieszyła do dziecka.

Jureczek pochlipywał zcicha, sam nie wiedząc dlaczego
i poco trzeba było tak strasznie płakać, a matka usiadła
obok niego i zaczęła półgłosem śpiewać piosenkę która się
Jureczkowi nad wszystkie inne piosenki świata tego podo-
bała:

Mru-mru mruczy bury kotek,
Wrr-wrr warczy kołowrotek,
Piesek szczeka, wietrzyk wieje,
A Jureczek niech się śmieje.

Dziecko klaskało w dłonie i śmiało się do zachłyśnię-
cia. Uradowana matka śmiała się razem z nim. W jednej
chwili całe istnienie streściło się w tem, aby się Jureczek
śmiał. Cel istnienia matki został osiągnięty, wszystko inne
poszło w zapomnienie. Gdy piosenka została dośpiewana
Jureczek domagał się natychmiast jej powtórzenia, a za

każdym razem śmiał się tak serdecznie, jakby ta piosenka była najweselszą na świecie rzeczą.

Dopiero po upływie kilku dni Ludka czuła się tak dalece spokojną, że sięgnęła po dokument „W Imię Pańskie” wykocypowany, i przeczytała go do końca, dowiadując się, że „na posiedzeniu odbytem w lokalu Sądu w..., d..., roku..., rozpoznawana była sprawa o wyrzeczenie nieważności małżeństwa, wytoczona przez Stefana Iweckiego, zamieszkałego w Warszawie z tytułu braku formy prawnej, przeciw Ludwice z Wolskich Iweckiej, zamieszkałej w Warszawie (Kan. 1094 i art. 51 prawa o małżeństwie) i wydał następującą osnowy

W Y R O K.

Rzymsko - katolicki Sąd Duchowny I-ej instancji, zważywszy, że w myśli kanonu 1094 kodeksu prawa kanonicznego i art. 51 prawa o małżeństwie, te tylko małżeństwa katolików chociażby z niekatolikami zawarte, są ważne, które zawierane były wobec własnego proboszcza, lub ordynariusza djecezji, albo wobec kapłana katolickiego przez właściwego proboszcza lub ordynariusza delegowanego; — zważywszy, że Stefan Iwecki, jak wynika z przedstawionego świadectwa chrztu św., przynależy do Kościoła rzymsko-katolickiego, pominawszy przepisy prawa kanonicznego i prawa o małżeństwie, zawarł w d... roku... związek małżeński z Ludwiką Wolską, protestantką, w kościele protestanckim w..., wobec duchownego wyznania Ewangelicko-Augsburskiego, a więc wobec duchownego nie mającego od właściwego proboszcza, lub ordynariusza odpowiedniej delegacji do ważnego asystowania przy ślubach osób, należących do religji katolickiej, — co stwierdza zeznanie obojga małżonków Iweckich oraz akt ślubu wydany przez duchownego parafji Ewangelicko-Augsburskiej w....., w dniu....., roku....., — zważywszy, że jak zeznają obydwójce małżonkowie Iweccy oraz zaprzysiężeni świadkowie — ślu-

bu swego nieważnie zawartego Stefan Iwecki i Ludwika z Wolskich nigdy wobec właściwego proboszcza katolickiego lub ordynariusza, albo duchownego delegowanego nie ponowili i nie rewalidowali, na podstawie art 75 prawa o małżeństwie, oraz kanonu 1960 kodeksu prawa kanonicznego Rzymsko-katolicki Sąd duchowny I-ej instancji w myśl kanonu 1990 K. P. K. wyrokiem prawomocnym i ostatecznym, nie podlegającym apelacji orzeka:

Małżeństwo Stefana Iweckiego, zamieszkałego w..., zawarte w dniu..., roku..., w kościele Ewangelicko-Augsburskim w... z Ludwiką Wolską jest nieważne i nieistniejące, jako zawarte bez zachowania formy prawnej, kanonicznej wobec duchownego akatolickiego".

Podpisów pod dokumentem już nie czytała. Usiłowała coś zrozumieć, co się żadną miarą pojąć nie dawało. Dajmy na to — myślała, — że rzymski katolik uzna małżeństwo swoje zawarte z niekatoliczką i w kościele niekatolickim za nieważne i pragnie, aby stało się ważnym zgodnie z formami katolickimi... Cóż uczyni w takim razie? Będzie się starał nakłonić swoją żonę do... aha, przypomniała sobie to słowo, do rewalidowania małżeństwa wobec duchownego katolickiego w kościele katolickim. To takie proste i jasne! Dalej, jeśli Kościół rzymsko-katolicki dba o moralność swoich wyznawców a małżeństwa zawarte w kościele niekatolickim uważa istotnie za nieistniejące, za konkubinaty, to i on powinien nalegać na tych wyznawców, którzy ominęli formę, aby jej dopełnili w sposób czyniący zadość wymaganiom formy katolickiej, to jest, aby z małżonki nieprawnej uczynili małżonkę prawną. To byłoby jedynie sprawiedliwe i moralne i to jedynie mógłby uczynić człowiek, który jest nie tylko katolikiem, ale zarazem człowiekiem uczciwym i moralnym. Lecz co się dzieje? Człowiek religijnie obojętny, który do kościoła nie zaglądał w ciągu lat i który nie poddałby się jego przepisom, gdyby jego Kościół wymagał od niego spełnienia obowiązku moralnego, przypomina sobie nagle o tym Kościele, gdy przy pomocy jego kodeksu może zostać uwolniony od elementarnych obowiązków człowieka uczciwego.

Ludka widziała teraz całkiem jasno, z kim i z czem ma do czynienia. Gdyby Iweckiemu było chodziło o dopełnienie formy prawnej według wyznania katolickiego, to byłby jej o tem powiedział i byłby ją nakłaniał do... no, do rewolidowania ślubu w kościele katolickim. Zaskarżył nieważność ślubu z powodów niemoralnych, ucieklszy od niej uprzednio jak złodziej, aby stać się właścicielem pieniędzy panny Zarębianki. Ponieważ nie można było inaczej, więc razem z pieniędzmi bierze i tę panienkę. Może to uczynić jedynie dzięki obłudnemu zaskarżeniu nieważności formy ślubu, chociaż samiż sędziowie wiedzą dobrze, jak jej powiedział adwokat, że według wielkiego nauczyciela Kościoła, Tomasza z Akwinu, forma i błogosławieństwo kościelne nie stanowią istoty małżeństwa. Sędziowie wiedzą o tem, muszą o tem wiedzieć...! Używają tego środka jako jednego z wielu do walki z tymi, którzy nie chcą podlegać papieżowi. Posługują się temi środkami z jawną świadomością, że demoralizują swoich wyznawców. Znała na tyle Iweckiego, aby wiedzieć, że na sędziów swoich musi spoglądać z uczuciem głębokiej pogardy, bo sumienie nie może ogłuchnąć na tyle, aby nie zdawało sobie sprawy z tego, co jest prawdziwe i sprawiedliwe, a co jest obłudne i nikczemne. Stefan Iwecki wie, że jego sędziowie wiedzą, jak gardzi nimi i ich prawami za to, że wmawiają w niego, iż pewne formy, jakieś abra kadabra, kanoniczne, mogą z nędznika uczynić człowieka uczciwego. Sędziowie Stefana Iweckiego wiedzą, co musi odczuwać człowiek, korzystający z ich wyroków unieważniających małżeństwa. A jednak...

Popatrzyła jeszcze raz na papier spisany „W imię Pańskie” i zadrżała, jakby w jej obecności ktoś wygłaszał najstraszliwsze bluźnierstwo. Stało się jej nagle jasnym, że z takimi ludźmi, jak Stefan Iwecki i jego sędziowie, nigdy i za żadne skarby świata procesować się nie będzie. Żadnych odwołań, żadnych rekursów! Na to nie pozwoliła by jej godność ludzka i uczucie religijne, aby mianowicie „W imię Pańskie” były wypisywane dalsze kłamstwa i wykręty tego rodzaju.

Szybkim, zdecydowanym ruchem przedarła dokument

i zaniósła go do pieca, aby się spalił. Podczas gdy płomień spopielał ostatni skraweczek papieru, Ludka doznawała wrażenia, że Stefan Iwecki przestaje istnieć, a raczej, że nigdy nie istniał. Człowiek, którego kochała, był jej dziewczęcym snem, marzeniem, wyobrażeniem o rycerstwie i szlachetności. Rzeczywistość była inna. Gdyby nie był on unieważnił małżeństwa, byłaby musiała uciec od niego sama, po poznaniu go tak, jak знаła go w tej chwili. Jej sen o człowieku rozwiął się w sinawym dymku, wznoszącym się nad ostatnim skrawkiem papieru.

Rozumiała, że jeśli w imię Pańskie coś się ma stać, to zapoczątkowana musi być walka z tą ohydą możliwością nadużywania imienia Pańskiego. Trzeba wychować ludzi tak, aby żadna instytucja świata w imię żadnych kanonów nie mogła ich rozgrzeszać od pełnienia obowiązku, od przestrzegania zasad moralności. Budziło się w niej gorące pragnienie apostołstwa idei chrześcijańskiej, zdobywanie „chrześcijan” dla Chrystusa nie formami, ale duszą i sercem i nie dla form, ale dla prawdy Bożej.

Przedewszystkiem musi się zająć wychowaniem Jureczka, aby nigdy nawet powstać w nim nie mogła myśl powtórzenia tego, czego dopuścił się jego ojciec względem niego i niej. A potem... potem nauczać ludzi, gdzie i jak można, aby nie wierzyli w formy, bo litera zabija, a Duch jedynie ożywia. Przypomniała sobie Stożyczką, która pragnęła stanąć do walki z tą ohydą niemoralności sankcjonowanej kazuistyką w imię Pańskie. Pójdzie do niej i powie jej o swoim postanowieniu.

Przedewszystkiem usiadła przy biurku i w krótkich stanowczych słowach napisała do adwokata Jansona, że zrzeka się jakichkolwiek dalszych kroków procesowych, zastrzeżeń, odwołań, czy rekursów.

„Tak jak moje małżeństwo jest dla tych sędziów niebyłem i nieistniejącem, tak i ich wyrok i oni sami są dla mnie niebyłymi i nieistniejącymi — pisała do adwokata. — Uczucia, które budzi czytanie takiego wyroku, są tego rodzaju, że w interesie czystości myśli trzeba jak najprędzej o tem wszystkiem zapomnieć. Wyrok spaliłam. Jako nie-

stosujący się do elementarnych zasad moralności, omijający jasne i wyraźne przykazania Boże, jest on dla mnie niebyły, nieważny i nieistniejący”.

Z całym spokojem wysłała list do mecenasa Jansona, a potem ubrała się i razem z Jureczkiem, nie posiadającym się z radości, poszła na spacer do pobliskiego Parku Ujazdowskiego.

Chociaż Ludka nic nie mówiła Regierowi o swoich przeżyciach ostatnich miesięcy, to jednak i on i Helena wiedzieli doskonale, jak się rzeczy mają. Dowiedziawszy się od mecenasa Jansona, że małżeństwo Ludki zostało unieważnione, Regier doznawał dziwnie bolesnych uczuć. Niby natrętna melodia, której niekiedy całymi godzinami pozbyć się nie można, przypominały mu się bezustannie słowa piątej księgi Mojżeszowej, przytaczane tak często przez antysemitów, a zawierające obietnicę dla ludu wybranego, że da mu Bóg „miasta wielkie i dobre, którychś nie budował, przytem domy pełne dóbr wszelakich, którychś nie narzątał, i studnie wykopane, którychś nie kopał, winnice i oliwnice, którychś nie sadił, a będziesz jadł i najesz się...”

Inni za Polskę cierpieli i umierali, inni ją budowali i dla niej pracowali, a oto ludzie obcy jej duchem, mający swoją ojczyznę w Rzymie i dla Rzymu pracujący w „provincji” polskiej, zagarniają władzę w swoje nienasycone ręce, których nigdy nie przyłożyli do dzieła czynionego dla Polski. Biorą w posiadanie miasta wielkie i dobre, których nie budowali, przy których budowaniu raczej przeszkadzali w imię interesu obcego.

Oto Ludka została w sposób haniebnym pokrzywdzona... — myślał z goryczą, usiłując zrozumieć, jak to wogóle jest możliwe, że człowiek oszukujący i krzywdzący bezbronną kobietę i własne dziecko, znajduje tak łatwo pomocników i sprzymierzeńców, podczas gdy bezbronna kobieta opuszczona jest przez wszystkich, i w całym społeczeństwie niema średniowiecznych rycerzy, którzy stawiali sobie za

zadanie bronienie uciśnionych i prześladowanych. Wychodzą dziesiątki i setki pism, w których opisuje się dzień w dzień szczegółowo, jak ktoś złamał nogę na ulicy, jak pobili się pijacy, jak spłoszył się koń, jak cyklista wjechał na chodnik...

A niema człowieka, który usiadłby i napisał artykuł o tem, że krzywdzi się ludzi bezsilnych wobec przemocy, że wiarołomcom udziela się placet na ich wiarołomstwo, że nikczemników bierze się pod opiekę prawa... Jak to jest możliwe? — zadawał sobie Regier pytanie, na które nie mógł i nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— Czy wiesz, Helu — rzekł do żony, gdy razu pewnego weszła do niego podczas takich jego rozmyślań, — że gdybym chciał, albo gdybyś ty chciała, to moglibyśmy sobie kazać unieważnić małżeństwo. Jest niebyłe i nieważne, konkubinat...

Mówił z taką goryczą w głosie, jakiej dotychczas nigdy nie słyszała w jego słowach. Spojrzała na niego zaniepokojona i wyczekująca.

— Czy Ludkę spotkało znowuż coś przykrego? — zapytała.

— Siadaj, Helu — pogadamy. — Ludkę nie może spotkać żadna przykrość osobliwa. Ogłoszono w imię Pańskie, że była konkubina niejakiego Iweckiego, który upatrzył sobie młodą głupią dziewczynę z grubemi pieniędzmi... Ale to głupstwo! — machnął ręką. — Ludka ma charakter. Napisała do adwokata, że uważa wyrok i wyrokujących za niebyłych i nieważnych dla siebie, a to dlatego, że nie zachowali elementarnych zasad ludzkiej uczciwości i sprawiedliwości. Ale dzieją się rzeczy gorsze, zawstydzające...

— Ja wiem — szepnęła Helena, — ale co robić? Co robić, aby się nie działy?

— Czy pamiętasz jeszcze, jak po wojnie nie było co dać dzieciom jeść, jak ludzie nosili koszule z firanek i okrywali się łachmanami?

Regier mówił te słowa ciężko, jakby z wysiłkiem zrzucał z siebie nieznośny ciężar, przytłaczający jego piersi.

— Czy pamiętasz, jak wojsko nasze, broniąc wolności

kraju, szło niezaopatrzone, bez rzeczy najpotrzebniejszych na wschód, aby własną piersią bronić polskiej ziemi? Pamiętasz ten straszliwy odwrót, gdy nawet najmężniejsi tracili odwagę. Wtedy, gdy wszyscy nas opuścili, gdy nawet przyjaciele nie mieli dla nas nic prócz mądrych rad politycznych, dotrzymała nam wiary, nigdy nie zaprzysięganej, młodzież amerykańska, połączona entuzjazmem miłości i braterstwa w stowarzyszeniu YMCA. Szli ci młodzi ludzie z naszym żołnierzem i dzielili z nim dołę i niedołę, dodawali mu odwagi gdy do serca zakradła mu się rozpacz, karmili i poili znużonych... Jeden Bóg wie, ile uczynili i jak wielkich środków potrzebował ich entuzjazm, aby się ujawnić.

— Ciocia Imcia — roześmiała się Helena, — któżby jej nie znał? Przecież gdziekolwiek mieszka uczestnik tych walk naszych, toczonych w tak fatalnych warunkach, tam dotarła wieść o cioci Imci a razem z tą wieścią miłość dla niej, lekcja czystego, bezinteresownego człowieczeństwa, poświęcenia w imię Chrystusa... Któżby o niej nie wiedział...!

— No tak — przyświadczył Regier, — a teraz pokazało się, że to heretycy. Rozumiesz, Helu, nie można im zarzucić zła najmniejszego, trzeba milczkiem przyznać, że wszystko, co czynili, jest takie piękne, jak blask i ciepło słońca. Tylko jeden zarzut podnosi się przeciwko nim — heretycy! Podobnie heretykami są kwakrowie, którzy bronili nas przed tyfusem plamistym i sami padali jego ofiarą... I metodyści, którzy zakładali sierocińce dla dzieci, opuszczonych przez wszystkich, błakających się po ulicach... I baptyści, którzy zabrali się do pracy wśród studentów... I lutrzy, którzy całymi okrętami przysyłali do Polski chleb, odzież, mydło. Teraz raptem huzia na nich: Heretycy! Pójdą, oczywiście, do piekła, bo wierzą nie słowami, ale czynami, więc trzeba koniecznie ostrzedz przed nimi, wypędzić ich z Polski!

Zamilkł, jakby się wsłuchiwał w echo własnych słów. Przez długą chwilę trwało milczenie. Helena tuliła się do

Regiera i nie mówiła nic. Lepiej od niego samego rozumiała, jak uzasadnionemi są jego słowa.

— Co za hańba! — wybuchnął nagle Regier. — Dopóki były potrzebne pieniądze tych heretyków, dopóki akcja Hoovera ratowała dzieci nasze dosłownie przed śmiercią głodową, siedziało się cicho; dopiero teraz, gdy już można sobie jako tako radzić, spostrzega się, że murzyn zrobił swoje i może sobie iść.

Helena milczała i gubiła się w płataninie zawstydzających uczuć.

— Żył we mnie entuzjazm i uparta duma — mówił Regier dalej — że miałem zaszczyt siedzieć w więzieniu i tulać się na wygnaniu za to najświętsze, co Polak nosił w sercu kiedykolwiek. Ale... nie ja sam siedziałem w więzieniu. Prawie każde pokolenie polskie delegowało do więzień i na Syberję swoich przedstawicieli... Moje przygody były głupstwem w porównaniu z temi straszliwemi udrękami ludzi zakutych w łańcuchy na katorgach moskiewskich, albo tych, którzy z imieniem Polski na ustach ginęli na szubienicy. Byłem jednym z ostatnich w tych szeregach walczących i nieraz o tem myślałem z uczuciem wstydu, że nie było mi danem dokonać czegoś więcej...

Zamilkł znowu i wspominał.

— Aha! — przypomniał sobie. — Potem przyszła wojna i porwała nas wszystkich, Polaków, bawiących we Francji. Szliśmy na front realizować wizję najcudniejszą wolnej Polski. Ach, jakież to było głębokie szczęście, gdyśmy wracali do kraju jako żołnierze! Szliśmy na wschód... Właśnie szła z nami YMCA... Nabawiłem się tyfusu, a podczas gorączki rozprawiałem się z tobą temi samemi uczuciami, które nie chciały i nie chciały ci się sprzeniewierzyć. Potem znowu służba moja w sztabie i te perygryncje w sprawach, które nieraz stawały się tragicznymi. Tak pracowali i cierpieli setki tysięcy, dziesiątki tysięcy odnieśli rany, tysiące dały życie tylko w tych walkach ostatnich, nie mówiąc o tem wszystkim, co je poprzedzało. I oto ten człowiek, który walczył i cierpiał, został zepchnięty na szary koniec życia polskiego. Przyszli władcy najbardziej cu-

dzy i najbardziej bezwzględni i wzięli w posiadanie miasta wielkie i dobre, których nie budowali, domy pełne dóbr wszelakich, których nie naprzatali, oliwnice i winnice, których nie sadzili...

W przedpokoju brzęknął dzwonek. Helena zerwała się z uczuciem ulgi, że może przychodzi ktoś, kto naprowadzi Regiera na myśli pogodniejsze. Niebawem usłyszała głos Władka, który wszedł do pokoju z taką pogodą i beztrąską, jak w najlepszych zabłońskich czasach. Helena uśmiechnęła się, bo jej się wydało, że Władek zaraz zagnie ramię i każe wujostwu patrzeć, jakie ma twarde mięśnie.

— Co słyhać, Władziu? — zapytała, wyciągając go na rozmowę wesółym uśmiechem i spokojnym tonem zapytania.

— Stare nudy, nowego niema nic — odpowiedział Władek.

— Tak się szybko zblazowałeś? — nacierała Helena. — Jeszcze niedawno umiałeś nam tak ładnie wykladać o swoich zdobyczach teologicznych i filozoficznych.

— To swoim porządkiem, a nuda swoim — rozłożył Władek ręce. — Najgorzej jest na świecie z tem, że się tak rozwinął język...

— Jaki język? — przerwał mu Regier.

— Mowa ludzka! — odparł Władek. — Wyobrażcie sobie, dobrze ludzi, chrześcijaństwo niemego społeczeństwa! Nie możnaby było mówić o niem i byłoby trzeba czynić je. Ktoś chciałby powiedzieć coś pięknego o miłości bliźniego, ale nie byłoby na to mowy. Musiałby więc miłość czynić. Zamiast mówców powstałoby apostołowie czynu. O tem nawet mówić niepodobna, to się widzi. Lew z jagnięciem leżeliby sobie spokojnie na słońcu, a wszyscy „chrześcijańscy“ złodzieje, lichwiarze, paskarze, którzy ładnie umieją mówić o miłosierdziu, musieliby przestać mówić i zacząć czynić, aby zostać zrozumianymi. A ponieważ jest na świecie dużo wielomównych chrześcijan, wyobrażcie sobie ten raj ich wieloczynności!...

— Tylko nie załóż czasem jakiej sekty niemych! — roześmiał się Regier. — Jeszcze gotów ktoś wziąć twoje

słowa na serjo i ogłosić, że największym grzechem ludzkim jest mowa i mówienie.

— Kochany wujaszku — rzekł sentencjonalnie Władek — ja cię rozumiem, że się obawiasz takiej sekty. Dla filologii nastalyby czasy ciężkawe w społeczeństwie ludzi milczących, albowiem milczenie gramatyki nie potrzebuje, ale trzeba sobie przypomnieć słowa Pisma świętego o tem, że ludzie będą odpowiadali za każde próżne słowo. W tem jest mądrość. Nadużycie słowa pomniejsza dziedzinę czynu, zuboża świat.

— W każdym razie trzebaby pozostawić przynajmniej tyle mowy, aby można było porozumiewać się — odparł Regier — bo w przeciwnym razie ludzie najlepszej woli powtórzyliby dzieje wieży Babel.

— Dobrze, niech wujaszek zachowa tyle mowy — zgodził się Władek — ile potrzeba na konieczne porozumiewanie się, ale zarazem trzebaby powiedzieć, że odtąd zezwala się tylko na chrześcijaństwo czynione, a mówione jest zakazane.

— Mówiliśmy przed chwilą o YMCE — rzekł Regier.

— Doskonale, że wujcio przypomniał o niej! — zawołał Władek. — Tutaj między słowem a czynem zachowana jest taka miara. Podczas ostatniego postu myślałem o niej dużo, gdy listy pasterskie potępiały ją tak bezwzględnie. W wielkim tygodniu widziałem, jak w pobliskim kościele budowano grób Pana Jezusa. Pomyślałem, że gdyby kosztą tych grobów, zgoła zresztą zbędnych, złożyć do kupy, to możnaby YMCA nie potępiać, ale poprostu zbudować wspaniałe gmachy z bibliotekami, salami odczytowemi i gimnastycznymi i t. d. Potem możnaby otworzyć bramy tych gmachów i nic nie mówić. Heretycka YMCA stanęłaby pustkami i koniec. Widzisz, wujaszku, na przykładzie, że słowo potępienia jest strasznie nędznem i słabem w porównaniu z twórczym czynem potępienia. Jedni będą budowali, drudzy będą potępiali słowami. Słowo przebrzmieje i rozwieje się jak dym, kamienne gmachy zostaną...

— Ach, Władziu! — zawołała uradowana Helena, kla-

szcząc w dłonie. — Przecie to jest bardzo mądre, co ty mówisz, chociaż sobie żartujesz!

— Nie, ciociu, ja nie żartuję — zastrzegł się Władek. — To, co mówię, to najrzeczywistsza rzeczywistość. Wszystko, co można było powiedzieć, zostało już powiedziane, ale nie zostało jeszcze zrobione, to co powinno być zrobione. Patrzę na przykład na pracę Kościoła Narodowego w Polsce. Rzym pisze dużo i mówi, a Kościół Narodowy robi swoje. Słowa rozwiewają się, jak dym, a to, co zostało zbudowane przez zwolenników nowego ruchu, zostanie...

— Nie lubię zbyt taniego optymizmu, kochany Władziu — rzekł Regier i zasępił się. — O ile pesymizm przynębia i odbiera ochotę do pracy, o tyle nadmiar optymizmu działa jak narkotyk. Czy nie wiesz — podniósł głos — jak pokrzywdzono Ludkę?

— Wiem, wujaszku — odpowiedział Władek spokojnie, jakby był na to pytanie czekał. — Wiem — powtórzył z wielkim naciskiem — ale najpierw, ona sama ustosunkowała się do tego bardzo spokojnie i rzeczowo, a następnie, w perspektywie historycznej...

— Historia nie zdoła nigdy pocieszyć duszy skrzywdzonej — obstawał przy swoim Regier. — Wiem, co chcesz powiedzieć.

— Tem łatwiej się zrozumiemy. Ja Ludkę kocham serdecznie i do jej niewątpliwie głębokiego bólu odnoszę się z całym braterskim pietyzmem, ale pomimo to widzę jasno te różnice, jakie istnieją między czasami dawnymi a dzisiejszemi. Wielką Joannę d'Arc mógł sobie biskup Cauchon spalić na stosie, mojej siostrze nikt tego dzisiaj zrobić nie może. Dawniej, gdy się powiedziało heretyk, to tem samem słowem wydawało się na kogoś wyrok śmierci, dzisiaj kończy się na słowie i jeszcze go nikt nie słucha. Dawniej cesarzowie i królowie całowali pantofel papieski, dzisiaj samiz papieżu już się krępują wobec takich czołobitnych przeżytków. Był taki straszny „sztyl”, jak mówią marynarze, a teraz wiatr wieje w stronę jutra. Niepowstrzymanie, spokojnie, stale. Zresztą cywilizacja nasza już nie jest statkiem żaglowym i nauczyła się obywać bez wiatru. Dla te-

go cezara, który przesiedlał całe narody, detronizował królów i książęta, trzeba mieć trochę współczucia, gdy się widzi, że jego słowo już nie jest piorunem, ale wyłącznie dźwiękiem...

— Jesteś jeszcze młody, mój Władku — potrząsał Regier głową. — Czy przypominasz sobie, jak mnie przygotowywałeś do wiadomości, że posady w Zabłoniu nie dostanę, bo jestem heretyk? Pamiętasz, jak Niebożęcki użył tego argumentu, aby mnie pognębić? Pamiętasz, że mu się udało całkowicie? Patrz — mówił Regier rozgoryczony — przeszedłem przez moskiewskie więzienie, poszedłem na wygnanie, straciłem wiele lat życia na zgryzotach, potem walczyłem razem z innymi, cierpiałem, a wreszcie odmówiono mi posady, jakby na drwiny z mojej serdecznej głębokiej wiary w Polskę. Teraz pokrzywdzono twoją siostrę... A wszystko dzieje się bezkarnie. Gdzie masz publicystów, którzy wzięliby w obronę pokrzywdzonych? Nie chodzi mi o to, co robi Rzym, bo to jest zimny i wyniosły władca, ale o to, co powie mój brat, Polak, wobec spotykającej mnie zniewagi i krzywdy. Tysiące, dziesiątki tysięcy wyznawców Kościoła Narodowego nie mogą doprosić się prawa... Czy w tem jest potęga, czy jej niema?

— Kochany wujaszku — uśmiechał się Władek — zapominasz o mieście Bezières, które dla herezji zostało wyrzucone w pień. Zapominasz o nocy św. Bartłomieja. Inicjatorów nie brakłoby i dzisiaj napewno, bo jeszcze niedawno wysocy dygnitarze rzymscy ubolewali, że nie można zapalać stosów, ale wykonawców już niema. Protestantyzm zapanował nad światem, a Rzym jest jego niesfornym rezydentem, bo wszystko, co protestantyzm stworzył, z tego Rzym skwapliwie korzysta. Niech sobie wujaszek przypomni dobrze czasy Inocentego III lub Bonifacego VIII i porówna je z czasami dzisiejszemi. Warto sobie porównać szykanę, jaka spotkała Ludkę z szykaną, która kiedyś spadła na Henryka IV, potężnego cesarza. Musiał cesarz iść w worze pokutnym do Kanosy, rozumiesz, musiał, a dzisiaj najbiedniejszy człowiek z bezimiennego tłumu, nie musi...

Ludka się uspokoi, wyjdzie za mąż za człowieka, który będzie umiał ją uszanować...

— Wyjdzie za mąż? — wyrwało się Helenie pytanie.

— Ja to mówię tylko tak sobie — roześmiał się Władek — a ciocia myślała, że już po zaręczynach. Chciałem tylko powiedzieć, że nie widzę przyczyny, dla której uczciwa, dobra i mądra kobieta miałaby być mniej warta od każdej innej kobiety, tylko dlatego, że wierzyła w człowieka, który okazał się łotrem i że temu łotrowi poszło tak gładko?... Być może, że Ludka dzisiaj sama jeszcze nie myśli o wyjściu za mąż, może oburzyłaby się na samo wspomnienie o tem, ale czas napewno przyniesie spokój. Harakiri jest śmieszne: nie karze się łotra przez ułożenie niezasłużonej pokuty sobie.

— A jak ty byś ukarał? — zapytał Regier.

— Nijak, wujaszku. Żałuję bardzo, ale nieraz nie mam czasu dla porządnych ludzi, a cóż dopiero dla łotrzyków!

Przez długą chwilę wszyscy milczeli, jakby rozważali ostatnie słowa Władka. Dopiero po chwili zapytała Helena, zwracając się do niego:

— Czytujesz dużo, Władziu? Tak bym chciała przeczytać niektóre rozprawy Veléry'ego albo Unamuna!

— Nic prostszego! Zamówić u pierwszego księgarza i przeczytać. Ja przestałem się temi sprawami interesować, bo uprzedziły mnie do nich przeraźliwe głędzenia naszych firmowych krytyków. O niektórych rzeczach pisarzy zagranicznych wypisuje się u nas takie idjotyczne klituś-bajduś, że ma się wrażenie, iż autor takich rozpraw pisał je śpiący albo po pijanemu. Można usnąć przy ich czytaniu. Jakies takie ogólniki co to nic nie znaczą, albo znaczą za dużo, głędzenie o psychologii i estetyce, cytaty ni przypiął, ni przyłatał, jednym słowem chytne udawanie myślenia przy absolutnym braku myśli.

— Przesadzasz, mój Władku! — mitygowała go, śmiejąc się, Helena, którą wybuch młodzieńczej gorliwości bawił i zaciekawiał.

— Niema porządnej krytyki bez porządnej przesady — odpowiedział jej z miejsca i powracając do przerwanej

myśli, mówił dalej: — Mamusiński napisze, Cacusiński pochwali. Papsusiński podda rozważaniu tak zwane walory pochwały Cacusińskiego, a wreszcie Lalusiński wyłoży zagadkowato i patetycznie, że wszyscy trzej są mamutami, a prawdę koranu estetycznego posiada on jeden i nikt poza nim. Jednym słowem głądzenie. Pocziwi ludziska nie mogą ruszyć z miejsca, bo zapomnieli zacząć od początku, od zadania sobie pytania: Na co literatura?

— Jakto, na co literatura! — oburzył się Regier. — Wszystkim wiadomo na co!

— Nie, nie wiadomo na co — uparł się Władek. — Wiadomo, na co powstał Gilgamesz babiloński, egipska Księga Umarłych, Pięcioksiąg Mojżesza, Ewangelja, rozprawa o Obrotach ciał niebieskich Kopernika, Krytyka czystego rozumu, Boska Komedja, Legenda o Graalu, Prelekcje. Genesis z Ducha i t. d. i t. d., ale dużo, dużo dzieł nie ma ustalonej reputacji pod tym względem. Dla zabawy, czy może nawet zabawki? Dla uciechy? Dla nauki? Niema tak pięknie rymowanej pieśni, której treści nie możnaby wyrazić daleko krócej i jaśniej prozą, i nie ma tak pięknej beletrystyki, której rozwlekłe opowiadania nie dałyby się streścić na kilku kartkach. Miarą wartości utworu literackiego jest przymus, konieczność, fatalna tragiczność. Autor nie mógł nie napisać, bo działał pod przymusem silniejszym od jego woli. U nas zaczęło się od naśladowania cudzych wzorów po łacinie, a potem Rej zaczął po polsku, a to dla tego, aby jakieś narody postronne wiedziały, że Polacy nie gęsi. I tak się powtarza: mamy swoich Byronów i swoich Zolów, Verlaine'ów i Tzarów oraz wszystko to, co jest między Byronem i Tzarą. Ogromny import produktów nierolniczych do kraju rolniczego, eksportu tej kategorii mało...

— No, przynajmniej cieszę się — mówił Regier z uśmiechem — że zdajesz sobie sprawę z tego, iż przesadzasz.

— Zdaję sobie sprawę, że przesadzam w miarę. Zresztą, u nas przesada jest niejako kanonizowana i tradycyjna. Niech wujaszek popatrzy dokładnie, jak „narodowie

postronni" po wysiłkach umysłowych wieku oświecenia bawili się romantyzmem. Był to dla nich taki sobie dreszczyk, jakiego się doznaje, gdy mowa o pułaczach, straszidłach, ruinach i nocach bez księżyca. U nas te straszydła, polskie, ukraińskie i litewskie, zaprężone do roboty politycznej miały wyręczyć szanownego obywatela Rzeczypospolitej w wzbawieniu tej samej ojczyzny, którą on przegapił. Niema u nas należytego różnicowania duchów. Filozof liryzuje, jak Cieszkowski, naprzykład, a lirycy robią ciężkie systemy filozoficzne. O ileż bliższym jest mi od nich taki Maurras!

— Ten monarchista? — zapytał Regier z niedowierzaniem. — Przecież to jest propagator katolicyzmu bez chrześcijaństwa, a więc paradoks, którego nie można brać na serjo!

— Maurras jest przedstawicielem wielkiego talentu i wielkiej uczciwości — mentorował Władek. — Jest nacjonalistą i antysemitą, więc nienawidzi Biblii i chrześcijaństwa, jako pochodzących z żydostwa. Uwielbia ład i harmonję w życiu polityczno-społecznem, więc widzi ideał w Rzymie, spadkobiercy cesarów. Dla papieży i soborów ma cześć dlatego, że zdaniem jego wyeliminowali z katolicyzmu żydowskiego Boga, wszystkie pierwiastki ewangeliczne, mistyczne, religijne, a pozostawili ustawę, instytucjonalizm racjonalistyczny i pełen realizmu. Dlatego właśnie, że jest przeciwno mistycyzmowi, nienawidzi wprost fanatycznie romantyzmu. Rozum, rozsądek, umiar, harmonja, bez stryżg i upiorów, bez puszcz i ruin. W Maurrasie ucieleśnił się duch francuski, jak w nikim bodaj. Szanuję go za jego prawość i prawdziwość.

Władek zapalał się coraz bardziej, a Regier musiał go w duchu podziwiać, że przy studjach teologicznych znalazł dość czasu i ochoty do zapoznania z mnóstwem rzeczy odległych od teologii. Gdy Władek zamilkł, pobudził go Regier do dalszych wywodów pytaniem:

— A co zrobisz z jego pogardą dla chrześcijaństwa?

— Jego szczerą i jasną postawą daje mi pewność, że gdybym go zdołał przekonać o pięknie ewangelji, to stałby się równie garliwym jej apostołem, jak dzisiaj jest apo-

stołem rojalizmu i katolicyzmu. Odczuwam żywiółowy wstręt dla ludzi pasorzytujących na katolicyzmie i nie wiedzących nawet czem on jest. Nasi najwięksi pisarze umieją od biedy opisać pielgrzymkę, procesję, prześladowania dawne unitów, ale o co w tem wszystkim chodzi, nie interesują się, nie chcą wiedzieć. To jest fakt!

Władek wstał, spojrział na zegarek i zadeklarował, że musi już iść, skutkiem czego poleca się łaskawej pamięci i mówi: Dowidzenia!

— Jakto w samym środku dyskusji?—zapytała Helena.

— Nie było dyskusji, był monolog z przerywaniem. Dalszy ciąg nastąpi przy najbliższej sposobności. Muszę już iść naprawdę.

— Jakto w samym środku dyskusji?—zapytała Helena.

— O Ludce nie można mówić bez potrącenia sprawy Bolesława Śmiałego i Zbigniewa Oleśnickiego, i Zygmuta Trzeciego i obu Sasów, a ja dzisiaj nie mam na to czasu. Kiedyindziej rozważymy sobie historycznie i filozoficznie oraz teologiczne i kanoniczne, dlaczego to w roku Pańskim 1925 w Polsce mogło zostać unieważnione małżeństwo Ludwiki z Wolskich...

— Jak możesz tak żartować? — skarciła go Helena.

— To nie jest żartowanie, droga ciociu — bronił się Władek. — To jest mój facon de parler o rzeczach smutnych. Uważam zresztą, że wszystko jest w należyтым porządeczku, bo zgodnie z tradycją „w Polce wypadkom Bożym otworzona brama i każda rzecz się robi, aż się zrobi sama”. Jestem przekonany, że po czasie niedługim te unieważnienia będą należały do kategorii czcigodnych klątw i interdiktów. Będzie to sobie taka action sans efficacit . Dowidzenia najmilsi!

* * *

Ludka miała usposobienie podobne do usposobienia brata; szybko orjentowała się w koniecznościach życiowych i rozumiała, że sprawy, których zmienić nie można, nie powinny zatruwać życia. Ze smutnemi przeżyciami swemi pogodziła się tem łatwiej, iż rozumiała doskonale, że jej

sprawa jest ściśle związana ze sprawą cywilizacji i sprawiedliwości. Ci, co unieważnili jej małżeństwo, są potomkami duchowymi tych, którzy chcieli unieważnić reformację polską, Modrzewskiego, Ostroroga, Prelekcje Paryskie Mickiewicza, i wiele innych rzeczy. Nie starczyło im sił na unieważnienie tych spraw. Mogą już tylko unieważniać w niektórych krajach małżeństwa. Właściwie unieważniać je będą tak długo, jak długo będą istnieli, bo są konsekwentni w absurdzie, ale te unieważnienia będą kiedyś miały akurat tyle znaczenia, jak gdyby, ona, Ludka, postanowiła unieważnić Giewont albo Wisłę.

Doszedłszy do tych wniosków, Ludka przypomniała sobie, że zdaniem geologów Mont Blanc i Mount Everest przestaną kiedyś istnieć, że strumienie lodowców powolutku, ale nieubłagane dokonywają dzieła niwelacji. Nie śpiesząc się, bo mają całą wieczność przed sobą, zamulają morza piaskiem najwyższych gór. Zniknie góra i zniknie przepaść morska. Ta niewątpliwa siła, która unieważniła skutecznie jej małżeństwo nie jest ani głębią morską, ani szczytem Alpów; niwelacja dokonywa się szybciej. Od czasów Grzegorza Wielkiego z Mount Everestu pozostało wzgórze Watykańskie.

Najchętniej byłaby natychmiast wyjechała do Zabłonia do matki, ale musiała pozostać w Warszawie do czasu wygaśnięcia jej kontraktu z fabryką, w której pracowała. Przez ten czas zbliżyła się serdecznie z panią Stożycą, która pod koniec roku proces swój w konsystorzu ostatecznie przegrała i przez adwokatów ułożyła się z mężem w ten sposób, że on, inżynier i właściciel wielkiej cegielni, założonej ongi za jej posag zgodził się wypłacić jej część tego posagu bez procentów i jakichkolwiek dalszych zobowiązań. Wzamian za to ona musiała oddać mu mieszkanie. Mówiła o tem wesoło i spokojnie.

— Wie pani — opowiadała ze śmiechem — chwaliłam się, że jestem starą piniaczką, a jednak dałam się wyprowadzić w pole memu byłemu małżonkowi. Miałam taką ładną lampkę elektryczną, istne cacko. jeszcze z czasów pannieńskich, nie dał mi jej. Okazało się, że umowa była tak

ładnie spisana, iż nawet nie spostrzegłam, że urządzenie mieszkania miało przypaść za moją zgodą panu Stożyckiemu. Staął na gruncie prawa i nie oddał nawet lampki.

— Wobec straconych złudzeń lampka jest wartością pomniejszą — pocieszała ją Ludka.

— A jednak są takie lampki, które żal bywa zostawić w posiadaniu niegodziwców. Stało się i niema się czem przejmować. W Konsystorzu została sprawa mieszkaniowa ostatecznie przesądzona, teraz każde z nas przejdzie na wyznanie mniejszościowe i pozakładamy nowe ogniska domowe. Przecież to jest nietylko smutne, ale i zabawne.

— Tak, to jest więcej zabawne, niż smutne — zgodziła się Ludka. — Ale dlatego trzeba się koniecznie odwrócić od tych zabawnych rzeczy, ku rzeczom poważniejszym. Na każdej z nas ciąży kawałek odpowiedzialności za przyszłość. Wiemy więcej od innych kobiet i musimy pracować nad tem, aby przyszłość była lepsza od terażniejszości. Mówiła pani kiedyś...

— Tak, mówiłam kiedyś, ale już nie mówię — przerwała jej pani Stożycka. — Zostałam obdarta ze wszystkiego, otrzymam trzecią część swego posagu, przepada mi mieszkanie z całym pięknym urządzeniem. Nie pomógł mi w mojem osamotnieniu nikt, chociaż prawnicy wiedzą doskonale, że zostałam chytrze oszukana. Rządzi litera i w prawie i w religji. Niech rządzi i niech zabija inne istnienia, jak zabiła nasze, im więcej będzie ofiar, tem prędzej zostaną może dostrzeżone i przerażą obojętnych i głupich. Ja nie chcę. Nacierpiałam się dość, pragnę odpocząć i poznać trochę szczęścia.

Ludka była zaskoczona tą odpowiedzią, bo właśnie Stożycka natchnęła ją w swoim czasie myślą walki ze wstecznictwem zabijającym życie ludzkie. Ale orjentowała się szybko i rozumiała, że pani Stożycka ma prawo ulegania zmiennym nastrojom, jak każda żywa istota. Jej gorycz dzisiaj wypowiada się tak, jutro wypowie się inaczej.

— Może pani ma rację — rzekła wzruszając życzliwie ramionami. — I ja pójdę może za pani przykładem. Vo-

lenti non fit injuria — powiada mądre łańskie przysłowie. Jeśli społeczeństwo chce być rządzone martwymi kanonami i chce być niemi zabijane, to nie mamy prawa przeskadzać mu.

Ale Ludka nie wytrzymała w zamiarze nakazanej sobie obojętności. Spozregła wielkie mnóstwo zagadnień i spraw, jakich dawniej nie widziała, i nie mogła przechodzić obok nich do tak zwanego porządku dziennego. Przedewszystkiem postanowiła poznać dokładnie katolicyzm i zabrała się do tego przy pomocy Władka, z którym nowa sfera zainteresowań zbliżyła ją serdecznie. Czytała, dyskutowała, rozmyślała i dochodziła do wniosku, że katolicyzm to kwestja charakteru. Nie chodzi o posiadanie, czy nie posiadanie pewnych wiadomości z różnych dziedzin wiedzy ludzkiej, ale o rzetelne ustosunkowanie się do tych wiadomości. Zrozumiała też, że rozum może domagać się czego innego, a sentyment czego innego i że ze skłócenia tezy i antytezy rodzi się w ogromnej większości wypadków synteza indyferentyzmu.

Potem zaprenumerowała sobie szereg pism katolickich i ewangelickich, aby widzieć niejako własnymi oczami, jak odbija się w nich życie. Niejako mimochodem zapragnęła poznać pisma tak zwanych odszczepieńców i z żywym zainteresowaniem oczekiwała na każdy nowy numer pism, które dostarczały jej osobliwych wzruszeń; ani spozregła, jak dokoła punktu pierwotnych zainteresowań tworzyły się coraz szersze koła koncentryczne. Krytyka literacka, polska i francuska, zagadnienia polityczne i społeczne, wszystko to, co jeszcze niedawno było mglistem i niewyraźnem, niby przedmioty na skraju horyzontu w chmurny dzień jesienny, nabierało wyrazistości i bryłowatości. W rozmowach z Władkiem brała od brata dużo jego racjonalizmu i uzupełniała go sobie kobiecą intuicją. Jak Władek, tak i ona instynktownie odwracała się od wszelkiego rozczochranego i rozwichrzonego romantyzmu. Jasny wniosek logiczny posiadał dla niej urok pięknego łuku romańskiego i żywego rytmu Mozartowskiej harmonji. Jeszcze piękniejszym jawił się jej czyn, wpływający nie z mroków głuche-

go i ślepego sentymentu, ale z jasnych przesłanek woli, podobnych do promieni słońca, rozszczepiających mroki w cudowne tęcze. Zstąpiła w atmosferę nieznanego dotychczas świata i na wszystko patrzyła oczami już nie tylko ciekawymi, ale potakującymi lub przeczącymi. Z tysięcy zjawisk i spraw wybierała sobie niektóre jako swoje i bliskie, a odrzucała inne jako obojętne albo zgoła wrogie. Budziło się w niej żywe i całkiem świadome pragnienie kształtowania świata na obraz i podobieństwo swoich najmocniejszych i nieprzejednanych umiłowań.

Najpotężniej przemawiało do niej to, z czym życie wdarło się najgłębiej i najkrwawiej w jej istotę. Z uczuciem głębokiej odrazy myślała o tem, że człowiek narzucać może drugiemu człowiekowi, aby wierzył według przepisu i komendy, aby stosunek duszy swojej do Wiekuistego i Niewypowiedzianego regulował ulegle według czyjeś ograniczonego widzimisie. W świecie, który się jej marzył, ta przemoc prostactwa nad wolnym duchem ludzkim była wrzodem, który jak najprędzej przeciąć należy. Czasem, gdy długo zasnąć nie mogła, przypominały się jej wszystkie niedole polskich „odszczepieńców”, od Arjan wyganianych z Polski na tułaczkę po obcym świecie, aż do wszystkich dzisiejszych „sekciarzy”, których się bije, skazuje na więzienie, i o których, co najsmutniejsze, tępi i ciemni pisacy, nie mający pojęcia o potrzebach wolnego sumienia, wypisują najgłupsze i najbardziej bezmyślne brednie. Wtedy przychodził jej na myśl Czandala Strindberga, biedny i nikczemny koczownik, który omotał i oplótl człowieka kulturalnego, aby go zgubić chytrą i niewybrednością swoich prymitywnych wybiegów; z głębokiem zadośćuczynieniem myślała wtedy o tem że człowiek cywilizowany, widząc się osaczonym ze wszystkich stron przez dzikusa, zajrzał mu w duszę, poznał jej słabizny i mocą swego geniuszu zabił kulturalną lichotę. Marzyło się jej, że na cudotwórców i cudochwalców jedynym środkiem byłby jakiś wielki cud którym Bóg potępiłby przed całym światem gwałt współczesnych dzikusów nad wolnymi sumieniami ludzi cywilizowanych.

Tygodnie szybko mijały przy pracy w fabryce i skromnych radościach, dzielonych z Jureczkiem. Przyszła zima, Ludka zaczęła liczyć miesiące, pozostające jeszcze do wygaśnięcia umowy z fabryką, aby wreszcie wyjechać mogła do Zabłonia, i ani spostrzegła, jak nadeszła nowa wiosna. Przyszedł słoneczny maj, a z nim przebolesna rocznica krzywdy wyrządzonej jej przez mocniejszych i przebieglejszych od niej ludzi. Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad własnymi niedolami, bo powietrze przesycone było elektrycznością, jak przed burzą.

Straszliwa krzywda otworzyła Ludce oczy na stan społeczny i moralny ogółu, wśród którego żyła; rozumiała ona, że los jednostek skojarzony jest jak najściślej z losami moralności całego społeczeństwa i kierunkiem polityki państwa. To też chytre wyzyskiwanie konjunktur politycznych przez różnych macherów partyjnych napełniają ją nietylko obrzydzeniem dla karierowiczostwa, ale i obawą o losy państwa i narodu. Wiedziała, że słabsi będą zawsze krzywdzeni i wyzyskiwani, dopóki sama zasada konjunktury i chytractwa nie zostanie raz na zawsze pogrzebana. Interesując się życiem politycznym kraju, wiedziała Ludka, że w sejmie współzawodniczą ze sobą partje, a w łonie partyj ambitne, sprytne jednostki dobijają się pierwszeństwa jedynie dlatego, aby się dorwać do pełnych żłobów, synekur, dostojenstw. Ile razy wpadała jej w rękę nowa książka francuska, czy niemiecka, numer czasopisma, przepełniony bogatą treścią ludzkich przemyśleń, ogarniało ją zniechęcenie i zawiść, że w Polsce niema ani jednego czasopisma które z podobną treścią szłoby do Francji, Niemiec, Anglii i byłoby tam czytane z równą skwapliwością. Nietyle może przesłankami i wnioskami, ile intuicją kobiecą ogarniała cały splot zjawisk politycznych, społecznych i religijnych; i czuła jasno i wyraziście, że tę duszną atmosferę oczyścić może tylko silny, wstrząs burzy. Gdy rządy nad państwem stawały się coraz bardziej przedmiotem targów przebiegłych polityków, gdy nachalność synekurzystów doszła do szczytu, a miernota umysłowa i lichota moralna wyrastały ponad wszystko pod osłoną beczeszczonego pra-

wa, którego nie można było dowołać się dla gwałconych sumień, Ludka czuła nadciągającą burzę, jak ludzie nerwowi czują drżenie przyrody przed uderzeniem pierwszego pioruna podczas wiosennej nawałnicy.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego uciekała z Jureczkiem z mieszkania swego przy ulicy Pięknej tylko dlatego, że chciała być blisko swoich i razem z nimi przeżywać wszystkie okropności burzy, z za której wyłaniało się jasne rano nowego dnia. Serce ścisnęło się jej ostrym bólem, gdy widziała młodych żołnierzy idących do walki z braćmi swoimi, ale budziła się w niej wiara, że to jest ostateczny kres i koniec tej nienawiści, która od tylu lat dzieliła naród polski na dwa obozy nieprzejednanych przeciwników.

Nikt nie myślał o tem, że nienawiść hodowana w partjach politycznych doprowadzi do takich strasznych rozstrzygnięć; przeciwnicy mówili o sobie nawzajem najgorsze rzeczy, a jeśli nie mogli zarzucić sobie czynów ohydnych, to zarzucali sobie przynajmniej ohydne i nikczemne intencje. I oto po długich czasach takiej zatrutej atmosfery, dochodzi do walki bratobójczej. Czysta krew niewinnych młodzieńców gasić musi brudne płomienie rozniecone przez marnych karierowiczów, dla których patryjotyzm był furta wiodącą ich do suto zastawionych stołów życia i użycia, jak innych wiódł na wysiłek, mękę, pracę, cierpienie i śmierć.

I teraz to się kończy. To się kończy — wmawiała w siebie Ludka, tuląc Jureczka do serca i tą myślą, że to się kończy, nakazując sobie siłę, aby na widok przelewanej krwi bratniej nie omdleć i nie upaść z dzieckiem na ulicy tak miłej zawsze i pogodnej, a teraz jęczącej z niehumanitarnego bólu i wybuchającej co chwila salwami strażów.

Teraz się kończy panowanie zła — mówiła sobie Ludka. — Zaraz przyjdzie pojednanie serdeczne i głębokie, jakiem jedną się z sobą bracia długo zwaśnieni. A jutro będzie w Polsce powietrze czyste i ciche. Nad grobami poległych zjednoczą się wszyscy, lzy żalu i ekspjacji popłyną razem, przeszłość minie bezpowrotnie, nastaną czasy no-

we, wykupione ofiarną krwią tych, którzy walczyli z niewiścią, z podstępem, z wyzyskiem, z przemocą. Och, teraz się to kończy! — krzyczała w sobie przy każdym wstrząsie nowych salw, aby dodać sobie odwagi do samego przeżywania tej chwili upokarzającej, nieprzewidzianej i nieprawdopodobnej, że brat będzie musiał stawać przeciwko bratu, aby z życia polskiego zniknęło straszliwe zło najbrutalniejszego sobkostwa.

Z takimi myślami dopadła do drzwi mieszkania Regierów. Otworzyła jej Helena, blada, wystraszona. Ludka podała jej Jureczka i schwyciła się za głowę. W milczeniu poszła za ciotką do pokoju i padłszy na pierwsze z brzoła krzesło, wybuchnęła długo powstrzymywanym szlochem. Dopiero teraz, gdy znalazła się daleko od ulicy Pięknej, ujrzała wszystkie niebezpieczeństwa, przez które niosła Jureczka i teraz dopiero z zacisza pokoju dobiegała ją cała groza tego, przez co przed chwilą brnęła jak przez wartki górski strumień czasu groźnej powodzi. Każdy strzał odbijany echami o mury domów, uderzał teraz w serce. Podniosła oczy, aby spojrzeć na Helenę i usłyszeć jakieś słowo pociechy, ale Helena stała nad nią z Jureczkiem i płakała razem z nią.

— Uspokójcie się! — rzekł ostro Regier jakimś nieswoim głosem, wchodząc do pokoju.

Jednocześnie rozległ się gdzieś daleko ostry, przenikliwy krzyk i wśląd za nim zachybotano się powietrze od wybuchu.

— O mój Boże! Mój Boże! — łkała Ludka, nie mogąc się opanować. Przed oczyma wypływał z za łez obraz za obrazem pełen okropności. Nie mogła pojąć, jak zdołała przejść ten kawał straszliwej drogi z Jureczkiem na rękach. Teraz dopiero przychodziła trwoga i brutalnie ścisnęła ją za serce. Gdy się na chwilę uspakajała, przychodził nowy niespodziewany wybuch płaczu, przez który dobywała się radość, że oto coś złego się kończy, że w nawałnicy, która deszczem krwi spływa na bruki Warszawy, jest także kropla jej własnej krzywdy. Przychodziło jakieś niewołane, radosne uczucie, że jutro już nie będzie w Polsce miejsca

na takie krzywdy, na gwałcenie sumień i prześladowanie cudzych przekonań. Ani na chwilę nie przychodziło jej do głowy, że w tej walce mogłoby zwyciężyć co innego, niż dobroć i sprawiedliwość.

Po paru godzinach wyczekiwania i niepokoju, potęgowanego tem jeszcze, że Regier wbrew prośbom Heleny wyszedł na miasto, przyszedł Władek z nowinami. Był podniecony i wzburzony, ale spokojnie opowiadał o tem, co widział. Po chwili wrócił Regier. Nie mógł dowiedzieć się nic pewnego. Walka toczy się ze zmiennem szczęściem, czem się skończy, trudno przewidzieć.

Ludkę zelektryzowały te słowa wujka. Poszła za nim do jego gabinetu.

— Ach, wujciu, jaki ty jesteś małoduszny! — zawołała zbliżając się do Regiera, jakby mu chciała wydrzeć inny pogląd na toczące się walki.

— Nie małoduszny, moje dziecko — odpowiedział jej — tylko ostrożny w sądach. Patrzyłem na wiele rzeczy i dużo miałem takich chwil, od których zdawało się zaczynać nowe życie. Wybuch wojny był wybuchem entuzjazmu, który mnie rzucił do okopów, rok dwudziesty uzdrowił mnie, ciężko chorego, koniecznością wielkich wysiłków. Myślałem, że po tym roku i po tem zwycięstwie musi przyjść nowe życie. Potem przyszło pragnienie odpoczynku i skromna chęć otrzymania posady, aby zarobić na kawałek chleba, nie otrzymałem jej... A potem przyszło tyle innych rzeczy!...

Ludka usiadła na kanapie, zdala od biurka, przy którym siedział Regier i ukryła twarz w dłoniach. Regier milczał. Po chwili do pokoju weszła Helena z Władkiem.

— Jureczek śpi, jak suseł — rzekła szeptem tak dziwnie uradowanym, jakby donosiła, że walki skończone, sprawiedliwość zwyciężyła, bracia pojednani.

Wszyscy jakoś poweseleli, że Jureczek śpi i nie troszczy się o nic, nie doznaje tych straszliwych zgryzot, które gnębią całe wielkie miasto i państwo.

— Nie, wujaszku — zakręciła Ludka głową — ty nie masz racji! Nie możesz jej mieć! Skończy się zwycięstwem sprawiedliwości! Zresztą choćby przyszła klęska i najstra-

sżliwsza reakcja, tylko żeby nie przyszedł dalszy ciąg tego, co było jeszcze wczoraj, tego ohydnego „nic” bez twarzy, napadającego jak zbój z ukrycia, czającego się wszędzie i zatruwającego życie jak wyziew moczarów!...

— Możesz być spokojna — rzekł Władek. — Stanie się to, co się stać musi, nic ponad to i ani o źdźbło mniej.

— Ach, Władziu! — zachnęła się Ludka. — Tam się krew leje, a ty z twoją filozofją! Przecież tam...

— Wiem, droga siostró — odpowiedział Władek dziwnie uroczyście i zamilkł.

Minął piątek pełen tragicznych zawężeń, przysła sobota... Regier wczesnym rankiem wyszedł na miasto i niebawem wiedział o wydarzeniach ostatnich godzin. Na ulicach było jakos odświętnie. Gromadki ludzi przystawały dokoła czegoś, jak zimą przystają ludzie zziębnięci dokoła ognisk. Nikt nie miał nic nowego do powiedzenia. Wszyscy wiedzieli to samo, ale wszyscy słuchali chciwie tysięcznej i pierwszej opowieści o tem, co im było wszystkim dobrze wiadomem. Panował radosny entuzjazm, ulicę zająła wiara, że oto stało się coś nowego, wielkiego, nieodwołalnego.

Regier z bólem serca stwierdził w sobie bolesny brak wiary, że naprawdę nastają czasy nowe, godne entuzjazmu. Tyle razy dusza jego wzbijała się wysoko na skrzydłach wiary w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości i tyle razy niepostrzeżenie, powoli, była stłaczana na padół rzeczywistości szarej, nudnej, wykrętej, wycyganiającej na życiu różne przywileje i nie troszczącej się o tych, którzy gdzieś na nizinach życia łakną chleba i sprawiedliwości.

Nie mógł się opędzić wspomnieniom: Helenie kazano zapomnieć o nim, bo ewangelik, odmówiono mu posady w gimnazjum zabłońskim, bo ewangelik, skrzywdzono haniebnie Ludkę, bo ewangeliczka... Jednocześnie wydano w Polsce wielkie mnóstwo pism o polityce, literaturze, sztukach pięknych, a nikt nigdy nie napisał nawet części tego wszystkiego o najpiękniejszej sztuce poszanowania wolno-

ści sumienia, o poezji prawdy i sprawiedliwości. Uciekano się do fikcji, aby stworzyć typ żalosego bohatera, Odyseusza, opływającego świat na falach lubieżności i ekstaz zmysłowych. Nie widziano bohatera, który za przekonania religijne, własne, z serca i z duszy swojej dobyte, nie powtarzane za nikim, nie korzystające z żadnych przywilejów, szedł do aresztu, pocieszając się słowy Ewangelji, że tak być musi, że inaczej być nie może.

Tysiące ludzi! Tysiące sumień ludzkich wołających do Boga o Ojczyznę jedyną ponad wszystkimi ojczyznami, w której duch jest wolny, w której człowiek czuć się może dzieckiem Boga, nie będąc jednocześnie poniewieranym pasierbem żadnej złej macochy. Wyroki wydawane na wolne sumienie i przeciw konstytucji polskiej „w Imię Boga wszechmogącego” zaprzysiężonej, aresztu, rozpędzanie zgromadzeń ludzi modlących się do Ojca miłosiernego, który jest w niebie, grzywny, konfiskaty...

Czy to było takie złe? Nie, nie to było złe, ale że ludzie nauczeni we wszelakim piśmie, mogli jednocześnie wypisywać całe tomy o jakichś głębiach sonetów i mądrościach komedji, o dalekim Pirandelli i jeszcze dalszym Shawie, a nie widzieli brata swego, który nie mógł doprosić się zmiłowania dla swego sumienia! Doczytał się człowiek w Polsce, jak była ubrana aktorka, grająca rolę marniej rozpustnicy i mógł znaleźć w pięknych czasopismach szczegółowe rozbiory słodkawych i cikliwych wierszyczków, ale o księżkach „odszczepieńczych” bitych kijami prawowierności doczytywał się ubocznie, mimochodem wśród notatek o pogodzie i wypadkach przejechań.

Odwracając się od tej rzeczywistości, Regier jał sobie przypominać rzeczy inne, miłsze, bliższe jego sercu. Obiecywał sobie wyszperać jakąś książkę dawno nie czytaną, napisać do przyjaciół, którym winien był odpowiedzi na ich listy, postanowił pójść do Rutkowicza, ale w te wszystkie postanowienia wdzierały się bezustannie refleksje i reminiscencje o rzeczywistości nieubłaganej, natarczywej, napastliwej i władczej.

Widział, że jeszcze ogromnie daleko do odrodzenia, bo

zawsze i wszędzie zaczynało się ono z ducha i z sumienia. Gdzie się życiowe zagadnienia rozstrzyga mechanicznie, tam nie dojrzewa jeszcze zbiorowa wielkość, bez której niema mocy. Zawsze i wszędzie zaczyna się wielkie życie od pytań: Skąd idę i dokąd idę? Wszystkie wiary i wszystkie wątpienia składają się wtedy na moc i na siłę niepokonalną. Półdżicy Arabowie wyrosną nagle na wielki kulturalny naród i podbiją świat, a Hiszpanin, który nie pokona ich wyższością swojej myśli, lecz jedynie swoją przewagą liczebną, stanie się spadkobiercą tego, co mu Arab zostawił, i nie zrozumie poczciwy Don Kichot jaka jest potęga w obwieszczaniu prawdy, że jeden jest Bóg i jeden jego prorok.

Entuzjazm pierwszych chrześcijan, zapal husytów, brońących wolności sumienia, upór malutkich Niderlandów, walczących z potężną Hiszpanją o wolność sumienia, Waldensi, Franciszek z Asyżu i ci wszyscy cisi, którzy przez mękę wytrzymałość posiadają ziemię, to przykłady przez wieki wiekom dawane, że innej drogi niema ku wielkości, tylko ta jedna, streszczająca się w pytaniu:

— Czy jesteś Boże? Czy słyszysz moje wołanie? Chcę ci służyć, ale cię nie znam! Wiarę przesłania mi powątpiewanie, ale dusza moja pragnie, abyś był, a serce wzywa cię, abyś mnie kochał, bo jestem sam na świecie i lękam się jego ogromu w życiu i w śmierci. Jaka jest droga ku tobie? Jak poznam twoją wolę? Jak nauczę się ją czynić, aby się stało na ziemi królestwo twoje?

Regier zbliżał się do domu i spostrzegł, że myśłami swemi oddalił się ogromnie od dnia i jego wydarzeń. Ogarnęło go uczucie wstydu na myśl, że gdyby z temi pytaniami, które dopiero co nawiedziły jego duszę, poszedł między ludzi, między chrześcijan, to spojrzeliby na niego jak na warjata. O, trudno jest nawrócić chrześcijanina na chrześcijaństwo! Można mu włożyć w rękę Dekameron, można go uradować obrazkami Fragonarda, można zażądać od niego całych godzin i dni życia na odczytywanie wywodów literacko-artystycznych, ale nie trzeba mu przypominać pytań Chrystusowych. Chrystus jest w kościele, a chrześcijanin nie chce, aby On wszedł do jego kawiarni i do jego

teatru, do banku i do fabryki. Krępowałby tylko. W kościele co innego, w dancingu co innego. Przecież nawet słudzy jego chodzą do teatru tylko incognito, chociaż przy sposobności poświęcają dancingi.

Wszedł do przedpokoju, powiesił płaszcz i kapelusz i skierował się do swego gabinetu. Spotkał Ludkę, która uradowana i rozentuzjasmowana, rzuciła mu się na szyję.

— Widzisz, wujaszku! — wołała ucieszona. — Już koniec! Miałam przecie rację, że teraz wszyscy się pojedną i nastanie nowe radosne życie.

— Daj to Boże, moje dziecko, daj to Boże! — odpowiedział jej.

Śpieszyła do domu, aby zobaczyć, czy nic złego nie stało się w czasie jej nieobecności. Potem przyjdzie po Jurczka, a potem niedługo pojedną wszyscy do Zabłonia.

— I wogóle — przypomniała sobie nagle — trzeba za-depeszować zaraz do mamusi, że jesteśmy zdrowi i cali.

Pożegnała się z wujostwem i wybiegła na rozentuzjasmowaną ulicę.

Regier podszedł do swoich półek z książkami i pracowicie wyszukiwał jakiegoś dzieła, które pochłonęłoby wszystkie jego myśli. Przebiegał oczami tytuły dzieł filozoficznych i religjoznawczych, grzebał się w broszurach i pismach, ale nie znajdował nic, coby go pociągało osobliwie. Przystanął bezradny i niezdecydowany przed ostatnią półką i już sięgał po jakąś rozprawę o teorii względności, której nie miał czasu przeczytać chociaż kupił ją sobie przed pięciu laty w Krakowie, gdy przed oczyma stanęła mu jak żywa rozentuzjasmowana Ludka. Wierzy i jest szczęśliwa. Co to jest wiara? — pomyślał.

— Co to jest wiara? — powtórzył sobie to pytanie, sięgając po słownik pojęć filozoficznych. — Czy to jest wiara, że człowiek chce, aby jakoś było według jego pragnień? — Czy wiara jest jakaś rezolucja ducha: żądam, aby było tak, a tak? Czy wiara to zaufanie? Ale komu się ufa? Co się ufa? Czy ten ktoś, komu ufam, sam nie został oszukany? Czy to coś, w co ufam, nie jest li tylko złuda?

Otworzył słownik, aby zobaczyć, jakie w ciągu wieków

istniały definicje wiary. Odczytywał jedną za drugą, zgadzając się na jedne, kłócąc się z innymi, a z poza nich niepostrzeżenie dla niego samego wylaniało się słowo Upaniszady Kena, jakby wypisane na ścianie a zarazem wnikliwie, pełne przekonywującej siły: „Nie powiadam, że go znam, ale też nie powiadam, że go nie znam”.

Regier nie przypominał sobie dokładnie treści tych słów i wstał, aby poszukać tłumaczenie Upaniszad Deussen. Do pokoju weszła Helena, chcąc się dowiedzieć od męża co na mieście nowego.

— Nie przeszkadzam ci, Stasiu? — zapytała, patrząc mu uważnie w oczy.

— Skądże znowu! Szukam jakiej lektury i nic mi nie trafia do gustu.

Podeszła do niego, czekając, że jej sam coś powie, ale Regier milczał. Wiedział, że Helena czeka na jakieś słowo optymizmu. Nie miał go i nie chciał kłamać.

— Cóż nowego, Stasiu?

Spojrzał na żonę omijając jej czy, zaczajone na każde jego drgnienie, a potem jak najłagodniej i najspokojniej powiedział:

— Wszystko po staremu — i machnął ręką.

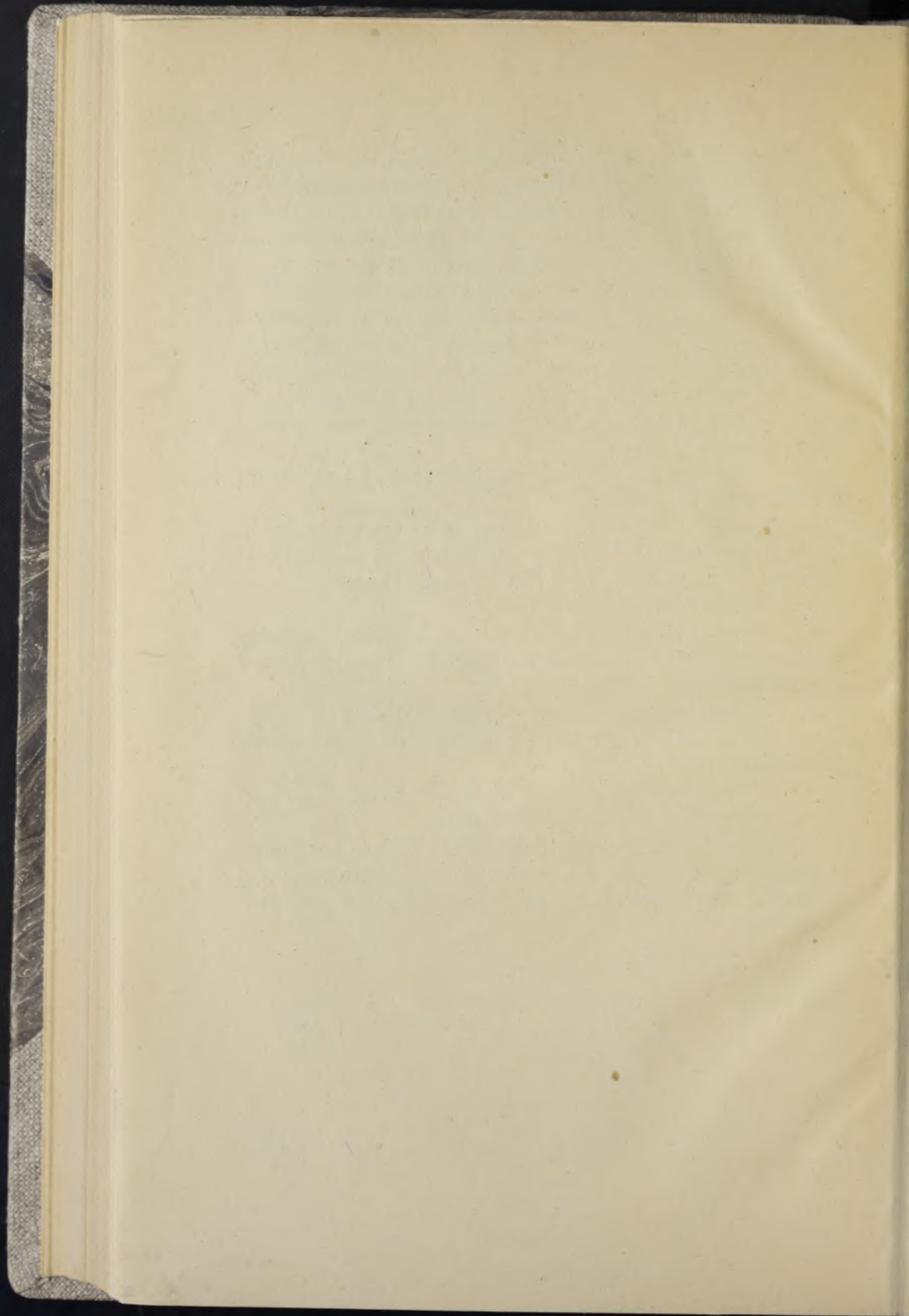
— Co mówisz, Stasiu? — zapytała, jakby nie dowierzając słuchowi.

— Wszystko po staremu, Helu — powtórzył głośniejsz i zaczął gorliwie szukać jakiejś książki.

Helena powstała chwilę obok niego i chciała coś powiedzieć, ale nie zdobyła się na zaprzeczenie jego odpowiedzi i wyszła cicho z pokoju, niosąc z sobą echo słów przeraźliwie smutnych:

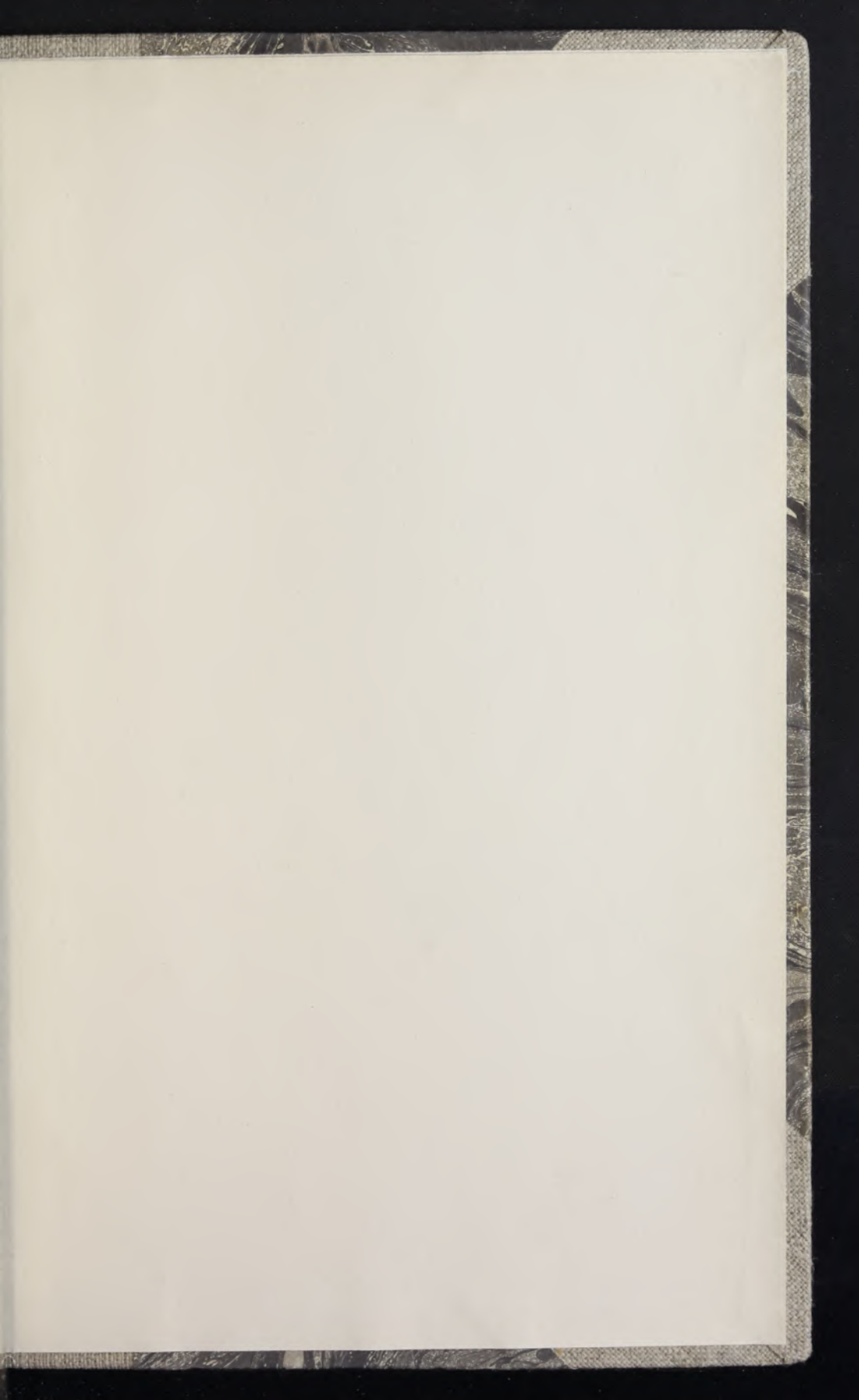
— Wszystko po staremu...

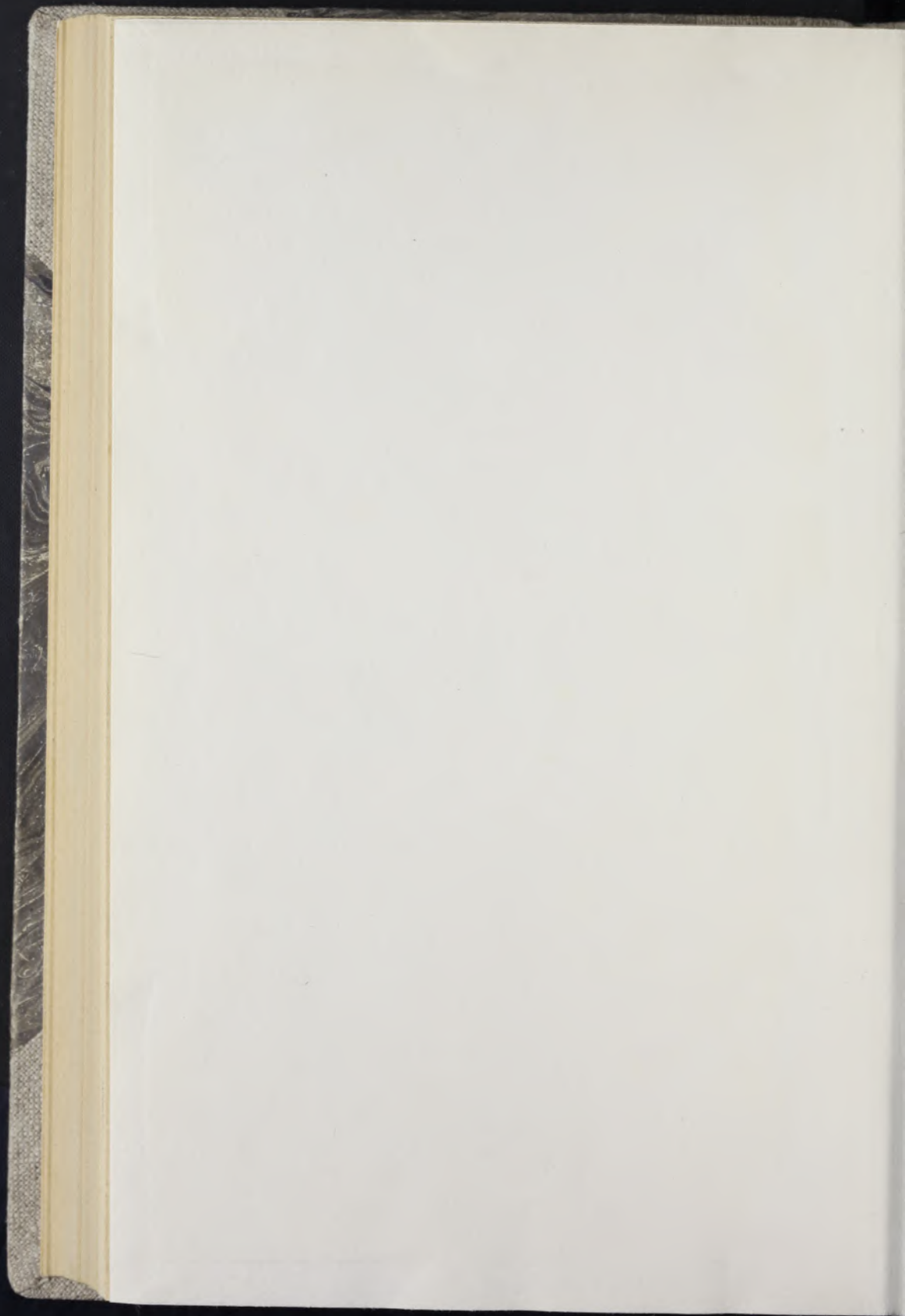
K O N I E C.

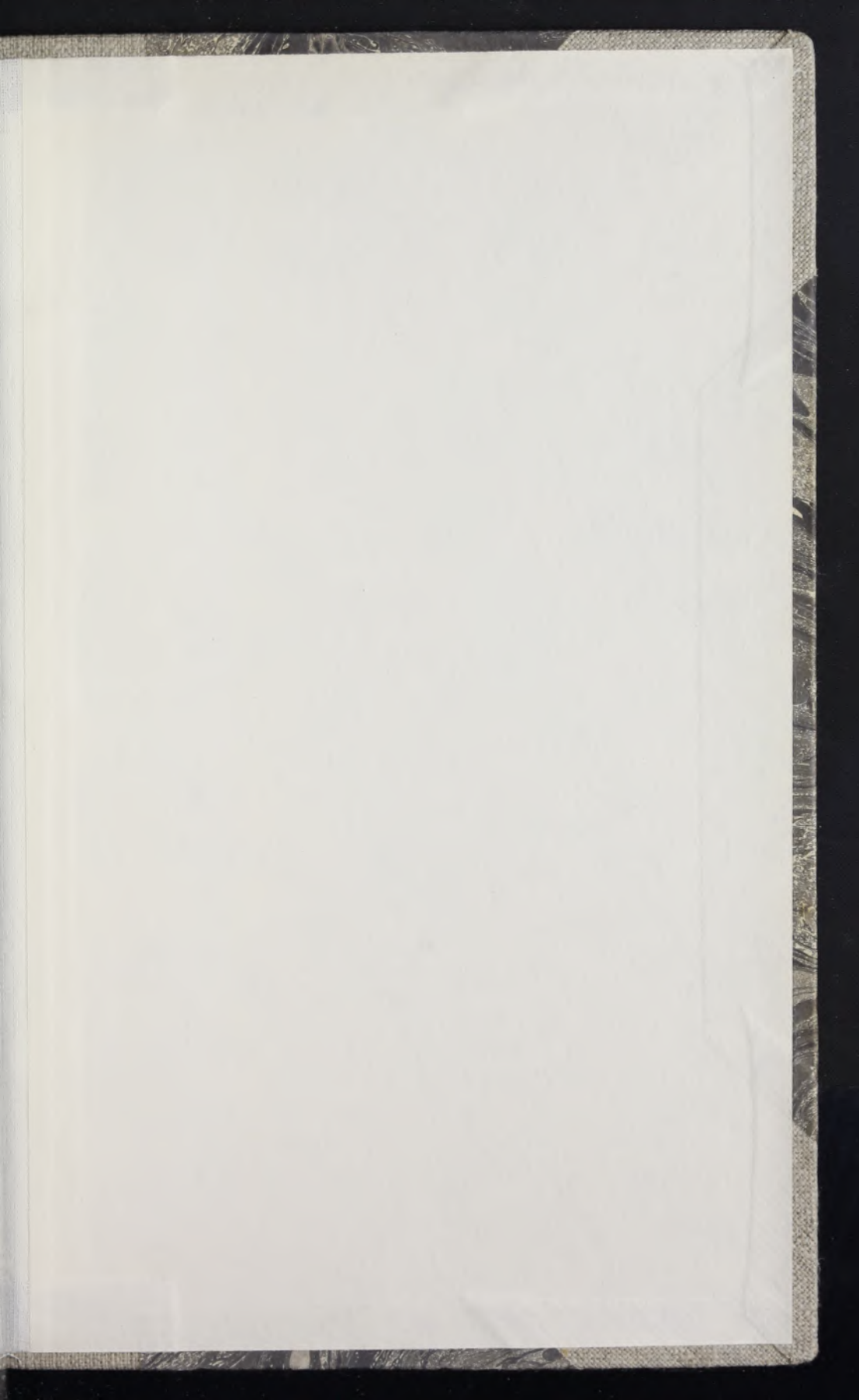


Antykwi, Na
Wied 23.08.
-360z

SP. AKC. WYD.-DRUK.
„PRACA”
FR. BOGUCKI
KREDYTOWA 2-4.









1406564

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020487933